

Terri Paddock

Odwyk

(Come Clean)

Przełożyła Elżbieta Piotrowska

W latach osiemdziesiątych w Stanach Zjednoczonych ogłoszono ogólnospołeczną mobilizację w wojnie z narkotykami; toczono zwłaszcza batalię o serca i umysły nastolatków pochodzących z klasy średniej. Prywatne ośrodki rehabilitacyjne pojawiały się w całym kraju jak grzyby po deszczu, by ratować „trudne dzieci”, z którymi rodzice nie potrafili już sobie radzić.

Do najskuteczniejszych należała sieć Straight Inc., która tworzyła swoje ośrodki w barakach rozrzuconych po całym kraju. Główne idee organizacji Straight zostały zapożyczone z ruchu Anonimowych Alkoholików i innych programów terapeutycznych opartych na programie dwunastu kroków do wyzdrowienia, ale metody te zostały połączone z bardzo silnym oddziaływaniem grupy rówieśniczej. W efekcie – oprócz takich praktyk, jak zastraszanie i rytualne upokarzanie podczas prowokowanych „konfrontacji” – na porządku dziennym było głodzenie, skazywanie na deprivację snu, odbieranie prawa do prywatności i zaspokajania podstawowych potrzeb (również korzystania z toalety) oraz fizyczne maltretowanie („powściąganie”) nastolatków odmawiających współpracy.

Za tę mocno nagłośnioną „surową miłość” приходило płacić wysoką cenę. Pomimo rozdmuchanego w mediach sukcesu – rekord popularności został osiągnięty wówczas, gdy Nancy Reagan i księżna Diana odwiedziły i wychwały ośrodek Straight w Springfield w Wirginii (na przedmieściach Waszyngtonu) – zawsze pachniało skandalem. Zarzuty prania mózgów, porwań, gwałtów, torturowania, doprowadzania do samobójstw i prób samobójczych – nie mówiąc o niezliczonych sprawach sądowych – spowodowały likwidowanie programu w kolejnych stanach. Ostatni ośrodek został zamknięty w Atlancie, w stanie Georgia, w 1993 roku, ale Straight kontynuuje swoją działalność pod innymi nazwami.

Moja siostra została przyjęta do ośrodka Straight w Springfield w 1984 roku. Przez dwa lata osobiście uczęszczałam na niezliczone spotkania, obowiązkowe dla rodzeństwa i rodziców, gdzie byliśmy regularnie „konfrontowani” i podejrzewani o zgubne „narkotykowe” oddziaływanie. Wytresowani w czujności nastoletni doradcy, starsi uczestnicy programu, namawiali moich rodziców do umieszczenia mnie w ośrodku, bo dowiedzieli się, że byłam na imprezie, podczas której kilku moich przyjaciół ze szkoły średniej piło piwo.

Ani ja, ani moja rodzina nie lubimy opowiadać o naszych osobistych doświadczeniach z organizacją Straight, a moja siostra po dziś dzień upiera się – być może dla własnego zdrowia psychicznego – że nie pamięta tego, co działo się z nią w ośrodku. Jednakże zbierając materiały do *Come Clean*, rozmawiałam z wieloma osobami, które nie dały się zniszczyć przez terapię Straight, i niejedna z

nich opowiedziała mi historie tysiącokrotnie gorsze od tego, co przedstawiłam w swojej raczej powściągliwej narracji. Te dzieciaki były więźniami podczas narkotykowej wojny i niestety niektóre tego nie przeżyły.

Terri Paddock, styczeń 2004

Prolog

Ty, Joshua, miałeś problem.

Joshua miał problem, miał wiele problemów. Joshua był trudny – to mówili wszyscy i patrzyli na mnie, a ich oczy stawały się jednym wielkim znakiem zapytania, wyrażającym bezużyteczną troskę, niemającą końca.

Joshua stanowi problem, i niech Bóg mi wybaczy, słuchałam, potakiwałam, mówiłam tak. A przez skojarzenie to musi oznaczać, że ja też stanowię problem.

Rozdział 1

Jestem w basenie, we śnie widzę nas, ciebie i mnie, pod wodą trzymamy się nawzajem za pulchne nadgarstki, nasze policzki są wielkie i okrągłe od wstrzymywanego wydechu, twoje oczy wielkie i okrągłe wpatrzone w moje, zapach chloru, bąbelki powietrza, okalające nasze twarze, stopy tnące wodę. Ale gdy niechętnie wynurzam się na powierzchnię, nie słysząc już bulgotliwego śmiechu, pulsującego w głowie tętna i świstu wymykającego się z ust powietrza, jestem całkiem sucha, nie kąpię się w basenie.

I nie słyszę budzika. Nie słyszę żadnych dźwięków. Nie dociera do mnie niedzielny rozgardiasz, kiedy to tata krzyczy na mamę, żeby znalazła jego krawat w niebieskie paski, mama krzykiem ponagla nas i tatę, rozchodzi się zapach parzonej kawy, której wielki kubek musi tata wypić, by nie zasnąć podczas kazania. Nic takiego do mnie nie dociera.

Próbuję otworzyć oczy, ale rzęsy mam pozlepiane jak splątane frędzelki. Przecieram powieki i staram się oprzytomnieć. Jestem w twoim pokoju, na dolnym posłaniu wysuwanego łóżka, patrzę na ściany, sufit, żaluzje w oknach, ramy łóżka. Na nocnym stoliku połyskuje tarcza budzika. 10.47. Jest nastawiony naszym zwyczajem na ostatnią chwilę. Powinnam natychmiast wyskoczyć z łóżka, ale...

Głowa opada mi z powrotem we wgłębienie w poduszce, staram się leżeć bez najmniejszego drgnięcia, żeby to wszystko przeszło, lecz w tym bezruchu jeszcze bardziej dają o sobie znać dolegliwości. Głowa pęka z bólu. W ustach kłaczki paskudnego nalotu, język spuchnięty, przyklejony do zębów i aparatu. Bolące mięśnie, gęsia skórka, napięta, włoski na przedramionach kłują jak szczecinka. W brzuchu tak mi się przelewa, że boję się gwałtowniej poruszyć. I ta moja głowa.

Wtulam nos w poszewkę poduszki. Od tamtego czasu nie była prana i jeszcze czuję twój zapach. W tym zapachu szukam pocieszenia.

Ponad moją głową donośne stąpanie wzdłuż górnego korytarza. I potem lawina ciężkich kroków w dół po schodach. Obejmuję głowę oburącz, bo ściany aż drżą. Tak ciężko stąpa tata, ale wiem, że to nie on. To mama ma taki chód, jakby była dwa razy cięższa i wyższa, niż jest.

Drzwi otwierają się, uderzając o odbojnik w podłodze. Mama zapala światło i przenikliwa jasność przeszywa mi głowę.

– Wstawaj. – Ma na sobie granatową wełnianą sukienkę, włosy uczesane i

polakierowane, nos upudrowany, na nogach granatowe, lśniące od pasty czólenka.

Wydaję z siebie jęk.

– Wstawaj, Justine, i to już.

– Mamo, nie czuję się dobrze. Chyba jestem chora.

Ona wrzeszczy:

– Nie jesteś chora. To nie choroba, dobrze wiesz.

– Ale chyba nie jedziemy do kościoła?

– Nagle przestałaś grzeszyć, nie musisz się modlić?

– Spóźnimy się, a nie znosisz wchodzić chyłkiem.

– Nie spóźnimy się. Nie, jeśli się wreszcie ruszysz.

– Ale, mamo...

– Żadne mamo. Powiedziałaś wstawaj. Słyszysz? Już! Natychmiast.

W jej głosie pobrzmiewa groźba. Podciągam się chwiejnie w górę, opierając na łokciu.

– Jedziemy do kościoła, a potem do centrum handlowego. Mamy co robić, jest mnóstwo do załatwienia. Wyjeżdżamy za dziesięć minut, masz być ubrana i gotowa.

Wychodząc, trzaska drzwiami – straszny huk, jakby moja czaszka pękała między zawiasami. Dziesięć minut, dziesięć minut. Odrzucam pościel, jednym zamachem opuszczam nogi na podłogę, lecz gdy tylko się prostuję, odzywa się mój żołądek. Jego zawartość podchodzi mi do gardła, kiedy biegnę do łazienki.

Kucam przy muszli. Porcelana przy moim policzku jest chłodna i gładka jak lody waniliowe, mdłości przechodzą.

Ostrożnie dzwigram się do pionu, myję zęby i aparat, szoruję język i spryskuję twarz wodą, po czym chwiejnie wracam do twojego pokoju, żeby się ubrać. Nie ma czasu ani na prysznic, ani na wyprawę na górę po porządne ubranie. Bluzka, którą miałam wczoraj na sobie, jest poplamiona Bóg wie czym, a rajstopy nie do użytku po nocnym biegu bez butów przez zabłocone boisko. Wyrzucam rajstopy do śmieci. Spódnica w szkocką kratę jest pognieciona, ale ujdzie i na szczęście jest długa. Udaje mi się znaleźć golf na dnie jednej z twoich na wpółopróżnionych szuflad. Jest obcisły, lecz w pasującym marynarskim kolorze i bez dziur. Wciążam go na siebie.

Zanim mama po mnie wraca, wsuwam na nogi moje buty Mary Janes, wiązę włosy w koński ogon, ledwie uniknąwszy zderzenia skalpu z mojej wyjącej z bólu głowy, zaczynam grzebać w apteczce w poszukiwaniu tego cholernego tylenolu, i rozglądam się za szklanką do wody – gdzie ona może być?

Mama mierzy mnie od stóp do głów i cmoka z dezaprobatą.

– To tak się teraz chodzi do kościoła?

– Miałam tylko dziesięć minut.

– A gdzie, u licha, masz rajstopy? Rozchorujesz się.

– Puściły oczka.

– We wszystkich? Na miłość boską! – Szukając w torebce szminki, chusteczek i tic taców, kieruje się do drzwi.

– Weź płaszcz, ojciec zapala już samochód.

Nareszcie jest tylenol. Mocuję się z nakrętką, bo to taka zabezpieczająca lek przed dziećmi, wytrząsam dwie tabletki i wrzucam je do gardła, ale w dalszym ciągu nie mam szklanki. Siorbię prosto z kranu, lecz nie mogę się ustawić pod dobrym kątem i wessać dość wody. Tabletki więzną mi w przełyku, we włochatym nalocie. Krztuszę się, ale chwytam płaszcz, wydobywam okulary przeciwsłoneczne z koszyka na kosmetyki i biżuterię, i biegnę za mamą do garażu, gdzie tata, wściekły, siedzi za kierownicą cadillaca, grzejąc silnik.

Gdy mama sadowi się na przednim siedzeniu, tata wskazuje mi palcem przycisk do drzwi garażowych. Łańcuch nad moją głową zgrzyta i zaczyna podciągać drzwi, a zimowe światło wpadające przez coraz większą szczelinę rozprasza mrok. Wkładam okulary, zanim blask sięgnie moich oczu, i stojąc przed przednią szybą, próbuję przyciągnąć spojrzenie rodziców. Tata opuścił już osłonę przeciwsłoneczną, więc tu nie mam szans. A mama patrzy prosto przed siebie, patrzy na kosiarkę do trawy. Twarz ma w plamach i nabrzmiałą, oczy suche, nieprzejezdane i zimne jak marmur. Cieszę się, że nie na mnie patrzy takim wzrokiem.

– Chodźże, do licha – gdera tata. Gramolę się na tylne siedzenie, obok jego starannie złożonego płaszcza, i dwa razy szybciej niż zwykle zapinam pas.

Tata wytacza samochód z garażu, kręci kierownicą w lewo i w prawo, w lusterku wstecznym sprawdza, czy krzaki róż rosnące po obu stronach podjazdu nie porysują mu przypadkiem lakieru. Już bezpieczny hamuje i sięga po pilota do drzwi garażowych. Klika. Nic się nie dzieje. Klik, klik, klik. Nic.

– Do diabła.

Wiem, że chce mi powiedzieć, żebym ruszyła tyłek i zamknęła ten cholerny garaż, ale z jakiegoś powodu tego nie robi.

Sam wyskakuje z auta, zostawiając szeroko otwarte drzwi z głośnym sygnałem alarmowym, i daje nura do garażu. Wykorzystują okazję.

– Mamo, naprawdę jest mi przykro...

– Zamknij się.

– Ale...

Ani na milimetr nie odwraca głowy w moją stronę.

– Zamknij się. Zamknij się. Zamknij się!

Drzwi garażowe suną w dół, tata przeciska się pod nimi w ostatniej chwili. Gumowa uszczelka przejeżdża mu po plecach, zostawiając smugę brudu na marynarce, ale nie zauważa tego. Wraca za kierownicę, wzdycha, zamyka drzwi – z trzaskiem – zwalnia hamulec ręczny i ruszamy.

Jest źle. Gorzej niż wtedy, kiedy uwięziliśmy kota sąsiadki w skrzynce na listy, gorzej niż wtedy, gdy zatrzymała nas policja za włóczenie się po parkingu pod Kmartem, gorzej niż wtedy, kiedy wróciłeś ze szkoły z dwoma pałami za ostatni kwartał, a ja próbowałam podrobić podpis mamy, gorzej nawet niż wtedy, gdy razem z Cindy urwaliśmy się z piątej lekcji na przejażdżkę z Lloydem Taggartem audi jego ojca, chociaż Lloyd miał tylko uprawnienia kursanta, a my nie zaczęliśmy jeszcze nauki jazdy. Dygoczę i żałuję, że nie poszłam na górę po nową parę rajstop, że nie wzięłam rękawiczek.

Znowu zaczynam kaszleć i przełykam raz po raz, by przepchnąć tylenol. Utknął w miejscu. Kaszlę, aż cieknie mi z nosa.

– Tato, czy możemy stanąć przy 7-Eleven i kupić big gulpa?

– Znasz zasady. A może i tę zapomniałeś?

– To chociaż trochę wody.

– Zakaz picia w samochodzie. Czegokolwiek. Ani słowa więcej.

Zaciskam szczęki, żeby powstrzymać się od kaszlu, ale z nosa cieknie mi jak z węża ogrodowego. Chciałabym poprosić mamę o jedną z tych jej chusteczek. Podwijam jednak rękaw płaszcza i wycieram nos w mankiet twojego golfa.

Przejeżdżamy przez naszą okolicę. Mijamy dom Cindy z łuszczącymi się, zielonymi okiennicami, naszą starą podstawówkę, plac zabaw, gdzie na drabinkach wybiłeś sobie dwa przednie zęby. Skręcamy w prawo na czerwonym świetle w Route 5, włączając się w niedzielny przedpołudniowy strumień pojazdów. Tata jedzie szybko i wali dłonią w kierownicę, jeśli światła grożą hamowaniem – co zresztą robią, jedne po drugich.

– Cholerna synchronizacja, jest do niczego – mruczy pod nosem. Zmieniamy pasy, wyprzedzamy powolnych, trąbimy na inne samochody. Gdy wspinamy się na jedno, a potem na drugie wzniesienie, mój żołądek nie radzi sobie z grawitacją, muszę zakryć usta dłonią i przełykać żółć.

– Tato, jest mi niedobrze. Zatrzymaj się.

– Znasz zasady. Tylko zaplanowane postoje.

– Tato!

Mama tym razem się obraca i bacznie mi się przygląda.

– Lepiej się zatrzymaj, Jeff. Jest bardzo blada.

Tata wzdycha, włącza kierunkowskaz i pomaga sobie jeszcze gestami do innych kierowców. Trzeba zmienić dwa pasy, żeby móc zjechać na pobocze, i nie jestem pewna, czy wytrzymam. Otwieram drzwi i zapoznaję się ze żwirem, zanim tata włącza światła awaryjne. Boże, Boże, Boże. Mój żołądek wpada w konwulsje szarpiące całym moim ciałem. Oczy mi łzawią i tylko te łzy się ze mnie wydostają. Cindy mówiła mi wczoraj wieczorem, że powinnam się wyrzygać, zanim pójde spać. Powiedziała, żeby puścić pawia, wypić dwie szklanki lodowato zimnej wody, połknąć trzy tylenole i wtedy padnę. Nie zadziałało. Męczę się na sucho jeszcze kilka razy i zgięta wpół wracam do samochodu.

Jedziemy dalej. Za miastem zostawiamy Route 5, a niedługo, obok Tastee-Freez, również zjazd w ulicę, której nazwy nigdy nie pamiętam, a która prowadzi do zaułka, gdzie jest nasz kościół.

– Nie jedziemy do kościoła?

– Najpierw do centrum handlowego.

Patrzę na zegarek.

– Przecież nabożeństwo zaczyna się za piętnaście minut.

Słyszę kliknięcie sprzączki, gdy mama zamyka torebkę.

– Nie zdążymy, nie ma szans – mówię do niej.

– Pojedziemy na późniejszą godzinę.

Za nami kierowca ciężarówki trąbi i świeci długimi światłami – ja mam drugą falę mdłości.

– Tato, proszę, zjedź znowu.

– Nie ma mowy.

– Będę rzygać.

– Nie będziesz.

Kurcze żołądka znowu zginają mnie wpół.

– Będę. Puszczę pawia. Będę rzygać.

– Nie będziesz.

Znowu mdłości i wreszcie to świństwo podchodzi mi do gardła, wylewa się ze mnie w ciemność za siedzeniem mamy. Rozpryskuje się na moje buty i zieloną aksamitną tapicerkę.

Jęk mamy:

– Wielki Boże!

Samochód robi niekontrolowany skręt, bo tata odwraca do tyłu głowę, piszcza hamulce ciężarówki, a gwałtowny ruch jeszcze pogarsza sprawę.

– Niech to diabli!

Pluję, żeby pozbyć się z języka resztek i palącego kwasu, ale zanim udaje mi się poczuć smak czystej śliny, przychodzi kolejny bluzg, obryzguje mi końce włosów, spódnicę i twój golf, a gdy ląduje na dywaniku, opryskuje mi łydki. Szukam po omacku czegoś do obtarcia ust i moja ręka natrafia na płaszcz taty. Sprzączka od paska spada w wymiociny, gdy podciągam płaszcz do twarzy.

– Co ty, u diabła, wyprawiasz? No co ty wyprawiasz? – Tata wygraża mi prawą ręką, samochód zjeżdża na sąsiedni pas, inni kierowcy trąbią w proteście.

– Przepraszam.

– Wielki Boże, co za wstyd – zawodzi mama. – Najpierw Joshua, potem ty. Co się z tobą dzieje, Justine? – Wyjęła już z torby całą garść chusteczek i wyciera nimi oczy.

– Widzisz, co robisz swojej matce? Pomyślałaś o tym, włączając się ostatniej nocy?

– Nie włączyłam się.

– Nie pyskuj, młoda damo.

– Nie pyskowałam.

– Ostrzegam.

– Wielki Boże, Justine, jak mogłaś?

– Mamo, to był jeden raz, po prostu...

– Po prostu nic takiego?

– Chciałam powiedzieć...

– Zamknij się, zamknij się, zamknij się. Nie chcę słyszeć już ani jednego słowa.

Tata opuszcza z przodu szyby, żeby wywiało smród wymiocin. Mama nienawidzi jazdy z otwartymi oknami, bez względu na porę roku, ale choć jest zimno, nie ma zamiaru robić jak zwykle awantury. Opuszcza osłonę przeciwsłoneczną, żeby sprawdzić, jakie spustoszenie wiatr robi w jej fryzurze, i z lusterka rzuca mi złe spojrzenie.

Wiatr hula po samochodzie, moje gołe nogi są już sine. Chciałabym okazać skruchę, ale na razie walczę z zinnem. Splatam ramiona, a kolana okrywam płaszczem taty. Sprzedałabym swoją kolekcję Michaela Jacksona za jeden łyk wody, żeby tylko pozbyć się tego obrzydliwego smaku w ustach. Wyciągam z buzi aparat, przyklejone do niego resztki budzą obrzydzenie. Bez wątplenia wymaga

przepłukania. Próbuję go wyczyścić podszewką i tak już zabrudzonego płaszcz taty, ale mimo to wygląda zbyt obrzydliwie, by go włożyć do ust. Wciskam go wobec tego do wysuwanej popielniczki w drzwiach. Nikt nigdy nie palił w tym samochodzie – kolejna zasada – a więc to schowek dobry jak każdy inny.

Opieram się o zagłówek i zamykam oczy. Jestem wykończona. Gdyby nie to, że jest mi zimno i boli mnie głowa, i włosy rozwiewane wiatrem łaskoczą mi policzki, pewnie bym drzemała. Dobrze, że mam okulary, rodzice nie zauważą, jeśli przysnę.

I popadam w drzemkę. Widzę siebie ostatniej nocy. Na trybunach sali gimnastycznej, zbyt przygnębioną, by mówić, z Cindy u boku. Są tam też Beth i Kelly, ale z nimi się nie przyjaźnię, więc nie wiedzą, co robić, czują się niezręcznie i siedzą jak zbędne dodatki. Cindy też nie bardzo wie, co robić. Wyciąga papierową torebkę ze swojej torby marki Kenya, ukradkiem rozgląda się, czy nie ma nauczycieli, po czym wyławia z torebki puszkę jasnego milwaukee i wciska mi w dłoń.

– Potrzeba ci tego. Odciągnie twoje myśli od rodzinnego gówna, chociaż dzisiaj.

Nie lubię smaku piwa, ale Cindy zapewnia, że jak się pije naprawdę szybko, to smaku prawie nie czuć. Ona to już wie. Powiedziała też, że miętowa wrigley maskuje zapach i że rodzice mają przyjemniejsze zajęcia niż czekanie na mnie, i jeszcze że jak wypiję piwo – potem wino ananasowe, potem rum – to poczuję się lepiej. Nieprawda, nieprawda, nieprawda.

Gdy otwieram oczy, jesteśmy na autostradzie międzystanowej. Samochody suną z przeciwną, głośne jak zdychające owady.

– Myślałam, że jedziemy do centrum handlowego! – krzyczę.

– Tego po drugiej stronie miasta! – odkrzykuje tata.

Zamykam znowu oczy i zapewne drzemię, bo kiedy otwieram je ponownie, nie jesteśmy już na międzystanowej, a chłodny powiew nieco zelżał. Mama ma opuszczoną osłonę i popatruje na mnie w lusterku, poprawiając szminkę na ustach. Według mojego swatcha minęło około pół godziny.

– Co jest grane?

– Tata się zgubił. – Ściera szminkę z kącików ust i nakłada kolejną warstwę. – Niezła pogoda jak na luty, prawda? Wiesz, Justine, co się mówi o lutowej pogodzie? Przepowiada chyba, czy będzie wczesna wiosna? A może to chodzi o Dzień Swistaka? Może Dzień Świstaka jest w lutym? Nie wiem, jak to jest? Może i

tak.

Tak dużo nie powiedziała od rana.

– Co o tym myślisz, kochanie?

Kochanie? Czy do mnie mówi?

– Hm... nie wiem, mamó.

– Nigdy nie pamiętam tych pomniejszych świąt. A zresztą, jaki sens ma ogłaszanie święta, jeśli nie daje się ludziom wolnego. No sama powiedz.

– Jasne.

Przez chwilę myślę, że najgorsze już za mną. Może jakaś magia zadziałała, gdy spałam, i wszystko zostało wybaczone. I wtedy widzę Harvey's Shrimp Shack.

Znasz Harvey's Shrimp Shack, jak mógłbyś zapomnieć? Ten budynek to rozpadająca się stodoła z neonem na frontowej ścianie, który błyska napisem: „Tu Zjesz Krewetki Za \$5,97”. Shrimp Shack to nie sieć, to tylko taka garkuchnia, mijaliśmy ją wcześniej wiele, wiele razy. I za każdym razem, gdy koło niej przejeżdżam, dziwię się, dlaczego, do cholery, właśnie \$5,97, a nie 5,95 albo okrągłe sześć. Co Harvey robi z tymi dwoma centami? Chyba ma beczkę pełną miedziaków. Nie zastanawiam się tym razem nad rozwikłaniem tej zagadki, bo inna myśl snuje mi się po głowie: Shrimp Shack oznacza jedno i tylko jedno.

A potem nasuwa mi się jeszcze kilka myśli. Po pierwsze, nie ma nabożeństwa później niż o 11.30, po drugie, centrum po przeciwnej stronie miasta zamknięto miesiąc temu, i po trzecie, tata nigdy się nie gubi.

Rozdział 2

– Gdzie my, do cholery, jedziemy?

Mama pieczołowicie wkręca szminkę w oprawkę – na ustach ma już chyba ze sto dwanaście warstw kredki – i nakłada nasadkę.

– Oczywiście do centrum handlowego.

Zakląłam głośno, rzuciłam choleraми przy rodzicach, a ona nawet okiem nie mrugnie... Odruchowo splatam dłonie, zaciskając je mocno, aż do bólu.

– Co jest grane, mamó?

– Jak już wszystko załatwimy, to pójdziemy może do tego nowego stoiska z mrożonym jogurtem. Mrożony jogurt? Chytry pomysł, co? Nigdy nie lubiłam jogurtu i myślę, że nie ma wielu fanów. Wystarczy samo słowo jogurt. Zabawnie brzmi, raczej obco i nieprzyjemnie dla ucha, dla mnie to śmieszne jedzenie. Ale wystarczy go zamrozić, żeby ludzie za nim szaleli, istne wariactwo. Niesamowite. A jakie wyszukane smaki powymyślano. Nabierasz ochoty, przyznaj się, Justine. Odwiedzimy stoisko z jogurtem. Weźmiemy sobie taki w waflach, z polewą na wierzchu. Będzie ci smakować.

– To stoisko z jogurtem jest w innym centrum.

Delikatnie muska palcem rzęsy nad jednym i drugim okiem, potem podciąga osłonę przeciwsłoneczną, tak że już nie widzę jej twarzy w lusterku.

– Tak, tak. Ale tutaj na pewno też jest.

– Nie jedziemy do centrum, mamó. Dobrze wiesz, że nie. – Za otwartym oknem miga 7-Eleven, potem Hardees z placem zabaw dla dzieci, warsztat motocyklowy David's Son, tanie czynszówki Green Valley. Podnoszę głos do krzyku. – Czemu w kółko mówisz o tym cholernym centrum handlowym?

– Oczywiście, że jedziemy do centrum handlowego. Do centrum handlowego, żeby zrobić zakupy.

– Jakie zakupy?

– Jakie? No... no wiesz, takie jak zawsze.

– Nie wiem jakie.

Chwila wahania.

– A więc musimy wpaść do pralni, tak, to po pierwsze. A po drugie, no... eee... musimy wstąpić do JCPenney po niebieskie nici do mojego zestawu do szycia. A skoro już tam będziemy, kupimy ci też nowe rajstopy, bo wygląda na to, że nie masz już ani jednej pary. I...

– Mamo, przecież nie musimy tego teraz załatwiać.

– Oczywiście, że musimy. Po co byśmy jechali do centrum handlowego?

– Przestań! – teraz już krzyczę. – To centrum jest zamknięte od miesiąca. Nie ma centrum, nie ma JCPenney, nie ma stoiska z jogurtem. Wszystko jest zamknięte, zamknięte. – Gorączkowo próbuję odtworzyć w myślach drogę, na wypadek gdyby sprawy zaszły za daleko. Cindy będzie musiała ukraść siostrze komórkę, i musi poprosić Lloyda o podwiezienie. I będzie musiała znać drogę. Dojeżdża się do między stanowej biegnącej na północ, powiem jej. Ale jak długo jechać tą drogą? W którym miejscu z niej zjechać? Na lewo czy na prawo za światłami? Ile mil trzeba przejechać? Ile minut? Szukaj Shrimp Shack. Shrimp Shack to drogowskaz, powiem jej.

Przede mną głowa naszej mamy, nieduża i jak zwykle w ciągłym ruchu, jak u ptaka. Mama to przechyla ją na boki, to opuszcza raz po raz, gdy poddaje inspekcji swoje kolana, paznokcie, zawartość torebki. Jakby dziobała: puk, puk, puk.

– Mamo, dokąd jedziemy?

Mama trąca tatę w ramię.

– Jeff, powiedz coś. Czy tylko ja tu jestem? – Trąca go ponownie, tym razem mocniej. – Jeff, powiedz coś, do cholery jasnej!

Teraz to mama choleruje. A nasza mama *nigdy* nie klnie.

Może powinnam wyskoczyć. Co mogłoby mi się stać? Nie jedziemy szybciej niż trzydzieści pięć mil na godzinę. Ręka sunie do drzwi, palce wyczuwają klamkę. Wystarczy szarpnąć, a potem skulić się i dać nura jak w ćwiczeniu, którego uczyli nas pan Zarrow i pani Loy czy inni od wf. Nic więcej. Wyteżam wzrok i zerkam na asfalt, jak śmiga pod kołami. Jest twardy, czarny i chropowaty. Nie, nie.

Tata włącza migacz i skręcamy w tę drogę. Teraz nie ma już sensu cokolwiek mówić czy robić. Rozglądam się nerwowo za drogowskazem, ale żadnego nie widzę. Dlaczego nigdy nie zapamiętuję nazw ulic? Po obu stronach budynki magazynowe. Tereny wielkich hurtowni. Patrz na hurtownie, powiem jej. Jest Caterpillar z traktorami, sprzęt drukarski Billy’ego, Tulipany Holenderskie. I jeszcze inne, teraz zamknięte, pogrążone w niedzielnej ciszy, załadowane po brzegi żarówkami, książkami, sprzętem rolniczym. Wszystkie z blachy falistej, identyczne z zewnątrz, różne jedynie przed nimi krzewy w donicach, inicjały dyrektorów na parkingach i logo firm.

Tylko na jednym nie widać znaku firmowego. Jest jeszcze bardziej nijaki niż reszta. To tutaj jedziemy. Z pewnością tu. Żadnego logo, krzewów, napisów, oznaczeń na parkingu. Ale jest otwarty dla klientów. Na parkingu stoi kilka

samochodów, przez podwójne szklane drzwi widzę światło i recepcję z obsługą. Tata wjeżdża na wolne miejsce kilka jardów od wejścia, gasi silnik i zostawia kluczyki wiszące w stacyjce, brelok – w kształcie miniaturowej, ale idealnie uformowanej sztucznej szczęki – obija się o kolumnę kierownicy.

Kostki na dłoniach mam białe i napięte, splot żył pod skórą. Wygląda jak niebieska makrama.

Wysiadając z samochodu, tata mówi do mamy:

– Pójdę i powiem im, że jesteśmy.

Mama wykonuje swój trzepoczący ptasi tik jako przytaknięcie i dalej przytakuje, gdy taty już nie widać. Grzebie w torbie w poszukiwaniu tic taców. Słyszę miętówki obijające się o plastik.

– Mamo, o co tu chodzi? Powiedz mi. Błagam.

– Jest zimno, prawda? Powinnyśmy chyba zakręcić szyby. Nienawidzę jeździć z otwartymi oknami. – Pochyliła się, robi niepełny obrót kluczykiem, by włączyć elektrykę, i wciska przycisk automatycznego zamykania okien. Szyby suną w górę z lekkim szmerem do pozycji stop. Jesteśmy szczelnie zamknięte.

– Tak lepiej, prawda?

– Po co tu przyjechaliśmy?

– Chcesz tic taca? – grzechocze pudełkiem.

Mogłabym parsknąć śmiechem, choć zbiera mi się na płacz.

– Nie czas teraz na miętówki. Posłuchaj. Wiem, że wczoraj w nocy zrobiłam coś złego, ale to było raz. Byłam, byłam głupia. Mamo, przyrzekam, że to się więcej nie powtórzy. Możemy wrócić do domu? Proszę.

– A tak. W porządku, chce ci się pić. Nie chcesz miętówki, chcesz wody. Jaka jestem głupia. Zaraz przyniosę ci szklanekę wody.

– Mamo, czy ty mnie słuchasz?

– Oczywiście. Mamusia zaraz przyniesie ci wodę, zimną, dobrą.

Gdy otwiera drzwi, w samochodzie włącza się brzęczenie. To ją zatrzymuje, odwraca się w moją stronę. Teraz mnie widzi, widzi, jakie to wszystko głupie. Proszę, proszę, proszę.

Sięga po zębaty brelok i wyciąga go ze stacyjki. Całym ciężarem ciała zamyka drzwi. Z trudem. Sygnał milknie. Widzę, jak mama znika za podwójnymi drzwiami w ślad za tatą.

Zanim wrócili z jakąś kobietą – i bez wody – zablokowałam wszystkie zamki. Do taty dotarło to, jak tylko spróbował otworzyć moje drzwi.

– Otwórz!

Zamieniam się w głaz. Tak jak wtedy kiedy byliśmy mali i udawaliśmy pomniki.

– Powiedziałem, otwórz drzwi. – Wściekle szarpie za klamkę z zewnątrz. – Helen, kluczyki. Gdzie są kluczyki?

Mama grzebie w torebce. Torebka jest raczej mała, a kluczyki duże, ale i tak jakoś się w niej zapodziały. Mamie trzęsą się ręce, tak jak i mnie. Każdą rzecz po kolei wyjmuję i całą zawartość torebki układa na krawężniku. Gdy torebka jest pusta, tata wyrrywają z rąk mamy, wywraca wewnętrzne kieszenie na drugą stronę, potem całą torbę do góry nogami, potrząsając nią tak, że aż lecą różne farfocle i zabłąkane centy.

Wtedy mama znajduje kluczyki w kieszeni płaszcza.

Tata wymachuje zębatym pękiem jak wściekły dozorca więzienny. Kluczyki do cadillaca dzwonią ciężko o klucze od domu, a te z kolei obijają się o klucze od gabinetu, zapasowy komplet do volkswagena mamy i do szafki na nowokainę i inne środki znieczulające.

– Mamy kluczyki, Justine.

– Widzę! – wrzeszczę.

W dalszym ciągu nie otwieram drzwi. Tata zaciska usta, maszeruje do drzwi kierowcy i wsadza właściwy kluczyk do zamka. Guzik wyskakuje. Tata szczyrzy zęby w triumfie, myśli, że wygrał. Ale zanim chwycił za klamkę, wcisnęłam guzik z powrotem. Grymas złości. Po kilku kolejnych próbach, gdy za każdym razem zdążę wcisnąć guzik, biegnie do drzwi pasażera. Ale jestem tam przed nim i powtarzamy tę samą zabawę.

– Helen, daj zapasowe kluczyki.

Mama stoi całkiem skołowana, z zawartością torebki wybebeszoną na chodnik.

– Helen, gdzie są zapasowe?

– W szafce na klucze. W domu.

Tata zdejmuje krawat i jeszcze kilka razy okrąża samochód, aż dyszy, zaczyna mu brakować tchu. Wtedy wkracza tamta kobieta.

Ujmuje go za łokieć.

– Wydaje mi się, że to niepotrzebne, panie Ziegler. – Niby mówi do niego, ale oczy ma wlepione we mnie, więc też gapię się prosto na nią. – Justine wie, że nie może tu zostać na zawsze. Otworzy, kiedy pójdzie po rozum do głowy.

Zagryzam zęby. Trudno mi powiedzieć, czy jestem śmiertelnie przerażona, czy raczej wściekła jak diabli. Szerzej otwieram oczy i wbijam w nią wzrok. Jej oczy – małe, szare i szeroko rozstawione – wytrzymują moje spojrzenie. Jest prawie tak

wysoka jak tata i jest jej za dużo – za wysoka, za gruba, za duża. Na szyi ma łańcuchy. Na jednym wisi pęk kluczy, większy niż ten taty, ale bez breloczka, a na drugim gwizdek.

Poznaję tę kobietę. Ma na imię... Hilary, o ile się nie mylę. Jestem prawie pewna, że jest dyrektorką tego miejsca, wielka szycha. Nie pamiętam jej nazwiska. Oni nie używają nazwisk. Ale znam ją. Była, gdy miałam *interview* jako twoja siostra, zaraz po tym, jak ciebie przyjęli. Nowy nabór, tak ciebie nazwali. Prawie nic nie mówiła, tylko wpatrywała się we mnie, tak jak teraz. Nie podobała mi się. Nie podobała mi się wtedy i nie podoba mi się teraz. Powiedziałabym, że jej nienawidzę, ale mama uczyła nas, by nigdy nie mówić o nienawiści na podstawie pierwszego wrażenia. Nienawiść to coś, co potrzebuje czasu, by narosnąć.

Mija dziesięć minut, może mniej, może więcej. Naciskam na czole punkt tuż nad nasadą nosa, aż pokazują mi się wszystkie gwiazdy. Dwadzieścia minut. Rozpinam kurtkę. Trzydzieści minut. Brakuje powietrza. Czterdzieści minut. Smród wymiocin jest okropny. Czterdzieści pięć minut. Smród jest wszechogarniający, powietrze nim przesiąknięte. Zaciskam nos i łapię krótkie, szybkie, płytkie oddechy, żeby nie czuć wciąż tego obrzydliwego świństwa. Pięćdziesiąt minut. Musiało upłynąć pięćdziesiąt minut. Sprawdzam na swatchu – tym z konfetti, ty mi go dałeś – sprawdzam po raz dwa tysiące trzysta sześćdziesiąty siódmy. Oddycham ciężko, w skroniach tętno wali mi młotem, pulsowanie krwi czuję nawet na podbiciu stopy. Mogę zemdleć. Jeśli zemdleję, dopadną mnie.

Godzinę później otwieram drzwi i rzygam pod nogi Hilary. Nie cofa się, po prostu łapie za gwizdek i gwizdże, aż w moim polu widzenia pojawiają się cztery nowe stopy.

– Bardzo dobrze, Justine. A teraz pójdziesz z nami do środka z własnej woli, czy też Mark i Leroy mają ci pomóc?

Unoszę wzrok na Marka i Leroya, którzy stoją na rozstawionych nogach, z kamiennymi twarzami, rękami złożonymi na piersiach, wyprostowani w ramionach. Powinni raczej robić przegląd rekrutów do szkolnej drużyny futbolowej, niż obserwować, jak tu wybluzguję z siebie wnętrzności.

– Wybór należy do ciebie. Co postanawiasz?

Rozdział 3

Spóźniony o tydzień, ciągniesz za sobą nieproszonego gościa. Przybywamy na ten świat. Pora dnia taka, że nie wiadomo, czy to jeszcze noc, czy już poranek, ale kto by zaprzął sobie tym głowę, kiedy chce się jeszcze smacznie spać, gdziekolwiek się przebywa. Jest gorąco, chociaż słońce nie wzeszło zbyt wysoko, powietrze wisi ciężkie i lepkie, klei się do wszystkiego, co próbuje się ruszać niczym nasiąknięta śliną guma do żucia.

Mama rodzi nie od dziesięciu godzin, lecz chyba od lat. Raz jest ciemnopurpurowa, a raz tak biała, że jak przymrużyć oczy, to zlewa się z białą łóżka. Pielęgniarki i Marcus Welby są obok, każde z nich jedną ręką trzyma w uścisku ramię czy stopę mamy, czy inny fragment jej ciała, jaki się trafi, to nie jest ważne, bo na czym innym mają się koncentrować, gdy odwróciwszy się na chwilę, ponownie wracają do akcji.

Marcus Welby, który nie wygląda teraz tak dobrze jak w telewizji, krzyczy na mamę, żeby parla, a ona zgrzyta zębami i męczy się, jakby rodziła na granitowym sedesie.

– Widzę główkę! – obwieszcza Marcus Welby. Potem nagle i zwinnie... tak to można by określić, gdyby nie to, że wszyscy już tak długo zgromadzeni byli wokół pupy mamy... wyślizgujesz się ty.

– To chłopiec!

Nie ustajesz w proteście, zawroździe i wrzasku, jakby to ktoś do ciebie wtargnął nieproszony, a nie odwrotnie. Nie wygląda na to, byś się przejmował miejscem spotkania i towarzystwem ani też powitalnym kłapsem, cięciem pępownicy i wacikiem w nosie. I dajesz swoim nowo odkrytym płucom niezły trening, gdy demonstrujesz zgromadzonym wokół swoje niezadowolenie.

Mama rzuca się targana nieustającym pulsacyjnym bólem. Jej uszy zwijają się pod zmatowiałymi włosami, by odciąć się od harmidru, jaki robisz, ale jej ręce wyciągają się, by przygarnąć cię do piersi.

– Chłopiec. – Zaledwie jej usta ułożą się w drżący uśmiech, gdy znowu prze.

– Idzie następne! – obwieszcza Marcus Welby.

– Co następne?

– Hmm. – W rzeczywistości Marcus Welby jest niższy i bledszy niż w cotygodniowych programach telewizyjnych, i trochę głuchawy. Jak inaczej wytłumaczyć, że nie usłyszał drugiego tętna?

Świeży skurcz zwija mamę w pól, a jedna z sióstr odrywa ciebie od niej. I wtedy, siedem i pół minuty po tym, jak ty pierwszy stałeś się ciałem, pojawia się ona, w ślad za tobą, jestem oto już poza wrotami zapadni, bardziej oblepiona śluzem, trochę cichsza, bez żadnej ostoi poza pępownią, wyslizguję się w mgnieniu oka.

Krzążają się przy mnie jak przy tobie, a potem duża pielęgniarka, muskularna jak marynarz, zgarnia nas oboje w becik i pyta mamę, czy chce nas chwilę potrzymać, zanim trafimy na oddział noworodków. Mama unosi się znad swojego potu, krwi i bólu i gapi się na nas, jej dwie małe dłonie prześcigające się nawzajem w próbach sprawdzenia, która szybciej się wierci, która głośniej krzyczy. Potem osuwa się na poduszkę i odwożą ją na kolejną dawkę leków i zastrzyków oraz fachowe zszycie poczynionych przez nas szkód.

W każdym razie tak wyobrażamy sobie nasze narodziny. Pewności nie mamy. Mama nigdy nie opowiadała nam o szczegółach. Kiedy dorośliśmy do tego, by pytać o te sprawy, odpowiadała wymijająco: „Och, to było tak dawno”. Albo: „Tak nafaszerowali mnie lekami, że nie wiedziałam, co się wokół mnie dzieje”. A gdy przez dłuższą chwilę zamęczaliśmy ją pytaniami, rzucała tylko „dlatego”, choć pytanie nie było z rodzaju „dlaczego”. Albo pytała: „Jakie to ma znaczenie?”.

Jedno wiemy na pewno. Urodziliśmy się rano (o 5.00? O 11.52?) dwudziestego piątego sierpnia w Szpitalu Uniwersyteckim w miasteczku Piedmontville w okręgu Boxer w stanie Karolina Północna. Uniwersytet w Piedmontville to filia głównego uniwersytetu stanowego, gdzie tata robił swój dyplom stomatologa. Ty wyszedłeś pierwszy, a siedem i pół minuty później pojawiłam się ja.

Choć nigdy nie zostało to potwierdzone, mamy podstawy przypuszczać, że taty nie było w pobliżu porodówki ani szpitala, gdy nastąpiło nasze wspaniałe przyjście na świat. Mam opowiadać dalej?

Tata przybywa później, o przyzwoitej porze, gdy słońce jest wysoko nad ziemią i drwi z urządzeń klimatyzacyjnych. Albo zdawał egzamin, albo wkuwał coś z podręcznika, albo ćwiczył borowanie. A może spóźnił się dlatego, że odbierał z lotniska Shirlandów, naszą babcie i dziadka. Dziadek jeszcze wtedy żyje i razem z babcie są świadkami szczęśliwego wydarzenia. Tyle tylko, że rdzewiejące stawy nie pozwalają im nadażyć za tatą. Dziadek jest już bardzo stary, zgrzybiały i z wiekiem trochę tępieje. Podobnie jak Marcus Welby. Trzyma się ramienia babci i przystaje na chwilę, by pozwolić sercu zwolnić po emocjach, jakie wywołały w nim drzwi, które same otworzyły się ze świstem i same zamknęły.

Tymczasem tata, nie opowiadając się, przemyka obok stanowiska pielęgniarek. Jego skórzane podeszwy skrzypią na terakocie w łososiowo-limonkowy wzorek. Idzie w złą stronę, kierując się pewnym krokiem ku geriatrici, aż jakiś lekarz, sanitariusz czy przyjacielska recepcjonistka rozpoznaje go i odsyła we właściwe miejsce, jednocześnie próbując przekazać mu dobre wieści. Tata słucha jednym uchem i przytakuje, ale słyszy jedynie „chłopiec” i „bliźniaki”. Dodaje w myśli te dwa słowa i otrzymuje równanie: chłopcy + bliźniaki = identyczni = mam dwóch synów. Bo przecież bliźniaki to znaczy identyczne, a jak identyczne, to tej samej płci. Zgadza się?

Można by sądzić, że na jakimś etapie kosztownej edukacji medycznej powinni go byli nauczyć, że nie zawsze tak jest. Ale co wie początkujący ortodonta? Tata wie, że bliźniaki są identyczne, a chłopcy to istoty, które wyrosną na mężczyzn, a ci będą nosili nazwisko Ziegler. Dociera do przeszklonej ściany i przepycha się przez grupę innych świeżo upieczonych tatusiów, chcąc na nas popatrzeć. Widzi nas razem w jednym łóżeczku – śpimy albo popłakujemy, a może wyciągamy do siebie rączki lub się obejmujemy, tak jak u mamy w brzuchu, gdzie mieliśmy ciszę, spokój i papu z kroplówki. Szczerze mówiąc, na tym etapie nie wyglądamy najlepiej. Moglibyśmy konkurować z dziadkiem w zawodach na największe podobieństwo do suszonej śliwki. Tyle że jesteśmy dużo mniejsi. Całkiem malutcy, ważymy po dwa kilogramy dwieście, no i zanurzeni jesteśmy w szpitalnej bawelnie. Dwa żółtki, pomarszczone, z łuszczącą się skórą – rozgotowane, jak mówiła mama – o takich rzeczach nie zapomniała nam opowiedzieć. Ale byliśmy przyszłymi mężczyznami. Tata przygląda się swoim potomkom i nie konsultując się z mamą – ona jest jeszcze pod wpływem leków i nie w pełni świadomości – nadaje nam imiona Joshua i Justin. Tak kazał zapisać pielęgniarsce, sanitariuszowi czy komuś innemu z personelu medycznego, kto był akurat pod ręką. I dłonią tej pielęgniarki czy tego sanitariusza, czy innej osoby z personelu zostało zapisane w dokumentach: Joshua i Justin Ziegler.

– Jacy śliczni – grucha babcia, która akurat dołączyła, ciągnąc za sobą dziadka niczym źle umocowaną przyczepę.

Następnie dziadek zatrzymuje się i podąża wzrokiem za palcem babci, wycelowanym w nas przez szybę. Ot, niemowlęce zawiniątko pod śnieżnobiałym kocykiem. Wyciąga szyję, mruży oczy i patrzy na nas przez swoje dwuogniskowe szkła. Zdejmuje okulary, wyciera je rękawem, mocuje z powrotem na nosie, po czym znowu wpatruje się, mruży oczy i wyteża wzrok.

– Niesamowite, Jeff – mówi do taty. – Jak, u licha, zdołaliście z Helen spłodzić

dwugłowe niemowlę? Czyż to nie śmieszne?

To ostatnie jest prawdą. Dziadek rzeczywiście tak powiedział. Babcia Shirland przez lata opowiadała nam tę historię, a inni członkowie rodziny mówili o tym sąsiadom, przyjaciółom i listonoszom, aż rzecz wracała do nas, jakbyśmy jej wcale nie znali. Anegdota obiegła dalszych krewnych Zieglerów i Shirlandów i w końcu w pięciu stanach mówiono o tym dwugłowym siostrzeńcu lub siostrzenicy, kuzynie czy wnuku z Karoliny Północnej.

Historia z imionami też jest prawdziwa, choć tata nie pozwolił, by nabrała takiego rozgłosu. Wyobrażam sobie, jaki był rozczarowany, gdy się zorientował, że nie mam siusiaka. I zawstydzony. W szpitalnym formularzu dodał literę „E” do mojego imienia. Wstawił ją własnoręcznie, duże „E”, wystające i niezgrabne, niepasujące do drobnego pisma, którego literki niczym kwiatuszki pokrywały resztę strony. I tak zostałam Justine.

Rozdział 4

Amazonka o imieniu Hilary powtarza pytanie:

– Jakich narkotyków używasz?

– Żadnych.

Siedzi na obrotowym krześle na kółkach. Obraca się z nim to w lewo, to w prawo, lekkie wychylenia, jakby patrzeć od tyłu na metronom. Krzesła w pokoju przyjęć tworzą żaloszny zestaw. Są cztery, każde inne. Moje, z oparciem mającym korygować wady postawy, jest całe z drewnianych poprzeczek, nie ma poduszki i wyczuwam drzazgi.

– Na pewno?

– Tak. Na pewno.

– Alkohol to też narkotyk.

– OK, więc alkohol. Piłam alkohol.

Tata chrząka. Jemu trafiło się zielone, plastikowe, ogrodowe krzesło. To nie jest mebel łaskawy dla kręgosłupa ani lubiący obciążenia. Pod ciężarem taty przednia para nóg rozjeżdża się, niczym w bólu. Na tym pochyłym siedzeniu tata usiłuje trzymać się prosto. Na ścianie nad jego głową wisi dewocyjna wyszywanka z cytatem: „Uwierzcie w Niego”. Reszta ścian jest wybielona i goła poza kilkoma zakurzonymi pajęczynami w odległych kątach sufitu. Pająki zniknęły.

– Coś jeszcze?

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Nieduży stół pokryty laminatem w szachownicę stoi dopchnięty pod ścianę, tuż za Hilary. Na nim sterta papierów – jest ich trochę w typowym formacie i jest mnóstwo karteluszków. Na wierzchu podkładka do pisania. Hilary sięgnęła po nią, teraz stuka długopisem w metalowy klips. Moją uwagę przyciąga blat stołu. Laminat jest pożółkły i odchodzi na rogach. Miałabym ochotę zerwać się z krzesła i szarpnąć za okleinę, odrywając ją po kawałku jak skórkę banana.

Jestem głodna. I spragniona, i zmęczona. Ale trzymam się. Oszczędziłam Markowi i Leroyowi nadwężenia mięśni. Podniosłam się z ziemi sama i niosąc głowę wysoko, z godnością wkroczyłam do tego obskurnego przybytku. Ciągłe jednak zastanawiam się, czy siniaki, połamane kości, rany i inne kontuzje, które mogłyby się zdarzyć, nie były lepszym wyborem.

Hilary przerzuca wierzchnie kartki i podwija je górą na tył podkładki.

– Z naszych akt wynika, że w grę mogą wchodzić też inne substancje.

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– Może marihuana. Mary Jane, maryśka, trawka, skręty, jakkolwiek ją nazwiesz.

Zachichotałam. Nie wiedziałam, że na marihuanę mówi się Mary Jane, ta nazwa kojarzy mi się z moimi butami, pewną dziewczynką z przedszkola i toffi w papierkach koloru musztardy – uwielbialiśmy je żuć, choć na długie godziny przyklejały się do zębów. Doprowadzało to tatę do szału i za każdym razem musieliśmy trzy razy czyścić zęby nitką dentystyczną.

– Coś cię śmieszy?

– Nie.

– No więc, ile razy paliłaś marihuanę?

– Nie paliłam.

– Nigdy?

– Nigdy.

Sprawdza coś na kartce, patrzy to na nią, to na mnie, i tak kilka razy. Czeka.

Zastanawiam się. Nie chodzi jej chyba o ten jeden raz, wtedy z tobą. Niemożliwe. Tamto się nie liczy. Wtedy chciałam tylko dowiedzieć się, co robisz z tymi swoimi pokręconymi koleżkami. To było zeszłego lata, kiedy przez tydzień słyszałam, jak wstajesz w nocy, widziałam z okna, jak wymykasz się z domu i skradasz po podjeździe do tej kupy złomu na wyłączonych światłach. Dokąd jeździ mój Joshua? Musiałam to wiedzieć.

I pewnej nocy, po dwunastej, cichutko zeszałam na dół i spotkałam cię przy drzwiach wejściowych.

– Jadę z tobą – obwieściłam.

– Nie jedziesz.

– Jadę. A może wolisz, żebym obudziła mamę i tatę?

– Nie zrobisz tego.

Otworzyłam usta, jakbym zamierzała krzyknąć.

– Dobrze, już dobrze. Chodź, jeśli chcesz. – Ziewnęłam, zamiast krzyknąć, i w kapciach poszłam za tobą. Zanim dotarliśmy do samochodu, przemoczyłam nogi w kałużach, jakie tworzyły się od zainstalowanego przez tatę systemu zraszaczy.

Nie rozpoznawałam trzech chłopaków, którzy byli w samochodzie. Właściwie w ogóle nie wyglądali jak chłopcy. Byli starsi, rysy mieli ostrzejsze i twarze

wymagające golenia.

– Kto to, u diabła, jest? – warknął kierowca, który miał trwałą i bokobrody jak kłębuszki waty.

– Moja siostra. Jest w porządku.

Dużo jeździliśmy, zatrzymując się od czasu do czasu na pustych parkingach. Ty i twoi przyjaciele zadbaliście o skrzynkę piwa, puszczaście w obieg butelkę, nawet kierowca z niej pociągał. Skuliłam się na tylnym siedzeniu, wciśnięta między ciebie i grubego koleśka z kolczykiem. Nad moją głową podawałeś mi butelkę.

Wreszcie zaparkowaliśmy nad rzeką i poszedłeś gdzieś z kierowcą. Nie pożegnałeś się ze mną ani nie powiedziałeś, dokąd idziesz, a pozostali dwaj po prostu palili i gadali ze sobą, jakby mnie nie było. Żałowałam, że nie jestem w domu, w przytulnym łóżku, pogrążona we śnie. Po chwili chłopak siedzący na miejscu przednim skręcił kolejnego papierosa i podał go do tyłu Grubemu. Ten spojrział na mnie podejrzliwie, zaciągnął się głęboko, potem wbił mi łokieć w żebra i podał skręta. Wiedziałam, że to nie marlboro, nie byłam taka głupia. Zorientowałam się po słodkawym zapachu i po sposobie, w jaki przykładali skręta do ust, trzymając go między kciukiem i palcem wskazującym, a także po tym, jak wstrzymywali oddech z napełnionymi płucami i twarzami zastygającymi w grymasie, jakby mieli zaparcie. Wiedziałam, a mimo to wzięłam skręta i starałam się robić to, co oni.

I wtedy wróciłeś. Sięgając przez otwarte okno, huknąłeś mnie w plecy, aż zaczęłam kaszleć.

– Przestań! Nie rób tego. Słyszysz, nigdy tego nie rób. – Później przez chwilę wrzeszczałeś na Grubego i tego drugiego. Co sobie, do diabła, wyobrażali, chciałeś wiedzieć, co, do wszystkich diabłów, zrobili.

Odwieźli nas potem do domu i już nigdy nie wzięłeś mnie na nocną przejażdżkę, choć jeszcze nieraz groziłam, że zacznę krzyczeć. Nie krzyczałabym, w głębi duszy wołałam nie jechać.

– Raz jeden – przyznaję – raz paliłam marihuanę. Jedno pociągnięcie, jeden raz.

Nasza matka rozpaczliwie potrząsa głową, ocierając chusteczką obfite łzy. Mama ma jedyne wygodne krzesło w tym pokoju. Poplamiony kawą fotel w kolorze morskiej toni. Ale jest tak głęboki, że zapadła w ten fotel i zanurzona w nim wydaje się jeszcze mniejsza niż zwykle.

– I?

– I co?

– Jakież inne substancje?

Korci mnie, żeby znowu rzucić „nie”, ale już nie jestem w nastroju do stawiania oporu.

– Jakież?

– Na przykład leki na receptę?

– Tylko gdy miałam przepisane.

– A kiedy indziej?

– Nie.

Hilary przekłada długopis przez dziurkę w metalowym klipsie, przez którą przechodziłby gwóźdź, gdyby podkładka wisiała na ścianie.

– Twój ojciec jest lekarzem.

– Jest ortodontą.

– Mam środki przeciwbólowe – wtrąca tata, jakby na swoją obronę.

– Może środki przeciwbólowe? – pyta Hilary.

Czy oni myślą, że zakradałam się w weekendy do gabinetu taty? Moje oczy bezwiednie wędrują do zębatego breloka wystającego z kieszeni ojcowskiej marynarki, przerzuconej teraz przez oparcie ogrodowego krzesła. Wszystkie oczy podążają śladem moich. Hilary przytka znacząco w pęk zawieszonych u jej szyi kluczy. Oblewam się rumieńcem.

– Mogę prosić o szklanek wody?

– Później będzie na to czas. Teraz odpowiedz na pytanie.

– Nie, nie brałam żadnych środków przeciwbólowych taty.

– Dobrze. A kofeinę?

– Mówi pani poważnie?

– Jak najbardziej.

– No to piję diet coke, bo to jest ten smak. – Powtarzam reklamowy slogan, ale nikt się nie uśmiecha. – Nie ciągnie mnie do kawy.

– Mówię o tabletkach kofeinowych. Vavarin, nodoz, takie rzeczy.

– Kupuje się je bez recepty.

– Niejeden lek bez recepty bywa zażywany niezgodnie z przeznaczeniem – informuje mnie Hilary. – A więc zażywałaś tabletki kofeinowe?

– Dla mnie to się nie liczy. Wkuwałam do egzaminów.

– Zaliczam to jako „tak”. A rozpuszczalniki?

– Nawet nie wiem, co to rozpuszczalnik.

– Klej, rozcieńczalnik do farb, benzyna do zapalniczek, aerozole, zmywacz do paznokci.

- Niech pani nie żartuje.
- Magiczne markery? – znacząco unosi brwi.
- Na pewno się nie liczą. Byliśmy mali, podobał nam się ich zapach.
- Uhm, hmm – podnosi długopis do ust i gryzie skuwkę. – Powiedz mi, dlaczego używasz narkotyków? Wiesz po co?
- Nie używam narkotyków.
- No to alkoholu.
- To było tylko raz.
- Myślisz o wczorajszej nocy?
- Tak.
- OK. Załóżmy, że tylko wczoraj sięgnęłaś po alkohol.
- Nie ma co zakładać. To był jedyny raz.
- Dobrze, załóżmy, że to był jedyny raz, powiedz jednak, dlaczego wczoraj w nocy piłaś.
- Nie wiem. – Wzruszam ramionami, krzyżuję i rozkładam ręce, potem nogi. Siedzenie na niewygodnym krześle doskwiera mi coraz bardziej. – Byłam przygnębiona, nic takiego.
- Nic takiego?
- Nic.
- Czujesz się winna, kiedy używasz?
- Nie *używam*. Może pani nie mówić o *używaniu*, nie to słowo. To nie tak.
- Czy czujesz się winna z powodu ostatniej nocy?
- Zwracam się teraz błagalnie do rodziców.
- Tak, tak. Czuję się winna. Bardzo winna. Żałuję, że tak się stało. Nie było warto. To nawet nie było zabawne.
- Ciekawe – kiwa głową. – Oczekiwałaś, że będzie *zabawne*.
- Tata nachyla się na krzesło i podejmuje ten wątek.
- Czy właśnie o to ci chodziło? – pyta. – O trochę *zabawy*?
- Czy oni w ogóle nie słyszą, co mówię? Czy jakiegokolwiek słowo do nich dociera? Przecież nie mówię przez maskę gazową.
- Niczego nie oczekiwałam. Nie zastanawiałam się nad tym aż tak, żeby czegoś oczekiwać. Przepraszam. Mamo, czy ty mnie słuchasz? Przepraszam.
- Mama odwraca ode mnie wzrok, a Hilary pozwala, by moje przeprosiny zawisły na chwilę w ciszy, bez odpowiedzi. Tata odchyła się na krzesło do tyłu. Zielone plastikowe nogi trzeszczą pod nim. Hilary z powrotem sprawuje kontrolę.
- Ile pieniędzy wydajesz na swój nałóg?

- Nie mam nałogu.
- Ile pieniędzy wydajesz na narkotyki?
- Nic.
- Mówię także o alkoholu.
- Na alkohol też nic.
- Byłaś na imprezie?
- A jest coś złego w imprezach? One też uzależniają?
- Nie ma nic złego w imprezach *jako takich* – przyznaje. – A chodzisz na imprezy?
- Nie licząc obiadów z rodzicami i spotkań w naszym lokalnym klubie?
- Nie licząc.
- Nie. Jestem kompletnym wyrzutkiem społecznym. Nikt mnie nigdzie nie zaprasza.

Nie docenia sarkazmu, podobnie jak tata, który wwierca we mnie oczy, jakbym była wielką czarną dziurą w zębie.

- Odpowiedz na pytanie.
- Tak. Chodzę na imprezy.
- Czy na tych imprezach pije się i bierze narkotyki?
- Nie wiem nic o narkotykach.
- – A pije się?
- Tak. Chyba tak.
- Jakiej stacji radiowej słuchasz?
- Q sto pięć.
- To rockowa stacja?
- Tak.

Nie przerywając pisania, rzuca wzrokiem w stronę taty, znowu znacząco unosząc brwi.

- Czy byłaś kiedyś na koncercie rockowym?
- Tak. Z Joshem. I zanim pani zapyta, mieliśmy pozwolenie rodziców.
- Jaką książkę ostatnio czytałaś?
- Jak sądzę, chce pani usłyszeć, że *W drodze* albo *Nagi lunch*, albo coś takiego.
- Powiedz prawdę, tylko tyle.
- *Wielkie nadzieje*.
- Dla przyjemności czy do szkoły?
- Do szkoły.
- A jaką ostatnio książkę przeczytałaś dla przyjemności?

– To był *Nagi lunch*.

Uśmiecha się ironicznie.

– Czy zapyta pani też o filmy?

– Nie, dziękuję. To wystarczy. – Hilary przerzuca kolejną kartkę. – Na następne pytania odpowiadaj po prostu tak lub nie. Czy kiedykolwiek miałaś trudności z budzeniem się rano?

– A kto ich nie ma?

– Tak albo nie, proszę.

– Tak.

– Czy często masz przeczucie, że zdarzy się coś strasznego?

– Nie przewidziałam tego, co mnie tu spotyka, jeżeli o to pani chodzi.

Mama otwiera torebkę i grzebie w niej zawzięcie. Jeszcze jedna chusteczka, potrzebuje jeszcze jednej chusteczki.

– Tak czy nie – mówi Hilary.

– Nie.

– Czy zdarza ci się odczuwać lęk przed zamknięciem w małym pomieszczeniu?

Mój wzrok wędruje po ścianach. Gdzie się podziały pająki? Uciekły czy może pozdychały i zaschnięte pospadały na wykładzinę, skąd trafiły do odkurzacza podczas sprzątania odbywającego się tu co dwa tygodnie.

– Czas... Tak.

– Czy twoi znajomi mieli kiedykolwiek problemy z prawem?

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Wracając do sterty papierów na popękany laminatowym blacie, Hilary wyciąga plik kartek szepionych gumką. Jedną ręką ściąga gumkę, która wystrzela na stół.

Odchrząkuję i szczypię się w nasadę nosa. Och, co bym dała za jedną, marną szklanek wody.

Gdy przerzuca kartki, ta z wierzchu odrywa się i spada na podłogę. Gruba czarna obwódka wokół brzegów pozwala zidentyfikować ją jako kserokopię strony mniejszego formatu. Pismo wewnątrz jest bledsze, ale od razu rozpoznaję pętelki przy „l” i kółeczka nad „i”, bazgroły na marginesie, datę w prawym górnym rogu, otoczoną ramką.

– To mój pamiętnik. Skąd u pani mój *osobisty* pamiętnik? Hilary, ignorując

mnie, znajduje stronę, której szuka.

– Z tego wynika, że twój kolega, Lloyd... dobrze mówię? Tak. Lloyd Taggart. Został przyłapany najeździe samochodem bez prawa jazdy. Znaleziono też u niego fałszywy dowód tożsamości.

Rzucam się po kartkę leżącą na podłodze.

– Skąd, do cholery, wziął się u pani mój pamiętnik?

– Nie wyrażaj się – syczy mama, a tata wychyla się z krzesła z groźnym pomrukiem.

– Chcesz odpowiedzieć na pytania? – kontynuuje Hilary.

– Nie, nie chcę.

– Odpowiedz – warczy tata.

Wpijam w niego wzrok. *Złodziej pamiętników.*

Rozpoznaję to po tym, jak mu drgają policzki. Widzę go, jak prosi swoją recepcjonistkę Zoe Micklebaum, żeby mu zrobiła kserokopię. Widzę, jak ona się śmieje i mówi, że nie można przepuścić przez kopiarkę oprawionego notatnika, doktorze Ziegler, i choć klnie, nie ma nic przeciwko temu, żeby to zrobić. Widzę, jak mruczając pod nosem, wykonuje potem swoje zadanie, rozkłada ten notatnik, łamie wzdłuż grzbietu, przekłada kartkę po kartce, przygniatając go do szklanej płyty. Oczywiście nie ma takiej intencji, na pewno nie, ale jej oczy zatrzymują się na niektórych fragmentach. Widzę, jak wraca do domu i skarży się swojemu muskularnemu mężowi, Feliksowi Micklebaumowi. Kopiowanie pamiętników małych dziewczynek nie należy do moich obowiązków, słyszę, jak mówi, ale, rety, żebyś wiedział, co za myśli krążą w tym zepsutym mózdzku małej Justine Ziegler. To ta kobieta, która prychała jak świnia, gdy ją ostatnio widzieliśmy. – „Wyobraźcie sobie, dzieciaki, powiedziała, gdybym wyszła za waszego tatę, nazywałabym się Zoe Ziegler. Wyobrażacie sobie? Z.Z.”. A ty odpowiedziałeś: „Jak ten zespół, chłopaków z brodami”. Nie załapała, o co chodzi.

– Czy twój kolega Lloyd wszedł w konflikt z prawem?

– Formalnie rzecz biorąc, wydaje się, że tak.

– Tak czy nie?

– Tak. Ale to nie było nic takiego, tak naprawdę to się nie liczy.

– Wygląda na to, że w twoim przekonaniu wiele rzeczy się nie liczy. – Kręci krzesłem w lewo, w prawo, w lewo... Klucze na łańcuchu na szyi przesuwają się hałaśliwie w kanionie pomiędzy jej piersiami. – Czy kiedykolwiek uciekłaś z domu?

– Nie.

– Nie kłam. Nie rób tego! – mama jest bliska hysterii. Na kolanach ma stosik zużytych chusteczek.

– Nie uciekłam.

– Uciekłaś. Wtedy kiedy tata uziemił was dyżurami przy sprzątaniu.

– To się nie... byliśmy w bibliotece. – Trzy pary oczu wbijają się we mnie niewzruszenie. – Nie było nas niepełne cztery godziny. – Cisza. – Mieliśmy tylko po *jedenaste* lat.

– Tak czy nie?

– Wielka sprawa. Tak.

– Czy chowasz jakieś rzeczy związane z nałogiem?

– Nie mam żadnego nałogu. Żadnego.

– Czy kiedykolwiek opuściłaś szkołę z powodu nałogu?

– Czy pani mnie słyszy? Nie mam nałogów.

– Dobrze. Na kolejne pytania odpowiadaj: nigdy, rzadko, okazjonalnie, często albo zawsze. Czy zabiegasz o akceptację?

– Czasami.

– Prosiłam: nigdy, rzadko, okazjonalnie, często albo zawsze.

– Okazjonalnie.

– Boisz się krytyki?

– Okazjonalnie.

– Czy nie możesz podołać obowiązkom?

– Okazjonalnie.

– Czy dążysz do perfekcji?

– Okazjonalnie.

– Czy jesteś szczerą?

– Okazjonalnie.

Hilary odrywa długopis od papieru.

– Mówię o chwili obecnej. Czy teraz jesteś szczerą?

– Nie muszę odpowiedzieć: nigdy, rzadko i tak dalej?

Wymownym ruchem głowy Hilary ostrzega, że mam być poważna.

– Tak, jestem szczerą.

– A więc wszystko odnosi się do ciebie, ale tylko okazjonalnie? Czy byłaś szczerą?

– Tak.

– Na które z tych pytań odpowiadasz tak?

– Na oba. – Hilary wzdycha. – Dobrze. Idźmy dalej. – Znowu szuka

właściwego miejsca na podkładce, długopis w pogotowiu. – Czy izolujesz się od ludzi?

Słyszę, jak mama wstrzymuje oddech.

– Nie.

– Proszę, odpowiadaj: nigdy, rzadko, okazjonalnie, często albo zawsze.

– Myślałam, że wróciłyśmy do tak lub nie.

Hilary kręci głową w zwolnionym tempie.

– Nigdy, rzadko, okazjonalnie, często albo zawsze.

– Nigdy. – Mama robi forsowny wydech, jakby opróżniała płuca z trujących oparów. – Dobra, rzadko – zgadzam się.

– Czy odczuwasz lęk przed odrzuceniem i opuszczeniem cię przez innych?

– Okazjonalnie.

– Czy masz trudności z wyrażaniem własnych emocji?

– Okazjonalnie.

– Czy masz problemy w kontaktach intymnych?

– Mam dopiero piętnaście lat. Chce pani na dodatek zrobić ze mnie maniaczkę seksualną?

– A jesteś?

– Jestem dziewicą. – Spodziewałam się, że powie: „Jesteś pewna?”, ale nie powiedziała. Mama i tata chyba poczuli ulgę.

– Czy boisz się autorytetów?

– Tak! – ryczę. – Okazjonalnie.

– Dobrze. A teraz chcę ci zadać kilka pytań na temat twoich relacji z bratem.

Twarde oparcie krzesła wpija mi się w sztywniejący kręgosłup.

– Nie chcę o nim mówić.

Robi powolny półobrót na krześle i współczującymi skłonami głowy obdarza kolejno tatę, mamę i mnie.

– Rozumiem, że temat jest delikatny, ale uważam, że to konieczne.

– Nie chcę rozmawiać o Joshu.

– Myślisz, że Joshua jest ważniejszy od ciebie?

– To nie ma nic do rzeczy.

– Nie jestem taka pewna. Czy poczułaś się odrzucona, gdy Joshua zaczął spędzać więcej czasu z zaprzyjaźnionymi narkomanami niż z tobą?

– Dość pytań.

– Jak się czułaś, kiedy uciekł na Florydę?

Wyobrażam sobie siebie w Miami, opalonego i uśmiechniętego, w szortach w

drobny pastelowy wzorek, jak sączyz kolorowe koktajle ze żłobionych szklanek udekorowanych parasoleczkami. Jak się czułam?

– Dość pytań – mówię.

– Myślałaś, że cię opuścił?

Chyba znowu powiem dość. Dość, dość, dość tego.

– Czy wstydziałaś się tego, co robił Joshua?

– Josh nigdy nie robił niczego, co mogło mnie zranić albo czego miałabym się wstydzic.

– Może to nie było coś, co robił, ale to, jaki był. W końcu miał określoną reputację, złą.

– Nie, i nie chcę o tym mówić.

– Miałaś do brata żal, że nie pozwolił, byś mu pomogła? Wpadam w szal, jak w czasach gdy byliśmy dziećmi. Tupię nogami o podłogę, walę rękami w krzesło, choć czuję drzazgi wbijające mi się w dłonie niczym zatrute strzały. Wrzeszczę, ile sił w płucach:

– Może pani, do jasnej cholery, nie wplątywać w to Josha?! Mama płacze, ja nie pozwalam sobie na płacz. Nie chcę płakać. Staram się panować nad drżeniem powiek... drżą, nie drżą. Tata rozkrzyżował nogi i ciężko oparł stopy na podłodze. Hilary obraca się z krzesłem w lewo, w prawo, po czym zaczyna zbierać swoje papiery.

– Dobrze, Justine. Dziękuję ci za cierpliwość. Jeszcze ostatnie pytanie. Czego chcesz od życia?

– Teraz? W tej chwili?

– Właśnie.

– Chcę się stąd wydostać.

– Nic więcej?

Nabieram oddechu, prostuję ramiona.

– Chcę mieć tysiąc pięćset punktów na egzaminie SAT, chcę ukończyć gimnazjum z wyróżnieniem, chcę się dostać do college'u na jeden z uniwersytetów zaliczanych do ekskluzywnej grupy Ivy League i zakochać się w kimś, kto w przyszłości zostanie sędzią Sądu Najwyższego, mieć dzieci, odkryć lekarstwo na raka i zrobić mnóstwo wielkich rzeczy. Wie pani, standard.

Mama promienieje, a pochrząkiwanie taty ma oznaczać, że jednak jestem nieodrodnym dzieckiem swoich rodziców. Znowu jestem złotą córeczką, czuję aureolę nad swoją głową i kocham to.

Nawet Hilary zdobywa się na cień uśmiechu.

– Doskonale. Zobaczymy, co da się zrobić.

Rozdział 5

Zupełnie zwyczajne jest nasze najwcześniejsze wspomnienie, moje i twoje. Oczywiście jednakowe u obojga, w mojej i twojej pamięci. W czyjej pojawiło się najpierw, nie wiem, a może w mojej utrwaliło się tylko dlatego, że tyle razy o tym rozmawialiśmy.

A oto ono. Leżę na kanapie. Na tej, która miała deseń w kosze z owocami i którą rodzice przenieśli później na sam dół, do naszej siłowni, bo była taka ohydna. Czekam na karmienie, a może ogarnia mnie sytość po karmieniu, czuję jakiś ruch, wiercenie się koło mnie, ale nie ucieknę od tego. Jestem tylko niemowlęciem. Taty nie ma w tym wspomnieniu, mamy też nie. Czyżby nie przyjechała ze szpitala razem z nami?

We wspomnieniu jest za to sufit. Biały, chropowaty, jego ogrom nade mną, chyba że przesłonią go moje ręce machające jak wiatraki. Robią to wytrwale, migają przed moją twarzą, by raz po raz zanurkować pełną pięścią w mojej buzi. Staram się skupić na nich wzrok, choćby na chwilę, ale poruszają się zbyt szybko. W takim razie, myślę, odwrócę głowę, to dobry pomysł, robię to i wtedy widzę na swojej poduszce kiść pulchniejszych ode mnie winogron. To było fajne, myślę sobie, no a teraz spróbuję przewrócić się na bok. I robię to, i właśnie wtedy zapiera mi dech w mojej niemowlęcej piersi. Bo widzę coś nowego, niezwykłego.

Tam, za moją piąstką – lewą albo prawą, jeszcze nie nauczyłam się rozróżniać – widzę nie tylko moje obślinione paluszki, widzę siebie, całą moją osobę. Leżącą bliźniutko, na półmisku z gruszkami, na innej poduszce tej samej kanapy, ubraną w takie same śpiochy, ze śliną ściekającą z tej samej rączki, a może z drugiej. Gapię się na siebie, ale oczywiście to nie ja, tylko ty. Patrzę na moją rączkę, a potem patrzę na ciebie i zaczynam płakać, bo jestem nieźle przerażona i nieźle wkurzona całą tą sprawą z podwójnym ciałem. Nie dajesz na siebie długo czekać i idziesz w moje ślady. Płacz, płacz, płacz, do zachłystywania się. Wreszcie jedno popatruje na drugie, także wrzeszczące, i wtedy nagle przestajemy się drzeć, jakby nigdy nic. W mgnieniu oka.

Mama odkryła tę sztuczkę później, uznała ją za wygodną i często wykorzystywała. Kiedy źle się czuleś albo nie mogłeś spać, układała mnie w twoim łóżeczku. I vice versa. Zdrowe i zadowolone miało uspokoić to drugie. Oczywiście czasami obracało się to przeciw niej, bo oboje robiliśmy się marudni, nie spaliśmy godzinami albo razem chorowaliśmy. Pamiętam na przykład, jak złapałam od

ciebie ospę wietrzną, kiedy byliśmy przedszkolakami. Mama musiała nas wtedy rozdzielić, bo zrywanie sobie nawzajem strupków było pokusą nie do odparcia.

Rozdział 6

Zostaję sama w pokoju i, o dziwo, jestem spokojna. Z brzękiem kluczy Hilary wyszła *na jedno słówko* z naszymi rodzicami. Tak właśnie powiedziała. „Zabieram twoich rodziców na jedno słówko do sąsiedniego pokoju”. Drzwi domknęła za sobą prawie bezgłośnie. Zamykam teraz oczy, głowę wtulam w ramiona, potem się prostuję i kręcę głową wokół szyi, słucham, jak strzelają i trzeszczą kręgi i mięśnie.

Biorąc wszystko pod uwagę, chyba całkiem nieźle wypadłam w tym wywiadzie. Nie podobały mi się te wszystkie pytania o ciebie, były nie na temat. I nie spodziewałam się tego numeru z moim pamiętnikiem, ale to ukazało tatę w gorszym świetle niż mnie. Jak on mógł! Grzebać w moich osobistych rzeczach. Gotuje się we mnie, gdy myślę, jak otwiera i sprawdza moje pomadki, truskawkowy błyszczyk i ten nowy srebrzysty eye – liner, do którego się jeszcze nie przyzwyczaiłam, jak przerzuca książki mojej ulubionej Judy Blume i kolorowe egzemplarze „Seventeen”, w poszukiwaniu stron z zagiętymi rogami i moich podkreśleń, jak przetrząsa moją szufladę z bielizną i natrafia palcami na pojedyncze tampony, zabłąkane pod nowymi majtkami bikini z różowymi jedwabnymi różyczkami z przodu.

Pytania były tym razem dociekliwsze i o wiele bardziej szczegółowe niż wtedy, kiedy przyszłam na wywiad jako siostra, ale z grubsza chodziło o to samo. Wtedy też się denerwowałam, ścisnęło mnie w brzuchu z nerwów po zdarzeniach poprzedniej nocy. To tylko profilaktyka, raczej formalność niż cokolwiek innego, tak mi wtedy powiedzieli. Zawsze przeprowadza się wywiad z rodzeństwem, gdy ktoś dołącza do programu. I zadawali mi głupie pytania o imprezy i picie, i moje ulubione postacie z serialu *General Hospital*, po czym wysłali mnie do domu.

Zmieniam krzesło. Nie ma nikogo, kto by nie pozwolił, a od poprzeczek w moim krześle bolą mnie uda. Wślizguję się w fotel mamy, jeszcze ciepły od jej pupy, pachnący perfumami Chanel. Zwijam się w nim w kłębek i to jest rozkoszne, jak u mamy na kolanach, kiedy byliśmy mali. Czasami bywało wtedy tak przyjemnie. Ona czytała nam albo my czytaliśmy jej. Najbardziej lubiłam chwile późnym wieczorem, kiedy byliśmy wykończeni i zaklepywałam sobie z góry prawo do kolan mamy i zwijałam się tam ze stopami wciśniętymi w zgięcie jej nóg, i z policzkiem opartym na jej piersi, która wznosiła się i opadała jak chmura, a ja odpływałam w sen, słysząc ciebie i wirujące echo wierszyków Doktora Seussa.

Dzisiaj było więcej pytań, więcej nazw narkotyków, znacznie więcej

indagowania i przypierania do muru. I przyznaję, że zaczął mnie ogarniać niepokój, całkiem na serio. Ale byłam sobą tak jak poprzednio i wszystko się w końcu wyprostowało.

A teraz Hilary prawdopodobnie mówi rodzicom, żeby nie przesadzali. Justine? Problem z narkotykami? Nie rozśmieszajcie mnie. No dobrze, tak by nie powiedziała, tylko owinęłaby to w psychologiczną bawełnę. Ale to oczywiste, prawda? Po prostu takie oczywiste. Ona to wie i teraz oni też wiedzą. Właściwie to nawet dobrze, że przeszliśmy przez te korowody, jeśli dzięki temu tacie choć raz udowodni się, że nie ma racji.

Patrzę na mojego swatcha. To był najlepszy prezent z ostatniej Gwiazdki. I uwielbiam go. Zawsze uwielbiałam wszystko, co mi dawałeś. Nie szkodzi, że prawie niemożliwe jest sprawdzenie godziny, ponieważ nie ma wskazówki sekundnika ani żadnych cyfr. Drażniłeś się ze mną, mówiąc, co chcesz od zegarka, to ty jesteś bez pomysłu, z niedorozwojem w postrzeganiu przestrzennym. Nazywałeś mnie niedorozwójkiem, ale mówiłeś to ciepło i tak to odbierałam. Nie wiem, czy jest 2.30 czy 3.30, ale jak patrzę na pozycję wskazówki minutowej, mogę powiedzieć, że jedno słówko Hilary nie jest wcale jednym słówkiem.

Tak czy owak, co oni robią za tymi drzwiami? Postanawiam to sprawdzić.

Zmuszam się do wstania z najwygodniejszego krzesła na świecie, sięgam do klamki i pociągam drzwi do siebie. Tylko że one wcale się nie otwierają, nie na całą szerokość. Ustępują jakieś trzy cale i stop. Przez szparę widzę, że z zewnątrz trzyma je łańcuch. Zamknęli mnie.

Spoza łańcucha dostrzegam Hilary, jak rozmawia z naszymi rodzicami przed szklanymi drzwiami, prowadzącymi na parking. „Myślę, że już powinniście jechać”, mówi, podprowadzając ich pod same drzwi.

Mają odjechać, zostawiając mnie zamkniętą w tym pokoju, z tymi gównianymi krzesłami i laminowanym stołem.

Mój spokój wyparowuje.

– Hej! – krzyczę. – *Hej!!* – Tak głośno, że aż boli mnie gardło. – Mamo, tato, co robicie? Co, do... co do... co robicie?

Podwójne drzwi rozsuwają się, wypuszczając rodziców na zewnątrz, z powrotem w rzeczywistość lutowego dnia.

– *Hej!!* – łomoczę w drzwi. Wrzeszczę. – Nie zostawiajcie mnie tutaj. Nie zrobiłam nic złego. Proszę, proszę, proszę. *Nie odchodźcie!*

Mama znowu płacze. Odwraca się i pochyła w moją stronę niczym drzewo

targane wichrem, ramiona ma rozłożone jak pełne nadziei konary. Ale tata podtrzymuje ją w pasie i ciągnie do samochodu. Próbuję precyzyjnie ramię i nogę przez ograniczoną łańcuchem szparę. Gdybym mogła się precyzyjnie, gdybym mogła znaleźć się w ramionach mamy, wiem, że byłabym bezpieczna. Ale jest za ciasno, a łańcuch mocno trzyma. Twarz mi płonie i nabrzmiwa, nie precyzyjnie się przez tę szparę.

– Mamo, mamusiu. Proszę. Kocham cię mammo kocham cię mammo kocham cię mammo przyrzekam być grzeczna przyrzekam być grzeczna przyrzekam być grzeczna.

Mama lamentuje:

– Dajcie mojemu dziecku szklanek wody. Proszę, dopilnujcie, żeby moje dziecko dostało szklanek wody. Jej chce się pić, tak bardzo chce się pić, moje dziecko potrzebuje wody”.

– Mamoooooooo! – wrzeszczę, aż mój krzyk nie ma już dokąd się rozprzestrzeniać i kończy się samoistnie. Mamę przeszywa mój zamierzający krzyk i sama jakby zamierała razem z nim. Oddycha coraz wolniej, wyciąga w moją stronę ramiona.

Potem jej ręce opadają jakoś niezgrabnie, nie płynnie, cały czas zgięte w łokciach, jak u lalki Barbie, a twarz przybiera nowy wyraz – zgorzknienia i poczucia winy. Patrzy na mnie i nie podoba jej się to, co widzi. A oto co mówi, a raczej o co pyta, choć wiadomo, że to pytanie bez odpowiedzi:

– Dlaczego ty nigdy nie płaczesz, Justine. Ty *nigdy* nie płaczesz.

W odpowiedzi dotykam mojego policzka, ale nie potrzebuję ani tego dotknięcia, ani słów mamy, żeby wiedzieć, że twarz mam gorącą i nabrzmiłą ale suchą, wciąż suchą.

Tata ciągnie mamę na siłę, gdy ta zaczyna znowu zawodzić, tym razem ciszej, jakby się poddawała, wreszcie jej zawodzenie zamiera, rozlegają się jedynie moje wrzaski.

Wołam za nimi, błagam, choć już ich nie widzę.

– Proszę, nie zostawiajcie mnie tutaj, proszę, tato, proszę, tato, proszę.

Tkwię wciśnięta między drzwi a framugę, metalowy łańcuch wrzyna mi się w szyję. Słabnę w tej pozycji, a Hilary obserwuje mnie z recepcji, nieporuszona, ciągle z notatkami w ręku. Znowu wyrastają przede mną Mark i Leroy. Mark – wydaje mi się, że ten to właśnie jest Mark – więc on, stojąc po drugiej stronie drzwi do pokoju przyjęć, przydeptuje mi stopę niczym kotwica i chwyta mnie za ramię, gdy Leroy zdejmuję łańcuch. Wyciągają mnie z pokoju, Leroy łapie mnie za

drugą rękę. Mark cuchnie potem, a ręce Leroya są szorstkie jak paździerzowe skrzynki i gdy mu się wyrywam, ścierają mi naskórek. Przestaję walczyć.

– Rodzice prosili, żeby zatrzymać cię na trzydniową obserwację – informuje mnie Hilary. – Zdamy im potem sprawozdanie z niej wraz z zaleceniami. Rozumiesz?

Nie, nie rozumiem. Wcale nie rozumiem. To chyba nie może być prawda.

– Nie jestem uzależniona od narkotyków. Nie jestem uzależniona od niczego. Nie mam żadnego problemu.

– Rodzice bardzo się o ciebie martwią. I, mówiąc szczerze, biorąc pod uwagę twoje dzisiejsze zachowanie, myślę, że słusznie.

– Ale ja tutaj nie pasuję. Nie możecie mnie tutaj trzymać. Zastanawia się nad tym.

– Prawdę mówiąc, możemy. Rozumiesz? Możemy.

Kręcę głową.

– To nie w porządku.

Widzę, jak podwójne drzwi znowu się otwierają i do środka wkracza nasz ojciec. Spływa na mnie fala ulgi. Już dobrze. Zmienili zdanie. Poszli po rozum do głowy.

Tata idzie w moją stronę, zaraz mnie obejmie, przeprosi, wyczuje moje płonące policzki i zabierze do domu.

– Och, tato – beczę.

Nasz tata wcale nie jest takim złym człowiekiem, wcale nie, czasami tylko traci dystans, ale ma serce i duszę, i rozum, który mu podpowiada, co jest rozsądne, a co nie, co jest dobre, a co nie.

Idzie do mnie i nagle się zatrzymuje. Wyciąga coś z kieszeni. Chusteczkę? Pudełeczko tic taców od mamy? Brelok szczękę z kluczykami do samochodu, w którym ciągle są zaschnięte wymiociny na tylnym siedzeniu, ale kto by się tym przejmował, skoro ten samochód zabierze mnie do domu i już nigdy nie będę wymiotować?

– Zapomniałaś aparatu ortodontycznego – mówi mi nasz nienierozsądny ojciec. Nie powinnaś była. To drogi sprzęt ortodontyczny i należy go szanować. – Wkłada mi aparat do ręki i zamierza odejść.

– Tato, proszę.

Widzę marsowe bruzdy wokół jego oczu, one nie pozostawiają złudzeń.

– Justine – mówi – musisz mi uwierzyć. To dla twojego dobra. I może ma na

myśli aparat albo Hilary, albo ten okropny dzień, albo te trzy rzeczy naraz. Czy jest teraz naszym ojcem, czy Jeffem Zieglerem, nadzwyczajnym ortodontą, czy jeszcze kimś innym? Kimkolwiek jest, odwraca się na pięcie i kieruje ku drzwiom. Plama, którą drzwi garażowe zostawiły na jego marynarce, to ostatnia rzecz, jaką widzę, i mam nadzieję, że nikt mu o tej plamie nie powie, i mam nadzieję, że będzie tam tak długo, aż tłuszcz wgryzie się tak głęboko, że nawet w pralni chemicznej jej nie wyczyszczą – ta plama zostanie tam na zawsze i marynarka będzie nie do użytku. Niech mu przypomina ten dzień.

Podwójne drzwi skrzypią na zawiasach i zamykają się, a na ten dźwięk mój żołądek robi coś śmiesznego. I ziemia usuwa mi się spod stóp, a ręce Marka i Leroya, choć wciąż mnie trzymają, są jak piórka. Moje ciało drętwieje.

– Teraz rozumiesz? – powtarza Hilary. Jednocześnie Leroy i Mark zacieśniają chwyt, a ja ledwo czuję dotyk ich rąk. – Rozumiesz, Justine?

Przytakuję. Powieki – suche i szorstkie jak paździerze... skrzynki... Leroy – powieki chyba zdzierają mi oczy.

– To bardzo dobrze. Witamy w Come Clean.

Kiwam głową i cała zaczynam się chwiać na uginających się kolanach. Wreszcie całkiem uginają się pode mną i osuwam się w ciemność i śmierdzące objęcia Marka.

Rozdział 7

Odzyskuję przytomność w pokoju mniejszym niż pokój przyjęć, całkiem ciemnym. Nie ma w nim okien, a jedyne światło dociera spod drzwi, których nawet nie muszę dotykać, by wiedzieć, że są zamknięte. Moja tartanowa spódnica jest poddarta tak, że odsłania nogi i delikatna skóra z tyłu ud przywarła do popękanych skóropodobnych poduszek kanapy, na której mnie położono. Nie mogę oddychać. Przez sekundę zastanawiam się, czy moje płuca przestały pracować, kiedy zemdlalam, bo teraz dyszę, jakbym była pod wodą, jak na basenie, kiedy bawiliśmy się w wodną ciuciubabkę i mnie przytapiałeś, chlor dostawał mi się do nosa i nie mogłam oddychać, a ty trzymałeś moją głowę pod wodą, śpiewając: Marco Polo Marco Polo, i nie mogłam się doczekać, kiedy będzie moja kolej, żeby to samo zrobić tobie. Mam wrażenie, że również inne moje narządy nie pracowały jakiś czas i teraz podejmują na nowo funkcje życiowe. Jest mi jednocześnie gorąco i zimno, a serce łomocze w klatce piersiowej.

Nie wiem, jak długo tu byłam, pewnie kilka godzin. Próbuję odczytać czas na moim swatchu, ale symbole na tarczy rozmazują się w pogrążonym w mroku pomieszczeniu, którego spokoju, jak się wydaje, nikt nie zakłócał od dłuższego czasu, nie licząc mnie pogrążonej w niebycie.

Pamięć jako jedyna nie przestała pracować, kiedy zemdlalam. Dokładnie wiem, gdzie trafiłam, chociaż nie wiem, w jakiej części tego budynku się znajduję.

I wiem, że muszę uciec. Próbuję odtworzyć w myślach trasę, żeby móc powiedzieć Cindy. A więc wyjeżdżasz na międzystanową, jedziesz na północ i mijasz cztery zjazdy. A może pięć? Dobrze, zjeżdżasz w miejscu, gdzie na samym końcu rampy są światła drogowe, widać je z daleka, z autostrady. A więc zjeżdżasz i na tych światłach skręcasz... w lewo, nie, jednak w prawo, bo można skręcić nawet wtedy, kiedy światło jest czerwone, więc zdecydowanie w prawo. Skręcasz w prawo i jedziesz tą drogą przez jakiś czas, może pięć minut, ale przypuszczam, że to zależy od tego, jak dopasują się światła. Mijasz jak wszędzie McDonalda, 7-Eleven, Blockbuster. Jak zobaczysz Harvey's Shrimp Shack, wiesz na pewno, że dobrze jedziesz, to punkt orientacyjny. Mijasz kolejny zjazd, 7-Eleven, Hardees, osiedle Green Valley, a potem zobaczysz teren przemysłowy. Jest tam droga i magazyny po obu stronach. Skręć tam i jedź, jedź. To jest budynek na samym końcu, bez żadnego szyldu, musisz się dobrze rozejrzeć, nie ma innego sposobu. Ale jak, u licha, nazywa się ta droga, Justine? I czy jest na lewo czy na prawo od

głównej szosy? I ile to mil za Harveyem? Nie wiem, nie wiem.

Cindy da sobie radę. Będzie musiała. Ona i Lloyd wezmą mapę i znajdą drogę, wydostaną mnie stąd.

Muszę tylko dostać się do telefonu, żebym mogła do niej zadzwonić. Oglądam pokój, oczy przyzwyczajają się do ciemności. Zarysowują się kształty sprzętów, ale w mroku nie rozpoznaję kolorów i tworzywa. Jest tu kanapa, na której leżę, mniej więcej o stopę krótsza ode mnie, dwa składane krzesła oparte o ścianę na prawo od drzwi, kosz na śmieci, może wiklinowy, chyba pusty i w żalonym stanie, co widać nawet w tym mroku, jakieś wytwory w ramach, wiszące na ścianie, przysięgłabym, że to kolejne wyszywanki z religijnymi hasłami. Na lewo od sofy, gdzie dyndały moje nogi, jest chierlawy stoliczek i coś na nim. Na pewno nie telefon, to jasne. To coś mniejszego. Wygląda jak tuba albo puszka z czymś. Pochylam się i mrużę oczy. Nie, to kubek, plastikowy kubek, ale przewrócony, najwyraźniej w wyniku zderzenia z moimi nogami. Na blacie jest kałuża jakiegoś płynu, który ścieka na wykładzinę. Maczam w nim palec. Woda, to moja szklanka wody.

Przypominam sobie, jak bardzo chce mi się pić. Wargi mam spękane i tak spierzchnięte, że gdy je oblizuję, język przykleja mi się do nich, tak samo do zębów i do mojego aparatu, przenikniętego obrzydliwym smakiem. Oddałabym moją kolekcję Michaela Jacksona oraz wszystkie swetry i koszulki ulubionej firmy Esprit za jeden łyk wody.

Dlaczego ktoś postawił kubek wody w takim miejscu, gdzie łatwo go było dosięgnąć i niechcący kopnąć? Głupota, głupota, głupota. Tak beznadziejna głupota, że to aż śmieszne. A potem rozjaśnia mi się w głowie. To wcale nie było głupie, wcale nie bezmyślne. Było dokładnie przemyślane. Zrobili to specjalnie. Ona to zrobiła. Hilary.

Chciała mi zrobić na złość. Dlatego tak a nie inaczej postąpiła, bo gdyby mama otrząsnęła się trochę i poczuła się winna, no i zadzwoniła, żeby się dowiedzieć, jak się adaptuję, i zapytała: „Czy z moją Justine wszystko dobrze, czy daliście mojemu dziecku szklankę wody?”. Gdyby więc mama o to zapytała, Hilary mogłaby z jasną twarzą i z czystym sumieniem odpowiedzieć, że tak, oczywiście, pani Ziegler, że tak. A mamie nie przyszłoby do głowy, żeby zapytać, czy ona wypila tę cholerną wodę, czy też ty, ty zła kobieto, postawiłaś ją gdzieś, gdzie musiała zostać przewrócona, żeby nie zostało dla niej ani kropli. Mama nie pomyślałaby, żeby o to zapytać, a Hilary nie wyrywałaby się z tą informacją i spałaby spokojnie, bo nie powiedziałyby niczego poza prawdą. I mama też spałaby spokojnie, bo skąd

miałaby wiedzieć, jak bardzo chce mi się pić i jak sucho mam w ustach i że nie dostałam niczego do splukania smaku żółci i wymiocin, i zdrady.

Po drugiej stronie drzwi jest jakiś ruch. Szybko wstaję, cała w pogotowiu, nogi zgięte w czujnej postawie. Szywna ze strachu słucham szczęk kluczy po drugiej stronie, potem zgrzytania metalu o metal, gdy zębki klucza trafiają na rowki zamka, a potem przekręcania mechanizmu w głębi i wreszcie głuchego odgłosu puszczającej zapadki. Czy powinnam się ukryć? Nie ma gdzie. Czy powinnam udawać, że śpię? Czy powinnam przyczaić się pod drzwiami, żeby rzucić się na nią? Czy powinnam zarzucić jej na głowę wiklinowy kosz? Zadaję sobie te pytania, a jednocześnie oczami wyobraźni widzę Hilary okręcającą wokół szyi potężny pęk kluczy, tak jak szaman obraca sznur czaszek, wypowiadając zaklęcie nad każdą ofiarą.

Ale kiedy drzwi się otwierają, nie ma tam Hilary. Zamiast niej jest jakaś dziewczyna. W sekundę włącza światło, które mnie niemal oślepia, ale widzę ją przez przymrużone powieki. Nie znam jej. Ubrana w opięty czerwony dres, kilka cali niższa ode mnie i szersza, jest prawie tak okrągła jak piłka, ma bladą cerę, proste rude włosy, tłuste, ściągnięte do tyłu w koński ogon wyrastający na jej głowie wysoko i nie na środku. Zastanawiam się, czy mogłaby machnąć tym końskim ogonem i za sprawą czarów zabrać mnie stąd, jak Barbara Eden w serialu / *Dream of Jeannie*. Znając moje szczęście, gdyby mogła, zabrałaby mnie gdzieś, gdzie jest jeszcze gorzej, jak Jeannie, gdy przeniosła majora Nelsona z plaży Waikiki na biegun północny, by niby to ratować go przed szpiegami w bikini, a faktycznie córkami admirała.

Mark i Leroy są tu znowu, trzymają się z tyłu za moją niby „Jeannie”, pozostają na korytarzu, nie wchodząc razem z nią. Ona wkracza, kręcąc biodrami i machając plastikową reklamówką z Kmartu, którą rzuca na kanapę.

– Twoje ubranie – mówi.

– Jest mi dobrze w tym, co mam na sobie, dziękuję.

Potrząsa głową.

– To wbrew przepisom. – I jeszcze raz wskazuje gestem torbę.

Sięgam do niej. Jest tam zielona bluza z syntetyku, upstrzona różowymi kropkami, i para brązowych sztruksowych spodni.

Nienawidzę sztruksów, dźwięku, który wydają, gdy się w nich chodzi, tego tarcia wypukłych wałeczków materii, które zahaczają o siebie, zostawiają zabawne ślady jak po szczotce i zbierają kłaczki, gdziekolwiek się siądzie. Nienawidzę ich, a te są o dwa rozmiary za duże i tanie, i do tego paskudne. Bardzo tanie, sadząc po

metce, która jest przy nich podobnie jak przy bluzce.

– To nie są moje rzeczy – mówię do „Jeannie”.

– Rodzice przynieśli je dla ciebie.

– Moi rodzice? – Robię krok w jej stronę – Wrócili? Są tu jeszcze?

– Nie, zostawili je tutaj – mówi, zionąc mi w twarz cuchnącym oddechem.

Czym jej tak z ust śmierdzi? – Zostawili *je*, kiedy zostawiali *ciebie*.

Pocieram nasadę nosa. Jest tam taki punkt i jeśli zamknę oczy i potrę dość mocno, czuję, jakbym dawała mózgowi kopa. Taki sobie ucisk, a wysyła ból jak rozszczępione światło do mózgu. Gdy używam kostki palca wskazującego, boli najbardziej, ale dokucza tylko przez sekundę, a potem pomaga. Sprawia, że wszystko jest jaśniejsze.

Tak jak teraz staje się dla mnie jasne, że rodzice musieli to wszystko zaplanować, nie wiadomo tylko jak dawno temu. Parę tygodni, może parę godzin. Żeby mama miała wystarczająco dużo czasu na zakupy w Kmarcie. Może pojechała dziś rano, kiedy jeszcze spałam, śniąc o tobie i lekcjach pływania – jak dawno to było?

Nie mogę tego pojąć, tak samo jak nie mogę pojąć, że moja własna matka mogła mi cokolwiek kupować właśnie w Kmarcie. *Nigdy* nie kupujemy w Kmarcie. I jak mogła wybrać takie okropne ubranie. Będę wyglądać jak drzewo w tych brązowych spodniach z zieloną górą – i to jak czereśnia, przez te ohydne różowe kropki. Co ona sobie myślała?

Ale chwileczkę.

Znowu uciskam czuły punkt. Jedną chwileczkę. Może nie jest tak źle. Wcale nie jest źle. Mam tylko jedną zmianę ubrań.

Nie daje się komuś jednej zmiany ubrań, jeśli ma wyjechać na długo. Może chodzi tylko o wydanie opinii. Może po trzech dniach będę mogła wrócić do domu i wszystko będzie super. Może mam zostać tylko na jeden dzień. Jedna zmiana ubrań, jeden dzień.

– Możesz się w nie przebrać po rewizji osobistej – mówi ruda.

– Po czym?

– Po rewizji osobistej. Musimy sprawdzić, czy nie próbujesz przemycić do programu jakiejś kontrabandy.

– Chyba żartujesz.

– Raczej nie.

Nie mam żadnej kontrabandy i nie mam najmniejszego zamiaru się rozbierać, żeby to udowodnić.

– Przykro mi, kotku – mówi, ale nie widać po niej skruchy. – Mam obstawę – dodaje.

– Nie ma mowy.

Wyciąga rękę i chwyta za mój-twój golf. Nadpruta nitka zwisa i dynda, szarpie za nią, aż materiał ściąga się wzdłuż szwu.

– Mam wezwać Marka i Leroya, żeby cię przywołali do porządku, chcesz tego? Nie podobałoby ci się to. Założę się, że nie.

Na to dwa byczki napinają mięśnie i jeżą się groźnie. W kącikach ust Leroya przebłyskuje cień uśmiechu.

Ramiona mi opadają i czuję, że zaczyna mi drgać dolna warga. Mrużę oczy i skupiam wzrok na ścianie. Udaje mi się odcyfrować napis na wyszywance – „Pan jest moim pasterzem”, odczytuję przesłanie. Wydaje mi się, że obudziłam się w serialu *Posterunek przy Hill Street*, w złym epizodzie, gdzie z niewiadomych przyczyn zostałam przydzielona do niewłaściwego zespołu.

– Nie – mówię.

– Trudno, zawsze jest łatwiej przy odrobinie współpracy. – Z tylnej kieszeni swoich spodni dresowych „Jeannie” wyjmuję parę rękawiczek gumowych. Nie są to rękawice chirurgiczne, które przylegają do skóry i nie przeszkadzają, takie, jakie mógłby włożyć Marcus Welby, ani takie, jakie wciągnąłby Quincy do zrobienia sekcji. To rękawice kuchenne. Grube i jaskrawożółte, jakich używa się, czyszcząc druciakiem kratkę grilla po barbecue lub zabrudzony piec.

Przypominam sobie, że mama używała takich właśnie rękawic. Gdy byliśmy mali, ostrzegała nas, żebyśmy nie wierzyli w te bzdury o dobrych płynach do zmywania – cokolwiek by opowiadano w reklamach, wiadomo, że tłuszcz i mydliny, i ząbkowane ostrza noży do mięsa, i czubki tych wszystkich brudnych widelców, mówiła, te rzeczy są złe, złe, złe dla skóry. Trzeba nosić rękawice, by chronić ręce, żeby pozostały młode i gładkie, by nie łamać sobie paznokci, zwłaszcza po zapłaceniu pięciu dolarów za manikiur. Mama robiła raban, jeśli nie mogła znaleźć swoich rękawic kuchennych, co się czasami zdarzało, jeśli zwędziliśmy je z szafki pod zlewem, gdzie miały miejsce obok preparatu Drano i toreb do odkurzacza. Braliśmy je chętnie do zabawy w przebieranie. Udawałeś, że to wieczorowe rękawiczki, długie, cienkie, atlasowe, jakie Audrey Hepburn nosiła na tych starych filmach, które lubiłeś oglądać.

Mama też miała rękawiczki atlasowe i nakładała je czasami, gdy stroiła się w długą suknię z krótkimi rękawami i wychodziła z tatą wyglądającym jak z igły w smokingu i koszuli z żabotem na doroczny bal stowarzyszenia stomatologicznego.

Wieczorowe rękawiczki, te prawdziwe, mama trzymała w pudełku po butach na samej górze garderoby, za jakimiś rozpadającymi się albumami rodzinnymi, tak że nie mogliśmy się do nich dostać. Więc musieliśmy zadowolić się rękawicami kuchennymi – nigdy nie podziękowała nam za używanie substytutu.

„Jeannie” wkłada swoje rękawice kuchenne, co przywołuje mnie z powrotem do rzeczywistości, obserwuję, jak z trudem wciąga je aż po łokcie, słysząc trzaski naciąganej gumy, tak jak wtedy gdy ty udawałaś Audrey Hepburn. Ale teraz nie chichoczę.

– Rozbieraj się – rozkazuje. – Już!

Unoszę wzrok na Marka i Leroya. Ów cień uśmiechu wciąż tańczy wokół ust Leroya i wydaje się, że jak ziewaniem zaraził nim też Marka. Chciałabym zetrzeć ten wazeliniarski wyszczerz z ich twarzy gumką wielkości piętrowego autobusu. Nigdy w życiu nie rozebrałam się przed mężczyzną. Nie licząc ciebie, oczywiście, ale to nie to samo. Nawet tata nie widział mnie nago, odkąd skończyłam chyba sześć lat.

„Jeannie” podąża za moim wzrokiem i ona też się wyszczerza.

– Wstydzimy się, co? – Podchodzi do drzwi i zamyka je kopnięciem, dwa uśmiechnięte głupki odskakują w porę, unikając rozbicia nosów. – Dobrze, ale pamiętaj, że oni są za drzwiami, więc spróbuj jakiejś sztuczki, a będą tutaj, *o tak*. – Próbuje pstryknąć palcami, ale nie może, oczywiście, w rękawicach, więc zastępczo klaszcze w dłonie, słysząc jakby pluśnięcie.

Kucam, żeby odpiąć moje buty Mary Janes, najpierw na lewej nodze, potem na prawej. Wstaję i chcę po prostu z nich wyjść, ale spocone stopy, bez rajstop, przylgnęły do nich. Ściągam więc każdy but palcami drugiej stopy. „Jeannie” niecierpliwi się i pogania mnie ostrym „pospiesz się wreszcie”, bębniąc odzianymi w gumę palcami jednej ręki o palce drugiej. Moja tartanowa spódnica opada, jak tylko odpinam guzik z tyłu. Nie włożyłam halki, nie było na to czasu. Muszę przeciągnąć twój golf przez głowę, przewracam go na lewą stronę, gdy z nim walczę. Czuję, że moje włosy, po tym jak przejechałam po nich za ciasnym golfem, fruują całe naelektryzowane, jakbym wetknęła palec w kontakt.

Zajmuje mi to mniej niż minutę, po czym stoję tylko w staniku i majtkach, z rękami przyciśniętymi do brzucha.

– Bieliznę też.

Waham się, lecz „Jeannie” przewraca oczami.

– Bieliznę też! – wrzeszczy. – Do cholery jasnej, czy wy nie rozumiecie prostych słów? Jak według ciebie wygląda rewizja osobista?

Przygryzam wargę i dłońmi wykreconymi na plecy rozpaczliwie szukam zapięcia stanika, ale ręce mi się trzęsą i nie mogę odpiąć haftek. Przekładam ręce przez ramiączka i przesuwam zapięcie na przód. Nawet teraz, gdy je widzę, potrzebuję czterech prób, aby rozpiąć obie haftki. Następnie zsuwam majtki w dół, szybko przeciągając je przez kolana oraz stopy, i pozostawiam je na zakurzonej wykładzinie z resztą moich niekoniecznie odświętnych ubrań.

– Szeroko, ręce i nogi. – Tak jakby to było na lotnisku, gdzie ochroniarz przeszukuje cię, jeśli wykrywacz metalu zapiszczy, gdy przechodzisz przez bramkę. Albo w jakimś policyjnym filmie telewizyjnym, na przykład w *Cagney and Lacey*, gdzie policjantkami są kobiety. Tyle że tutaj trwa to dłużej, jest dokładniejsze i bardziej upokarzające, no i rozbierasz się do naga.

Zaczyna od mojej głowy, przeczesując mi włosy niezgrabnymi kuchennorękawicowymi szponami, potem grzebie mi w uszach, a ja zastanawiam się, jak, jak, jak mogłabym ukryć tam jakąkolwiek kontrabandę i co oni w ogóle rozumieją przez tę kontrabandę, jak to wygląda i dlaczego myślą, że mogłabym jakąś mieć. Potem rękawice przejeżdżają po moich policzkach.

Pamiętam, jak mama wpadała w prawdziwą wściekłość, kiedy brała się do zmywania, a jej rękawic nie było na miejscu.

Zamykam oczy i czuję przykry dotyk karbowanej jak plaster miodu powierzchni – to jej prawa ręka, a może lewa, przejeżdża *po mojej twarzy*. Karbowanie jest przecież nie po to, by drapać po twarzach, lecz by się z rąk nie wyślizgiwały talerze, nawet gdy są mokre i śliskie.

– Otwórz usta – rozkazuje „Jeannie”.

Więc otwieram usta i czuję, jak wsuwa się do środka osłonięty palec wskazujący, który sprawdza moje dziąsła, siekacze i trzonowce, przygniata język i grzebie w moich migdałkach – nie, to nie migdałki, tylko takie coś zwisające z tyłu gardła, pokazują to zawsze w kreskówce *Popeye* i to drga cały czas, gdy Olivia Oyl otwiera buzię tak wielką, że mogłaby połknąć cały ekran.

Mama złościła się, gdy niechcący przedziurawiliśmy jedną z takich rękawic, choć ja zawsze uważałam, że powinna była winić za to zęby widelców, a nie nasze małe rączki.

Kciukiem rękawicy kuchennej „Jeannie” uciska mi nos i wdycham zapach gumy, która śmierdzi jak balony i smakuje jak balony; ta rękawica w moich ustach kojarzy mi się ze smakiem nadmuchiwanych balonów urodzinowych, robiliśmy to przez całe popołudnie, żeby były gotowe na przyjęcie w nasze dziesiąte urodziny,

na które przyszły wszystkie dzieci z klasy. I zastanawiam się, czy kondom też ma taki zapach i smak, ale przysięgam, że ja osobiście tego nie wiem, ale wyobrażam sobie, że tak musi być, skoro jest nazywany gumą. Palca już nie ma w moich ustach i jakoś udało mi się nie wymiotować.

Bez względu na przyczynę, jeśli pojawiła się dziura w kuchennych rękawicach gumowych, tych chowanych pod zlewem, to żrące płyny i brud mogły, jak twierdziła mama, przeniknąć aż do kości dziura była równie groźna jak niezakładanie rękawic w ogóle.

Palec „Jeannie” ociekający moją śliną wędruje po moim policzku, dookoła szyi i w dół. A ja zastanawiam się, co dokładnie miałam przed chwilą w ustach i do ilu rewizji osobistych używali tych rękawic i jak je potem czyścili? Gdy o tym myślę, chyba jednak wymiotuję.

Nasza mama zawsze wkładała rękawice kuchenne. Przynajmniej do czasu kiedy rodzina wzbogaciła się o zmywarkę, której ładowanie i rozładowywanie należało do naszych obowiązków.

A nagumowany palec „Jeannie” jest mokry i jedzie w dół po moim mostku i wędruje pod pachy, gdzie zwykle mam łaskotki.

I przychodzi mi do głowy myśl, że może, jeśli zacznę się teraz śmiać, to ona przestanie, że przestanie, jeśli zacznę udawać, że się bawimy w „kto ma większe łaskotki”, może jeśli tak właśnie zrobię, zaskoczę ją i nie będzie tego kontynuować. Ale ona robi swoje.

Potem mieliśmy też sprzątaczkę. Miała na imię Marjorie. Przychodziła dwa razy w tygodniu, więc mama nie musiała wkładać rękawic, bo już nie brała do ręki mopa ani nie szorowała blatów.

I palec „Jeannie” dalej ślimaczy się w dół i sprawdza pod paznokciami, czy nie mam kontrabandy – co to jest kontrabanda, jak mała jest kontrabanda, jak bardzo mikroskopijnych rozmiarów? – i potem objężdża mnie w pasie, prześlizguje się po moim brzuchu, a potem...

Nie mam zamiaru krzyżeć ani siusiać, ani wzdragać się, ani płakać, ani kichać czy błagać – ...a potem kopie głęboko w moje włosy łonowe i głębiej, głębiej i jeszcze dalej.

Nasza matka ma śliczne miękkie dłonie.

Mam zamknięte oczy.

I mam, przysięgam, jestem dziewicą.

Rozdział 8

Mam takie jedno wspomnienie, które snuje się w eterze wczesnego dzieciństwa. Byliśmy dwulatkami, raczej trzylatkami. Wydobyłam je z pamięci później, pod wpływem czegoś, co moja najlepsza przyjaciółka Cindy Gregory powiedziała mi w siódmej klasie. Cindy miała ekscentryczną starą ciotkę imieniem Anastasia, która śmierdziała jak środek do odstraszania komarów i nosiła wielkie, masywne pierścienie z kamieniami wielkości kryształowych kul. Była astrologiem, a także jasnowidzem, i od niej Cindy dowiedziała się, a ja od Cindy, że każdy powinien znać porę dnia, w której się urodził. Ona, Anastasia, uważała, że to nadzwyczaj ważne. Jeżeli nie znasz dokładnego czasu, powiedziała, nie uzyskasz nigdy trafnego horoskopu, bo nie da się ustalić odpowiadającej ci konstelacji gwiazd. Coś w tym rodzaju.

Zawsze mnie trochę irytowało, że mama nie zapamiętała czasu i innych detali. Nigdy nie wciągnęliśmy się w astrologię, więc z tego punktu widzenia nie uważaliśmy tej niewiedzy, jak sądzę, za nieszczęście. Mówię o tym dlatego, że ten incydent z Cindy i Anastasia wywołał w mojej pamięci szczególne wspomnienie.

Nie mogliśmy jeszcze wtedy być w takim wieku, żeby dobrze mówić, ale kiedy sobie przypominam tę scenkę, pamiętam, że potrafiliśmy się porozumiewać, przynajmniej ze sobą. Jakby komiksowe chmurki wyskakiwały z naszych głów, tylko że wyłącznie my dwoje je widzieliśmy. Nawet mama nie mogła ich zobaczyć, co wkurzało ją, tak myślę, bo zawsze błędnie interpretowała to, co snuło nam się po głowach. Umieliśmy też czytać, tak jak ja to pamiętam. Byliśmy bystrymi młodymi istotami, choć nikt poza nami o tym nie wiedział.

A więc oto jesteśmy, mali Einsteinowie, i jesteśmy z mamusią – bo mówiliśmy do niej wtedy „mamusiu” – jesteśmy w markecie A&P, przy kasie. Są tam wyłożone wszystkie rodzaje batonów i miętówek, gumy do żucia i tanie kieszonkowe książeczki, aby zająć czymś klienta, bo kasjerzy w tych A&P to odrzuty ze szkół wyższych i kolejki są tam zawsze długie.

Czuję, że zaraz będę marudzić, i chcę batona, ty też jesteś znudzony. Znudzony na krótko, bo w jednej chwili zaciekały cię oprawione w spiralę książeczki z tandetnego kartonu, który łatwo mięknie w ustach. Zaczynasz kartkować tę z obrazkiem dzikiego, ale przyjaźnie wyglądającego lwa. Lew jak Aslan z *Opowieści z Narnii* – tylko że nie mogliśmy tego wiedzieć, bo choć umieliśmy czytać już wtedy, komplet książek CS. Lewisa kupił nam tata dopiero, jak skończyliśmy

dziewięć lat.

– S-I-E-R-P-I-E-Ń – mówisz mi. – Sierpień to my.

– Tak. Bardzo dobrze, Joshua, to tatuś – wtrąca się mamusia, która jak zwykle wszystko źle rozumiała. – Jaki dobry chłopiec, pamięta o urodzinach tatusia.

Ale kiedy wpychasz do buzi róg książeczki, żeby sprawdzić, jak smakują te urodziny taty, mamusia wrywa ci ją z ręki.

– To niedobre, to jest be. – Odkłada książeczkę na stojak i przegląda inne, mamrocząc coś do siebie. Wyciąga jedną, nieciekawie wyglądającą, bo na obrazku widać tylko jakąś panią. – O, dwudziesty piąty sierpnia. To wy.

Krzywię się.

– Ta mi się nie podoba.

Mamusia nie słyszy.

– Virgo, Panna. To wy.

– Co to jest panna? – pytasz, rozczarowany tak samo jak ja, że nie możemy być takim wspaniałym lwem. Dlaczego tatuś może być lwem, a my musimy być jakimś leniwym starym babsztylem leżącym na szezlongu?

– Virgo. Nie podoba mi się.

– Głupio się nazywa. – Wrywasz książeczkę z rąk mamusi i w ramach protestu zaczynasz ją obśliniać.

Za nami w kolejce stoi pani. Stoi, nie leży, a więc nie może być Panną. Tak czy inaczej, chichocze i przymila się.

– Urocza parka. Czy to bliźnięta?

Rozdział 9

Workowate brązowe sztruksy z Kmartu są o jakieś trzy rozmiary za duże. Sfałdowały mi się w kostkach, ale nie opadają, bo coś je podtrzymuje. To coś to „Jeannie”. Zdjęła te cholerne rękawice kuchenne – już nigdy więcej nie skojarzę ich z Audrey Hepburn i zabawą z tobą w przebieranki w ciepłe jesienne popołudnia, tak słoneczne i leniwe, że widzieliśmy pyłki unoszące się w powietrzu – i przewlekła palce przez tylne szlufki moich sztruksów. Podciąga je teraz tak wysoko, że czuję jej kciuk na poziomie łopatek. Obszerne nogawki ocierają się o siebie i szeleszczą pomiędzy moimi nogami, gdy wyprowadza mnie z miejsca mojego upokorzenia. Poinstruowała mnie, że moje prawdziwe ubranie, z wyjątkiem stanika i majtek na zmianę, mam zostawić w pokoju.

Kazała mi oddać mojego swatcha, a nawet aparat ortodontyczny. Nic z drutu, nic metalowego, żadnej biżuterii, pasków czy spinek do włosów. Gumki i wiązania do włosów są OK, powiedziała – jej irytujący koński ogon dyndał jako dowód – ale ja nie miałam nic takiego, więc moje naelektryzowane włosy pozostały w nieładzie. Nie obchodzą mnie spinki czy aparat – nie ma czego żałować – ale strata zegarka to dla mnie cios. Normalnie bym wrzeszczała, wydzierała się i rzucała na każdego, kto by próbował mi go odebrać, ale nie jestem już zdolna do żadnego protestu przeciwko czemukolwiek.

Jestem cicha i ponura, gdy „Jeannie” wyprowadza mnie stamtąd, przechodzimy obok Marka i Leroya, którzy do nas dołączają, idziemy ciemnym i niskim korytarzem, mijamy inne małe, puste pokoje, jak ten mój, i pokoje zamknięte, z tabliczkami na drzwiach, aż docieramy do dużego holu, miejsca spotkań. To główna, magazynowa część budynku, odpowiednio wysoka, jarzeniówki buczą daleko w górze na żelaznych mocowaniach. Od razu rozpoznaję to pomieszczenie. To tu przychodziliśmy na Spotkania Otwarte, kiedy ty uczestniczyłeś w programie. W każdy piątkowy wieczór, bo nikt z nas nie miał nic innego do roboty w piątkowy wieczór, mama, tata i ja wchodziliśmy do tego pomieszczenia, rządkiem, razem z pozostałymi rodzicami, siostrami i braćmi, i była to jedyna okazja zobaczenia ciebie. Siedziałeś na wprost wejścia z innymi... – w rzędach krzeseł, chłopcy z jednej strony, dziewczynki z drugiej – z innymi... kolegami, pacjentami, klientami? Z fazowiczami, takiego terminu tu używali.

Siedziałeś zwykle w tylnym rzędzie po stronie chłopców, ale czasami też w pierwszym, drugim albo trzecim, zawsze policzyłam, i patrzyłeś przed siebie, na

naszą wspólnotę rodzin. Co tydzień próbowałam napotkać twój wzrok. Choć nas było znacznie więcej, byłam pewna, że wyczuwałeś, kiedy wchodziłam, i dokładnie wiedziałeś, gdzie siadam. Ale jeśli tak było, nigdy nie dałeś tego po sobie poznać, nigdy nie popatrzyłeś na mnie wprost ani się do mnie nie uśmiechnąłeś, ani mi nie pomachałeś, ani nie wysłałeś komiksowej chmurki, żebym odczytała twoje myśli, ani nie wykonałeś ręką żadnego z naszych sekretnych sygnałów, jak pocieranie nosa trzema palcami czy wachlowanie ręką w poprzek podbródka, czy choćby „kciuki w górę” Fonziego.

Dzisiaj fazowicze znowu są tu zebrani, lecz tylko z jednej strony sali, bo ją przedziela do połowy zaciągnięte harmonijkowe przepierzenie. Nie siedzą w idealnie równiutkich kukurydzianych rzędach jak wy, ale dziewczęta i chłopcy są rozdzieleni. Krzesła ustawiono w rodzaj elipsy, chłopcy tworzą łuk po prawej stronie, dziewczęta ich lustrzane odbicie po lewej. Żeński łuk jest nieco krótszy od męskiego, przez co starannie opracowany układ wygląda dziwnie niesymetrycznie. Wodzę oczami po rzędach sekcji chłopców. Od lewej do prawej, od lewej... Niektóre twarze wyglądają znajomo, ale nie mam pewności. Na pewno jednak żaden z nich nie chodzi do naszej szkoły, do JFK High.

Siedzących otacza mniej liczna grupa chłopców i dziewcząt, którzy stoją – wyprostowani, w postawie Mark-Leroy – na warcie: nogi szeroko rozstawione, ręce splecione z tyłu, tuż poniżej pasa. I znowu widzę Hilary, jest w samym centrum i niczym wieża góruje nad wszystkimi głowami, siedzących i stojących, a jakiś młody człowiek z przylizanymi do tyłu blond włosami, o wyglądzie kojarzącym mi się z klimatem muzyki *Teenbeat*, kręci się u jej boku.

Kiedy wchodzimy do pomieszczenia, fazowicze skandują: „...sporządzić listę wszystkich osób, które skrzywdziliśmy, i dać im natychmiast zadośćuczynienie, jeśli to tylko możliwe”. „Teenbeat” energicznie przytakuje głową, prawą dłonią wymierza lewej cios karate i krzyczy:

– Teraz Siódmy!

Zanim grupa zdążyła odpowiedzieć, dostrzegła mnie Hilary. Chwyta za gwizdek, na co kilka fazowiczek, zaskoczonych przenikliwym gwizdem, wzdryga się i podnosi w górę dłonie, jakby chciały zasłonić uszy. Ale widać rozmyślają się w połowie drogi i pozwalają rękom opaść z powrotem na kolana.

– Przybycie nowicjusza! – obwieszcza Hilary, po czym Mark i Leroy odklejają się od nas, a „Jeannie” popycha mnie wąskim przesmykiem między krzesłami do środka koła.

Wszystkie oczy zwrócone są na mnie, również pana Teenbeata. Mierzy mnie

wzrokiem od naelektryzowanych końców moich włosów po czubki moich butów Mary Jancs, które są ledwo widoczne pod akrami sztruksu. Przez jeden beat-akord lub dwa kontempluje skórzane wykończenia czubków obu butów, a potem chwytam mnie z tyłu za nogawkę i wzdycha ciężko. Widok moich obcasów wydaje się dla niego bolesny.

– Będzie potrzebowała nowych butów – z dezaprobata zwraca się do „Jeannie”.

– W torbie nie było żadnych butów.

– Czyj to problem?

Szczęka „Jeannie” sztywnieje.

– Mój.

On ocenia następnie moją klatkę piersiową, patrząc z góry w miejsce, gdzie widać by było rowek między piersiami, ale mam na szczęście na sobie tę głupią bluzkę.

– Sprawdziłaś też jej stanik? Pamiętałaś o fiszbinach?

– Tak – stwierdza „Jeannie”, choć obie, ona i ja, wiemy, że to kłamstwo. Sprawdziła mnóstwo rzeczy tymi swoimi rękawicami kuchennymi, ale stanika akurat nie. Pan Teenbeat, najwyraźniej nieprzekonany, patrzy pożądliwie na mój biust. Czy złapie mnie za piersi i sprawdzi osobiście? Może wsadzi mi pod koszulę jedną z tych swoich łap i pomaca? I nie będzie niczego pomiędzy jego rękami a moją skórą, pomiędzy jego paznokciami a moimi brodawkami. Instynktownie zaciskam ramiona na piersiach i wtulam się w zagięcie łokcia „Jeannie”.

– Jest nakaz, by nie zapominać o fiszbinach – strofuje.

Ramię „Jeannie” sztywnieje, gdy odpowiada:

– Tak, Dwight, nakaz.

Dwight, więc ma na imię Dwight, machnięciem ręki zwalnia „Jeannie”, która puszcza moją szlufkę i wycofuje się, by zająć miejsce stojące. Pod osłoną moich za dużych spodni zaciskam i rozluźniam pośladki, próbując złapać w szwie opadające spodnie, ale nie udaje mi się tego zrobić, za to Hilary już je ciągnie w górę za szlufkę.

Dwight odwraca się do reszty grupy.

– Kto z was chce nam przypomnieć zasadę dotyczącą obuwia?

Fazowicze wariują, słysząc pytanie. Zaczynają podskakiwać na krzesłach i machać rękami. Początkowo ich reakcja przypomina mi Normana Macalistera, zdolnego lizusa z drugiej klasy (i trzeciej, i czwartej, i piątej, i tak dalej), którego ręka zawsze wystrzelała pod sam sufit za każdym razem, gdy nauczyciel zadawał klasie jakieś pytanie. Nie mógł wytrzymać nawet minuty, nie odgrywając roli

pupilka nauczyciela, mały kujon. Nienawidziłeś go.

Ci jednak, niby-nadgorliwcy w typie Normana, sprawiają wrażenie mechanizmów. Gdy Dwight kroczy wokół, zastanawiając się, kogo wywołać, ich gestykulacja staje się bardziej zawzięta. Wymachują rękami w różne strony, z lekko zróżnicowaną szybkością, ale wszyscy coraz szybciej, szybciej i mocniej, dłonie łopoczą w górę, gdy ramiona jak pompy idą w górę i w dół, jedno przy drugim. Łokcie trafiają w twarze sąsiadów, ale nikt nie zwalnia. Niektórym czoło czerwienieje i wilgotnieje od potu, ale oni nie przestają. Machają, pompują i łopoczą jak... jak dzikie ptaki albo nie wiem co.

– Co oni, u licha, robią? – mówię ot tak, do nikogo konkretnego, nie oczekując, że ktokolwiek mnie usłyszy w tym harmidrze. Ale Dwight słyszy i sztyletuje mnie wzrokiem, i wszyscy inni też słyszą i przestają wymachiwać tak nagle, jak zaczęli. Fazowicze patrzają na mnie osłupiali.

– Czy ktoś zadał mi pytanie? Czy właśnie usłyszałem jakieś pieprzone pytanie zakłócające porządek? Jestem pewien, że tak. – Odsapnął głośno, żeby nikt z obecnych nie miał wątpliwości co do jego zaskoczenia. – Ale przywróćmy porządek, dobrze? – Dwight wskazuje chłopca w pierwszym rzędzie jakby nieżywego z wyczerpania. – Jim P., przypomnij nam zasadę dotyczącą obuwia.

Jim P. skacze na równe nogi.

– Buty mają służyć wyłącznie do chodzenia. Żadnych znaków firmowych i narkotykowych symboli! Żadnych obcasów! Żadnych sznurówek!

– Dziękuję, Jim. Możesz usiąść.

Jim P. siada.

– A skoro pytanie już zostało zadane, zajmijmy się nim też. Kto chce powiedzieć tej małej nowicjuszcze... – wypowiada to słowo tak, jakby faktycznie miał na myśli kretynekę albo szumowinę, albo coś jeszcze gorszego – co wy takiego robicie. – Znowu wymachiwanie rękami, póki Dwight nie wskaże tym razem na dziewczynkę.

– Beth C.

– Dwight. Motywujemy się, by uzyskać przywilej udzielenia odpowiedzi na twoje pytania.

– I?

Beth C. zastanawia się.

– I?

– I co jeszcze?

– Ee... Ee... iii... dzielimy się uczuciami z innymi w grupie?

– Tak. I dzielimy się uczuciami z innymi w grupie. Dziękuję Beth. – A teraz, kto wyjaśni zasadę dotyczącą odzywania się do przełożonych, którą ta osoba tak rażąco złamała?

Las wirujących rąk. Krzesła szurają głośno po podłodze, gdy grupa się motywuje.

– Luisa?

– Nowicjuszowi nigdy nie wolno odzywać się bezpośrednio do personelu, jeżeli nie jest o to proszony.

– Dziękuję, Luiso. – Dwight zatrzymuje się przede mną. – Myślę, że skoro nasza nowicjuszka jest tu zupełnie świeża, przymknijmy oko na jej błąd. Na razie.

– Robi dramatyczną przerwę dla lepszego efektu. – Hilary, twoja kolej.

Hilary, szarpnąwszy za szlufkę, popycha mnie do przodu, a ja, nie spodziewając się tego, omal nie tracę równowagi.

– To jest Justine. Ma piętnaście lat i była uczennicą Kennedy High School tutaj, w Carrefour.

Była uczennicą Kennedy High. To mi się w ogóle nie podoba. Ja *jestem* uczennicą Kennedy High School, chcę wykrzyknąć, do tego mam prawie najwyższą średnią w klasie, zaliczam z wyróżnieniem semestr po semestrze już drugi rok, jestem sekretarzem szkolnego towarzystwa dramatycznego, jestem w zespole cheerleaderek i w drugiej reprezentacji college'u w koszykówce, i osobą, kurczę, raczej popularną. I ja, do cholery, tutaj nie pasuję.

– Czy ktoś zna Justine?

Tylko jedną rękę widać w górze w odpowiedzi na to pytanie. Duże muskularne ramię, pracujące miarowo jak tłok, z przedostatniego rzędu na łuku chłopców.

– Earl – wywołuje Hilary.

I Earl podnosi się ciężko. Jest mi znajomy. Wiem, że widziałam tę twarz, ale nie mogę sobie przypomnieć gdzie.

– Znam ją – zeznaje Earl. – Ćpałem z nią kiedyś.

– Kłamca! – protestuję z wrzaskiem, ale gdy w nagrodę dostaję od Hilary kuksańca w plecy i kolejne szarpnięcie za szlufkę, przypomina mi się przykry przebieg badania rękawicą kuchenną.

– Tak było – kontratakuje Earl. – Paliliśmy skręty na tylnym siedzeniu samochodu mojego kumpla od narkotyków.

Gruby! Nie ma kolczyka, za to przybyło mu sporo kilogramów, ale to on, na pewno on. A więc stąd wiedzą o tym, o tym jedynym razie.

– Pojechała kiedyś z nami w nocy z jej bratem, jej bratem bliźniakiem.

Dwight przygląda mi się jeszcze uważniej.

– Joshua Z. – uświadamia sobie.

Następuje zbiorowe wstrzymanie oddechu. Na dźwięk twojego imienia wszyscy przyglądają mi się na nowo. Jedni zaciekawieni, inni zdezorientowani. Widzę, jak szukają śladów ciebie na mojej twarzy, próbują odczytać twoje rysy w moich. Powiązać nas ze sobą, dopasować.

– Druga połowa mojego małego Josha Z.? – cmoka Dwight.

Nie podoba mi się sposób, w jaki wymawia twoje imię, jakby je przeżuwał czy coś w tym rodzaju. I nie podoba mi się to zaciąganie przy Z, Zeee... jakby miał powiedzieć „zez”.

– Zgadza się – potwierdza Earl. – Ćpałem z nią i jej bliźniakiem narkomanem.

– To nie było tak – protestuję – wcale nie tak.

Czekam, żeby Hilary się wtrąciła i zaszczebiotała swoje „Jesteś pewna?”, ale ta nie odzywa się, za to Dwight oznajmia z przekazem:

– Nigdy nie jest.

– Dziękuję, Earl – mówi Hilary. – Kto chciałby teraz powitać Justine w programie? – Las wirujących rąk w górze. – Emily.

Emily wstaje z krzesła.

– Nazywam się Emily. Mam szesnaście lat i jestem alkoholiczką i narkomanką. Witaj w programie Come Clean, Justine! Modlę się, żebyś znalazła taki sam spokój i ukojenie jak ja dzięki Najwyższemu i programowi!

– Dziękuję, Emily. Justine, możesz usiąść. – Jeden z wartowników wysuwa do przodu krzesło, Hilary obdarza mnie szturchnięciem, siadam.

Dwight klaszcze w ręce, jakby uderzał w cymbały.

– Dobrze, fazowicze, chyba możemy kontynuować ćwiczenia. Na czym skończyliśmy, na czym skończyliśmy? – Las wirujących rąk. – Simon G.

– Dwight, byliśmy przy Kroku Siódmym. – I fazowicze skandują chórem: – „Dążymy poprzez modlitwę i komunię do poprawienia kontaktu z Najwyższym i do przekazania Jego woli innym uzależnionym”.

– Bardzo dobrze – mówi Dwight.

– Bardzo dobrze – wtóruje Hilary.

Rozdział 10

„Jeannie” nie ma na imię Jeannie, tylko Gwen. Tego odkrycia i kolejnego, że dalsza część dnia wcale nie będzie łatwiejsza, dokonuję w tym samym czasie. Otóż pod koniec ćwiczeń odbywa się odprawa. *Roli and dole*, jak nazywa to Dwight.

– *Roli and dole!* – wrzeszczy i przez milisekundę myślę, że to komenda. Jak w szkole podstawowej, gdy nauczyciele... panna Fawcett albo pani Wolf, albo pan Newhouse czy ktoś inny, kto prowadził z nami ćwiczenia przeciwpożarowe... krzyczeli: *Drop and roli!*, czyli „padnij i turlaj się”, bo to właśnie mieliśmy robić, na wypadek gdybyśmy kiedykolwiek znaleźli się w płomieniach. Mieliśmy natychmiast paść na podłogę i turlać się jak kłody, żeby zademonstrować pannie Fawcett, panu Newhouse czy komu tam, że potrafimy to zrobić bez namysłu, nawet w kryzysowym momencie. Nie mieliśmy w zasadzie problemów z padaniem i turlaniem się, z wyjątkiem przypadków, kiedy Wayne Westbrook, zanim zdążyłam mu pogrozić, pluł daleko przed siebie i nie było sposobu, żeby ktoś nie przeturlał się przez tę spienioną kałużę i nie zebrał na siebie tego plugastwa. Co nie było zabawne.

Ale jeśli *roli and dole* jest komendą, nikt tu nie reaguje na nią zbyt szybko. Tyłki fazowiczów pozostają przyspawane do siedzisk, dopóki Hilary nie znika i nie pojawia się ponownie ze swoimi notatkami, które wręcza Dwightowi. On zaczyna wyczytywać imiona:

– Anna A. z Lizą M., Andy C. z Gregiem A., Beth D., z Jennifer J., Brad z Erikiem H. – Zaczyna się ruch wokół, dziewczęta stojące z tyłu opuszczają swoje miejsca, wkrótce każda trzyma za szlufkę dziewczynę stojącą przed nią. Te z przodu wyglądają na bardziej przerażone.

Moje imię jest wywołane jako jedno z ostatnich.

– Justine Z. z Gwen – krzyczy Dwight i oto znowu pojawia się „Jeannie”. Podbiega, z ponurym grymasem na twarzy. Gdy chwyta mnie za szlufkę, Dwight kładzie jej rękę na ramieniu. – Chcę, żebyś zajęła się tymi butami, Gwen – mówi, po czym pochyła się ku niej i przygważdżając ją pełnym wyrzutem spojrzeniem, kończy: – Żeby to było po raz pierwszy i ostatni.

Góry męskich i żeńskich okryć zimowych piętrzą się na szlaku do drzwi wyjściowych i przywodzą mi na myśl bezpieczeństwa stopy ubrań zdartych z Żydów, pokazywane w filmie dokumentalnym o obozach koncentracyjnych; oglądaliśmy go kiedyś na PBS. Żałuję, że nie pozwoliłam mamie przyszyć metki z nazwiskiem

do mojego kołnierza, jak to robiła, kiedy byliśmy mali, bo tutaj moja kurtka to jedno z wielu czarnych, ciepłych okryć, igła w stogu siana, i wątpię, czy uda mi się ją odnaleźć. Gwen nie ukrywa, że nie ma to dla niej najmniejszego znaczenia. Wręcza mi kurtkę z wierzchu najbliższej sterty – jakąś starą kurtkę, czyjaś kurtkę bez jednego guzika i, jak odkrywam, z kieszeniami bezużytecznymi z powodu dziur wielkości pięści – i popycha mnie dalej.

Wychodzimy z tyłu budynku, gdzie jest większy parking i zator z samochodów, rodziców i dzieci, z których każde jest na uwięzi dyskretnego uchwytu za szlufkę przy spodniach. „Jeannie” – to znaczy Gwen – kieruje mnie w stronę czterodrzwiowego jasnobezowego sedana i wpycha na tylne siedzenie, moja głowa zderza się z framugą drzwi, gdy próbuję wmanewrować swoje ciało na miejsce. Za kierownicą siedzi mężczyzna, który, jak przypuszczam, jest tatą Gwen, ale nie wysiada z samochodu ani się nie odwraca, by się z nami przywitać.

– Zapiąć pasy – mówi, gdy włączamy się w strumień wyjeżdżających z parkingu samochodów.

Gwen go ignoruje, więc ja też, ale po jakiejś sekundzie ona warczy:

– Nie słyszałaś mojego ojca? Powiedział „zapiąć pasy”. – Sama sięga po mój pas, wyciąga go i przekłada przez mój tułów, przypina, zaciągając tak mocno, jak tylko się da. To jeden ze starych typów, który przytrzymuje tylko w pasie, a nie przez klatkę piersiową, więc przynajmniej nie wrzyna mi się w szyję.

Po około dwudziestu pięciu minutach jazdy Gwen odzywa się, każąc mi zdjąć buty i stanik. Ręce już mi się nie trzęsą tak bardzo, więc udaje mi się rozpiąć haftki na plecach, ale upewniam się, czy tata Gwen nie podgląda, zanim zacznę mocować się z bluzą, by wyciągnąć stanik przez rękaw. Gwen wyrzywa mi go z rąk, zabiera też buty, moje buty Mary Janes.

– Jeżeli powiesz komuś o fiszbinach – oznajmia, odkręcając w dół szybę swojego okna – jeżeli puścisz choć jedno słowo, przyrzekam, zabiję cię.

Nienawidzę, kiedy ludzie mówią takie rzeczy. Wypowiadają je tak, jak gdyby komentowali pogodę. Mówią: „zabiję cię”, „zamorduję cię”, „wolałabym umrzeć”, „chciałabym już nie żyć i być pochowana głęboko”, a przecież tak nie myślą, nie chcą tego. Może Gwen mówiła poważnie, ale wątpię. Nie ma takiego zamiaru, mało prawdopodobne, ale mimo wszystko wzdrygnęłam się, gdy to usłyszałam, bo na pewno miała na myśli coś nienawistnego, gdyż zaraz potem wyrzuciła moje rzeczy za okno wprost pod mijające nas samochody.

Nie mogę uwierzyć, że to zrobiła, nie spodziewałam się tego i nie uczyniłam

nic, aby temu zapobiec. Teraz jest za późno. Odwracam się i patrzę, jak moje buty Mary Janes i stanik z fiszbinami znikają w oddali. Buty turlają się na pobocze drogi, jeden ląduje w kałuży podeszwą do góry, stanik przez sekundę dryfuje na wietrze za samochodem, a potem zostaje wciągnięty pod ubłocone koła auta dostawczego. Chyba kwiaciarni. Ogarnia mnie smutek. To były ostatnie rzeczy, które należały do mnie.

Ojciec Gwen zachowuje się tak, jak gdyby nic nie zauważył. Wzrok ma wlepiony w drogę przed nami. Nie wyobrażam sobie, żeby mój ojciec nie miał nic do powiedzenia w takiej sytuacji. Krzyknąłby chociaż: „Znasz zasady. Żadnego śmiecenia”. A mama by powiedziała: „Nikt z Zieglerów, moja droga, nigdy nie zaśmieca dróg publicznych”. Po tych słowach zawsze miałam ochotę zapytać – odkąd byłam dość duża, by rozumieć, o co chodzi z pokoleniami i jak jedna rodzina przekazuje drugiej pałeczkę – czy Shirlandowie zaśmiecają drogi? Być może świadomość obywatelska jest cechą, którą mama nabyła po ślubie? Chyba powinnam kiedyś zapytać babcię Shirland, jakie nawyki miała mama w kwestii śmiecenia.

Kiedyś, pamiętam, podczas jakiejś podróży samochodem, może była to jedna z naszych corocznych wypraw do babci i dziadka Shirlandów, dziadek żył wtedy jeszcze, ty wyjąłeś kawałek gumy, którą żułeś od jakichś pięciu godzin, zawinałeś ją w skrawek papieru oderwanego z rogu książeczki do kolorowania z Kaczorem Donaldem, w której właśnie rysowałam, odkręciłeś swoje okno i otworzyłeś palce, wypuszczając na wiatr paczuszkę z lepką gumą. Pamiętam, jaki byłeś zachwycony, kiedy powietrze zawirowało, oderwało ją od twojej dłoni i porwało. Ale gdy tylko tata zorientował się, co zrobiłeś, ostro zjechał na pobocze i kazał ci podnieść to, co „niechący upuściłeś”. Oczywiście guma już znikła bez śladu, pewnie wchłonęła ją krata czyjejs chłodnicy, a byliśmy na międzystanowej autostradzie i nie było mowy, żeby mama pozwoliła ci wbiec tam i lawirować między samochodami, pod żadnym pozorem, choćby nie wiem jak wartościowa miałaby być taka lekcja. Była to tylko groźba, ale przez ułamek sekundy uwierzyliśmy mu. Potem oboje pomyśleliśmy, że w ogóle ci się upiekło. Tata powiedział jednak, że za karę masz posprzątać wszystkie inne porzucane na poboczu odpadki. Więc przez pięć minut biegałeś po przydrożnym rowie, wdrapując się na jego strome brzegi i zbierając stare papierki po cukierkach, puszki po napojach i styropianowe tacki po fast foodach. Pomagałam ci. A potem tata kazał ci siedzieć z całym tym śmietnikiem na kolanach aż do następnej stacji benzynowej, gdzie wreszcie mogłeś wyrzucić go do pojemnika na odpadki. „Który jest tym jedynym miejscem, gdzie

mają trafiać śmieci” – wygłosiła mama, jakbyśmy jeszcze nie pojęli.

Chcę przyłożyć tej Gwen za śmiecenie i za wyrzucenie moich butów i stanika. Potem przypominam sobie, że mam jeszcze na sobie własne majtki, i ten fakt mnie uspokaja – choć nie są to moje ulubione majtki i choć wkrótce minie, o zgrozo, aż trzydzieści sześć godzin, odkąd jej włożyłam. Ciągle mam coś swojego. Nie wypuszczę ich z rąk, jakby były najdroższe sercu.

Gdy zajeżdżamy na miejsce, dom skrywa już wieczorny mrok, widzę tylko, że ma dwa piętra, a podjazd zakręca i prowadzi na tył. Nie jest mi wcale lekko, gdy wysiadam i odkrywam, że droga do drzwi jest wysypana kamyczkami. Próbuję stąpać delikatnie i powoli, ale Gwen to nie odpowiada. Krzywię się z bólu, kiedy przegania mnie truchtem po tych najostrzejszych.

Wchodzimy, stół jest nakryty do obiadu. Na stole są klopsy, słodka kukurydza, sałata, a przy stole mama i tata Gwen oraz nadąsana młodsza siostra, która przygląda mi się podejrzliwie. Dziesięcio- lub jedenastoletnia, jak sędzę. Tata Gwen jest chudy, ciemny i z wyrazem znużenia na twarzy, mama ma włosy rude jak Gwen, ale jaśniejsze i w gęste loczki po trwałej. Jest okropną kucharką. Nigdy nie lubiłam klopsów na bułce, ale te są najgorsze. Rozlatują się i ociekają sosem, którym nasiąka bułka, aż wszystko zamienia się w kleistą papkę wążącą za paznokcie.

Tak bardzo chce mi się pić. Klopsy jeszcze pogorszyły sprawę, bo gotowały się widać w ostrym sosie i cholernie przydałaby mi się szklanka wody.

– Czy mogłabym dostać szklankę wody? – pytam mamę Gwen.

– Czy ktoś coś do ciebie mówił?! – warczy Gwen.

– Nie, ja tylko chciałam szklankę wody.

– Nie możesz się odzywać, dopóki ktoś nie odezwie się do ciebie. Zrozumiałaś?

– Ja tylko...

– Zamknij się wreszcie!

– W porządku Gwennie – przerywa jej mama. – Mogę przynieść szklankę wody, to nie problem.

– Pozwolisz mamó. Ja się tym zajmę.

– Ale ja tylko...

– Mleko. Proszę. Picie! – skrzeczy Gwen i z impetem stawia przepelnioną szklankę na moją matę, tak że mleko rozlewa się na talerz, ochlapuje mi ręce i rękawy bluzy w kropki. Wszyscy mi się przyglądają, gdy wycieram ręce do sucha serwetką, i potem, gdy piję mleko. To pełnotłuste mleko i nie stało w lodówce; ma temperaturę pokojową, smakuje jak śmietanka. W moim domu używa się tylko

odtłuszczonego mleka, tylko lodowato zimnego i właściwie tylko z płatkami. Pije jeszcze trochę, ale mleko ścina mi się na języku i jeszcze bardziej chce mi się pić. Pakuję do ust pełny widelec kukurydzy i wszyscy pozostali też wracają do jedzenia.

Gwen czeka, aż wszystkie usta są napełnione, i dopiero wtedy obwieszcza:

– Sesja rodzinna! – Jej mama i tata wymieniają całkiem nieentuzjastyczne spojrzenia. – Czyja kolej?

– Nie wiem, Gwennie – mówi jej mama, ściągając z wargi spierzchniętą skórkę. – Twoja?

– Chcielibyście. Nie. Wydaje mi się, że taty.

– Nie dzisiaj, Gwen. To był długi dzień – mówi tata.

– Tym bardziej. I jest twoja kolej.

– Nie dziś.

– Dzisiaj, jutro, każdego wieczoru.

– Burt, może powinieneś jednak spróbować – nalega mama.

– Co, u diabła, mam wam powiedzieć?

– Powiedz nam, co ci się dzisiaj przydarzyło? Do diabła, nie będziecie chciały tego słuchać. Przyznaję, że ja rzeczywiście nie mam ochoty i nie wygląda na to, żeby mama i siostrzyczka miały. Ale Gwen napiera dalej i udaje jej się wyciągnąć z taty jakąś mdławą historię o drobnym upokorzeniu, jakie go spotkało w ciągu tego długiego dnia. O ile dobrze wnioskuję, tata Gwen pracuje w jakiejś fabryce, gdzie jest kierownikiem jakiegoś działu i dzisiaj powiedział swojej załodze, że mogą mieć o piętnaście minut dłuższą przerwę na lunch, za to, że tak dobrze przybijali czy spawali, czy piłowali, ale gdy upłynął zwykły czas lunchu, przywłókł się główny szef i zobaczył oto, że ludzie się obijają popijają z termosów, chrupią jabłka i tak dalej, więc pyta tatę Gwen, czemu ci ludzie się obijają, do pioruna, i zmienia jego decyzję, i wysyła wszystkich z powrotem do pracy, i zabiera im po pięć minut z następnej przerwy.

– I jak się wtedy czułeś, tato?

– A jak mogłem się czuć według ciebie?

– Nie wiem, powiedz mi.

– Czułem się jak dupiek. Wszyscy moi ludzie myślą, że jestem żalonym, nic niewartym dupkiem.

– Wspaniale, tato, naprawdę wspaniale – mówi Gwen, ściskając palce jego dłoni. – Dziękuję, że się tym z nami podzieliłeś.

– Czy mogę dziś obejrzeć *Happy Days*? – pyta młodsza siostra, ugniatając

widelcem resztki swojej bułki.

– Wiesz, że nie.

– Ja chcę oglądać *Happy Days*. Mamo, dlaczego nie mogę oglądać *Happy Days*?

– Żadnej telewizji. Nie wtedy, kiedy my jesteśmy w domu – przypomina jej Gwen z kciukiem wycelowanym w moją stronę. – I przestań wymieniać ten tytuł.

– To nie fair. W ogóle nie mogę oglądać teraz żadnego z moich programów. Tato, to nie fair.

– To łamanie zasad – oświadcza Gwen.

– Ja chcę oglądać *Happy Days*. Ja chcę oglądać *Happy Days*.

– Trish, ostrzegam cię, lepiej się zamknij i przestań wymieniać tę narkotykową nazwę albo doniosę na ciebie i usłyszysz to i owo na najbliższej sesji dla rodzeństwa.

– Cicho, Trish – błaga mama nagłym szeptem.

– Żadnej telewizji – Gwen wali nożem w swój talerz, jakby go chciała rozbić. – I lepiej nie włączaj też tego swojego radia. Nie myśl, że nie wiem, kiedy to robisz. Słyszę przez ścianę.

– To nie fair.

– Cicho, Trish – prosi mama.

Zaraz po obiedzie Gwen mówi, że już czas szykować się do spania. Prowadzi mnie do łazienki na ablucje – to jedno z twoich ulubionych słów, bo brzmi jak odgłos kichania i beknięcia jednocześnie, jak to bardzo trafnie ująłeś – gdzie czekam, żeby wyszła, ale ona nie wychodzi. Wyciska pastę na swoją szczoteczkę i wtyka ją do ust, a jednocześnie ściąga majtki i siada na sedesie.

– Nie stój tak – mówi z ustami pełnymi piany – nie mamy całej nocy. Tam na blacie jest zapasowa szczoteczka. Ta niebieska.

Niebieska szczoteczka jest sfatygowana, niewątpliwie była używana, ale nie chcę ryzykować i prosić o inną. Nakładam pastę, nachylam się i właśnie gdy zwilżam szczoteczkę pod stróżką wody, Gwen pluje do umywalki. Zamykam oczy i zaczynam szczotkować zęby.

Nachodzi mnie wspomnienie głosu taty recytującego dentystyczną mantrę, nam, maluchom wtedy jeszcze. W górę i w dół, w górę i w dół, do tyłu, potem do przodu i do tyłu, i w górę, i w dół. I jeszcze nie zapominajcie dzieci, że nitka dentystyczna to wasz przyjaciel. Stał w drzwiach łazienki, aby się upewnić, że robimy to dobrze. Ty nie znosiłeś nitki, krwawiły ci po niej dziąsła, więc czasem, kiedy tata nie patrzył, pomijaliśmy ten etap. Ale teraz żałuję, że nie mam nitki. Po tyłu

obrzydlistwach, które przeszły dziś przez moje usta, czyszczenie nitką dobrze by mi zrobiło.

Gwen pracuje szczoteczką krótko – o, jak tacie by się to nie podobało – a twarz niedbale przeciera myjką, na którą trysnęła płynnym mydłem do rąk z pojemnika na umywalce. Mam nadzieję, że teraz szybko się wycofa, ale nie, nie wycofuje się ani teraz, ani wtedy, kiedy mam zamiar skorzystać z sedesu.

Naszą sypialnię, do której zostaje następnie wprowadzona, trudno uznać za sypialnię, ponieważ nie ma w niej łóżka. Są dwa materace leżące obok siebie, starannie ułożony stosik prześcieradeł i kołder pod jedną ścianą, nie ma żadnych innych sprzętów. To pokój tak pusty jak świeżo po przeprowadzce. Gwen zresztą nie nazywa go sypialnią.

– Inspekcja pokoju fazowicza! – ryczy i przekazuje mnie oraz moją szlufkę swojemu tacie. Następnie pada na kolana i przeczesuje pusty dywan. Czołga się z jednego końca pokoju na drugi, szarpiąc syntetyczne sploty, zaglądając przy ścianach za listwy podłogowe, w pozycji kucznej dokonuje przeglądu parapetów. Sprawdza drzwi prowadzące, jak sądzę, do szafy w ścianie i wygląda na usatysfakcjonowaną, że znajduje je zamknięte na klucz. Następnie skupia uwagę na materacach, podnosi jeden i drugi, zerka, żeby sprawdzić, co jest wetknięte między nie i pod nie (nic), przy czym każdy puszcza z głośnym pacnięciem na podłogę, i wreszcie na każdym wykonuje po jednym skoku jak na trampolinie. Jeden, ten z wielkim wgłębieniem pośrodku, zostaje kopnięty do kąta najbardziej oddalonego od drzwi. Następnie Gwen przetrząsa każde prześcieradło, każdą kołdrę, każdą smętną poduszkę, odrzucając je sprawiedliwie to na jeden, to na drugi materac. Gdy idzie w moją stronę, oczy ma wlepione w podłogę, skanując każdy krok, każdy cal.

– Wszystko czyste! – melduje. Jej ojciec przewraca oczami i wycofuje się bez powiedzenia dobranoc.

Materac w kącie jest moim łóżkiem na tę noc. Wciśnięta do tego kąta, czuję się jak klasowy osioł, nieznający ortografii, z trudem odsiadujący lekcję w oślej ławce, i napiętnowany, jak bywało niegdyś w szkołach, białą czapką, która miała oczywiście długie uszy.

Gwen rozbiera się, zrzucając z nóg tenisówki wywijają spirale w powietrzu, spodnie od dresu stawiają opór, szarpie się z nimi. Odwracam oczy, by nie widzieć wałków sadła, i staram się tłumić mimowolną uciechę na myśl, jak niepopularna musi być wśród chłopców. Staram się, jak mogę, ale nic nie poradzę na to, że widzę jej brodawki wielkości srebrnych dolarówek ze specjalnej edycji z

Franklinem i zastanawiam się, skąd się biorą takie brodawki.

– Szykuj się do spania! – rozkazuje, wchodząc w parę za dużych męskich bokserek.

– A co ja mam włożyć?

– A co masz?

– Nic. Przecież wiesz.

– Uważaj, łajzo. Nie zaczynaj ze mną.

– Ja...

Słyszę, jak wydaje z siebie jęk niechęci, po czym rzuca we mnie rozciągniętym T-shirtem ze znakiem UNICEF-u z przodu, gdzie mogłaby być kieszeń.

– Nie wkładaj nic więcej.

T-shirt jest za mały – myślę, że musi należeć do Trish – a źle przyszyta metka drapie mnie w szyję, ale wciskam się w niego. Gwen wyłącza światło, zanim zdążyłam złożyć ubranie, i w pokoju jest ciemniej, niż się spodziewałam. Muszę po omacku szukać drogi do mojego oślego materaca.

– I nawet nie myśl o płaczu – syczy Gwen ze swojego materaca. Jeżeli jest coś, czego nie mogę znieść, to pieprzone beksy niedające mi spać przez całą noc.

Naciągam przykrycie aż pod brodę i próbuję sobie wyobrazić, że jestem w naszym wysuwanym łóżku, na którym też leżało się tak bliziotko podłogi.

Odkąd odszedłeś, łapię się na tym, że coraz częściej śpiam w naszym łóżku, jak w czasach gdy byliśmy mali. Zaczęło się od czystego przypadku, bez zamysłu czy kalkulacji, nic takiego. Przyjechała babcia i oddałam jej swój pokój, a mama pościeliła mi na kanapie w telewizyjnym. Taką aranżację ustalono. Ale kręciłam się tam i przewracałam, tyłek klinował mi się między poduszkami kanapy. Którejś nocy około dwunastej wstałam, żeby pochodzić, minęłam twoje drzwi, lekko uchylone, blask twojej starej lampki z Myszką Miki, której nie chciało ci się wyrzucić, ostro rysował kontury framugi. Kolanem otworzyłam drzwi, może w nadziei, że cię znajdę, i znalazłam się w twoim pokoju, takim jak go zostawiłeś. Poza naszym łóżkiem. To wysuwane ze schowka było przykryte prześcieradłem, które musiało być czyste w momencie nakładania, a teraz pokryło się kurzem. Nie przeszkadzało mi to i nie zastanawiałam się dłużej. Ściągnęłam poduszkę i narzutę z twojego łóżka, wczołgałam się na to na dole i natychmiast zasnęłam.

Mama znalazła mnie tam rano i zaczęły się wrzaski. Krzyczała, że nie powinnam spać w twoim pokoju. Babcia Shirland pomasowała ją po krzyżu, małymi okrężnym ruchami przeplatany z poklepywaniem, uspokoila i przekonała do zmiany zdania. Kochana babcia. Powiedziała, że jeśli ma mi to

pomóc, to nie ma w tym nic złego.

Niestety czuję się inaczej na oślim materacu w domu Gwen. Prześcieradła są lodowato zimne, lekko wilgotne i czuć je chlorem. Podkurczam nogi, próbując je rozgrzać. Nie daje to wielkiego efektu i żałuję, że nie mam skarpetek. Żałuję, że dziś rano, czyli całą chyba wieczność temu, nie znalazłam chwili, żeby pobiec na górę po moje najgrubsze, najcieplejsze czarne rajstopy. Co nie znaczy, że miałabym je teraz przy sobie, nawet gdybym tak zrobiła. Bez rajstop albo pary dobrych skarpet nogi mi zlodowacieją i będą z rana zaledwie imitacjami kończyn, niczym marmurowe, nieruchome fragmenty greckich rzeźb w muzeach.

Moja ośla poduszka jest zbrylona w dziwnych miejscach i jakkolwiek ją ugniatam, wydaje mi się, że czaszka mi popęka i zgniecie się, jakby była skorupką jajka na twardo. Wciskam nos we wnętrzości poduszki, w nadziei na wywołanie z pamięci twojego zapachu, który w przeszłości kołysał mnie do snu. Uwielbiam zanurzać się w ten zapach. Trochę piżmowy, ciągle prawie świeży i... to coś. Nic butelkowanego, nie takie zwyczajne połączenie potu i soli, i szamponu przeciwlupieżowego, i dezodorantu. Zapytałeś mnie kiedyś: „Jak pachnę?”, a ja pochyliłam się i wodziłam nosem po tobie jak pies i zastanawiałam się, myślałam intensywnie, naprawdę starałam się to uchwycić, ale umiałam jedynie powiedzieć:

– Cudownie, pachniesz cudownie, Josh.

Naciskałeś na mnie.

– Tak, ale jaki to zapach. Opisz.

Odpowiedziałam.

– Pachniesz jak ty.

Ale ośla poduszka tak nie pachnie. Pachnie sikami i pleśnią, i martwymi komórkami naskórka innych ludzi. Nie ma mowy, żebym przeniosła się do Krainy Snów z nozdrzami pełnymi tego zapachu. Nie ma mowy, żebym zasnęła. Jestem pewna, że już nigdy nie będę spać. Słucham, jak Gwen się przewraca, raz, dwa razy, trzy razy. Podciąga kołdrę, po czym ją z siebie zrzuca. Pokrzykuje na kogoś, kogoś atakuje. „Mam cię”, rzuca w pustkę pokoju, który nie jest sypialnią, aż wreszcie jej oddech staje się ciężki, przerywany od czasu do czasu sapnięciami przypominającymi pochrząkiwanie świni.

Powinna była lepiej się wysuszać. Nie mogłam jednak, kiedy byliśmy razem w łazience, wstrzymywałam, bo stała nade mną ze szczoteczka w ręku. Teraz poczułam nagłą potrzebę. Mój pęcherz za chwilę pęknie.

Wytrzymam, nie ma problemu.

Próbuję o tym zapomnieć, liczę owce, myślę o zasypianiu, o tobie i pływaniu na materacach w basenie w ciepły letni dzień, ze słońcem bijącym z góry i radiem grającym nasze ulubione piosenki Duran Duran na stole w patio.

Słucham Gwen pogrążonej we śnie. Nie wiem, jak długo nasłuchuję, ale wydaje mi się, że bardzo długo, zaciskam intymne części ciała, zagryzam zęby i wyobrażam sobie mile i mile piaszczystych pustyń, i żadnych basenów, co za głupi pomysł, żadnej wody, żadnych fal, nic z tych rzeczy. Liczę jej sapnięcia – jedno, trzy, pięć, siedem. Oceniam, że między chrząknięciami jest co najmniej dwie do trzech minut przerwy. Nie poruszyła się przez jakieś piętnaście minut, może więcej.

Postanawiam spróbować.

Wyczołguję się z łóżka, które jest tylko materacem, i drobnymi kroczkami posuwam się do drzwi, wyobrażając sobie, że nic nie ważę, a jednocześnie starając się kontrolować pęcherz. Udaje się. Zawsze byłam najlepsza w zabawie w chowanego, bo siedziałam w kryjówce cichusieńko. Znałam też oczywiście dobre kryjówki – pod zlewem z rękawicami gumowymi Audrey Hepburn, za pojemnikami na śmieci w garażu, pod łóżkiem w pokoju mamy i taty, pod podartym brezentowym pokrowcem na grilla, porzuconym z tyłu domu, albo pod stertą poduszek na basenowe krzesła. Ale nie to było moim największym atutem. Gdy była twoja kolej na chowanie się, zawsze udawało mi się podejść cię z zaskoczenia. Podkradałam się za ciebie, cichuteńko, pukałam cię w ramię, spokojniutko, jak gdybym tylko chciała zapytać o godzinę, a ty umierałeś ze strachu, zaskoczony, przerażony, za każdym razem z sercem dziko walącym w piersi. Jesteś pół-Indianką, mówiłeś mi, a ja odpowiadałam, że ty w połowie nie jesteś. I śmialiśmy się.

Jestem przy drzwiach i nic się nie poruszyło, więc jeśli nie będę sikać zbyt głośno, na pewno mi się uda. Moja dłoń zawisa nad klamką, wyciągam palce, napinam je i chwytam za klamkę.

I całe to miejsce wybucha.

Klamka uruchamia syrenę alarmową, która ryczy na cały dom, a może na całą okolicę, może na całe miasto, a może na cały pieprzony stan Pensylwania. Prawdopodobnie obudziłam dziś tym alarmem gubernatora w Harrisburgu. To nie jest przyjazna i pomocna syrena, nie taka jak w karetce pogotowia. To wrzeszcząca, piszcząca hiena alarmowa, jedna z tych, które uruchamiają się w sklepach, gdy nierozgarnięty kasjer zapomni zdjąć chip z nowej pary lewisów i chociaż zapłacił za nie grube pieniądze, i chociaż nie zrobił nic złego, ten alarm

wskazuje na ciebie i naznacza cię i czyni cię wszystkim tym, co o tobie myślą w tej chwili wszyscy w tym sklepie – złodziejką, kryminalistką, dnem.

Gwen na pewno już określiła mnie jako dno. Zrywa się ze snu, jakby uciekała od zeszłorocznej mody, i rusza na mnie, wrzeszcząc:

– Ucieczka, ucieczka, nowicjuszka próbuje uciec! – Zamaszystym ciosem łokcia powala mnie na ziemię i obciąża swoim ciężarem mój napięty pęcherz. Tupot biegnących stóp, w górę po schodach, w holu, ze wszystkich stron.

Mama Gwen pojawia się przy drzwiach, szlafrok opada jej z jednego ramienia, jej mąż bez tchu za nią, a między nich wciska się nadaśana Trish, teraz nietypowo podeksycytowana.

Czuję, że się czerwienię. Jak ja muszę wyglądać w ich oczach, z Gwen na mnie, moje ciało rozpięte jak orzeł na podłodze, z niczym poza skąpym T-shirtem i dwudniowymi majtkami do okrycia mojego wstydu. Czy widzą z tej odległości, jak nieświeża jest moja bielizna? Może przed takim właśnie wypadkiem zawsze ostrzegała nas mama.

– Co tu się, do cholery, stało? – chrypi tata.

– Próbowała uciec.

– Wcale nie.

– Złapałam ją dosłownie na gorącym uczynku. Myślała, że śpię, a ja nie spałam. Złapałam ją.

– Po prostu musiałam pójść do łazienki – protestuję.

– Wygodna wymówka.

Przyznaję, że trudno uwierzyć, żebym musiała iść siusiać, skoro przez cały dzień nie dostałam ani kropli płynu, nie licząc mleka. Niemniej odczuwam potrzebę i to raczej pilną, co jeszcze raz próbuję powiedzieć mojej strażniczce.

– To prawda.

– Byłaś przed pójściem do łóżka.

– Potrzebowałam znowu.

– Przestań kłamać! – wrzeszczy Gwen i dla wzmocnienia efektu raz po raz unosi się z lekka na rękach i potem wali brzuchem w moje znękane ciało.

To, jak na pewno Gwen sama przyzna, nie było najmądrzejsze, bo mój pęcherz po heroicznym wysiłkach w końcu się poddał i zrobił to, co było nieuniknione – na nas obie.

Rozdział 11

Chcemy dzidziusia; sami nie jesteśmy już maluchami, więc czas na niego. Nabywamy takiej pewności kiedyś po południu, gdy bawimy się naszą płaczącą lalką, Christy Crybaby. Mamy chyba ze cztery lata albo coś koło tego.

Christy Crybaby płacze prawdziwymi łzami i robi siusiu. Ma swoją butelkę, którą można napełnić prosto z kranu, i swoje pieluchy na zatrzaski, które można zapinać i rozpinąć. Gdy nacisnąć odpowiedni punkt na jej brzuszku, z oczu ciurkiem wypływają jej łzy, tak jak napisano na pudełku. Ma kciuk w kształcie smoczka na butelkę, więc kiedy nie jest karmiona, może go ssać. Podoba nam się ten jej kciuk.

Kochamy Christy Crybaby, ale kto jej nie kocha? Christy Crybaby jest najpiękniejszą, najukochańszą lalką, jaka kiedykolwiek się urodziła. Ma złociste blond włosy, skręcone kokieteryjnie w cherubinkowe loczki, jabłuszkowe policzki, oczy w kolorze najbardziej niebieskiej z niebieskich kredek z pudełka Crayola, rączki i nóżki pulchniutkie jak u niemowlęcia, a na paluszkach dołeczki. Wszyscy na całym wielkim świecie kochają Christy Crybaby. Ma cały swój rząd w wielkim sklepie z zabawkami KayBce, własne plakaty i własne reklamy telewizyjne. Przed Gwiazdką błagaliśmy i błagaliśmy o lalkę Christy Crybaby i wyliśmy z radości, gdy po zejściu na dół w dzień Bożego Narodzenia przed świtem zobaczyliśmy aureolę złocistych włosów na pudle ustawionym na szczycie innych prezentów, które pozostawiono owinięte w papier, by mogły wydawać się choć w połowie tak atrakcyjne.

Babcia Shirland szturchnęła łokciem dziadka Shirlanda, gdy szarpaliśmy się, by uwolnić Christy z pudła.

– Widzicie? – To jest Christy, Christy na *Christmas*. Bożonarodzeniowe Dziecko.

– Widzę.

– Co widzisz?

– To jest po prostu śmieszne – powiedział dziadek szorstko. Dziadek uważa za śmieszne wszystko to, co nie jest „całkiem zwyczajne”.

Dziadek i babcia dali nam tego roku dwa pluszowe króliczki. Jednego tobie, drugiego mnie. Były śliczne, bardzo puchate, miały takie delikatne futerko, jakby się dotykało prawdziwego, żywego królika – do takiego zaprowadziła nas kiedyś mama, gdy zwiedzaliśmy małe zoo w parku. Jednego pluszaka nazwaliśmy Bunny,

a drugiego Funny, od dziadkowego „śmieszne”. Babcia i dziadek Shirlandowie zawsze dawali nam dwie takie same rzeczy, po jednej dla każdego.

– Nie ma pretekstu do kłótni – mówiła babcia.

– Oni się nigdy nie kłóca – odpowiadała mama. – Dzielą się wszystkim. Lubią się dzielić. – Mówiła to z dumą, wyczuwalną, jak gdyby to odróżniało nas od innych dzieci. Lubiliśmy się różnić od innych, ale nie znaleźliśmy wielu innych dzieci, wtedy jeszcze nie.

I większość rzeczy mieliśmy w pojedynczych egzemplarzach. Na ogół nie było problemu. Aż do czasu Christy Crybaby, najwspanialszej lalki, jaka się kiedykolwiek urodziła.

Jest popołudnie po Bożym Narodzeniu i bawimy się w naszym pokoju. Wsunęliśmy dolne łóżko. Co noc zamieniamy się łózkami, jednej nocy ja na dużym, ty na wysuwanym, następnej vice versa. Czasami to z nas, które śpi na dużym, sturla się i spada niechcący-specjalnie na dolne łóżko. To nas rozśmiesza. Każde z nas chętniej sypia na wysuwanej części, bo jest tak blisko podłogi, że można się poczuć jak na przyjęciu z nocowaniem. Dlatego się zmieniamy. Raz próbowałeś wsunąć mnie pod duże łóżko razem z materacem, ale moja głowa nie chciała wejść pod ramę stelaża. Bardzo bolało, ale nie płakałam ani nie piszczałam za mamą, nic takiego. Nie zrobiłabym tego – ty też nie. Honor skauta. Wydawało ci się, że jeśli się dobrze ułożę, to powinnam się zmieścić. Więc kiedy indziej wypróbowaliśmy to na Christy. Wgnietliśmy ją w materac dolnego łóżka, a potem wcisnęliśmy pod duże. Namordowaliśmy się później, żeby ją wyciągnąć. Ciągle klinowała się nam o ramę dużego łóżka. Gdy ją w końcu stamtąd wydostaliśmy, na jej ładnej plastikowej buzi była siatka linii wyciśniętych przez sprężyny dużego łóżka. Na szczęście blizny Christie zniknęły, gdy plastik się odkształcił. Mimo to baliśmy się odtąd ryzykować i nigdy więcej nie próbowaliśmy bawić się w ten sposób.

Tego popołudnia rozpieszczamy Christy, nie dręczymy jej. Bawimy się w żłobek. My jesteśmy opiekunkami, a wysuwane łóżko żłobkiem. Są tam też inne dzieci – w kącie miś grizzly, co się nazywa Teddy Kennedy, świnka Miss Piggy, nasze króliczki Bunny i Funny, a także lalka Barbie i jej młodsza siostra Skipper oraz GI Joe – wszyscy odgrywają swoje role. Ale Christy nie gra, jest prawdziwa, Christy jest w żłobku gwiazdą.

Była już twoja kolej, przewijałeś ją, teraz ja przygotowuję się do karmienia.

– Jak się dzisiaj czuje moja dzidzia? Czy moja dzidzia jest głodna? – Wypuszczam kropelkę z miniaturowej butelki na swój nadgarstek. Widziałam w

telewizji, że tak się właśnie robi, może to było w serialu *Marcus Welby MD*, pewnie robiła tak jedna z pielęgniarek, które durzyły się w doktorze, ale od czasu do czasu pozwalały się oglądać.

– Och, panno Wilmington, nie wiem, czy to dobra temperatura. – Jesteś opiekunką w żłobku, więc nazwaliśmy cię panną Wilmington, Wilną Wilmington. Może to Wilnę Flintstone widziałam, jak sprawdzała butelkę z mieszanką.

Zabierasz mi butelkę z ręki, rozgrzewasz ją, pocierając w dłoniach, i jeszcze siedzisz na niej przez minutę, zanim mi ją oddajesz.

– Teraz chyba dobrze, panno Berty.

– Dziękuję, panno Wilmington – mówię do ciebie. I potem czule do Christy: – Moja dzidzia chceć papu. Tak, bardzo chceć papu. – Wkładam jej do buzi smoczek, na niby, bo ma buzię jak zawsze ściągniętą w ciup.

Gdy Christy cichutko je, ty bierzesz GI Joego, którego dał ci tata, i próbujesz zawinąć go w pieluszkę z chusteczki Kleenex. Tylko że nogi Joego nie chcą się dość szeroko rozłożyć, do tego między nimi ma jakieś wybrzuszenie, które zawadza, ostatecznie rozrywasz chusteczkę, kiedy próbujesz owinać mu ją wokół bioder. Wyrzucasz go ze żłobka.

– Nawet nie wygląda jak dziecko – narzekasz.

Następnie zaglądasz do pieluch, najpierw Piggy, która jeszcze śpi, potem sprawdzani są kolejno Funny, Bunny, Barbie i Skipper. Teddy Kennedy wydaje groźny pomruk, więc zostawiasz go w spokoju, niech się zabrudzi. Potem wracasz do mnie i kręcisz się za moimi plecami.

– Teraz moja kolej przy niej.

– Nnie, dopiero co ją miałeś.

– To było wieki temu.

– Nie, nie. Nawet nie skończyła jeszcze butelki.

– Prawie skończyła, a na pewno już się zsiusiała. – Wtykasz tam palec i wyjmujesz ociekający. – Widzisz, trzeba ją przewinać. Daj mi.

– Obśliniłeś ten palec, dlatego jest mokry. Odczep się.

Walisz się plecami na materac, tak że wszystkie dzieci podskakują w swoich łóżeczkach z pudełek po butach, z wyjątkiem misia Teddy’ego, który jest za duży na łóżeczko.

– To nie fair. Potrzebne nam drugie dziecko. Nie możemy być oboje pielęgniarkami i mamusiami jednej Christy. Potrzebna nam jeszcze jedna.

Wyjmuję butelkę z buzi Christy. Patrzy na mnie niema, ale jakby z wyrzutem.

– Byłoby fajnie, gdyby czasami jej się odbiło albo gdyby od czasu do czasu coś

powiedziała, jak mówiąca Trisha. Może mamusia kupi nam Trishę Talk-Talk na urodziny – mówię.

– Nie. Nie chcę Trishy Talk-Talk. Jest do niczego. Ja chcę prawdziwe dziecko. Potrzebne nam prawdziwe.

Zastanawiam się nad tym przez minutę i jestem skłonna się z tym zgodzić. Dyskutujemy więc, jakie właściwości powinno mieć nasze nowe dziecko. To powinna być dziewczynka, oczywiście, mała siostrzyczka. Powinna mieć włosy i oczy jak Christy, ale ma otwierać i zamykać buzię, powinna płakać, chociaż nie za dużo, i mówić „mama”, tak zabawnie, po dziecinnemu.

Zanim nieco później przyszła do nas mamusia, uknuliśmy nasz plan. Ja trzymam Christy, a ty butelkę, bardzo delikatnie.

– Dobra dzidzia, dobra dzidzia. Wypij to wszystko.

Ja pierwsza widzę mamusię. Uchyła drzwi i zagląda do pokoju, żeby zobaczyć, w co się bawimy. Przez minutę nic nie mówi, a potem pyta:

– Wszystko w porządku, dzieci?

– Tak.

– Wchodzi głębiej do pokoju z uśmiechem na pokaz, jaśniejącym jak żarówka.

– Głodni? Potrzebujecie czegoś?

– Nie.

– No to dobrze. – Czeka, jest wielka jak Godzilla, gdy tak stoi przy naszym żłobku. – Chcecie, żebym pomogła wam nakarmić Christy?

– Nie, mamusiu, umiemy to zrobić sami – mówisz zirytowany. – A poza tym jest tylko jedna Christy Crybaby.

– Wiem, proszę szanownego pana. – Chce sięgnąć i poczochnąć twoją czuprynę, ale się powstrzymuje.

– Mamusiu – wtrącam się, co jest częścią planu. – Potrzebujemy jeszcze jednego dziecka. Czy możemy mieć teraz siostrzyczkę, prawdziwą? Prosimy.

– Prosimy, mamusiu, ślicznie prosimy, najpiękniej jak umiemy.

Mamusia stała z rękami lekko skrzyżowanymi na piersiach, teraz przycisnęła je mocno do brzucha. Przygryza wargę.

– Nie.

– Ale dlaczego. Nie umiesz się bawić.

Oczy mamy wilgotnieją.

– Obawiam się, że nie. Nie.

– Ale mamusiuuuuuu! – zgodnie rozciągamy to słowo na więcej sylab, nadymając ile sił policzki, składając usta w dziobki. – Nie możesz po prostu

powiedzieć nie. Dlaczego? Potrzebujemy jeszcze jednego dziecka. Czemu nie?

– Posłuchajcie, ja... – pojedyncza, samotna łza wymyka się mamusi z kącika oka. – Przykro mi, ale to po prostu niemożliwe. – Przerzywa i nabiera powietrza. – Wasza mamusia... Ja, ja nie mogę mieć więcej dzieci. Po prostu nie mogę i koniec. Jej usta drżą jak żelka. Kolejna łza wyrywa się na wolność i goni tę pierwszą po policzku. Mama podnosi dłoń, by ją zetrzeć, i nagle łzy zaczynają się lać jak deszcz z obu oczu.

– OK, mamusiu – mówimy jej, gdy ucieka z pokoju.

Rety, mama płacze. To jest coś, czego raczej nie znamy, co dziadek Shirland niewątpliwie określiłby jako „śmieszne”. Nie wiemy, co to znaczy.

– Myślisz, że ona się też czasem zlewa? – zastanawiam się głośno.

Konsultujesz się ze swoim kciukiem i mrużysz oczy, gdy próbujesz to sobie wyobrazić.

– Nie, nie sprzedają takich dużych pieluch.

Rozdział 12

Mój pierwszy pełny dzień w programie zaczyna się koło piątej rano. W każdym razie wydaje mi się, że jest piąta, chociaż nie mogę tego z pewnością powiedzieć, nie mam już mojego swatcha. Ale musi być wcześniej, okropnie wcześniej. Ciemno jak w studni, świat wydaje się jeszcze martwy, kiedy Gwen mnie szturcha. I tak jestem tylko w półśnie.

Po wczorajszych wydarzeniach i ostatecznym upokorzeniu, gdy w nocy zlałam się przy ludziach, leżę w łóżku, uda mam jeszcze lepkie, słucham sapania Gwen, skrzypienia domu i podmuchów wiatru, a w ustach czuję gorycz doznanej zdrady, a ma ona mieszaninę smaków: cebuli i chloru, i przetrawionego przez dzień wina, i wymiocin, i tic taców, i cienkiej warstwy pasty na cudzej szczoteczce.

Z faktu, że się zlałam, odniosłam drobną korzyść – wreszcie uwolniłam się od majtek, które miałam na sobie od ponad trzydziestu sześciu godzin. Były tak przemoczone i ohydne, że nawet nie było mi przykro wyjść z nich w końcu, gdy po tym zdarzeniu moi widzowie, oprócz Gwen, opuścili pokój. Nie było mi przykro, choć był to ostatni strzép mojej osobistej własności. Tego ranka Gwen otwiera kluczem szafę w ścianie i wyjmuję świeżą bieliznę. RzUCA mi parę majtek w twarz. Są to majtki jak dla babci, do pasa, wiem, że są czyjeś, ale wyglądają na czyste i ciepłe, a tylko to się teraz liczy. Wpycha mi też w ręce klapki w rodzaju noszonych w domu opieki społecznej, których lepsze czasy minęły, i to dawno. Są porysowane i poplamione, i strzępią się na zszyciach, a gumowe podeszwy bez obcasów wyslizgały się do gładkości. Ale z nich też się cieszę i pokrzepia mnie to, że dzisiaj nikt nie będzie kwestionował mojego obuwia z powodu obcasów, sznurówek czy innych nieprawidłowości. Te buty to niejaki dobrodziejstwo, choć z nimi moje czereśniowe drzewo – które Gwen każe mi znowu włożyć na siebie – wygląda na pozbawione korzeni.

Czekam, aż Gwen da mi nowy stanik z szafy w kącie, ale takowy się nie pojawia, więc moje piersi dyndają swobodnie pod bluzką w kropki. Krzyżuję na nich ramiona, obawiając się, że brodawki, stwardniałe w porannym chłodzie będą widoczne przez materiał. „Reflektory, masz reflektory”, skrzeczeli chłopcy w szkole – ty nigdy – głosami zmienionymi przez mutację i pęczniały ich dżinsy, gdy pokazywali palcami niefortunna dziewczynę, której coś takiego się zdarzyło. Nie chcę, żeby tak było dziś ze mną. Nie dzisiaj.

Gwen podciąga moją szlufkę i udowadnia mi natychmiast, nie mogę mieć

złudzeń, że nawet majtki wielkości obrusa na biurowy piknik, przykrywające tylną część ciała, nie chronią przed dotkliwym wrzynaniem się szwa. Pilotuje mnie przez dom, szturchając raz po raz, gdy każe mi umyć twarz i zęby i uczesać się przed śniadaniem. Wygląda na to, że tego ranka nie ma czasu na prysznic, więc przypuszczam, że musimy być spóźnione, choć trudno mi pojąć, jak ktokolwiek może być gdziekolwiek spóźniony, gdy na zewnątrz jest jeszcze zupełnie ciemno.

Tuż przed wyjściem z domu, w momencie gdy wślizguję się w kurtkę, która nie jest moja, Gwen pyta:

– Nie potrzebujesz siku albo coś?

Potrząsam głową.

– Nie? Jesteś pewna? – Jeszcze raz potrząsam głową. – Lepiej bądź, bo jak cię złapię na szczaniu, sraniu, rzyganiu czy choćby pierdzeniu w moim samochodzie, już nie żyjesz. Słyszałam, co zrobiłaś w samochodzie rodziców, i nie zniosę czegoś podobnego, więc lepiej bądź pewna jak cholera. Jasne?

Przytakuję i słyszę, jak Gwen mamrocze coś o obrzydliwości czy bezwstydzie, i na dziś to ostatnie jej słowa skierowane do mnie.

W ciszy wiezie nas tata Gwen z powrotem do ośrodka, jedziemy pustymi drogami, ich nazwy trudno mi zapamiętać. Na miejscu, na tyłach budynku, parkuje już trochę samochodów, niektóre z silnikami pracującymi na luzie, a minikonwój dzieci i szlufek, i wrzynających się spodni, i palców jak szpony ciągnie do otwartych tylnych drzwi budynku, które zabezpiecza przed zamknięciem się upaprana puszcza z farbą.

Gwen, nie popuszczając moich bryczesów, pogania mnie do budynku, potem przez hol do jednego z pokoi w korytarzu z niskim sufitem. Jest mniej więcej takiej wielkości jak pokój przyjęć, a może to jest pokój przyjęć, tylko że zniknęły krzesła, nawet to niewygodne z poprzeczkami i drzazgami, za to widzę dziewczyny, stoją sztywne i zagubione, chciałyby chyba na czymś usiąść. Gwen zostawia mnie z tymi dziewczynami, z których żadna nie odzywa się ani słowem, więc ja też nie. Drzwi otwierają się i zamykają, pokój stopniowo się zapełnia. Stoimy w końcu ramie przy ramieniu, jak w zatłoczonej windzie, i gapimy się przed siebie, patrzymy na drzwi.

Po jakimś czasie, na moje wyczucie po półgodzinie, może więcej, znowu słysząc odgłos otwieranych drzwi. Wciągamy kolektywnie oddech i próbujemy się ścieśnić. Jestem pewna, że ani jedna osoba więcej nie zmieści się w tym pokoju, bo to nie jest przecież ten samochód klauna, który tyle razy oglądaliśmy w *Ringling Brothers*, i nie rozciągnie się ani trochę i nie wyczaruje ani kawałka miejsca więcej. Ale tym razem drzwi otwierają się i pozostają otwarte, a dziewczyny zaczynają

wychodzić. Jestem z tyłu i wychodzę jako jedna z ostatnich, a w korytarzu moją szlufkę przejmuje natychmiast jakaś dziewczyna, której dotąd nie widziałam, i posuwamy się dalej, by znaleźć się wreszcie znowu w znanej mi dużej hali. Świetlówki bucza pracowicie nad głowami, tak jak poprzednio, ale krzesła są inaczej ustawione. Są teraz pogrupowane wachlarzowo wokół koła, wewnątrz którego stoją Dwight i Hilary.

Dwight przeobraził się dzisiaj w elegancika – żółta koszulka polo z kołnierzykiem, uprasowane spodnie khaki i mokasyny. A jego włosy układają się w łagodne fale przebaczenia. Nawet dobrze wygląda. Jestem pewna, że takiego zdania byłaby Cindy. Cindy powiedziałaby, że jest niesamowicie pociągający. Cindy zaprosiłaby go do tańca, gdyby tu była właśnie zabawa, a on by był sam i nie wyglądał na takiego zarozumialca. Chyba nie jest też za stary. Wygląda zdecydowanie młodziej niż Hilary z tym jej naszyjnikiem z kluczy i niemodną fryzurą a la Farah Fawcett. Hilary musi być co najmniej tak stara jak Zoe Micklebaum, musi mieć trzydzieści parę lat.

Dwight i Hilary trzymają w ręku biurowe podkładki i zagląдают do notatek podczas sprawdzania obecności. Ona wywołuje jedno imię z listy chłopców, a on jedno imię z listy dziewcząt. W odzewie podnosi się osoba fizyczna, odpowiadająca danemu imieniu, i mówi, od jak dawna nie bierze narkotyków.

– Greg A.! – krzyczy Hilary.

I Greg A. zrywa się.

– Jeszcze tutaj i czterdzieści trzy dni czysty!

– Rachel B. – szczeka Dwight.

I Rachel omal nie wyraca krzesła z gotowości do zadeklarowania:

– Jeszcze tutaj i sześćdziesiąt siedem dni czysta.

Andy C! Beth D.! Brad! Helen F.! Mark G.! Wendy!

Staram się nadażyć z przeliczaniem na miesiące i przy Rachel wychodzi na to, że sześćdziesiątego siódmego dnia jest tu ona od dwóch miesięcy i jednego tygodnia. To dość długo, ale inni liczą dni w setkach, dwieście, trzysta, czterysta, pięćset dni, więc podejrzewam, że chyba myślę się co do znaczenia tych liczb. Skupiam się dla odmiany na kolejności uczestników na liście obecności, ale znowu się gubię, jako że fazowicze powinni być wpisani w porządku alfabetycznym według nazwisk, a przecież nazwisk się tu nie używa, inicjały zaś są wywoływane od przypadku do przypadku, więc taki porządek nie ma według mnie sensu.

Wiem, że z nazwiskiem Ziegler będę jak zwykle na końcu listy, ale przy tym

bałaganie alfabetycznym zagapiam się, kiedy Dwight rozdziera się, wyczytując moje imię. Tak jak je słyszę w jego wykonaniu, z odciętym „iggler”, w ogóle nie brzmi jak moje imię.

– Justine Z.! – wywołuje po raz drugi, wyraźnie zdenerwowany, że musi podjąć taki wysiłek.

Dźwigam się w górę i udaje mi się słabym głosem wyartykułować słowo „jestem”, po czym padam z powrotem na krzesło, mając nadzieję, że to mu wystarczy. Moje serce zamiera na chwilę, dopóki Dwight nie rusza dalej.

Po odczytaniu listy mówi, że teraz jest kolej na Kroki i ochotników. „Krok Pierwszy!”. Grupa motywuje się, wija się ciała i wymachują ręce w stronę Dwighta i Hilary, póki Hilary nie wskaże na siedzącą za mną dziewczynę, która wstaje i recytuje: „Przyznajemy się do naszej bezsilności wobec uzależnienia i braku kontroli nad naszym życiem”. Siada, a cała grupa powtarza to chórem.

W programie Come Clean jest Siedem Kroków i przerabiamy je w ten sposób jeden po drugim, po czym ćwiczymy je raz jeszcze z gwizdkiem, to znaczy Hilary pokazuje przez podniesienie palców, jaki numer Kroku mamy jej odśpiewać, a gwizdaniem sygnalizuje, kiedy mamy zacząć i kiedy skończyć. Sprawnie udaje nam się dotrzeć do końca tych ćwiczeń, a wtedy ona prowadzi nas przez te Kroki jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz. Przez kilka pierwszych rundek nic nie recytuję, bo nie znam tych Kroków i nie mają ze mną nic wspólnego, i z pewnością, jak mniemam, słyszę je po raz ostatni, więc w czym problem. Ale nie ma ostatniego razu i z każdym kolejnym powtórzeniem natężenie naszych głosów stopniowo się zwiększa, tak że zaczynam myśleć, że nie pozwolą nam skończyć, dopóki nie będziemy w stu dziesięciu procentach poprawni i na tyle głośni, by unieść żelazny dach. I wtedy zaczynam ruszać ustami, udając, że się włączam, tak jak robiliśmy w pierwszej klasie, gdy nasza nauczycielka, panna Hamlet, próbowała nauczyć nas słów przysięgi na narodową flagę. Teraz przy ósmym wykonaniu potrafię się wstrzelić raz po raz z odpowiednim słowem w odpowiednim momencie, jak to się nieraz robi, słuchając przez radio nowej piosenki.

„Bezsilności” mówię, gdzie trzeba, „Najwyższy”, „zdrowy rozsądek”, „obrachunek moralny”, „zadośćuczynienie” i „uzależniony”. W końcu, po chyba trzynastej albo czternastej recytacji, a może było ich więcej, Hilary pozwala gwizdkowi zawisnąć nieruchomo na jej piersi. Fazowicze łapią oddech i czekają.

– Dobra jest! – woła Dwight dopingująco, jakbyśmy cały ten czas marudzili. – Ogłaszam dzień za rozpoczęty!

Rozdział 13

Poranna sesja „życiorysów” jest pierwszym punktem porządku dnia. Dwight otwiera ją, pytając grupę, co dla każdego z nas osobiście znaczy Czwarty Krok. Nie ma ochotników, więc Dwight wybiera chłopca imieniem Kenny. Jest wysoki i wyjątkowo chudy, jak gdyby jego kości rosły dziesięć razy szybciej niż przybywało mu ciała, a na jego twarzy migocze konstelacja pryszczycy, w tym jeden na samym środku czoła, przez co chłopak wygląda jak cyklon z mitów greckich, które czytaliśmy na lekcjach angielskiego z panią Mission.

Kenny recytuje Czwarty Krok jeszcze raz, dla naszego dobra: „Wyznajemy Najwyższemu, samym sobie i sobie nawzajem dokładną naturę naszych złych uczynków”.

– I co to znaczy?

– To znaczy, że musimy przyznać się do tego całego gówna, które narobiliśmy.

– I jesteś gotowy przyznać się do tego całego gówna?

– Tak, Dwight.

– Dobrze, a więc słuchamy.

Kenny opowiada nam o tym, jaki był strasznie zbuntowany, jak pyskował tacie, miał w głębokim poważaniu ustaloną godzinę powrotu do domu i zniknął na całą noc, kradł kieszonkowe młodszej siostry, żeby mieć na paliwo, i bez celu jeździł po okolicy z kumplami od narkotyków, byle tylko nie wracać do domu i nie mieć do czynienia z rodzicami i ich groźbami.

– Konkretnie, Ken.

– Konkretnie?

– Opowiedz nam o konkretnym zdarzeniu z przeszłości.

A więc Kenny opowiada, jak to kiedyś dopuścił się naprawdę złego czynu. Tata wyjechał w sprawach biznesowych, mówi, a mama musiała wyjść, żeby zajrzeć do babci Kena, która była chora, i dlatego mama Kena poprosiła go, żeby został w domu w ten piątkowy wieczór i zaopiekował się młodszą siostrą. Kenny pomyślał, że do diabła z tym, bo już zaplanował, że wyjdzie z kumplami od narkotyków, więc jak tylko mama pocałowała w czoło jego młodszą siostrę, przypominając o pójściu spać przed dziewiątą, i jak tylko zjechała z podjazdu swoim kombi, zostawiając Kenny’emu na pizzę i colę piętnaście dolarów, żeby reszta była dla niego, Kenny powiedział siostrze, że już czas do łóżka, chociaż była dopiero 7.30, otulił ją kołdrą zabrał pieniądze i pojechał sobie z kumplami. Mama Kenny’ego wróciła przed nim

i znalazła jego siostrę samą, skuloną w kącie pokoju, bo bała się ciemności, i kiedy Kenny wszedł chwiejnym krokiem, cuchnąc piwem, jego mama zaczęła krzyczeć, że czuje do niego odrazę – Kenny pamięta, że takiego słowa użyła – i jak on mógł, i co on sobie myśli, i co ojciec na to powie. Mama tak strasznie histeryzowała, krzyczała i szlochała, że nie było innej metody, żeby zamknąć jej usta i ją uspokoić, jak tylko uderzyć w twarz, co zrobił. Kenny spoliczkował swoją mamę.

Kręcę głową, tak ciut, ciut, w jedną i w drugą stronę. Tak odruchowo, to prawie niedostrzegalne, mam nadzieję. No nie, Kenny, to poważna sprawa, myślę sobie, przynajmniej na roczny areszt w pokoju. My byśmy nigdy nie uderzyli naszej mamy, nigdy tego nie zrobiliśmy.

– I co teraz o tym sądzisz? – chce wiedzieć Hilary.

– Wstydzę się tego – mówi Kenny – bardzo się wstydzę. To było coś złego.

– Naprawdę? – naciska Dwight.

– Tak, Dwight, naprawdę coś bardzo, bardzo, okropnie złego.

– Czy to wszystko? – docieka Hilary. – Jesteś pewien?

– Tak, Hilary. Na sto procent. Wstydzę się, tak się wstydzę. Staralem się zadośćuczynić mamie podczas indywidualnej sesji z nią, właśnie w zeszłym tygodniu miałem przywilej Rozmowy, i powiedziała, że rozumie.

– Zrozumiała?

– Tak. Naprawdę zrozumiała.

Dwight odwraca się do Kenny'ego plecami.

– Komentarze? – zaprasza pozostałych i grupa motywuje się, by skomentować mętłą opowieść Kenny'ego.

Z drugiego rzędu krzesel zrywa się jakaś dziewczyna i zaczyna wymachiwać rękami.

– Jesteś kupą gnoju, Kenny! Minimalizujesz sprawę i dobrze o tym wiesz. W ten sposób nie oczyścisz się nawet połowicznie. Poturbowałeś swoją mamę i dobrze o tym wiesz.

– Spoliczkowałem ją – upiera się Kenny.

– Poturbowałeś ją, żeby wyjść i naćpać się z kumplami od narkotyków. Zostawiłeś małą siostrę samą i gównem cię obchodziło, że ktoś może ją zgwałcić, porwać albo zamordować. Obchodziło cię tylko, żebyś mógł strzelić sobie działkę. Jesteś taką kupą gnoju! Zaczynaj być wreszcie szczerzy!

– Jestem szczerzy – upiera się Kenny – jestem szczerzy. To było podłe, dobra, ale nie aż tak podłe. Spoliczkowałem mamę, i tyle. I zadośćuczynilem.

Inni fazowicze motywują się, żeby wzywać Kenny'ego do szczerości. „Jesteś sukinsynem, Kenny!”, wrzeszczą i obrzucają go innymi epitetami. „Ty krętaczu, Kenny!”, „Ty dupku, ty gnojku, ty skurwielu, ty kanalio, ty ścierwo!”. Dziewczyna obok mnie przechodzi samą siebie. Gdy rzuca oskarżenia pod adresem Kenny'ego, pieni się z wściekłości, dosłownie się pieni, tak że odsuwam się od niej, obawiając się, że obryzga mnie śliną. Wreszcie wypluwa dużą porcję. Specjalnie, z zamiarem oplucia Kenny'ego. Podciągam stopy pod krzesło.

Plwocina ląduje niedaleko, gdzieś w przestrzeni między rzędami dziewcząt i chłopców.

Za chwilę Dwight zarządza, by każdy, kto ma coś do zarzucenia Kenny'emu, wstał i powiedział swoje. Ponad połowa obecnych w pokoju korzysta z tej okazji. Wstają i przechodzą do ataku, machając ramionami, krzycząc, wyzywając i plując. A Kenny znosi to wszystko, znosi bez protestu. Wygląda tak, jakby się przy tym kurczył, przyszcze czerwienieją mu na twarzy, a ten przypominający oko cyklopa chyba grozi wybuchem. Ramiona zaczynają mu drgać i w oczach pojawiają się łzy.

– OK! OK! – krzyczy.

Dwight ucisza resztę grupy.

– Czy Kenny chce się czymś z nami podzielić?

– Tak, OK, OK – mówi Kenny. – Nie spoliczkowałem mamy.

– Nie? – dąży Dwight.

– Nie, nie spoliczkowałem jej, ja... ja... uderzyłem ją pięścią tak mocno, że... że ukruszył jej się ząb.

– Tak? I?

– I... i trzeba było założyć jej szwy. Trzeba było założyć jej trzy szwy, po tym jak ją uderzyłem... a może pięć, jak się dobrze zastanowię.

Grupa milczy, przetrawia to.

– Rozumiem – mówi Dwight. – Rozumiem.

Oskarżyciele Kenny'ego siedzą już na swoich miejscach, ich piersi rozpira satysfakcja.

– I jak się teraz czujesz? – pyta Dwight. – Teraz, kiedy już *wyznałeś dokładną naturę swoich złych uczynków*.

– Wstydzę się, Dwight, bardzo się wstydzę. – Mruga powiekami, powstrzymując łzy, próbuje opanować drżenie ramion.

– Powinieneś się wstydzić, Kenny. Masz teraz prawo, żeby się wstydzić.

– Dziękuję, Dwight.

– Wspaniale – wtrąca się Hilary. – Dziękujemy za szczerość, Kenny. I za

podzielenie się z nami.

Kenny wycofuje się na swoje krzesło, ostrożnie, ale najwyraźniej z uczuciem ulgi. Jego czas w świetle reflektorów się skończył, lecz wyznania i konfrontacje ciągną się. Słyszymy, jak Melinda uciekła z lekcji, żeby po południu uprawiać seks ze swoim chłopakiem od narkotyków. Słyszymy, jak Roger odciągał benzynę z volva swojego taty i wachał opary. Słyszymy, jak Suzie R spała z przywódcą ulicznej bandy, bo obiecał dostarczać jej przez miesiąc darmowy hasz. I nieważne, jak okropna czy powalająca z nóg jest natura złego uczynku, ktoś zawsze wyskoczy, żeby powiedzieć Melindzie, Rogerowi czy Suzie, że minimalizuje, że nie mówi szczerze, że opowiada o spacerku w różowych okularach przez park, a nie o tym, co było naprawdę. I kolejna osoba wstaje i oskarża, i kolejna, aż cały pokój ogarnia szal odnowy.

A więc Melinda przyznaje, że jej kumpel od narkotyków był o sześć lat od niej starszy i na warunkowym zwolnieniu i że tyle razy uciekała z lekcji, iż omal nie zaważyła dziesiątej klasy, a faktycznie zaważyła dziesiątą klasę – i to dwa razy. A Roger przyznał się, że odciągał benzynę ze wszystkich samochodów zaparkowanych na ulicy, na której mieszka, regularnie, co najmniej raz na miesiąc, a bywało, że raz na tydzień. A Suzie R zwierza się, że musiała spać z całym gangiem, żeby wypłacić się za haszysz, i obciągała im druta, i dawała dupy. I były łzy, prawie zawsze były łzy.

Nim nadeszła pora lunchu, straciłam apetyt.

Rozdział 14

Na jedzenie nigdzie nie wychodzimy. Okazuje się, że za jadalnię służy hala sesji grupowych. Poranna sesja kończy się jeszcze kilkoma recytacjami Czwartego Kroku – „Wyznajemy Najwyższemu, samym sobie i sobie nawzajem dokładną naturę naszych złych uczynków”.

Przed ostatnim gwizdkiem nawet ja bez trudu powtarzani bezgłośnie słowo za słowem. Na koniec Dwight klaszcze w dłonie, a Hilary wrzeszczy „Luuuuunch”!, i ciasne rzędy stłoczonych fazowiczów zmieniają się w ruchliwy ul. Zanim pomyślałam, w którą stronę się zwrócić, ktoś łapie mnie za szlufkę i steruje mną, włączając w tok ogólnej akcji.

Krzesła zabiera się z przejścia, a z tyłu sali pobiera się składane stoliki – widzę teraz, że są tam przechowywane, poukładane w stosy – i przenosi się je na środek, gdzie są rozkładane i ustawiane w długi zestaw jadalny, ciągnący się przez całą długość pomieszczenia.

– Wyrównać! – Dwight przekrzykuje zgrzytliwy hałas przesuwanych mebli. Podprowadzona do stołów we fłance innych dziewczyn, sprawdzam, czy krawędź każdego przylega równo do następnego.

– Siadać!

Wracamy po krzesła, a mój ster – w ludzkim ciele, ale be/

oblicza – instruuje mnie, żebym wzięła dwa. Próbuję zrobić, co mi kazano, ale krzesła są nieporęczne i ciężkie, a ona nie daje mi dość czasu, bym je dobrze chwyciła. Jedno z krzesel zsuwa mi się z ramienia, na którym usiłowałam je zawiesić, więc przechylona w tę stronę, ciągnę je za sobą po podłodze, próbując nie wypuścić z ręki. Sterowi to się nie podoba.

– Uważaj – warczy – daleko nie zajdziesz, podcinając mi nogi.

A gdzie według niej miałabym zajść? Jak dotąd nie dano mi tu wielu możliwości, co już wiem, ale ster i tak decyduje się zatrzymać mnie w miejscu. Kopie w jedną z szurających po podłodze nóg krzesła, przez co składane siedzenie domyka się i przytrząskuje mi palce między plastikiem i metalem. Dodatkowym akcentem jest wściekle szarpnięcie za szlufkę. Kiedy docieramy do stołu, wydiera mi z ręki jedno krzesło, nadrywając mi paznokiec kciuka, wpycha mnie na drugie i odchodzi. W dalszym ciągu nie udaje mi się zobaczyć jej twarzy.

Tak jak podczas sesji dziewczęta i chłopcy są rozdzieleni, siedzą naprzeciwko siebie. Męska strona stołu jest dłuższa niż żeńska, może siedzi przy niej o dziesięć,

piętnaście osób więcej, trudno powiedzieć. Chłopiec na wprost mnie ma blond włosy, w kolorze tygodniowego banana, grzywka opada mu na oczy. Usta ma spierzchnięte i czerwone, a w miejscach, gdzie przygryzał wargi, widzę w martwym naskórku ślady po zębach i punkciki krwi. Dzieli nas tylko wąski stół i obawiam się, że zauważy, iż nie noszę stanika, że zawiesi wzrok na moich zdradzających to wystających brodawkach. Ale nie. Blondyn nie spogląda powyżej mojego piekącego kciuka.

Gdy wszyscy już siedzą, Dwight ryczy:

– Kto jest głodny?!

– My, Dwight – odpowiada grupa, nateżając głosy.

– A kto jest wdzięczny za to, co za chwilę otrzyma?

Robię przegląd stołu na całej jego długości, ale nic nie podpowiada, co konkretnie mielibyśmy za chwilę otrzymać. Stoły są puste – nie ma solniczek ani pieprzniczek na tackach z przyprawami, ani stojaków na serwetki, ani sztućców, ani szklanek wody. I z pewnością żadnego jedzenia, ani kawałeczka.

– My, Dwight!

– I komu chcecie podziękować?

– Naszemu Najwyższemu i naszemu programowi.

– Jesteście gotowi, żeby podziękować?

– Tak, Dwight.

– A więc chcę to usłyszeć.

– „Dziękujemy Najwyższemu i naszemu programowi za obdarzenie nas rozsądkiem i wytrwałością, byśmy pozostali czyści i zdrowi, i za wszystko, co mamy zaraz otrzymać”.

– Co wy tam mamroczenie? – Dwight zwija dłoń w trąbkę wokół ucha jak niedosłyszający emeryt. – Nie usłyszałem ani słowa.

Grupa wykrzykuje to samo jeszcze raz, słowo po słowie, sylaba po sylabie, a mój umysł wypełniają obrazy z tego starego filmu *Oliver Twist*, w którym mały angielski dzieciak pracuje cały dzień na chudym kleiku i z głodu jest bliski szaleństwa, i wypowiada te znane słowa: *Czy mógłbym dostać jeszcze trochę, proszę pana? Czy oni zamierzają karmić nas owsianką na wodzie? Czy będziemy musieli śpiewać, żeby ją dostać? Czy będziemy musieli tańczyć? Nie odważyłabym się tańczyć bez stanika, chyba że przy przygaszonym świetle czy przy dyskotekowej kuli rzucającej diamentowe błyski na twarz.*

Dwight jeszcze raz czy dwa zmusza nas do testowania swojego słuchu, a potem drzwi na parking otwierają się z hukiem i wpadają Mark i Leroy, i jakieś inne typy,

wszyscy obładowani brązowymi torbami. Dziesiątki, dziesiątki toreb – czyja dobrze widzę? – toreb z McDonalda. Nie można pomylić czerwonego paska i żółtych – przepraszam, złotych – łuków; to jest McDonald.

Kiedy byliśmy bardzo mali, nienawidziłeś McDonalda. Przeraziłeś się kłowna. Nie chodziło o bufiasty żółty strój ani za dużą muszkę, ani klapiące buty, to mogłeś znieść. Szok wywołały, jak sądzę, purpurowe włosy. Wyrastały nad bladą twarzą i uszmkowanymi ustami. Powiedziałeś, że Ronald McDonald przypomina ci Jokera z *Batmana i Robina* – choć nie pamiętam, żeby Joker miał czerwone włosy – a Joker był złym facetem i nie chciałeś jedzenia z rąk złego faceta. A poza tym mama zawsze mówiła nam, żeby od obcych nie brać niczego do jedzenia, a czy mogłeś sobie wyobrazić dorosłego wyglądającego bardziej obco niż Ronald McDonald? I tak między nami mówiąc, nie bardzo też lubiłeś jego tańczących towarzyszy, burgerów, z oczami wielkimi jak gogle, ze zwisającymi kończynami i sezamowymi piegami. Taki typ potrafiłby rozwiązać ci sznurówkę, ukraść loda, a nawet porwać cię, gdy rodzice płacą rachunek.

Jedna rzecz zmieniła twoje zdanie o McDonaldzie, jedna ich nowość sprawiła, że uznałeś to miejsce za przyjazne dla dziecka i utworzyłeś wspólny front ze mną i odtąd razem błagaliśmy rodziców, żeby nas tam zabrali. To był Happy Meal. Nie jadłam tych małych zestawów, odkąd skończyłam szkołę podstawową, ale właśnie one są wypakowywane ze sterty toreb McDonalda na końcu stołu – jaskrawo kolorowe pudełka Happy Meal, jedno za drugim. Trio pomocnic chwytając kartonowe tace z napojami, łapią pudełka Happy Meal za uchwyty w formie złotych łuków i zaczynają rozdawać je po naszej stronie stołu, gdy Mark i Leroy robią to samo po stronie chłopców. Serwetki, słomki i małe opakowania z musztardą i keczupem zostały garściami wyładowane na środek.

Zwykle całe wieki siedzieliś nad swoim kartonikiem Happy Meal. Jedzenie stygło, robiło się całkiem zimne, a ty rozpracowywałeś każdy labirynt, łamigłówkę i krzyżówkę ze zbioru gier na opakowaniu, albo składałeś i testowałeś figurkę Luke'a Skywalkera, którą dodawano za darmo do każdego posiłku.

Dzisiaj takie atrakcje raczej nie są przewidziane. Nie tylko nie ma długopisów ani kredek, ale nigdzie nie widać też żadnej darmowej zabawki, chociaż moje pudełko jest ozdobione uroczymi obrazkami przedstawiającymi kucyka. To Pretty Pony.

Powiedziałbyś pewnie, że to burger odtańczył w dal z moim Pretty Pony. Ale coraz więcej pudełek zostaje wokół mnie rozerwanych i widzę, że choć są na nich reklamowe obrazki, to dołączonych figurek kucyków nie ma. Żaden inny fazowicz

nie wydaje się tym zdziwiony ani rozczarowany. Po prostu wsuwają sflaczałe, zimne już frytki i zgniecione bułki bez sezamu. Sięgam po keczup i niechący potrącam kubek Blondyna. Pokrywka odlatuje, jakby nie była dobrze nasadzona, kostki lodu rozpryskują się po stole w powodzi napoju, na oko to sprite, który zalewa Happy Meal chłopaka. Jego burger wchłania sporo rozlanego płynu, ale w jednej sekundzie sprite przelewa się przez krawędź stołu – jeszcze trzymam nad stołem zastygłą dłoń – i zaczyna spływać na kolana Blondyna. Ten zrywa się ze swojego miejsca.

– Uups! – Rozglądam się za serwetkami, żeby wytrzeć ten bałagan. – Obląlam cię?

Blondyn zachowuje się jak w szoku. Rozkłada ramiona na boki, gapi się bez słowa na siebie i swój zrujnowany lunch. A przecież nie doznał chyba aż tak wielkiej szkody.

– Hej, wszystko w porządku? – pytam. – Hej!

Dotykam jego przedramienia, żeby zwrócić na siebie uwagę, a on odskakuje do tyłu, jakbym go dźgnęła widłami. Zaczyna się trząść, popatruje szeroko otwartymi oczami to na własną rękę, to na mnie.

– Och, och, o Jezu, Jezu, Jezu. – Strażnicy i strażniczki spadają na nas z obu stron stołu. – Nie dotknąłem jej, nie dotknąłem jej.

– Co się tu dzieje, Andy? – pyta jeden ze strażników.

– Nie dotknąłem jej, nie dotknąłem jej, przysięgam.

– Co się dzieje? – zwraca się do mnie jedna z dziewczyn. Wyjaśniam, że zdarzył się wypadek, rozlało się picie i próbowałam się upewnić, czy z nim, chłopakiem z naprzeciwka, wszystko w porządku.

– Zgodnie z zasadami nie może być żadnego kontaktu fizycznego między fazowiczami płci męskiej i żeńskiej – informuje mnie dziewczyna.

– Och – zwracam się do Blondyna, Andy'ego. – Słuchaj, przepraszam. Ja nie chciałam...

– I żadnych rozmów. Z wyjątkiem sesji grupowych. – Strażnicy sprzątaj bałagan i odprowadzają ciągle jeszcze mamroczącego Andy'ego na drugi koniec stołu.

Skubię resztki hamburgera i sącę moją fantę. Zabrali moje pudełko Happy Meal, więc nie mogę zająć się ani ła migłówką, ani krzyżówką, ani choćby oglądaniem obrazków z Pretty Pony. Nie ośmielam się spojrzeć w stronę żadnego ze współbiedniaków, obawiając się, że mogłabym znowu rozlać picie albo powiedzieć coś, czego nie powinnam. Staram się trzymać łokcie, oczy i ręce w

granicach mojego miejsca przy stole. Wlepiam wzrok w puste krzesło Andy'ego.

Kiedy wszyscy skończyli jeść, jedna ze strażniczek obchodzi nas od tyłu z wielką torbą na śmieci, do której wrzucamy wszystkie resztki, a druga strażniczka idzie za nią i rozdaje nam po kartce gładkiego papieru i ogryzki ołówków z poodrywającymi gumkami. Zrazu wydaje mi się, że spóźnili się z przyborami do pisania, skoro nie mamy już pudełek Happy Meal, ale najwyraźniej nie chodzi tu o gry czy zabawę.

Wokół mnie wszyscy pochylają się nad swoimi kartkami i piszą zawzięcie. Panuje przy tym atmosfera jak na egzaminie, wielu zasłania swój tekst włosami albo łokciem, albo tarczą z dłoni i tak dalej. Czuję się, jakbym była w takim typowym śnie, gdzie człowiek pojawia się na egzaminie, o którym nic nie wiedział – w ogóle się nie przygotował, nie otworzył książki, nawet nie wie, czego ten cholerny test dotyczy. Ja z pewnością nie wiem, o co tutaj chodzi. Czego wymagają? Co mam pisać?

Słyszę, jak grafity ołówków łamią się przy stawianiu ostatnich interpunkcyjnych zawijasów i kilka osób już składa swoje kartki, przeciągając dodatkowo paznokciem po zagięciu. Strażnicy po drugiej stronie stołu zaczęli zbierać skończone prace. A nuż, jeśli złożę pustą kartkę, nikt nie zauważy.

Ale wtedy jakaś dziewczyna siedząca dalej krzyczy:

– Nie wolno wam tego czytać!

– Ja nie czytam, tylko patrzę – odpowiada zbierający. – Sprawdzam wyrywkowo. Musimy mieć pewność, że każdy coś napisał, to chyba jasne.

Cholera!

Są teraz zaledwie o kilka dziewcząt ode mnie. Muszę coś naskrobać, szybko, szybko, szybko. Ale co? Przy pierwszym pociągnięciu robię ostrzem ołówka dziurę w papierze, lecz udaje mi się pospiesznie napisać jedno słowo, zanim poczuję oddech strażniczki na szyi. Składam kartkę raz i jeszcze raz.

– Składamy tylko na pół – mówi strażniczka, wrywając mi ją z dłoni. To nie jest lekcja origami. – I moja notka zostaje wrzucona wraz z innymi do worka, który wygląda mi na poszewkę.

Dokąd oni zabierają nasze notatki? W jakiejś części swojego jestestwa czuję się jak rozbitek z *Wyspy Gilligana*. Mary Ann, nią chciałabym być, nie gwiazdorem filmowym Gilliganem, który był twoim ulubieńcem. I to jest tak, jakbym wrzuciła wiadomość w butelce do morza. I gdzieś, jakiś bohater, może Cindy, może Lloyd, może Sting z policji albo jakaś inna gwiazda, ktoś znajdzie ją i uratuje mnie – mnie i profesora, i państwa Howellsów, i Ginger, i małą Skipper, i śmiesznego starego

Gilligana, nas wszystkich.

Ale nie robię sobie wielkich nadziei. Mam złe przeczucia w związku z tymi kartkami, naprawdę złe. Pozostałe dzieciaki zachowują się dziwnie, jakby chciały zapomnieć, że kiedykolwiek wiedziały, do czego służy ołówek. Jakby miały coś na sumieniu, nikt nikomu nie patrzy w oczy, ani dziewczyny, ani chłopcy.

Może strażnicy biorą nasze notatki do analizy do jednego z tych grafologów czy jak im tam. Czytałam o nich, to są ludzie, którzy mogą wszystko o tobie powiedzieć, o wszystkich twoich najskrytszych sekretach, na podstawie twojego charakteru pisma. Może dlatego fazowicze okazują taki dziwny niepokój.

Co nowego i nienormalnego wydedukują z mojego odręcznego pisma Hilary i Dwight? Może powinnam była zaryzykować i nie napisać ani słowa. Nie wiem. Teraz to już naprawdę trudno mi powiedzieć, co byłoby przezorne, a co nie.

Faktem jest, że coś napisałam.

Jedno słowo.

Pomocy...

Rozdział 15

Mamusia prowadzi nas do przedszkola, właśnie skończyliśmy cztery lata. Minęło już wrześnie Świątę Pracy, ale ciągle jeszcze jest gorąco, lepko i bezlitośnie jak w lecie. Przedszkole znajduje się tylko kilka przecznic od domu, więc idziemy piechotą. Kiedy przechodzimy przez ulicę, mamusia jest między nami, przytrzymując nas za ręce, ale na chodniku już po drugiej stronie jezdni mamy swobodę i chwyciwszy się za rączki, posuwamy się do przodu w podskokach. Czasami robimy zawody, kto skoczy wyżej lub dalej. Ale najczęściej wykonujemy podskoki równocześnie. Jeżeli naprawdę złapiemy wspólny rytm, lądujemy na chodniku w tej samej sekundzie, słyszy się odgłos pojedynczych kroków, jakby szła jedna osoba. Jedno z nas zwykle gubi rytm, gdy próbuje ominąć pęknięcia w płytach betonowych albo zaschnięte ptasie bobki.

Mamusia idzie z przodu, zamasyście, wielkimi krokami, jej długie dorosłe nogi pracują jak nożyce – w przód i w tył, w przód... Kiedy dochodzi do kolejnego skrzyżowania, zatrzymuje się na krawężniku i czeka na nas. Śmiejemy się i skaczemy dalej, mocniej wymachując złączonymi rękami.

Pospieszcie się, dzieci. – Czekaając na nas, mamusia chwytając palcami za żabocik u bluzki i wachluje się nim. Włożyła tę bluzkę po raz pierwszy od niedzieli, kiedy to prasowała ją razem z koszulami taty, ale nakrochmalone fałdki już się pomięły, a wzdłuż kręgosłupa krople potu zaczynają przesiąkać przez bawełnianą tkaninę.

– Będziecie tam mieli klimatyzację – wzdycha. – Wy to macie szczęście.

Mamy szczęście. Skaczemy całą drogę do kolejnej przecznicy i przechodzimy przez jeszcze jedną jezdnię, aż wreszcie trafiamy na przedszkolne podwórko. To śmieszny widok, jak by orzekł dziadek Shirland. Bo to scena daleka od normalności, to wstrząsająca scena. Jest mnóstwo dzieci, więcej niż kiedykolwiek w życiu widzieliśmy. I jest plac zabaw, pierwsza klasa – drabinki do wspinania, cały zestaw huśtawek, jaskrawoczerwona karuzela, obrotowa furtka, dwukolorowe konie do bujania na sprężynach i zjeżdżalnia tak gładka i błyszcząca jak lustro. Powinno się to wszystko roić od dzieci. Życie nie umierać. Ale żadne dzieci nie roją się wśród tego wszystkiego. Skąpany w porannym ciepłym placu zabaw jest bezludny i opuszczony, jakby to był środek nocy. Żadnemu z tych dzieci huśtawki i wspinaczki nie w głowie. Nie do wiary, są zbyt zajęte zawodzeniem i wylewaniem potoków łez jak Christy Crybaby. Ich głosy podnoszą się i podnoszą na coraz wyższe tony, łączą się ze sobą w coraz głośniejszy, przenikliwy pisk. To żadna

przyjemność słuchać ich zawodzenia, to koszmar.

Trzy młode kobiety torują sobie drogę przez ten chaos. Są ubrane w białe bawełniane szorty frotte i różowe jak guma do żucia T-shirty z nazwą przedszkola na piersi. Jack N. Jill Playschool, czytamy. Są przymilne i nadskakujące, co i rusz zatrzymują się i pochylają nad rozhisteryzowanymi dziećmi.

– Cześć, jestem Lisa (albo Ashley, albo Mary) – przedstawiają się, zapalając iskry radości w głosach. – A ty jak masz na imię?

Ale dzieci nie odpowiadają, tylko odwracają purpurowe buzie, przyklejają się do swoich mam i wyją jeszcze głośniej.

Na długość rozłożonych ramion jest przed nami chłopiec, który przywarł do mamy, tupie nogami ze złości, przy okazji depcząc jej po nogach, i w kółko krzyczy mama, mama, mama. Ashley (albo Mary, albo Lisa) przemawia do niego jednostajnym, słodziutkim głosem. Jak gdyby to wszystko było zupełnie normalne, jak gdyby cokolwiek mogło dotrzeć do jego uszu oprócz echa własnego głosu.

– Będziemy się dzisiaj tak dobrze bawić. Mamy farby do malowania palcami i ekraniki do rysowania. I przychodzi dzisiaj wróżka i przyniesie koolaid do picia.

Dzieciak ignoruje to wszystko, co do ostatniego słowa. Jego mama ma dość.

– Dość tego, Haroldzie.

Harold! Jak można mieć do dziecka pretensje, że płacze, skoro ma na imię Harold. Biedny dzieciak. Wrzeszczy wniebogłose, potrząsa głową i miażdży mamie piętami palce stóp, wszystko jednocześnie.

– Haroldzie Elliotcie Weinsteinie, na miłość boską, mówię do ciebie, dość tego!

– Mama odrywa jego ręce od swoich ud i przekazuje go pani przedszkolance. – Haroldzie, teraz pójdziesz z tą miłą panią i będziesz grzeczny.

Mary (albo Lisa, albo Ashley) próbuje ciągnąć Harolda za rękę w stronę budynku, ale on się zapiera, więc bierze go na ręce. Niesie go, mimo że bębni nogami w jej brzuch frotte, a pięściami tłucze po różowych jak guma do żucia ramionach i nie przestaje wrzeszczeć mama, mama, mama.

Mama Harolda posyła mu promienny uśmiech i na pożegnanie macha dwoma rękami naraz.

– Mamusia cię kocha, Haroldzie. Nie zapominaj, że mamusia cię kocha. – Jak tylko Harold znika za podwójnymi drzwiami przedszkola, jej uśmiech również znika, a ręce opadają. Przyciska dwa palce do warg, jakby chciała domknąć usta i patrzy na swoje uda, gdzie dżinsy są ciemniejsze od łez lub potu, lub śliny Harolda. Tej pani musi być gorąco w tych dżinsach.

Odwróciwszy się, zauważa nas. Mama trzyma po jednej rączce w każdej dłoni i

stoimy tak w trójkę jak posągi, nie wiedząc, co robić. Ta kobieta przesuwa wzrok ze mnie na ciebie i z powrotem, po czym wpatruje się ze zdziwieniem w mamę.

– Jak, u licha, radzi sobie pani z dwójką?

Gdy kobieta wyraża współczucie, mama rozluźnia uścisk i po cichu czmychamy na karuzelę, w nadziei na dobrą przejażdżkę zanim zauważy nas brygada w barwach gumy do żucia.

Rozdział 16

Po lunchu, siedząc znowu na krzesłach uformowanych w wachlarz wokół wolnego centrum, przerabiamy Siedem Kroków programu. W kółko i na okrągło. Hilary znikła, więc Dwight działa po swojemu. Nie używa gwizdka, tylko krzyczy. Ma do tego odpowiedni głos, donośny i najwyraźniej odporny na chrypę. I Piąty! I Szósty! I Siódmy! I jeszcze raz! I Pierwszy! I tak w kółko.

Pod koniec tych ćwiczeń pojawia się jeszcze jedna kobieta z personelu. Wiem, że z personelu, bo ma na szyi gwizdek i trzyma podkładkę z notatkami. A ponadto jest coś, co ją wyróżnia. W ogóle nie wygląda na dziewczynę z grupy, choć nie może być starsza o więcej niż rok lub dwa od najstarszej z nas. W pierwszej chwili nie umiem powiedzieć, na czym polega różnica, chociaż... Tak, już wiem, ona ładnie wygląda, ale nie jest ładna z natury, tylko jest dobrze zrobiona. Ma nałożony róż i tusz na rzęsach, i śliwkową szminkę, i w ogóle pełny makijaż, i biżuterię, a jej jasnobrązowe sięgające ramion włosy są podkreślone w loki i polakierowane. Nosi obcisłe, firmowo wytarte dzinsy, sznurowane reeboki i różowy top, który opina szczupły brzuch. Ze swego miejsca czuję jej perfumy. To chyba Charlic.

„Charlie” podaje podkładkę Dwightowi, który przegląda stronę z wierzchu, kontynuując ćwiczenie nas w Krokach.

– I Trzeci!

Obserwuję chłopców, którzy obserwują ją. Większość stara się jej nie przyglądać, tylko wpatruje się w swoje pozbawione sznurówek buty, ale kilku nie może się oprzeć i podąża wzrokiem za „Charlie”, gdy ta przechadza się w tę i z powrotem po sali. Dotykam koniuszków uszu, ale Gwen zabrała mi kolczyki i dziurki mogą niedługo zarosnąć. Włosy mam potargane i od dwóch dni niemyte. Zbieram tłuste pasma i zatykam za uszy. Czuję się brudna i brzydka, czuję się okropnie.

Męskie nosy kręcą się na znak rozczarowania, gdy „Charlie” wychodzi tymi samymi drzwiami, którymi weszła, ale za chwilę wraca obładowana nowymi akcesoriami i ze strażnikiem za plecami, wnoszącym dwa stołki barowe.

Strażnik stawia stołki przed nami i „Charlie” zgrabnie wdrapuje się na jeden z nich. Dwight zwraca się w jej stronę i oddaje podkładkę.

– I Piąty! – krzyczy.

– „Utrzymujemy się w gotowości do tego, by Najwyższy usunął wszystkie wady naszego charakteru i pokornie Go o to prosimy!”.

Widzę teraz, że oprócz podkładki „Charlie” przyniosła ze sobą pojedynczą raketkę do ping-ponga – chociaż nigdzie nie widzę pingpongowego stołu, nawet złożonego – i trzyma w rękach kilka foliowych koszulek na dokumenty, takich do wpinania do segregatora, żeby zabezpieczały luźne, niepodziurkowane kartki.

– I Szósty!

– „Mamy sporządzić listę wszystkich osób, które skrzywdziliśmy, i dać im natychmiast zadośćuczynienie, jeśli to tylko możliwe!”.

Teraz dostrzegam, że foliowe koszulki mają swój kod. Są cztery, dwie czerwone i dwie zielone, a każda ma na wierzchu białą nalepkę. Na nalepkach jest coś napisane, ale „Charlie” siedzi dość daleko, na dodatek zwrócona do mnie bokiem, tak że nie mogę rozszyfrować słów. Za to dość dokładnie widzę, że koszulki są pękate, nadmiernie wypchane rozłożonymi i aż za dobrze znajomymi kartkami. „Charlie” studiuje zapiski na podkładce, zagląda do jednej z czerwonych koszulek, jeszcze raz studiuje notatki na podkładce.

– I Siódmy!

– „Dążymy poprzez modlitwę i komunię do poprawienia kontaktu z Najwyższym i do przekazania Jego woli innym uzależnionym”.

Grupa zgodnie robi wydech, musztra wreszcie się kończy. Wydech, wdech, wydech. Dwight podchodzi do miejsca, gdzie usadowiła się „Charlie” i stoją barowe stołki, i atakuje okrakiem ten pusty, jak Samotny Strażnik dosiadający swego Silvera, by ruszyć w pościg. Stołki zostały wcześniej odciągnięte nieco do tyłu i stoją teraz na wprost przejścia oddzielającego chłopców od dziewcząt, tak że obydwie osoby prowadzące mogą siedzieć, nie pokazując nikomu pleców i mając każdego z nas na oku.

– Pora na sesję Spraw Bieżących. Czy ktoś chce się z nami czymś podzielić? – Dwight przeczesuje wzrokiem grupę, ale nikt nie podnosi ręki. Nie ma ożywienia ani lasu rąk, żadnego motywowania.

Robi surową minę, a „Charlie” grzebie w papierkach w jednej z czerwonych koszulek.

– Są ochotnicy? Kto chętny?

Słyszę za sobą czyjś stłumiony szloch i kątem oka widzę, że kolana dziewczyny siedzącej tuż za mną na lewo zaczynają drżeć, najpierw z lekka, potem gwałtownie, trzęsą się, jakby nie były z materiału ani trochę solidniejszego niż bita śmietana.

„Charlie” szepcze coś do Dwighta. Ten podrzuca głową na znak, że rozumie.

– Jeżeli nie ma ochotników, muszę kogoś wywołać. – Czekaj. – Na pewno nikt nie chce mówić?

Sala jest niema i trwa w bezruchu, jak na obrazie w galerii.

– Wygląda na to, że będę musiał wybrać. Kto to będzie? – Bębni w udo. Zauważam, że ma krótkie palce, jakby brakowało im stawów. Kto to będzie?

„Charlie” trzyma podkładkę na wysokości jego oczu, małym palcem wskazując miejsce w jednej trzeciej wysokości od dołu strony. Paznokcie ma pomalowane na taki sam owocowy odcień jak usta.

– A może – Dwight lustruje chłopców, jego wzrok wędruje od jednego trzęsącego się chłopaka do drugiego. – A może... – skupia się teraz na sekcji dziewcząt i mam wrażenie, iż jego wędrujące spojrzenie wywołuje taki efekt, jakby przez salę przetaczała się meksykańska fala, tyle że strachu. – Emily. – Po mojej prawej stronie słychać westchnienie. – Od dawna nie słyszeliśmy cię w Sprawach Bieżących.

Emily dzieli ode mnie cztery krzesła. Wstaje, cała drży. Widzę ją tylko z profilu, ale rozpoznaję. To ona wstawiała wczoraj, żeby powitać mnie w programie. Szesnaście, tyle ma lat. Jej twarz jest poszarzała.

Emily natychmiast wyrzuca z siebie:

– Przepraszam, przepraszam, szczerze, przepraszam...

– Czy masz nam coś do powiedzenia na temat tego, w jakim punkcie teraz jesteś?

– Przepraszam, Dwight, przepraszam.

– Nie musisz mnie przepraszać.

– Przepraszam, dobrze, ale zrobiłam to celowo, naprawdę zrobiłam to celowo. Po prostu byłam taka zmęczona, tak bardzo zmęczona, ale to się więcej nie powtórzy, nigdy więcej, nigdy. Obiecuję.

– A co się stało?

– Usnęłam, Dwight, to wszystko. Ja... usnęłam, kiedy pisałam Obrachunek Moralny.

– To wszystko? – Dwight mruga porozumiewawczo okiem, jakby wcale nie chciał nalegać, a miną niewiniątka prześcignąłby Gomera Pyle’a.

– Tak, to wszystko, naprawdę.

– To wszystko, mówisz. To *wszystko!* – Nie ma już Gomera Pyle’a. – Hmm. Powiedz mi, czy pamiętasz Trzeci Krok naszego programu?

– Oczywiście! Dobrze pamiętam.

– Wyrecytuj go, już.

– „Sporządzamy dokładny i szczerzy obrachunek moralny z samym sobą”.

– Dokładny i szczerzy obrachunek moralny.

– Dokładny i szczery obrachunek moralny – jak echo pobrzmiwa słaby głos Emily.

– Co to znaczy?

– Co znaczy?

– Tak, jak rozumiemy ten Krok?

– To znaczy, eee... to znaczy, że musimy dokopać się głęboko i zobaczyć, co w nas jest dobre, a co złe i eee... co musimy zmienić?

– OK. A jak często mamy robić ten dokładny i szczery obrachunek moralny?

– Codziennie? – Głos Emily zanika, niepewny swego bytu, jakby odstawiła muszlę od ucha i zdała sobie sprawę, że to, co było słyhać, nie było oceanem, to była tylko muszla.

– Słucham? Mówiłaś, że jak często?

Emily chrząka.

– Codziennie.

– Czy to znaczy codziennie z wyjątkiem poniedziałku i środy?

Emily kręci przecząco głową.

– Powiedz to!

– Nie!

– Czy to znaczy codziennie z wyjątkiem tych dni, kiedy nie masz ochoty?

– Nie!

– A więc co to znaczy, Emily?

– To znaczy codziennie, Dwight. Każdego dnia.

– Zapamiętaj to. Wbij sobie do głowy, że to znaczy każdego dnia. W takim razie – drażni się z nią i to go bawi – jak często zdarzało się, że... co to się stało?... że zasnęłaś, zanim skończyłaś obrachunek moralny?

– Tylko raz, Dwight.

– *Tylko* raz?

– To znaczy raz. Jeden jedyny raz.

– Kiedy to było?

– W ostatni piątek. Po Spotkaniu Otwartym. To było takie długie spotkanie i taki długi dzień, i kiedy dotarłam do domu, po prostu oczy same mi się zamykały. Próbowałam nie zasnąć, ale mi się nie udało.

– Mam cię. – Dwight chrząka i wysysa coś z zębów. – Czy chcesz powiedzieć, że Spotkanie Otwarte usprawiedliwia twoją wpadkę? Czy może myślisz, że w piątki po Spotkaniach Otwartych wszyscy powinniśmy się czuć zwolnieni z naszych obowiązków, bo jesteśmy zmęczeni? Czy tak?

– Nie, ja...

– To ciekawe podejście, nie sądzisz? To jak powiedzenie, że nic się nie stanie, jeśli wypiję tylko to jedno piwo dzisiaj, bo jestem wykończona, albo dobra, wstrzyknę sobie ten jeden raz, bo miałam taki ciężki dzień. Czy tak właśnie myślisz, Emily?

– Nie, wcale nie.

– Jakie są skutki takich potknięć?

– Eee... eee...

– Co się dzieje, jeśli nie wykonujemy do końca Trzeciego Kroku? Wiesz, czy ci powiedzieć? OK, powiem ci, co się dzieje. Jeżeli nie wykonujemy do końca Trzeciego Kroku... choćby jeden raz... wtedy nie kończymy Czwartego Kroku, i wtedy nie kończymy Piątego, Szóstego i Siódmego. Cały program się rozpada, Emily, a my razem z nim. – Dwight pochyla się złowrogo. – I nasze wpadki prowadzą do *upadku* Uderza pięścią w otwartą dłoń. – Właśnie o tym mówię. O upadku. Chcesz upaść, Emily, chcesz zacząć program od początku? Mogę to załatwić. Z przyjemnością to załatwię, jeżeli tego sobie życzysz.

– Nie, nie, o Boże, nie, tylko nie to.

Dwight z powrotem sadowi się na swoim stołku.

– Cieszę się, że to słyszę. A jak mamy dopilnować, żeby to się więcej nie zdarzyło? – Przeczesuje wzrokiem grupę w poszukiwaniu odpowiedzi. – Wiem – mówi, klasnąwszy w dłonie, jak gdyby go nagle coś oświeciło. Wyciągam szyję i spoglądam badawczo w górę. – Myślę, że w przyszłym tygodniu powinnaś pisać Obrachunek Moralny nie raz, ale dwa razy dziennie. A w piątek, po Spotkaniu Otwartym, powinnaś napisać go trzy razy. Czy tak będzie dobrze?

– Tak, Dwight – mówi Emily potulnie. – Tak będzie dobrze.

– Czy dzięki temu dotrze do twojej świadomości, jak ważny jest obrachunek moralny?

– Tak, Dwight, na pewno. Dziękuję.

– Dziękuję, Emily. Przypomniałaś nam wszystkim bardzo cenną lekcję.

Dwight odwraca teraz wzrok od Emily, jak miotacz w baseballu, sprawdzający biegaczy na pierwszej i trzeciej mecie. To budzi w niej nadzieję, że już wolno wycofać się do mety domowej i poczuć się bezpiecznie. Niestety gdy zgina kolana, by usiąść, Dwight właśnie nakręca się do kolejnej szybkiej piłki.

– Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz, dziewucho?! – wrzeszczy, w jednej sekundzie odwracając się w jej kierunku z wściekłością na twarzy.

Emily sztywnieje w pozycji półkucznej, przerażona.

– Czy powiedziałem, że możesz usiąść?

– Ja myślałam...

– To źle myślałaś, moja panienko – mówi, cedząc słowa. – Zacznijmy od początku, co ty na to? Czy jest coś jeszcze, czym chciałabyś się z nami podzielić na temat tego, w jakim punkcie się znajdujesz, Emily? Coś więcej o tym, jak pracujesz w programie?

Jakiś dźwięk wydobywa się z głębi gardła Emily, jakby chciała przełknąć albo krzyknąć, ale jej się nie udało.

– Nie?

– Nie? – Powtarza Dwight, naśladowując jej wysoki, płaczący ton głosu.

– Myślę, że nie, Dwight.

– Znowu źle. Co za rozczarowanie. Domyślam się, że nie jesteś teraz taka rozmowna, nie teraz, gdy stoisz tak przed wszystkimi. Może jeśli wszyscy wstaniemy z miejsc i odwrócimy się do ciebie plecami, może wtedy pokonasz swoją nieśmiałość? Czy to pomoże? Mamy to zrobić?

Emily wzdryga się, rozumiejąc, co się święci, i gwałtownym ruchem zwraca głowę w moją stronę. Szczeka jej opadła, czoło się zmarszczyło, oczy rozszerzyły niemal do rozmiaru otwartej buzi, z głębi której wydobywa się dźwięk jakby małego gryzonia czy innego duszącego się stworzenia. Ja czuję się tak, jakbym chciała się usprawiedliwiać, przyznawać do czegoś, bić się w pierś jak Tarzan, zrobić cokolwiek, byle przerwać ten dźwięk, zetrzeć ten straszny wyraz z jej twarzy. Ale nie znam tej dziewczyny, nie wiem o niej nic poza tym, że ma na imię Emily i ma szesnaście lat i czasami zasypia nad pracą domową. Nic złego jej nie zrobiłam. Chyba nie?

Ale to nie na mnie Emily tak się gapi. Teraz widzę, że jej oczy jak spodki próbują nawiązać kontakt z punktem znajdującym się tuż za mną. To dziewczyna z lewej strony, ta z kolanami jak bita śmietana, to ona jest celem wzroku zszokowanej Emily. Kolana wciąż jej się trzęsą, oplata je rękami, by tak nie podskakiwały, żeby od tego nie skrzypiało krzesło. Zaczerwienioną twarz opuściła tak nisko, że brodę ma częściowo zasłoniętą przez kołnierzyk koszuli.

– Właśnie tak – mówi Dwight – zostałaś oskarżona o Rozmowy za Plecami. Znasz zasady dotyczące rozmawiania za plecami, prawda? Na pewno je pamiętasz? Nie rozmawiamy za czyimiś plecami. Nie robimy tego, Emily, ponieważ jest to tchórzliwe i nieuprzejme, i nieszczerze, nade wszystko nieszczerze. A co jest podstawą naszego programu? Podstawą programu jest całkowita, prawdziwa i nieudawana szczerść. Zawsze.

Emily ma dłonie opuszczone wzdłuż boków, teraz zaciska je na szwach spodni khaki.

Dwight uśmiecha się zimno.

– Helen C, wstań proszę. – Dziewczyna w trzecim rzędzie wstaje, jej oczy kipią złością. – Helen – mówi Dwight – myślę, że ta tutaj Emily ma ci coś do powiedzenia.

– Nie, Dwight, naprawdę ja... – mamrocze Emily.

– Nie masz jej nic do powiedzenia?

Podbródek Emily drgnął prawie niedostrzegalnie.

– Powiedz Helen, co masz jej powiedzieć. Ona teraz słucha. Jestem pewien, że będzie wdzięczna, gdy usłyszysz twoje opinie. Czyż nie tak, Helen?

– Tak, Dwight – warczy dziewczyna w trzecim rzędzie.

– Więc co chciałaś jej powiedzieć, Emily? – pyta Dwight. Znowu drgnięcie podbródka.

– Nic.

Dwight zrywa się z krzesła.

– Słuchaj! – splota, z twarzą tuż przy twarzy Emily. – Mam dość twoich kłamstw! Bądź *szczerą*).

– Ja... ja...

– Jak nazwałaś Helen za jej plecami? Jak ją, do cholery, nazwałaś?

Emily coś szepcze.

– Jak!!!

– Suka – odpowiada trochę głośniej.

– To wszystko?

– Głupia suka.

– Przestań bawić się ze mną w ciuciubabkę, panienko. Wiesz, że to nie wszystko.

– Tłusta, głupia suka.

– Właśnie tak. Tłusta, głupia suka. *Tłusta, głupia suka.* - Dwight wraca na swoją grzędę na stołku barowym, uspokaja się. – To nie jest coś, co powinno się mówić za czyimiś plecami, prawda? To niezbyt miłe. – Przygląda się swoim paznokciom, jakby znudzony tokiem dyskusji. – A więc teraz – cedzi słowa, wyciąga drobinę brudu spod paznokcia wskazującego palca – powiedz jej to w oczy.

Emily zaciska powieki. Łza spływa jej po policzku, potem druga.

– Helen, nazwałam cię... – zaczyna.

– *Mów. Prosto. W oczy.*

Emily powolutku zwraca się w stronę Helen, która tam, w trzecim rzędzie, podskakuje ze złości.

– Helen – mówi głuchym, rwącym się głosem – nazwałam cię tłustą, głupią suką.

Nikt się nie odzywa. Obie dziewczyny patrzą w stronę Dwighta, ten znowu jest pochłonięty robieniem sobie manikiuru. Czekają. Jeden z fazowiczów, chłopców, kaszle. Po prawie minucie ciszy Helen, coraz bardziej purpurowa na twarzy, zaczyna się motywować, ramiona pompują powietrze, w górę i w dół...

– Helen! – woła wreszcie Dwight.

– Czy mogę na to odpowiedzieć? – pyta.

– Oczywiście.

I Helen wybucha.

– Ty pieprzona suko! Ty nazywasz mnie tłustą, głupią suką? Ty smętna cipo. To ty jesteś suką! Ty jesteś pieprzoną suką! Jak śmiesz mówić o mnie za moimi plecami! Nie wiesz, co jest co. Nie masz zielonego pojęcia, co jest co. Taka jesteś głupia. W ilu klasach zostałam? Ty i ten twój przedszkolny mózdzek jak groszek. Nic nie wiesz o niczym. Głupia. Masz gówno zamiast mózgu. Rozmowy za Plecami, nie stać cię durnoto jedna na nic więcej, ty durna pieprzona suko. Kto jest tłusty? Ja? Ja jestem tłusta? Ha! Nie wiesz, co znaczy tłusta. Powinnaś się modlić, żeby tu nigdy nie zmienili zasady dotyczącej luster, bo jak postawisz lustro na wprost swojej smętnej dupy, dopiero wtedy zobaczysz coś tłustego. Nie będziesz wiedziała, co to tłuszcz, dopóki nie spojrzysz na swój zadek. Ty cholerna głupia dziwko!

Helen milknie, by złapać trochę powietrza. Żyły na jej szyi pulsują.

– OK – mówi Dwight. – Wspaniale, Helen. Czy jest coś Jeszcze, co chcesz powiedzieć Emily?

– Tak, do diabła! – Rzuca gromy przez kolejne co najmniej dziesięć albo dwadzieścia minut, może więcej.

Co jakiś czas Emily próbuje popiskiwać przez tłumiony szloch, ale wtedy Helen naciera, jakby chciała przebić się ponad głowami rozdzielających je dziewczyn i rąbnąć Emily w twarz. W tych momentach Emily się ucisza, słyhać tylko te jakby zwierzęce odgłosy duszenia się, które cały czas docierają do mnie pomimo donośnej tyrady Helen.

– Dobrze – mówi Dwight, gdy Helen w końcu traci parę. – Helen, Emily, załóżę się, że teraz obie czujecie się lepiej, bo byłyście szczere i zrzuciłyście to z siebie.

Mam nadzieję, Emily, że teraz będziesz lepiej pamiętać zasadę Rozmów za Plecami. Dziękuję, dziewczęta. – Spogląda w dół na podkładkę, którą „Charlie” podetknęła mu pod nos, po czym znowu patrzy w górę. – Teraz możecie obie usiąść.

Biedna Emily niemal zwała się na krzesło. Tuż za mną słyhać westchnienie ulgi i strona dziewcząt rozluźnia kolektywne napięcie mięśni. Teraz kolej na chłopców.

Rozdział 17

– Dobrze. Kto się jeszcze chce czymś z nami podzielić podczas Spraw Bieżących? Biorę ochotników. – Nikt się nie rusza. – Może ktoś – zachęca Dwight.
– Ktokolwiek?

Cisza.

– OK. Chyba znowu muszę kogoś wybrać.

„Charlie” zerka na podkładkę, po czym sięga do drugiej czerwonej koszulki i wyciąga kartkę z oślimi uszami. Patrzymy, jak rozprostowuje rogi i wręcza papier Dwightowi.

Kto to będzie? Kto? Grupa wstrzymuje oddech.

– Shaun N. – wywołuje Dwight.

Dziewięćdziesięciu kilku pozostałych fazowiczów oddycha z ulgą, a podnosi się Shaun N. Jest to niski chłopak o kwadratowej twarzy i krótkich muskularnych ramionach, które nie bez trudu skrzyżował właśnie wysoko na piersi.

– Chcesz się z nami czymś podzielić, Shaun, powiedzieć, w jakim miejscu programu jesteś?

– Nie, nie mam się z czego spowiadać.

– A kto mówił o spowiedzi? – Dwight się śmieje. – Przecież wiesz. Spowiadasz się księdzu, Shaun. Tutaj są przyjaciele, uzależnieni tak jak ty. Z przyjaciółmi się dzielisz, nie spowiadasz się im.

– Nie mam niczego, czym miałbym się dzielić, z czego miałbym się spowiadać, nazywając rzecz po imieniu. Niczego.

– Próbujesz mi się stawiać, chłopcze?

– Nie. Odpowiadam na pytanie.

– Dobrze, a co powiesz na takie pytanie: Jak długo masz przywilej domowego pobytu?

– Dwa tygodnie.

– Dwa tygodnie?

– Tak.

– Dobrze się dogadujesz z rodziną?

– Świetnie.

– Dużo czasu spędzasz z mamą i tatą? I z młodszym bratem... jak mu na imię?

Gary?

– Ile się da.

- Z kim jeszcze?
- Co z kim jeszcze?
- Czy kogoś jeszcze widzisz w domu?
- Jasne. Innych fazowiczów i personel.
- Kogoś jeszcze? Poza rodziną i ludźmi z programu?
- Oczywiście, że nie. Znam zasadę.
- To dobrze. Zasada głosi... pozwolisz, że poproszę grupę o przypomnienie.

Kto z was zna zasadę, o której mówimy?

Wszyscy się motywują, póki Dwight nie wywoła chłopca imieniem Gino.

– Mówicie o zasadzie regulującej kontakt ze światem zewnętrznym – stwierdza Gino.

– Dobrze. A jak brzmi ta zasada?

– „Fazowicze biorący udział w programie nie mogą mieć żadnych kontaktów ze światem zewnętrznym, chyba że za pozwoleniem i pod nadzorem kogoś z personelu”.

– Dlaczego ta zasada jest ważna?

– Żebyśmy w czasie naszego zdrowienia nie byli deprawowani przez zgubne wpływy.

– Dokładnie. A więc kogo powinniście szczególnie gorliwie unikać w myśl tej zasady?

– Narkotykowych kontaktów z dawnego życia.

– Doskonale, dziękuję, Gino. Możesz usiąść. – Dwight powraca do Shauna. – Czy znasz tę zasadę? – pyta.

– Tak, już mówiłem, że tak.

– I nie zrobiłbyś niczego, co groziłoby nieprzestrzeganiem przez ciebie tej zasady?

– Nie, nie zrobiłbym.

– Nic takiego jak próba nawiązania kontaktu z kimś z dawnego narkotykowego kręgu?

Shaun N. wyzywająco wysuwa podbródek.

– Nie.

– Kogoś takiego jak uzależniona dziewczyna?

– Chodzi o Felicity?

Ramiona startują w górę ze wszystkich stron.

– Co się z wami dzieje? – pyta Dwight całą grupę, jak gdyby nie wiedział, o co chodzi.

– Imię narkomanki, imię narkomanki, imię narkomanki! – krzyczą chórem.

– Naprawdę, Shaun, nie myślałem, że musimy ci przypominać o niewypowiedaniu imion narkomanów.

– Nie kontaktowałem się z Fe... z moją byłą dziewczyną narkomanką.

– A nie próbowałeś?

– Nie.

– Ciekawe. – Dwight przekrzywia głowę, ściąga brwi z wyrazem przykrego zadziwienia, jakby z trudem odczytywał znak drogowy w języku japońskim. – Dobra, przestańmy owijać w bawełnę. Powiem wprost. Zostałeś oskarżony o wykorzystywanie młodszego brata do przekazywania wiadomości tej twojej narkomance.

Oczy Shauna zwęziły się do szparek.

– Czy wysypał to ten mały kretyn?

– Wiesz, że nie ma znaczenia, kto zgłosił incydent.

– Słuchaj, człowieku, jeśli mam być o coś oskarżony, mam prawo wiedzieć, kto chce mi dać kopa.

Znowu wirujący las rąk.

– Narkotykowe słowo, narkotykowe słowo, narkotykowe słowo.

– Uważaj z narkotykowymi imionami i słowami, mój panie – ostrzega Dwight, zsiadając z barowego stołka.

– Co ja takiego powiedziałem? Wyjaśnij mi – upiera się Shaun. – No, wyjaśnij. Co ja powiedziałem?

– Zakazane słowo, Shaun. Nie wolno ich używać.

– To kupa gówna, człowieku.

Grupa się motywuje, przypominając teraz wysokie trawy targane przez tornado. Leroy i jeszcze dwóch zbirów stojących z tyłu sekcji chłopców przesuwiają się do przodu.

– Ostrzegam cię, mój panie. Pilnuj się.

– OK, kurde, niech będzie. Chodzi o to, że to nieprawda.

– Co jest nieprawdą?

– To, co powiedziałeś o tym przekazywaniu chrzanionych wiadomości, to się nie zdarzyło.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę.

– Nigdy nie rozmawiałeś z Garym o tej osobie?

Shaun дума nad tym.

– No, ja... – zaczyna.

– Nigdy nie pytałeś Gary’ego o nią?

Shaun opuszcza swoje masywne ramiona. Przypominają mi ręce Popeye’a. Zastanawiam się, czy Felicity wygląda jak Olive Oyl. Zastanawiam się, czy w jej gardle też wyrósł taki dyndający kawałek.

– Niezupełnie.

– Niezupełnie co?

– Niezupełnie pytałem Gary’ego o Fe... o moją dziewczynę narkomankę.

– Uhm. A co dokładnie zrobiłeś?

– Dobra, słuchaj, zrobiłem to, że zapytałem Gary’ego, czy ją widział.

– Tylko tyle? – wraca mina Gomera Pyle’a.

– Tak. Tylko tyle.

– A dlaczego chciałeś wiedzieć, czy brat widział, czy nie tę... *kobietą!*

Shaun wzrusza muskularnymi ramionami.

– Nie wiem. Pewnie chciałem wiedzieć, czy wszystko jest w porządku.

– Dlaczego?

– Słuchaj, chodziliśmy ze sobą jakieś trzy lata, gadaliśmy o ślubie i o takich tam rzeczach, jak będziemy starsi, a potem nagle ja znikam. Trudno sobie wyobrazić, jak to mogła przyjąć. Martwiłem się o nią, rozumiesz chyba.

– Ahaaa. – Dwight grucha sarkastycznie. – Martwiłeś się o swoją małą ukochaną narkomankę. Jakie to wzruszające.

– Kochałem ją, człowieku.

Grupa się motywuje.

– Uważaj na język – mówi Dwight.

– Kochałem ją...

– Aha – przerywa Dwight. – Oczywiście, bez względu na to, czy tylko pytałeś o swoją starą miłość, czy chodziło ci o coś więcej, i tak złamałeś jedną z zasad. W ogóle nie wolno ci pytać o twoje narkotykowe kontakty. Wiesz to, prawda?

– Tak, wiem, wiem.

– A więc oczywiste jest, że musisz za to zapłacić. Mamy zamiar cię ukarać.

– Dobra, niech będzie.

Dwight kiwa głową w zamyśleniu, ważąc zbrodnię i karę.

– Problem w tym, że nie sądzę, aby to było *wszystko*, Shaun. Nie kupuję tego. – Palcem wskazującym stuka się w skroń. Dobiera się do Shauna. – Nie kupuję tego, że tylko pytałeś o tę dziewczynę, że nie byłeś wcale zainteresowany nawiązaniem kontaktu. Jesteś pewien, że nie chcesz się podzielić z nami czymś jeszcze?

Shaun trzyma się swego.

– Nie mam się już czym podzielić.

■ – Naprawdę?

– Naprawdę.

Dwight traci cierpliwość, przestępuje z nogi na nogę jak na ringu.

– Chciałbym ci uwierzyć Shaun, naprawdę. Ale widzisz, jest pewien problem. Mamy dowód. – Macha nad głową świstkiem papieru, który „Charlie” wyciągnęła wcześniej z czerwonej plastikowej koszulki. – Niezbity dowód. Zeznanie naocznego świadka. I co mam zrobić? Uwierzyć ci na słowo i zignorować dowód? Czy chcesz, żebym to właśnie zrobił? Chciałbym, ale nie mogę, naprawdę chciałbym.

– Róbcie, co chcecie. Ja tylko mówię, jak jest.

– Tak mówisz, kolego, słyszę, że tak mówisz, ale, widzisz, to nie brzmi jak prawda. Zupełnie nie. W jakimś sensie, Shaun, nie mogę cię winić. Możliwe, że to nie tylko narkotyki cię ciągną. Na pewno nie. Nie tylko one nie dają ci szans. Prawdziwy problem, według mnie, polega na tym, że myślisz fiutem, ot co. Jesteś z nami już... jak długo, Shaun?

– Siedemdziesiąt dwa dni.

– Siedemdziesiąt dwa dni. Jesteś siedemdziesiąt dwa dni bez żadnej *cipki* – Dwight akcentuje ostatnie słowo z obrzydzeniem. – To ciężkie dla faceta. Mogę to przyznać. Wymuszona abstynencja może doprowadzić faceta do szału. Chciałbyś położyć łapy na jakiejś chudej cipce. Na pewno. – Jego ton znowu się zmienia, traci wszelkie pozory zrozumienia, współczucia, empatii czy czegokolwiek. – Aleja, Shaun, mam problem, kiedy ty tracisz kontrolę, posuwasz się za daleko, zapominasz o programie, łamiesz zasady. I dla kogo? Dla pieprzonej narkotykowej dziwki, która...

Shaun rusza w stronę Dwighta, ale po dwóch krokach zbiry go mają, krępują mu ręce na plecach, ciężkimi obcasami przygważdżają stopy. Nie zakrywają mu jednak ust, więc Shaun krzyczy pełną piersią:

– Ty dupku! Kogo, do cholery, nazywasz dziwką?!

– Jak to, Shaun – odpowiada Dwight, dbając teraz o poprawne maniery i udając zdziwienie. – Mówię o twojej narkotykowej dziewczynie, oczywiście.

– Nigdy więcej jej tak nie nazywaj! – wrzeszczy Shaun, usiłując wyrwać się strażnikom trzymającym go z obu stron. – Nigdy więcej! Felicity nie jest dziwką.

Grupa dziko motywuje się, Dwight staje twarzą w twarz przed Shaunem.

– A ja słyszę co innego, przyjacielu. Słyszę, że spała z każdym facetem z twojej

szkoły. Słyszę, że daje dupy całej drużynie futbolowej przed każdym meczem w sezonie. I całej drużynie koszykówki w sezonie koszykarskim. I całej drużynie baseballowej w sezonie baseballowym. Do licha, ona nawet lizała jaja kółku dyskusyjnego. Słyszę, że twoja narkotykowa dziwka ma przynajmniej dwadzieścia rodzajów chorób wenerycznych, o jakich nawet doktorzy jeszcze nie słyszeli.

Kwadratowa twarz Shauna przybiera wygląd apoplektyczny.

– Ostrzegam cię, lepiej się zamknij. Zamknij swoją pieprzoną mordę, facet. Zamknij się!

Grupa wymachuje rękami z pełnym oddaniem, nogi krzesel zgrzytają na płytkach podłogowych. Dwight robi krok w tył, od niechcenia dając przyzwalający gest głową. I Leroy z kumplami strażnikami atakują. Shaun dostaje kolanem w krocze i pada na podłogę, gdzie go kopią i depczą po nim brutalnie, po plecach, bokach, nogach, ramionach. Głowę zasłania rękami.

– Nienawidzę przywoływać do porządku w ten sposób, Shaun, ale cię ostrzegałem – mówi Dwight zimno jak David Niven w starych filmach Disneya. – Ostrzegałem cię, żebyś nie wymawiał więcej jej imienia.

Rozdział 18

Mamy około siedmiu lat, może trochę mniej. Jesteśmy na placu zabaw. Są ferie. Chodziliśmy wtedy do drugiej klasy, tak mi się przynajmniej wydaje. Wiszę głową w dół na drabinkach, ty wisisz obok mnie. Naprzeciwko, twarzami do nas, Hank Wood i Lucy Hamilton. Hank hušta się jak szalony, jego fryzura „spod garnka”, teraz w pozycji do góry nogami, jakby za nim nie nadażała. Lucy jest przerażona, bo wariackie huśtanie się Hanka wprawia w drganie jej stronę konstrukcji, a nie byłoby miło zwalić się na głowę, i to na beton. Lucy chciałaby zejść z drabinek i usiąść spokojnie, ale się nie odważy, bo Hank Wood mógłby posądzić ją o tchórzostwo, a to byłoby niedopuszczalne, zwłaszcza w obecnej sytuacji.

Lucy i ja jesteśmy bowiem w trakcie aspirowania do roli kolejnych dziewczyn Hanka. Być dziewczyną Hanka Wooda nie znaczy zbyt wiele poza tym, że dajesz mu batona Twinkie ze swojego pudełka z lunchem, a on czasami trzyma cię za rękę, kiedy nauczyciel nie widzi, i pozwala, żebyś nazywała go swoim chłopakiem. Właściwie to nie chcę, żeby Hank Wood był moim chłopakiem, gdyż jest głupi i nawet nie wygląda fajnie, bo ma włosy nierówno obcięte, jakby jego mama albo fryzjer, albo ktokolwiek, kto go strzygł, przekrzywił mu garnek na głowie, zanim zaczął ciąć naokoło. Ale dużo dziewczynek było już wybieranych przez Hanka, w każdym razie te najpopularniejsze. Jest to pożądana pozycja.

I tak Lucy Hamilton oraz ja rywalizujemy w tym tygodniu, a ty przyszedłeś pomóc mi w odniesieniu zwycięstwa. Lucy mówi Hankowi, że jest bardzo dobra z matematyki i może pomagać mu w odrabianiu pracy domowej, ty wtrącasz się, żeby przypomnieć, że on nieźle radzi sobie z matką, za to potrzebuje pomocy w wychowaniu społecznym, co jest moją mocną stroną. Lucy mówi, że robi najlepsze czekoladowe ciasteczka na północ od linii demarkacyjnej Masona-Dixona, a Hank pyta, gdzie jest ta linia Masona-Dixona, na co zbieram się odpowiedzieć, że między Pensylwanią a Marylandem, ale kogo to obchodzi, skoro ja robię najlepsze na świecie przysmaki z rice krispie. Zanim jednak doszłam do słowa, ty już zdążyłeś mu je zareklamować.

– Bardzo lubię przysmaki z rice krispie – mówi Hank Wood. Ten interes jest już ubity, widzisz to w głodnych oczach małego Hanka.

Ale nim to potwierdził, nasze negocjacje zostają przerwane. Drabinki wpadają w wibrację i nie ma to nic wspólnego z huśtaniem się Hanka. Cała konstrukcja trzęsie się i łomocze, szcęk i dźwięczenie są tak głośne i przykre, że aż czujemy je

w zębach.

– Czy to trzęsienie ziemi? – piszczy Lucy Hamilton. Zawsze uważaliśmy, że Lucy jest głupia, i właśnie to udowadnia, bo wszyscy wiedzą, że trzęsienia ziemi zdarzają się tylko w Kalifornii, która jest bardzo daleko od naszego rodzinnego Carrefort w Pensylwanii, gdzie mieszkamy od czasu, kiedy tata skończył stomatologię w Karolinie Północnej, która też jest bardzo daleko stąd. Niewiele pamiętamy z tamtego miejsca.

Trzęsienia ziemi nie nawiedzają Pensylwanii, w odróżnieniu od Wayne’a Westbrooka, i wiemy, że to Wayne jest wszystkiemu winny, bo widzimy kątem oka, jak po raz kolejny zamierza się pałką baseballową w podstawę drabinek.

– Hej, *dziewczyńy*! – krzyczy Wayne.

Hank Wood zeskakuje naprawdę szybko, żeby nie dać się zaliczyć do dziewczynek, ale Wayne’owi nie chodzi o Hanka, i nie o tępą Lucy Hamilton. Wołał na nas, na mnie i ciebie. Wayne Westbrook uwielbia się nas czepiać. Zeskakujemy, żeby stawić mu czoło, ty trzymasz się tuż-tuż za mną.

– Jak się macie *dziewczyneczki*?

– Czego chcesz, Wayne? – pytam.

Teraz, kiedy już ktoś zwrócił na niego uwagę, przestaje walić w drabinki.

– Wy dwoje jesteście fałszywkami.

– Że niby co?

– Fałszywe bliźniaki. Moja mama mówi, że wy wcale nie jesteście prawdziwymi bliźniakami.

– Oczywiście, że jesteśmy. Zresztą co tam twoja mama wie – drwię.

– Mama dobrze wie. Mówi, że bliźniaki są identyczne.

– Nawet nie wiesz, co to ma znaczyć – oświadczam, nie chcąc się przyznać, że też nie jestem na sto procent pewna.

– To znaczy, że macie być dokładnie tacy sami, a wy dwoje nie jesteście dokładnie tacy sami.

– Oczywiście, że jesteśmy – odpowiadam. Czy mógł powiedzieć coś głupszego? Czy nie ubieramy się tak samo, czy nie lubimy oboje spaghetti i Christy Crybaby (choć po prawdzie wyrastamy już z zabawy lalkami), a nienawidzimy brukselki i głupich łobuzów jak Wayne Westbrook? Jest durny jak Lucy Hamilton... co też nie jest niespodzianką. Dlaczego Lucy nie miałyby być dziewczyną Wayne’a i zostawić mi mojego Hanka Wooda?

– Nie, nie jesteście. Nie jesteście identyczni, każde dziecko to widzi. To znaczy on... – szturcha cię w pierś końcem pałki, tak że cofasz się o krok – ...on zachowuje

się jak dziewczyna, to by się zgadzało, ale on nie jest dziewczyną.

Chwytam za koniec pałki.

– Zabierz to.

– Zabierz co?

– To, właśnie to.

– Niczego nie zabiorę.

– Ostrzegam cię, Wayne. Lepiej zabierz to, bo...

– Bo co? Poszczujesz na mnie swojego brata ciamajdę?

To nie jest dobra opcja, wiem. Stawiam na Hanka Wooda.

– Bo mój chłopak stłucze się na kwaśne jabłko.

Właśnie gdy to mówię, widzę, jak Hank wycofuje się, zasłaniając się rękami niby tarczą.

– Nie jestem twoim chłopakiem. O nie!

– Wygrałam – piszczy Lucy Hamilton i łapie Hanka za rękę. Wayne Westbrook chichocze.

– I co teraz chcesz... – zaczyna mówić, ale rzucam się na niego i udaje mi się go przewrócić. Stał blisko drabinek i chociaż starał się złagodzić upadek, próbując podeprzeć się najpierw pałką potem ręką, jego głowa trzepnęła o najniższy szczebel jak ostro zaserwowana piłka, a potem buźka rozkwaślała się na betonie.

Na placu zabaw ucichło, Wayne leży nieruchomo. Nikt dotąd nie powalił Wayne'a Westbrooka, a już na pewno nie dziewczyna. Nie jest znokautowany, choć oszołomiony. Udaje mu się dźwignąć na nogi. Biegnąca przez czoło biała pręga, gdzie ociężała czaszka spotkała się z drabinką, nabiega krwią. Wayne robi się purpurowy z wściekłości. Kiedy otwiera usta, widać krew wyciekającą chyba ze zranionej dolnej wargi. Dziewczynki odwracają się na ten widok, a chłopcy parskają śmiechem. Dostrzegam, że coś jest nie tak z zębami Wayne'a. Jednego z przodu brak, a kilka innych chyba się ukruszyło.

Zamiast się odwrócić, zaczynam chichotać, a potem pamiętam tylko tyle, że po prostu wyję z śmiechu, ty zaczynasz się cicho śmiać, a po tobie Hank i Lucy, i za chwilę cały plac zabaw śmieje się do rozpuku z Wayne'a Westbrooka.

Pokazuję palcem jego usta.

– Ha! Będziesz potrzebował ortodonta, Wayne. A zgadnij, czyj tata jest jedynym ortodontą w mieście!

Wayne Westbrook czmycha w popłochu do budynku szkolnego, prosto do gabinetu pielęgniarki. Nie pokazuje się przez resztę popołudnia. Nie martwimy się, że na nas naskarzy, i rzeczywiście tego nie robi, więc nie mamy kłopotów. Wayne

Westbrook za nic by się nie przyznał, że oberwał od dziewczyny. W szkole było oficjalnie wiadomo, że Wayne przewrócił się w czasie ferii, i na tym koniec. Ale dzieciaki znały całą prawdę i już nigdy nie miałam żadnych problemów z Wayne'em.

Jednakże tego dnia mało nas to cieszy. Po szkole biegniemy do domu, ile sił w nogach, i zastajemy mamusię w kuchni.

– Jesteśmy bliźniętami, prawda mamusiu? – pytasz.

– Jesteśmy dokładnie tacy sami – mówię.

– Widzicie... – mówi mama.

– Identycznymi – mówisz ty.

– Widzicie... – mama zaczyna jeszcze raz.

Kiedy ujawniła nam wszystko, przedstawiła całą bolesną prawdę, uciekliśmy nadąsani do naszego pokoju, gdzie zdecydowaliśmy, że i tak będziemy tacy sami, bez względu na to, co myślą i mówią inni.

Rozdział 19

Sesja Spraw Bieżących szaleje jak nawracająca burza, aż wreszcie przechodzi w zestaw końcowych ćwiczeń i odprawę *rola and dole*. Po czwartej albo piątej godzinie rozpaczliwie chce mi się siusiać. Widzę, że inne dziewczyny wiercą się na krzesłach i podnoszą ręce wysoko w górę jak przedszkolaki. Dwight i „Charlie” ignorują te zeszywniale kończyny, ale dziewczyny trzymają je w górze, dopóki któryś ze strażników stojących z tyłu nie okaże przychylności. Domyślam się, że tak uzyskuje się zgodę na wyjście za swoją potrzebą, ale nie jestem pewna, boję się pójść w ich ślady. A jeśli się myślę, jeśli Dwight opacznie odczyta mój nieśmiały gest i pomyśli, że się motywuję, jeśli wywoła mnie, żebym coś wyznawała albo oskarżała kogoś, albo recytowała jakąś zasadę? Nie mam odwagi zaryzykować.

Kulę się na krzesła, mając nadzieję, że pozostanę niezauważona. I wtedy właśnie mam okazję się dowiedzieć, do czego służy raketka pingpongowa i jakie inne zadanie, oprócz niemego zarządzania oskarżycielskimi świstkami, spoczywającymi w plastikowych koszulkach, ma do wypełnienia „Charlie” podczas popołudniowych sesji. To ciche, okrutne zadanie. W końcu nie bez przyczyny „Charlie” w ogóle nie odzywa się w czasie tych zajęć. Krzyki, przesłuchania, karcenie, rozkazywanie, groźby i tak dalej zostawia Dwightowi. On jest w tym bardzo dobry, ma to w naturze. W ten sposób można niemal zapomnieć, że ona też ma wpływ na to, co się dzieje. Nie słyszy się jej i po jakimś czasie przestaje się ją widzieć... do chwili kiedy się ją poczuje, demonstrującą swój mały udział w torturach.

Po godzinach siedzenia na niewygodnych składanych krzesłach ma się pośladki kompletnie zdrętwiałe, odczuwa się w nich mrowienie lub klucie, a po godzinach bez świeżego powietrza, bez ruchu, za to w morzu słów, słów, słów, powieki same opadają, ramiona bolą i garbią się, a tyłek ciąży zgodnie z prawami grawitacji. Po godzinach naszej udreki „Charlie” zsuwa się ukradkiem ze swojego stołka i zaczyna przechadzać się na palcach po sali, waląc raketką z ogromną siłą po karkach, głowach i plecach zmęczonych fazowiczów, ze mną włącznie. Tak właśnie skapowałam puentę zasady „siedzenia prosto przez cały czas”.

Po godzinach tego wszystkiego i przesłuchań jak na posterunku z Hill Street końcowe wyczerpujące ćwiczenia Kroków można traktować jak ulgę. I Siódmy!

„Dążymy poprzez modlitwę i komunie do poprawienia kontaktu z Najwyższym i przekazania Jego woli innym uzależnionym”. Chętnie włączam się do

skandowania.

Gdy zaczyna się odprawa, nastawiam się z ponurą rezygnacją na spędzenie kolejnego wieczoru z Gwen i jej rodziną, ale kiedy Dwight dochodzi do mojego imienia – Justine Z., jak to wciąż dziwnie brzmi – okazuje się, że nie jestem w parze z Gwen. Zostaję przydzielona do kogoś o imieniu Moira.

Podchodzi do mnie dość uprzejmie, a nawet trochę się uśmiecha. Jest wysoką i chudą dziewczyną z ciemnymi brązowymi włosami, grubymi i prostymi, tylko na końcach ma resztki dawnej trwałej w postaci rozwidlających się, postrzępionych kosmyków. Przypomina mi trochę moją najlepszą przyjaciółkę Cindy, choć Moira jest mniej zadbana i nie tak ładna.

Zmiana strażniczki powinna mnie ucieszyć, ale radość może być przedwczesna. Choć przypomina Cindy, ta nieznana mi Moira równie dobrze może być jeszcze gorsza niż Gwen. Diabeł nie śpi. Nie odzywam się do niej ani słowem, gdy łapie mnie za szlufkę, wyprowadza na pogrążony w ciemności parking i po chrzęszczącym żwirze podprowadza do zielonego kombi z drewnopodobnymi listwami bocznymi.

– Cześć, kochanie – wita ją tata zza kierownicy.

– Cześć, tato – odpowiada, czochrając mu włosy na karku. – Miałeś udany dzień?

– Miewałem gorsze.

Ta niespodziewana czułość rozbraja mnie, ale w dalszym ciągu się nie odzywam. Może to tylko sztuczka? Co będzie, jeśli złamię zasadę, wrywając się niepytana? Wolno ci otworzyć buzię tylko wtedy, gdy wyższy rangą fazowicz odezwie się do ciebie, tak uczyła mnie Gwen. Wbijała mi to w głowę, wielokrotnie. Więc nic nie mówię.

Wyglądam przez okno. Autostrada ucieka spod kół, a gdzieś tam brudne i porzucone leżą moje ulubione buty Mary Janes i mój stanik. Pociągam nosem.

– Pierwszy dzień, tak? – zaskakuje mnie głos Moiry z przeciwległej strony tylnego siedzenia.

Kiwam głową.

– Założę się, że jesteś śmiertelnie przerażona.

Znowu przytakuję.

– Wiem, że mi teraz nie uwierzysz, ale wkrótce będzie lepiej – mówi Moira, a potem przechyla się i głaszcze mnie po dłoni. Cofam rękę, ale zdążyłam poczuć ciepły dotyk miękkiej, delikatnej dłoni.

Może ta zmiana nie jest taka zła.

To wrażenie utrzymuje się, gdy podjeżdżamy pod ich dom, jednokondygnacyjny, z białej cegły; i gdy poznaję jej mamę i tatę, oboje są chudzi i ciemnowłosi jak córka; i gdy siadamy do obiadu, dymiącego gulaszu z warzywami, a do tego mamy chleb z masłem i wysokie szklanki – no, jestem w siódmym niebie – szklanki z wodą. Po napełnieniu szklanek mama Moiry przynosi jeszcze dzbanek wody – z kranu, ale z pływającymi w niej kostkami lodu – i stawia go na środku stołu, żeby każdy mógł sobie dolać.

Łapczywie jemy gulasz, zanurzając w nim kromki chleba, a przy stole toczy się rozmowa, niby rodzinna sesja, tak jak w domu Gwen, ale tutaj, z Moirą, jej rodzicami i bez rodzeństwa – jak się domyślam, Moira jest jedynaczką – wydaje się bardziej naturalna. Pogawędka o dniu taty w biurze – chyba agencji reklamowej – i mamy w sklepie Hallmark, gdzie pracuje trzy dni w tygodniu. Mama dzieli się anegdotą o klientce, starszej pani, która przyszła do sklepu szukać kartki dla męża z okazji pięćdziesiątej rocznicy ślubu. Mama zaprowadziła panią do odpowiedniego działu i pokazała jej duży wybór kart – na nich stylowe bukiety i sielankowe scenki oraz gotowe, wydrukowane życzenia z okazji pięćdziesięciolecia, teksty mówiące o miłości, partnerstwie, dzieciach, domu, emeryturze... Jednakże pani zapytała, gdzie znaleźć kartkę z tekstem mówiącym, że również seks jest wciąż wspaniały. Moira i jej tata wybuchnęli na to śmiechem, i ja, o dziwo, też się uśmiecham. To z pewnością jest lepsze miejsce.

Po obiedzie Moira chwytą mnie za szlufkę, towarzyszy mi do łazienki i patrzy, jak robię siusiu, potem sprawdza wykładzinę i kąty pozbawionego mebli pokoju fazowiczów i choć są to te same czynności, które poprzedniego wieczoru wykonywała Gwen, tu przebiega to jakoś spokojniej.

Po tym jak mama i tata powiedzieli nam dobranoc, całując Moirę, a mnie życząc mocnego snu, Moira wyciąga zeszyt z poszewki i zaczyna pospiesznie pisać.

– To jest mój zeszyt z Obrachunkami Moralnymi, jeśli chcesz wiedzieć – informuje mnie.

Chciałam wiedzieć, domyślałam się, że to chyba taki właśnie zeszyt, ale nie zapytałam. Przez cały wieczór nic nie mówiłam, przy obiedzie odpowiadałam tylko „tak” lub „nie” na nieliczne wyraźnie skierowane do mnie pytania: „Justine, czy chciałabyś jeszcze wody? Tak, poproszę”.

– Pewnie pamiętasz, jak o tym mówili dzisiaj na sesji Spraw Bieżących – kontynuuje Moira, cały czas pisząc i nie podnosząc wzroku znad zeszytu. –

Niedługo i ty dostaniesz swój zeszyt. Mamy pisać Obrachunek Moralny codziennie, żeby utrzymywać naszą samoświadomość na wysokim poziomie.

Codziennie według tego samego, ustalonego wzoru. Wygląda to tak, że piszesz o jakimś incydencie z przeszłości i komentujesz, co zrobiłaś źle i komu powinnaś zadośćuczynić, i czego się w związku z tym nauczyłaś. Potem masz napisać o jakiejś bieżącej sprawie. Kończysz czymś pozytywnym, opisując jedną dobrą rzecz, jaka ci się dzisiaj przydarzyła. Może się wydawać, że to sporo roboty, ale wcale tak nie jest. Jest na to sposób i gdy się wprawisz, zrobisz to w mgnieniu oka. Widzisz! – Odkłada ołówek, zamyka zeszyt i triumfalnie podnosi wzrok. – Już skończyłam. Pięć minut, żadna sprawa.

Zanim kładziemy się spać, Moira pyta, czy nie muszę jeszcze raz iść do łazienki, i idziemy. Zaraz potem gaśnie światło. Próbuję ułożyć się wygodnie na kolejnym oślim materacu z czyimiś prześcieradłami i poduszkami, ale te tutaj też nie pachną tobą. Czym ty pachniesz, co to za zapach, który kocham? Nie potrafię go opisać, po prostu nie potrafię. Pachniesz tobą Josh, pachniesz tobą.

Mogło być gorzej, mówię sobie, myśląc o Gwen. To jest lepsze miejsce. I gdy sądzę, że ta-nie-taka-źła na drugim materacu na pewno już usnęła, słyszę w ciemności głos Moiry.

– Możesz sobie popłakać, jeśli chcesz. To jest w porządku. Trzymam język na wodzy. Jest w jej głosie miękkość, która brzmi jak troska, i nie wydaje mi się, żeby to był podstęp, ale lepiej zachować czujność.

– Naprawdę, każdy płacze po pierwszym dniu – zapewnia mnie. – To zupełnie naturalne. A ja się nie wściekam. To znaczy nie będzie mi to przeszkadzało spać, tym się nie przejmuj.

Nic nie mówię.

– Czy tym się właśnie przejmujesz?

– Nie – mówię jej. – Po prostu nie płacę, to wszystko.

– Jak to? Nigdy?

– Nigdy.

– Mówisz serio?

– Tak. Całkiem serio. – Może nie powinnam tego wyjawiać, bez względu na to, jak miła i normalna się wydaje. Może nieplakanie jest złe, może jest wbrew zasadom. „Dlaczego ty nigdy nie płaczesz”, mówiła mama w taki sposób, jakby to było oskarżenie, a nie pytanie, „ty nigdy nie płaczesz”. – Nie wiem dlaczego – wyjaśniam Moirze jakby od niechcenia. – Po prostu nie wiem. To prawdopodobnie jakaś wada kanałów łzowych, coś takiego, problem medyczny.

– Hm. Jeszcze nie spotkałam dziewczyny, która by nigdy nie płakała. W każdym razie nie w programie.

Czekam, gapiąc się w górę. Mama albo tata Moiry czy może ktoś inny przykleił do sufitu w pokoju fazowiczów jedną z tych świecących w ciemności imitacji rozgwieżdżonego nieba.

– A właściwie za co tutaj jesteś?

– Tak naprawdę to nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Nie wiesz?

– Mówią, że na obserwację. Trzy dni. – Wyliczam dni na palcach prawej ręki, mimo że mam jąd pod kołdrą że jest ciemno i Moira nie może tego liczenia widzieć. Raz-dwa-trzy.

– Ach tak.

– Myślę, że to jakaś pomyłka. Moi rodzice, wiesz, no, oni byli ostatnio jakoś nie w formie. Nie myślą już normalnie.

Moira strzepnęła poduszkę i z powrotem się na niej mości, wzdychając.

– Jasne. Ale zwykle chodzi o jakąś końcową drakę. Co było tą kroplą, no wiesz, tą ostatnią przysłowiową kroplą?

– Nie bardzo wiem, co masz na myśli.

– Chodzi mi o to, że musiałś zrobić coś takiego, że rodzice powiedzieli: no tak, teraz dość już tego. W takich momentach korzystają z programu.

Myślę o tamtej nocy przez minutę, może dwie. Cindy i Beth, i Kelly, i sześciopak milwaukee best, niskokalorycznego. Nie powinnam była wychodzić tego wieczoru. Powinnam była siedzieć w domu. I tak Prezydenci niestety nie wygrali, mało tego, nasi rywale, Tygrysy z sąsiedniej szkoły, dołożyli nam zdrowo, mieli dwadzieścia punktów przewagi.

– Wiesz, myślę, że pewnie chodziło o sobotę. Był mecz koszykówki na naszym boisku, a potem tańce w mojej szkole, no i wypiałam kilka piw, to fakt, i wróciłam do domu zdecydowanie za późno.

– I?

– I tyle.

Nie wygląda na to, żeby Moira dawała wiarę temu, co powiedziałam.

– Od jak dawna używałaś? – chce wiedzieć.

– Co masz na myśli?

– Alkohol, amfę, herę, trawę, coś z tych rzeczy?

– Nie *używam*. – Boże, nienawidzę tego słowa. – Poszło o tamtą sobotę. To ta sobota.

Moira prycha i najlepiej jak umie, małpuje Johna McEnroe'a.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Mówię.

Widzę jej sylwetkę w mroku, gdy unosi się na łokciu, jak gdyby chciała na mnie spojrzeć, zobaczyć wyraz mojej twarzy.

– Nie robisz sobie ze mnie jaj? Mówisz prawdę?

– Mówię prawdę.

– Chcesz powiedzieć, że raz wyszłaś wieczorem, popiłaś z innymi małolatami i wylądowałaś tutaj?

– Tak to wygląda.

Cień o zarysie głowy kiwa się i widzę w ciemności, jak przesuwają się błyszczące białka jej oczu.

– Porąbało ich, kurczę, naprawdę porąbało. To znaczy są dzieciaki, które nie siedzą w programie przez uzależnienie, to fakt, wszyscy to wiedzą, ale ty... Jeśli to prawda...

– To jest prawda.

– Jezu, trzeba mieć pecha. Jedna noc balangowania i krach. To naprawdę porąbane.

– Ale jestem tu tylko na obserwację – przypominam jej i sobie. – Trzy dni, tak powiedzieli.

– Tak – mówi Moira. – W takim razie w porządku.

Pada z powrotem na poduszkę i teraz obie gapimy się w sufit, na migoczące tam gwiazdy, i myślimy o tym, że to jednak porąbane. Moira nie odzywa się, aleja się wyluzowałam, czuję się pewniej.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Wal śmiało.

– Czy wszystkie sesje są takie?

– Jakie?

– No, z całym tym wrzaskiem i... nie wiem, z tym wszystkim... hm... co się działo dzisiaj.

– Jasne, myślę, że wygląda to dość ostro, jak się widzi pierwszy raz.

– Raczej tak.

– W zasadzie sesje zawsze są mniej więcej takie. Dwight i inni z personelu, ale tak naprawdę głównie Dwight, krzyczą i wrzeszczą, i wyzywają, ale generalnie to jest dla dobra ludzi. – Położyła się na wznak i nie widzę już jej sylwetki ani zarysu twarzy, ani żadnego ruchu. – Wiesz, ludzie przychodzą tu z mnóstwem problemów,

agresją, z mnóstwem narkotykowego gówna i, niestety, z nimi trzeba twardo, co nie zawsze jest ładne, ale ich trzeba złamać, całkowicie złamać, zanim doprowadzi się do tego, żeby byli czysti. W każdym razie taka jest filozofia.

– I ty w to wierzysz?

Moira się nie waha, a jeśli tak, nie wyczuwam tego.

– Tak, no pewnie, wierzę – odpowiada.

– I zawsze próbują w taki sposób przyłapać na nieprzestrzeganiu zasad, tak jak robili podczas sesji dziś po południu?

– To się zdarza, tak – przyznaje Moira. – Zasady istnieją tu nie bez powodu i oni chcą się upewnić, że ich przestrzegasz, bo jeśli nie, to możliwe, że gdzie indziej też nie będziesz robić tego, czego się od ciebie oczekuje. Albo jeśli mówisz, że ich przestrzegasz, a nie robisz tego, to może w innych sprawach też nie mówisz prawdy. Mają w zanadrzu parę sztuczek, żeby cię sprawdzać, i będą próbowali podejść cię psychologicznie, będą naciskać, naciskać. Widzą, czy mówisz prawdę, a jeśli nie, to będą przypierać cię do muru i przypierać, aż się przyznasz. Dopóki nie jesteś szczerą, nie możesz iść dalej w programie. Taką mają filozofię.

– Aha. Mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie, Moiro?

– Dawaj.

– Jak się nauczyć tych wszystkich zasad?

– Ha, to jest pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów. A odpowiedź brzmi... nie wiem. Tego po prostu się uczysz, i to szybko.

– Ale jak?

– Wiesz, przyswajasz je podczas sesji i łamiąc je w pierwszych dniach. Prawdopodobnie już kojarzysz kilka najważniejszych.

– Jak to, żeby nie rozmawiać za plecami? Nie utrzymywać kontaktu z narkotykowymi znajomymi?

– Właśnie.

– Co jeszcze?

– Nie wiem, nie potrafię przypomnieć sobie tak na zawołanie. Za dużo ich jest. Zasady dotyczą chyba wszystkiego. Ubrania... żadnych obcasów i sznurówek, żadnych pasków, żadnych okularów, żadnych znaków firmowych na ubraniach, żadnych logo ani sloganów, żadnych dzinsów, żadnego makijażu i modelowania włosów u dziewczyn czy zapuszczania włosów poniżej uszu u chłopców. Zachowania... żadnych nieprzyzwoitych gestów, wiesz, trzeci palec w górze, i żadnego odzywiania się do wyższego rangą fazowicza czy kogoś z personelu, chyba że cię wywołają, żadnego używania narkotykowego slangu...

Przerywam jej.

– Co się liczy jako narkotykowy slang? Wszyscy klną jak szewcy.

– Przekleństwa są w porządku. Pewne słowa związane z narkotykami są zabronione. Takie jak kop, maroko, maryśka, kanał, grzybki...

Zakazane słowa – wyobrażam sobie naszego tatę... i co by powiedział na przekleństwa, czy to wszystko byłoby dla niego w porządku?

– No właśnie. Te i inne słowa, takie jak cool, luzak, zajebisty, odjazdowy, takie rzeczy.

– Dobra, a jakie są inne zasady?

– Niech pomyślę. Oczywiście masz się motywować, żeby mieć szansę uczestniczenia w sesji, i nie wolno ci rozmawiać z nikim przeciwnej płci ani go dotknąć... nie licząc personelu, fazowiczów z piątej fazy oraz oczywiście braci i ojców... ani mówić nikomu spoza programu, co się tutaj dzieje, i nie wolno nowicjuszom, jak na pewno zauważyłaś, nigdzie się ruszyć i niczego robić bez nadzoru. Potem są zasady szczerości, zasady łańcucha hierarchii, mnóstwo. Rety, już nie wiem. Jest ich tak dużo. Raczej nie ma żadnego spisu, niczego na piśmie, a przynajmniej ja czegoś takiego nie widziałam. Nie drukują żadnych broszurek, choć to by ułatwiało zapamiętywanie. Nie mogą, musieliby przedrukowywać je dwa razy na tydzień. Cały czas wprowadzają nowe zasady, a czasami zmieniają stare, jak się coś wydarzy. Nie wiem, po prostu trzeba mieć jakąś część mózgu otwartą na zasady i za każdym razem, gdy się stykasz z nową wrzucać ją tam i przechowywać jak w kartotece. Tak się ich uczysz.

Gapimy się w sufit jeszcze przez kilka minut. Mamy na co patrzeć dzięki tym przylepionym gwiazdom. Fajnie, że tam są, wyobrażam sobie, że biwakujemy pod gołym niebem jak skautki, chociaż nigdy nie należałam do skautek, skoro ty nie mogłeś się zapisać.

Pamiętam, że któregoś roku – mieliśmy wtedy osiem albo dziewięć lat – błagałeś i błagałeś o taką świecącą w nocy konstelację gwiazd, jaką ma Moira. Tata powiedział, że nie będzie płacił za zaśmiecanie sufitu, więc musiałeś oszczędzać, żeby sobie uzbierać na taki zestaw. Znaleźliśmy niedrogi, na wyprzedaży, i poculiśmy się jak posiadacze astronomicznego skarbu. Ale ta paczka musiała dobrze przeleżeć się na półce, bo kiedy wróciliśmy do domu, gwiazdy nie chciały się przyklejać. Odpadły od sufitu, zanim zleźliśmy z drabinki, i nie świeciły jak komety, nawet nie migotały jak świetliki. Te głupie przecenione znaczki bez odrobiny kleju po prostu odpadły.

Już nie czuję się jak skautka. Przez te gwiazdy posmutniałam.

– Moiro – szepczę w ciemność, odwracając się na bok, opuszczając kosmos. –
Czy znałaś mojego brata Josha Zieglera?

– Tak – mówi. – Znałam go.

– Możesz mi powiedzieć, jak mu tutaj było?

Moira wzdycha, a potem znowu unosi się na łokciu, by mnie widzieć. Przez okno wpada teraz snop księżycowego światła i oświetla jedną stronę jej twarzy. Usta ma cienkie, o prostej linii.

– O! Widzisz, to jest właśnie to, o czym mówię. Lekcja na zawołanie. W tej chwili łamiesz dwie zasady... rozmawiasz za czyimiś plecami i używasz narkotykowego imienia.

– To znaczy, że nie mogę wymienić imienia mojego własnego brata?

– Gdyby jeszcze był w programie, mogłabyś, ale tak jak jest... nie.

– Ale Dwight użył jego imienia – argumentuję. – Wczoraj, kiedy przyjechałam, powiedział przy całej grupie, że jestem bliźniaczką Josha Z. Wszyscy to słyszeli.

– Kolejna lekcja. To zasada, o której nigdy nie powinnaś zapominać... zasady nie odnoszą się do personelu... więc nawet nie myśl, żeby ich na czymś złapać.

– Ale...

– Posłuchaj, Justine, daj sobie spokój. Lepiej na tym wyjdiesz, jak spuścisz z tonu i będziesz robić to, czego chcą. Bądź sprytna, a łatwiej ci będzie znieść pobyt tutaj. I nie bój się mnie. Jeżeli chodzi o tę rozmowę i twoje wpadki, nikomu nie powiem, jeśli ty nie powiesz.

– Dzięki – mówię i szczerze tak myślę. – I, Moiro, nie powiem nikomu, że używałaś zakazanych słów.

Śmieje się, opadając z powrotem na poduszkę.

– Widzisz, uczysz się.

– Czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie? Ostatnie, przysięgam.

– Dawaj.

– Za co tu jesteś?

– Ja? – pyta. – To jest miejsce dla mnie. *Jestem* narkomanką. Come Clean było moją ostatnią szansą. Gdyby nie ten program, pewnie byłabym teraz w więzieniu. Albo bym już nie żyła.

Rozdział 20

Przez resztę tygodnia, poza nocami z Moirą, z nikim o niczym nie rozmawiam – nikt nie odzywa się do mnie i ja się do nikogo nie odzywam. Patrzę i słucham, więc dociera do mnie, jak przepowiedziała Moira, coraz więcej tych kretyńskich zasad.

Istnieje zasada nic-własnego-tylko-co-dadzą, która odnosi się do jedzenia, ubrań, papieru, ołówków i tak dalej. Nie ma w programie żadnej materialnej rzeczy, do której można sobie rościć prawo własności, z wyjątkiem tych krótkich chwil, kiedy ma się to coś w ręku. Każdej nocy jadę do czyjegoś domu, według przydziału, za każdym razem w innej kurtce i czasami w rękawiczkach, ale zawsze bez szalika – to kolejna zasada – pewnie dlatego, że mógłby dać komuś z nas cień szansy powieszenia się na wstecznym lusterku w samochodzie gospodarzy. I co rano po przebudzeniu dostaję inny zestaw odzieży – nie w moim rozmiarze. Zanim minął trzeci dzień, mój niemodny wkład rzeczowy został wyprany i dodany do puli, więc brązowe sztruksy i bluza jak czereśniowe drzewo weszły do ogólnego obiegu.

Kolejna zasada dotyczy kontaktów z rodzinami, które co wieczór biorą nas do siebie, trzymają pod kluczem i karmią. Jest to właściwie cały zestaw zasad. Jako nowicjusz nie masz prawa rozmawiać z gospodarzami inaczej niż za pośrednictwem fazowicza, członka tej rodziny. Dozwolone są konwencjonalne zwroty, jak pytania i odpowiedzi typu „czy mogę prosić o masło”, „nie, dziękuję”. Ale nie wolno pytać o nic osobistego. Słyszysz sporo o prywatnych sprawach podczas rodzinnych sesji przy obiedzie, prowadzonych i monitorowanych przez starszego fazowicza, ale ty się nie wtrącasz, chyba że ktoś się do ciebie bezpośrednio zwróci.

Żadnych gazet, czasopism, książek ani radia, telewizora, walkmanów nie wolno gospodarzom trzymać w takich miejscach, żebyśmy mogli cokolwiek przeczytać, obejrzeć czy czegoś posłuchać. I oczywiście nic z tych rzeczy w budynku programu. Ani nam, ani goszczącym nas rodzinom, gdy u nich jesteśmy, nie wolno rozmawiać o żadnych wiadomościach ze świata zewnętrznego, nie wolno wymieniać nazw zespołów muzycznych, tytułów piosenek pop czy programów telewizyjnych. Nie bardzo wiem, jakie to ma mieć racjonalne uzasadnienie. Podobno chodzi o ich zgubny wpływ na uzależnionych – choć trudno mi zrozumieć, dlaczego wypowiedzenie takich słów, jak *Happy Days* czy *Laverne and*

Shirley, czy *Three's Company* może natchnąć cię do czegokolwiek poza zanuceniem melodii *Schlemiel Achlimaze* lub podniesieniem kciuków w górę, jak wykonawca, co bez wątplenia też jest wbrew regułom. Podobno nie mając dostępu do takiej muzyki, programów i czasopism, ograniczamy oddziaływania z zewnątrz, aby koncentrować się na zdrowieniu.

Jest też zasada nigdy-nie-odzywaj-się-pozza-kolejnością, która rozumiana literalnie mogłaby występować pod nazwą zapomnij – o-dobrych-manierach. Podczas sesji nie wolno się odezwać, chyba że cię wyznaczą z góry do rytualnego upokorzenia, co nie daj Boże, albo sam zgłosisz się do czegoś na ochotnika, zasłużwszy na wybranie robieniem z siebie idioty podczas motywowania się. W każdej innej sytuacji, bez względu na to, co się dzieje, należy siedzieć cicho. Jak nadepniesz komuś na nogę, nie przepraszasz; jeśli przy trzaśniesz sobie palce w sprężynach swojego składanego krzesła, nie krzyczysz ani nie jęczysz; jak pierdniesz albo bekniesz, nie krzywisz się ani nie mówisz „uups”; jak słyszysz, że ktoś kichnął, nie mówisz „na zdrowie”. Nie mówisz nic.

Ta zasada ma trochę zabawnych konsekwencji. Lunche z fast foodów nie oszczędzają układu pokarmowego i trzeba zachowywać kamienną twarz, gdy okazjonalne chwile ciszy podczas popołudniowych sesji przerywane są odgłosami puszcanych bąków i powietrze robi się ciężkie od smrodu takiej emisji gazów.

„Kto kroił ser?”, zapiszczałyś radośnie z udawaną odrazą, gdybyśmy byli w piątej klasie i siedzieli u Richiego Richardsona w domku na drzewie z Cindy i Lloydem, i Daviem Kirchnerem czy z kimś jeszcze. „Kto poczuł, ten wytoczył”, ja, Cindy, Davie, Richie czy kto tam odparowałby wesoło, zatykając przy tym nos.

W Come Clean powstrzymujemy się od uśmiezków, zamierają na ustach, zanim ściągną karę, nikt nie zatyka nosa, nikt nie śmie się odezwać.

Konsekwencje bowiem wcale nie są do śmiechu. Pewnego ranka, gdy dziewczyna z drugiego rzędu kichnęła, a siedząca obok automatycznie szepnęła do niej „Na zdrowie”, to jeszcze tego samego popołudnia została wywołana na sesji Spraw Bieżących i przesłuchana na okoliczność takiego pogwałcenia prawa. Zdumiało mnie, że ta kichająca nie znalazła lepszego tematu na popołudniową sesję donosów, i w każdym razie postanawiam, że w tym miejscu nigdy nie będę uprzejma.

Ale to wiąże się z kolejną zasadą. Obowiązkowych donosów, które trzeba pisać, kiedy przychodzą z ołówkami i tymi małymi kartkami. Nie zdobyłabym się na coś takiego, na szczęście nikt nie zwraca na mnie uwagi – myślę sobie, że to dlatego, iż mój pobyt tu jest tylko formalnością, że jestem tu na krótko – i na tych kartkach

improvizuję. „Ktoś ukradł mojego pretty pony”, piszę, albo „Po fencie dostaje się biegunki”, albo „Ratujcie, proszę, ktoś się pomylił”. Kilka osób, które nie opanowały sztuki donosów, musiało się już tłumaczyć z braku czujności i niezdawania raportów z tego, co się wokół nich dzieje. Sprytniejsi, jak sądzę, nauczyli się manipulować tym systemem. Przypuszczam, że donoszą na samych siebie, pisząc o rzeczach, które uważają za nieistotne, albo przyznając się do jakiegoś wykroczenia przeciw zasadom, ale do takiego, o którym i tak już inni wiedzą. W ten sposób, jeśli zostaną wywołani, od razu dobrze wiedzą czego się trzymać. W przeciwnym razie wpadają w sidła Dwighta, przyznając się do jeszcze czegoś innego, a w rezultacie muszą stawić czoło dwóm zarzutom naraz, jak było w przypadku Emily.

I musisz oskarżać ludzi, to też jest zasada. Jeżeli nie oskarżasz innych wystarczająco często albo wystarczająco napastliwie, ty będziesz oskarżany.

Patrzę, słucham i uczę się struktury programu, hierarchii wśród fazowiczów. Nie różni się wiele od hierarchii w szkołach średnich, tyle że przynależność do fazy w najmniejszym stopniu nie jest zależna od wieku. Ci, którzy są w piątej fazie, stoją najwyżej. Są jak dwunastoklasiści, najstarsi uczniowie, którzy rządzą w szkole. Oni są strażnikami, którzy stoją z tyłu grupy i uaktywniają się, gdy zachodzi potrzeba, oraz służą personelowi jako dodatkowe oczy, uszy i pięści. Mają być dla reszty modelami jako ci, którzy z powodzeniem przeszli program i są w przededniu ukończenia Kroków do Wyzdrowienia. Kiedy personel zdecyduje, że są gotowi, skończą program, co się nazywa Przekroczeniem Siódmego.

Ci z piątej fazy budzą przerażenie i strach, trudno to nazwać inaczej, we wszystkich pozostałych fazowiczach, których ćwiczą w obowiązkach i odpowiedzialności. Czwartofazowicze, jak uczniowie klasy przedmaturalnej, szarpią wędzidło, by wyrywać wodze. Trzeciofazowicze, jak drugoklasiści, dopiero stają na nogi i próbują się odnaleźć w systemie. Drugofazowiczów można porównać do uczniów pierwszej klasy, którzy są trochę oszołomieni i zagubieni, ale zarazem zadowoleni, że zaliczają się już do gimnazjalistów. A na końcu są pierwszo-fazowicze, nowicjusze. Tacy jak ja, tylko że ja nie, bo ja się tak naprawdę nie liczę. Nowicjusze są niczym, jesteśmy niżej niż nisko, jesteśmy gorsi niż podstawówka czy przedszkole. Nie mamy praw, przywilejów, statusu. Jesteśmy warzywami, ignorantami, samym złem, spiskowcami i w ogóle kimś niegodnym zaufania do tego stopnia, że nie można zostawić nas bez nadzoru choćby na minutę.

No więc teraz o ciągnięciu za szlufki.

Strażniczka towarzyszy mi wszędzie, również w tych miejscach, dla których

wynaleziono słowo prywatność. Jestem wzdęta i obolała z powodu zatwardzenia, bo nie mogę, nie będę załatwiać poważniejszej potrzeby w obecności drugiego człowieka, jakbyśmy żyli w Chinach albo w jakimś kraju Trzeciego Świata, jakbyśmy nie byli wcale cywilizowani. Bolesny jest ten ucisk w jelitach, bolesne jest także ciągle wrzynanie się spodni w kroku, czego konsekwencją jest suchość i podrażnienie części intymnych. Nauczyłam się chodzić na poduszkach stóp z mocno zaciśniętymi pośladkami, sztywna w ramionach, by łagodzić uciążliwość poszturchiwań z tyłu w wykonaniu manewrującego mną ludzkiego steru.

Ciąganie za szlufki jest irytujące, krępujące, bolesne, poniżające, upokarzające, żenujące, ale wiem, dlaczego to robią. To ich sposób na to, żeby nas złamać, żeby na początek pokazać nam, gdzie nasze miejsce.

Patrzę i słucham, ale rzeczywistość mnie przerasta, nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie zapamiętać to wszystko, czego się tu ode mnie oczekuje, a to jest ważne, jak mówi Moira. Chcę jednak zachować spokój. Tłumaczę sobie, że wcale nie muszę się uczyć tego wszystkiego. Nie będę tutaj aż tak długo, żeby obciążanie pamięci miało sens. Ot, poznaję zasady i hierarchię, żeby zabić czas. Gdybym tego nie robiła, zwariowałabym z nudów i odrazy.

Trzydniowa obserwacja i na tym koniec. Ale kto mnie obserwuje, chciałabym wiedzieć. Patrząc i słuchając, nie znajduję niczego, co mogłoby dowodzić, że ktokolwiek mnie obserwował, słuchał, sondował, robił notatki, wydawał opinie. Oczywiście nigdy nie jestem sama, ale nie o to chodzi. Dziewczyny prowadzące mnie za szlufkę – często ich twarzy nawet nie udaje mi się zobaczyć – zachowują się tak, jakby kierowały kosiarką do trawy. Po prostu są tam z tyłu za mną, jak mają przykazane, nic więcej, nic mniej. O nic mnie nie pytają, nie odzywają się do mnie, więc jak mogłyby cokolwiek wnioskować.

Codziennie przyglądam się bacznie jedynym podejrzanym – osobom z personelu. To oni są w mocy analizować moje zachowanie i podejmować decyzje. Czy mnie obserwują? Hilary jest dyrektorem programu, głównodowodzącym, ale w ciągu dnia tylko wpada od czasu do czasu jak po ogień, a dzwoniący naszyjnik z kluczy obwieszcza jej przybycie. Z kolei Dwight, z tym swoim wyglądem kojarzącym się z klimatem *Teenbeat* i z tym swoim dudniącym głosem, jest zawsze na miejscu. Podczas porannych sesji, popołudniowych sesji, w czasie lunchu przewodzi wszystkiemu jak wódz. Są jeszcze inne osoby należące do personelu – jest cicha „Charlie”, która ma na imię Ramona, jak odkryłam, jest facet imieniem Bo, z włosami w koński ogon, jest dziewczyna nosząca imię Lois, Lola albo Louise, ale oni mają wkrótce odejść.

I nikt z personelu – ani Hilary, ani Dwight, ani te pionki – nie wydaje się zwracać na mnie najmniejszej uwagi. Począwszy od dnia, kiedy zostałam przyjęta. Czekam, aż Dwight nazwie mnie przy jakiejś okazji kretynką. Albo Hilary zapyta „Jesteś pewna?”, gdy podniosę rękę, zgłaszając pilną potrzebę, czego się w końcu wyuczyłam. Słyszę, jak świergocze do innych, ale nigdy do mnie.

Najwidoczniej oni też się zorientowali, jak śmieszna jest ta cała sprawa. Ja tu? Ja narkomanką? No nie! Po prostu, dla zachowania twarzy, czekają, aż miną te trzy dni, i czym prędzej oddadzą mnie z powrotem rodzicom.

W każdym razie tak myślę, na to czekam w środę, która jest moim trzecim pełnym dniem w programie. Czekam cierpliwie oraz patrzę i słucham, jak poddawani konfrontacjom fazowi cze próbują się bronić, a potem zalewają się łzami – prawie zawsze są przy tym łzy. Czekam i wypatruję w drzwiach wejściowych rodziców. Właśnie zaczynamy ćwiczenia kończące dzień.

– I Piąty!

– „Utrzymujemy się w gotowości do tego, by Najwyższy usunął wszystkie braki naszego charakteru i pokornie Go o to prosimy”.

A potem, kiedy przychodzi pora na odprawę *rolī and dole*, jestem spokojna, to ma sens, myślę, bo gdy Dwight dojdzie do mojego imienia, wtedy krzyknie: „Justine Zeeeeet z panem i panią Ziegler. Wstrzymuję oddech i patrzę na drzwi. Na próżno, on ogłasza, że jestem przydzielona do Gwen. Zanim ochłonęłam, zanim wyartykułowałam „chwileczkę”, już jestem wciśnięta do jasnobieżowego sedana.

Nie ośmieliłam się zapytać Gwen, o co chodzi, i w czwartek od rana zastanawiam się, czy ci zwariowani instruktorzy popełnili jakiś administracyjny błąd i naprawdę zupełnie o mnie zapomnieli. Cały ranek próbuję nawiązać kontakt wzrokowy z Dwightem albo Hilary, nawet z tą przygłupią Ramoną – wpadła na moment w obcisłych dżinsach i bluzeczce a la Madonna, aby podrzucić stertę papierów – ale bez skutku. Tak jakby w ogóle mnie nie widzieli, jakbym była narysowana atramentem sympatycznym. To przywołuje na pamięć, jak mi odpłacałeś, gdy zrobiłam coś, co ci się nie podobało. Stosowałeś leczenie ciszą pamiętam ją – ciszę wokół jak w głuchocie – i to, że błagałam cię, żebyś się odezwał. A wtedy wymuszałeś na mnie przeprosiny oraz ćwierć dolara na następnego snickersa i wszystko było cudownie.

Tutaj jednakże pozostaję niewidzialna. W pewnym momencie – jak tylko dziewczyna nazywająca się Jennifer J. skończyła opowiadać, jak to była dealerką swojego nauczyciela chemii, narkomana, który preparował krak w szkolnym laboratorium – próbuję nawet uczestniczyć w motywowaniu się, żeby tylko

zwrócić na siebie uwagę. Ręka w górze, macham, macham dłonią, podskakuję na krześle. Przyznaję, dalekie to od zawziętości innych, ale to mój pierwszy raz. Czuję się jednak głupio, przestaję.

W połowie przedpołudniowej sesji mamy przerwę na dziesięciominutowe ćwiczenia fizyczne. Seniorka z piątej fazy dorwała się do mnie – nowicjusze nie mogą samodzielnie nawet skłonów robić – ale rzucam się do przodu. Na drugim końcu sali Hilary rozmawia z inną dziewczyną z piątej fazy i najkrótszą drogą zmierzam tam, mój ster potyka się, nie może nadażyć, ciągnę ten ciężar za sobą a pasek od spodni wrzyna się w mój wzdęty brzuch.

Zatrzymuję się tuż przed Hilary, ale mój ster nie ma tak dobrych hamulców. Wpada na mnie siłą bezwładu, a ja niczym kostka domina padam na obwieszoną kluczami pierś Hilary. Klucze dzwonią głośno. Zaplątują mi się we włosy, wrzynają się w policzek, a jeden trafia mnie prosto w oko.

– W czym mogę pomóc? – pyta Hilary, gdy wracam do pionu, zakrywając dłonią bardziej uszkodzoną stronę twarzy.

– Hilary, próbowałam ją zatrzymać – piąta faza zaczyna się tłumaczyć, ale Hilary powstrzymuje ją gestem dłoni.

– Nazywam się Justine Ziegler – oświadczam, szukając w jej oczach oznak zrozumienia.

Unosi brwi w łuk wyrażający zdumienie, ręką sięga do łańcucha kluczy i zaczyna układać je ząbkami w jedną stronę.

– Tak?

– Przyjechałam tutaj w niedzielę.

– Zgadza się. Przyjęłam cię.

– Właśnie! – Zna mnie, oczywiście, że mnie zna.

– I co?

– A dzisiaj jest czwartek – informuję ją.

– Naprawdę? – wzdycha. – Jestem beznadziejna, jeśli chodzi o dni tygodnia.

Ciągle tracę rachubę czasu.

– Niedziela była cztery dni temu – naciskam. – A ja Jestem na obserwacji, pamięta pani. Obserwacja miała trwać trzy dni. Tymczasem minęły *cztery*.

– Aha. Rozumiem. – Pochyliła głowę pozornie współczująco. – Zapewne zastanawiasz się, co się dzieje.

– Właśnie. Tak.

– I zastanawiasz się, kiedy przyjadą po ciebie rodzice?

Przytakuję. No powiedz mi. Chcę krzyczeć. Kiedy, do diabła, kiedy?

Jej usta rozchylają się lekko, w łagodnym półuśmiechu Mony Lizy.

– Przyjeżdżają jutro. Będą na Spotkaniu Otwartym.

– Jutro.

Powinnam się klócić, że to za późno. Że trzydniowa obserwacja powinna być ograniczona do trzech dni, nie więcej. Powinnam powiedzieć tej głupiej roztargnionej babie, żeby się wypchała, że nie mam zamiaru znosić tego gówna ani minuty dłużej, nie mówiąc o całym dniu. Ale Hilary wycofała się z powrotem na swoje centralne miejsce i przytknęła gwizdek do ust, wznawiając sesję, zanim zdążyłam cokolwiek wyartykułować. A zresztą to chodzi tylko o jeden dzień.

Chcę zaśpiewać pieśń, jak mała sierotka Annie. *Jutro, jutro, kocham cię, jutro. Jesteś tylko zaaaaa... dzień.* Cokolwiek się dzisiaj zdarzy, wytrzymam. Jutro wszystko się skończy i jutro w nocy znowu będę spać w naszym wysuwanym łóżku z Christie Crybaby i Teddym Kennedym, ze wszystkimi pluszowymi zwierzakami i twoim zapachem na poduszce.

Rozdział 21

Mamy już ósmy rok i bardzo lubimy wszelkie gry i zabawy. Bawimy się w najrozmaitsze, na okrągło. W szkole zajęcia wf. są bardzo dobrze zorganizowane. Nasz nauczyciel, pan Zarrow, dzieli klasę na grupy i uczy nas zasad gier sportowych, takich jak T-ball, piłka nożna, badminton i inne. Często te gry kończą się łzami, bo nikt w klasie nie jest dobry w liczeniu punktów, a zwłaszcza ty, bo w ogóle nie masz głowy do liczb. To prowadzi do nieporozumień, nieraz bywa gorąco. No i jeszcze chłopcy narzekają, nie chcą grać w żadne gry na wf. kiedy muszą mieć w drużynie dziewczyny, chcieliby tylko grać w Małej Lidze, żeby tatusiowie przychodzili po pracy im kibicować.

Gdy pogoda zdaniem pana Zarrowa zasługuje na określenie „paskudna”, wtedy prowadzi nas na salę gimnastyczną, gdzie bawimy się w inne gry, znacznie fajniejsze, a punktacja jest w nich łatwiejsza lub w ogóle niepotrzebna. Bawimy się w przeciąganie liny wzdłuż linii dzielącej boisko do koszykówki, czasami do taktu muzyki w brakujące krzesło i nawet w kaczka, kaczka, gęś, choć wolelibyśmy nie cofać się aż do przedszkola i za każdym razem próbujemy wytłumaczyć panu Zarrowowi, że z tych czasów już wyrosliśmy. Bawimy się w „Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy” i „Mamo, mamo, ile kroków do domu” i w murarza, w czym ustanowiłam rekord, do jakiego nawet nie zbliżył się żaden chłopak z klasy – pięć razy z rzędu byłam złapana jako ostatnia. Zdecydowanie jednak najulubieńszą naszą zabawą na sali jest „Królu, królu, daj wojaka”. Jeżeli udaje nam się trafić do tej samej drużyny, trzymasz się mnie i podpowiadasz szeptem imiona chłopców, których mamy wywołać. Gdy po okrzyku: „Królu, królu, daj wojaka”, pada pytanie „Jakiego?”, najczęściej wołam Daviego Kirchnera, bo Davie Kirchner jest najfajniejszym chłopcem w trzeciej klasie, co jest jasne jak słońce. Wielu chłopaków z przeciwnej drużyny – żaden nie jest tak fajny jak Davie Kirchner, ani tak popularny – bierze ciebie na cel, gdy są wywołani, bo uważają, że jesteś słabym ogniwem w naszym łańcuchu rąk. Nie udaje im się jednak przerywać go w tym miejscu, w każdym razie nie za często, bo ja trzymam cię w przegubie tak mocno, że pod moim uchwytem włoski splątują ci się tam w indiańskie supełki.

Podczas przerw jesteśmy pozostawiani samym sobie, klasa rozbiega się po placu zabaw i bawimy się w jeszcze inne gry. Ty i ja zawsze jesteśmy razem, to oczywiste, i wszędzie nas pełno. Czasami odpinamy i bierzemy nasze rowery ze stojaka i jeździmy w kółko, psując innym zabawę. Mamy nowiutkie schwinny, nikt

inny w klasie nie ma takiego roweru i stąd zyskaliśmy przewisko bliźniaki Schwinn. Nauczycielom nie podoba się, jak jeździmy na rowerach, myślą, że wyjedziemy poza teren szkoły, a to zabronione. Niektórzy nie pozwalają nam nawet podejść do stojaka na rowery, albo do końca lekcji zabierają nam kluczyki od kłódek, ale to zależy od tego, który nauczyciel podczas przerwy pilnuje porządku na placu zabaw.

Czasem podczas przerw trzymamy się z dziewczynkami, skaczemy wtedy na skakankach, gramy w jacks kauczukowymi piłkami albo w klasy. Mellanie Heath ma podkradać kredę do rysowania klas, ale zwykle udaje jej się zwędzić spod tablicy tylko same końcówki. Musimy odliczać „Entliczek, pętliczek”, żeby wiedzieć, kto ma rysować linie, bo to żadna przyjemność ciągnąć ogryzkiem kredy po betonowym chodniku. Nikt nie jest szczęśliwy, gdy na niego wypadnie, ale najmniej ty, bo potem twoje kłykcie zawsze przypominają krwawą miazgę. Inni też nie są wtedy zadowoleni, bo strasznie się grzebiesz, a poza tym twoje kwadraty są ogromniaste i skakanie z jednego na drugi jest podwójnie trudne.

Czasami namawiam wszystkich, żebyśmy poszli bawić się z chłopcami, którzy zwykle organizują jakąś grę w piłkę. Nie bardzo to lubisz, bo jak nie ma w pobliżu pana Zarrowskiego, żeby ustalić składy drużyn, i jeśli ja nie zostaję kapitanem, to chłopaki zwykle dobierają cię na samym końcu. Uważasz, że to upokarzające, ale i tak na ogół idziesz ze mną, bo wiesz, że uwielbiam bawić się z chłopakami i grać w piłkę.

Poza szkołą, gdy nie ma rodziców, nauczycieli ani innych dorosłych oczu, bawimy się jeszcze w co innego. Zbieramy się u Richiego Richardsona, bo ma największy teren wokół domu, i gramy w chowanego albo w berka, jakiego tylko można sobie wyobrazić: berka zaczarowanego, domowego, wiszącego, kucanego, telewizyjnego, a nawet całowanego, choć w tego ostatniego w naszej okolicy bawią się raczej starsze dzieci. Jak bawimy się w berka czy w chowanego, zawsze znajdują się jakieś gapy, które rozleżą się za daleko i nie wiedzą, kiedy jest koniec gry, no i wtedy trzeba, co uwielbiamy, wspiąć się na balkon domku Richiego na drzewie i krzyknąć z całych sił „offle, ollie, otsen free”, choć tak naprawdę nikt z nas nie wie, co te słowa – offle, ollie i otsen – znaczą. Jeżeli u Richiego Richardsona zbierze się mniejsza grupa dzieciaków, a robi się późno, ściemnia się i jesteśmy pewni, że rodzice Richiego nie wystawią głowy przez okno, to jest jeszcze inaczej. Wtedy zbieramy się w domku na drzewie z butelką po coli oraz latarkami i gramy w butelkę albo w „szczerłość czy odwaga”. W dziewięciu przypadkach na dziesięć dzieciaki wybierają odwagę, a nie szczerłość, i wtedy rzucamy temu odważnemu

wyzwanie: wsadź sąsiadowi palec do nosa, albo połów się na środku ulicy w samej bieliźnie, albo poliz duży palec u nogi Richiego Richardsona, albo pokaż cycki całej naszej grupie.

Kiedy pada lub jest za zimno, żeby się bawić na dworze, nawet w domku na drzewie, który zresztą przecieka, przenosimy się do domu dziewczyny czy chłopaka, którego oboje rodzice pracują. Często do naszego, bo mama pomaga tacie w papierkowej robocie w klinice ortodontycznej – było to na długo przed tym, jak odkrył niezrównaną Zoe Micklebaum. Najczęściej po prostu siedzimy w domu i całe popołudnie oglądamy *Scoobie Doo*, ale czasami nie wychodzimy z naszego pokoju i bawimy się w małżeństwa. Jeżeli wyciągniemy nasze wysuwane łóżko, to w sumie mamy w pokoju trzy posłania, co zupełnie wystarcza. Dobieramy się w pary, wchodzimy pod kołdry i udajemy, że robimy to, co robią małżeństwa – jasne, że nie naszych mamuś i tatusiów. Jeśli akurat jest Davie Kirchner, ty i ja walczymy o to, kto ma dzielić z nim łóżko, ale wtedy moja najlepsza koleżanka Sheila Marple przypomina nam, że jak ma być małżeństwo, to musi być chłopiec i dziewczynka, chyba że jest nie do pary – to się czasami zdarza – a wtedy ty wygrywasz. Nie ma to zresztą większego znaczenia, bo nigdy długo nie zostajemy w łózkach. Lisa albo Davie, albo ktoś inny rzuca pluszaka, potem nad głowami przelatuje Barbie, a następnie idą w ruch poduszki, aż pierze fruwa, co jest zawsze pyszną zabawą, ale sprzątanie po niej już nie.

Bardzo chętnie bawimy się też sami i kiedy nie szalejemy po okolicy na naszych schwinnach – bez trzymanki! – wzbudzając zazdrość innych dzieci, zostajemy w domu i gramy w karty, w wojnę czy ogonek, albo w kółko i krzyżyk, albo w „łączymy kropki”, albo w zwariowane historyjki. Kiedy indziej rozstawiamy w naszym pokoju namioty lub ściągamy materac z wysuwanego łóżka, opieramy go o komodę i używamy jako zjeżdżalni. Albo sprawdzamy, jak daleką trasę uda się przejść w domu bez dotykania podłogi, ale tej zabawy mama nienawidzi, bo jeszcze nigdy nie obyło się bez strącenia z regału przynajmniej jednego z jej porcelanowych ptaszków albo odcisnięcia śladów stóp na świeżo wywoskowanym stoliku do kawy. Żeby się nie narażać mamie, wymyślamy zabawę w chodzenie po suficie, a nie po meblach. Krążąc wokół lustra położonego na podłodze, widzimy w nim unoszące się w powietrzu dwa duszki. Czasami całymi godzinami udajemy Cudowne Bliźniaki z kreskówki *Superheroes* i jakbyśmy mieli te ich czarodziejskie pierścienie, wołamy: „Moce Cudownych Bliźniaków – przybywajcie”. A potem ty mówisz: „Pod postacią... morsa” albo czegoś innego, a ja mówię: „W kształcie... wiadra do wody” albo coś w tym

rodzaju i udaje nam się pokrzyżować plany czarnych charakterów.

Lubimy też zabawę w przebieranie, i to bardzo. Pożyczamy rękawice gumowe spod zlewu i robimy najazd na szkatułkę z biżuterią mamy, na jej przybory do makijażu, na kufer ze starymi szalami i sukniami, trzymany w piwnicy. Masz na sobie wieczorowe rękawiczki, to nic, że gumowe, i szminkę, i perłowe kolczyki, a za cygarniczkę służy ci bierka, i w tym wszystkim wyglądasz dokładnie jak kopia Audrey Hepburn. A czasami jesteś po prostu poczciwym Kopciuszkiem szukającym księcia i tańczymy ze sobą, jakbyśmy byli na balu – na cudownym balu, nie na dorocznym balu towarzystwa stomatologicznego.

We wszystkie dni, kiedy się przebieraliśmy, było cudownie i wspaniale się bawiliśmy, ale nie w tę sobotę i naprawdę nie powinniśmy byli przebierać się w żadną sobotę. Było tak, że jesteśmy w swoim pokoju, zabawa w najlepsze, a tu drzwi się otwierają i wchodzi tata obładowany brązowymi torbami, bo właśnie wrócili z mamą z zakupów. Już ma nam powiedzieć, żebyśmy pomogli jej wyładować samochód, kiedy dociera do niego, co robimy. Gdy tylko na ciebie spojrzeł, jego wzrok zaczyna miotać pioruny. Jestem pewna, że chodzi o te rękawice kuchenne, w których nie powinno się robić dziur, o mamusiną biżuterię, której nie powinniśmy ruszać, bo jest taka droga, o sukienkę, która była porządnie złożona, gotowa do wysłania do Armii Zbawienia.

Tatuś rzuca torby i maszeruje do ciebie, rozumiem, że każe nam odłożyć to wszystko natychmiast na miejsce, zanim mama cokolwiek zobaczy. Ale zamiast tego dotyka twoich ust, najpierw delikatnie, potem mocno je ściska, przeciągając kciukiem przez twój policzek, tak że szminka rozmazuje się w jedną długą, czerwoną pręgę.

Patrzy na swój kciuk, potem na ciebie, a następnie z rozmachem, z całej siły, uderza cię w pomazaną szminką twarz tak mocno, że mnie aż piecze policzek.

– Nie baw się w małego pedała! – krzyczy.

Zaczynasz płakać, a potem ja, nie wiemy, co na to powiedzieć.

Miotam się, żeby pozbierać wszystkie akcesoria do przebieranek, spakować je z powrotem i wszystko naprawić, ale tatuś na mnie nie patrzy. Grozi ci palcem, macha nim tuż przy twojej twarzy, tak że chcę ci powiedzieć, żebyś się cofnął, bo może cię dźgnąć i wydłubać ci oko, a wtedy nie tylko zostanie ci na policzku odcisk dłoni, tak czerwony i wyraźny jak znamię Billy’ego Prophetta, ale na dodatek będziesz ślepy.

– Żeby cię więcej na czymś takim nie złapał. Słyszysz?

– Tak, tatusiu – kwilisz, łapiąc się za policzek, a łzy leją się po czubkach twoich

palców. I zdejmujesz jeden perłowy klips, potem drugi i pomagasz mi sprzątać, by śladu nie zostało po Audrey Hepburn.

Rozdział 22

W czwartkowy wieczór, na kolejnym oślim materacu, w domu kolejnych gospodarzy, śnię o tobie. Siedzisz na swoim rowerze, tata popycha cię i mówi: „Śmiało, Joshua, śmiało”, a ja truchtam z tyłu, śmieję się i krzyczę: „Josh, jedziesz na rowerze, udało ci się”. Tata puszcza siodełko, na pożegnanie popycha cię lekko, bardzo delikatnie, i jedziesz sam. Trzymasz mocno kierownicę, żeby koła nie skręcały na boki, i przez minutę udaje się, przez minutę rower i ty pokazujecie klasę, bez odchyień od pionu płyniecie w przód, do was należy cała ulica. Podnosisz głowę do góry i szczerzysz zęby w uśmiechu. „Just, Just, jadę!”, krzyczysz przez ramię, próbując zobaczyć, czy za tobą nadażam. Ale wtedy twój łokieć drgnął i koło pod tobą zachybotowało. Kręcisz pedałami do tyłu, hamulce piszczą, żagle opadają i lecisz twarzą naprzód, twarzą naprzód, twarzą naprzód.

We śnie rzucałam się i przewracałam z boku na bok, może nawet krzyczałam, ale moja strażniczka weteranka nie odezwała się słowem, więc może nie krzyczałam, a rano sen zniknął. Rozpłynął się w srebrnej chmurze uniesienia. Bo jest piątek i czuję się, jakbym się unosiła dziesięć stóp nad światem.

Szybuję ponad głowami Dwighta i Hilary, i Moiry, i Gwen, i Marka, i Leroya, i wszystkich w Come Clean, nawet ponad sobą. Mogę patrzeć w dół i przyglądać się nam wszystkim i widzieć, co się dzieje, ale wszystko jest maleńkie i odległe, jak oglądanie świata z perspektywy mewy, i towarzyszy mi to przyjemne uczucie zawieszenia w odrętwieniu poza ciałem, jakie miałam, gdy godzinami bawiłam się moimi włosami i czułam w mózgu mrowienie, a na ramionach pojawiała mi się gęsia skórka.

Mam gdzieś wszystkie zasady programu, zarządzenia i gierki. Dzisiaj wychodzę. Do tego czasu poddaję się codziennej rutynie i nawet mi to tak bardzo nie przeszkadza. Nie przeszkadza mi szarpanie za szlufkę, prawie go nie czuję. Nie krzywię się na ryk Dwighta, jego głos jest dzisiaj słaby, nie głośniejszy od pisku myszy, i nawet na wpół zimne burritos z Taco Bell smakują wyśmienicie. Nie przejmuję się niczym, nie przejmuję się niczym, nie przejmuję się niczym.

Świat jest piękny. Wracam do domu.

Śnię na jawie podczas ćwiczeń Kroków, porannej sesji „życiorysów”, pisanie donosów po lunchu, podczas Spraw Bieżących, konfrontacji, kłótni i szlochów. Nic mi nie przeszkadza. Wyobrażam sobie moją wolność i planowanie weekendu, i własne łóżko, i oglądanie do późna programów telewizyjnych, i słuchanie albumów

na stereo po północy, i jeszcze widzę siebie i Cindy, jak będziemy się jutro włączyć po sklepach w centrum handlowym.

Pod koniec dnia, kiedy zazwyczaj byłyby jeszcze ćwiczenia Kroków, a po nich odprawa *rola and dole*, zaczynamy przygotowywać się do Spotkania Otwartego. Usuwamy przepierzenie dzielące główną salę i uzyskujemy dużą otwartą przestrzeń, wielkości dwóch boisk do koszykówki wraz z trybunami. Na jednym końcu, gdzie byłby kosz gospodarzy, ustawiamy nasze krzesła w równych rzędach, a następnie zapełniamy część dla widowni krzesłami dla rodzin, skierowanymi w naszą stronę – rząd za rzędem, rząd za rzędem, rząd za rzędem. Musi tu być ze trzysta albo czterysta rozłożonych krzesel. Gdy tak ustawiamy i stękamy – ja i mój ludzki ster, który... nie, w ogóle mi dziś nie zawadza – Dwight biega w tę i z powrotem, komenderując: „Wyrównać! Wyrównać!”, dopóki wszystkie krzesła nie stoją w idealnym szyku.

Potem Hilary dmie w swój gwizdek i obwieszcza, że nadszedł czas na chór, i wszyscy zaczynają śpiewać. Rozpoznaję piosenki – to kombinacje hymnów, znanych wesołych melodii i łatwych przebojów, tyle że ze zmienionymi słowami.

Jeśli wiesz, że czysty jesteś, w dłonie klaszcz! Klap, klap, klap.

Jeśli wiesz, że czysty jesteś, w dłonie klaszcz!

Klap, klap, klap.

Jeśli wiesz, że czysty jesteś

Dusza twa to poznać da

Jeśli wiesz, że czysty jesteś, w dłonie klaszcz!

Przy powtórce znam słowa wystarczająco dobrze, by śpiewać ze wszystkimi, i śpiewam, zdzieram gardło, krzycząc przy każdym wersie. Jest to coś, czego normalnie unikam, bo dokuczałeś mi z racji mojego głosu, kiedy byliśmy mali – słyhać kota, któremu nadepnęto na ogon, mówiłeś, gdy próbowałam wtórować największym przebojom City Bay Rollers albo KC i Sunshine Band czy jeszcze innym. Ale teraz śpiewam głośno i z przyjemnością używam znowu strun głosowych, bo przecież prawie nie mówiłam w zeszłym tygodniu. Mam ochotę śpiewać i klaskać, i tańczyć, choć w tym ostatnim ograniczam się do podrygiwania kolanami. Czuję, jak przepelnia mnie radość, wzbiera we mnie od płuc przez gardło i ulatuje wraz z muzyką z ust, pozostawiając na języku słodki smak, smak miodu, i mogłabym tak śpiewać całą noc, pomimo że słowa są głupie.

Idę do domu.

Godzinę później, kiedy obydwie części podwójnych drzwi otwierają się i zaczynają napływać nasze rodziny, wciąż śpiewamy:

Dragi nas już nie ciągną Dragi nas już nie ciągną Dragi nas już nie ciągną Już nic a nic Koniec z tym.

Oczy mam przyklejone do drzwi i gdy masakrujemy piosenkę zespołu Righteous Brothers, nie nadążam, zapominam kilku wersów, bo tak bardzo się koncentruję. Bawię się w babcia/nie babcia, tak jak zawsze z tobą na lotnisku, kiedy czekaliśmy na babcię i dziadka Shirlandów, aż wysiądą z samolotu z Kansas City. Czekaliśmy z taką niecierpliwością, że za każdym razem, gdy w polu widzenia pojawiała się sylwetka jakiegoś pasażera, piszczałeś: „Babcia!”. A kiedy już było oczywiste, że to nie ona, odpowiadałam rozczarowanym falsetem: „Nie babcia!”. Zawsze wypatrywaliśmy babci, bo dziadek, wiadomo, był największym guzdrałą, co znaczyło, że prawie nigdy nie sprawiali zawodu i wychodzili z samolotu jako ostatni. A teraz ja gram w babcia/nie babcia, tyle że jestem sama i to widoku mamy i taty wyczekuję z taką niecierpliwością.

W końcu ich widzę. Wchodzą przez drzwi po lewej stronie, za korpulentnym, starym jegomościem z trzciniową laską, i siadają w tamtej części sali, z tyłu, po przekątnej i daleko od miejsca, gdzie ja siedzę w tylnym rzędzie sekcji dziewcząt. Mama upięła włosy w okazały kok, ubrana jest w długą falbaniastą spódnicę i oliwkowy prążkowany sweter, który kupiliśmy jej na ostatnie urodziny. Kupiliśmy rozmiar M, bo to czysta bawełna, i myśleliśmy, że się skurczy, a on się rozciągał i rozciągał, w pasie i w rękawach, i teraz wisi smętnie na jej figurze wróbelka. Szczerze mówiąc, jak na nią nie wygląda dziś dobrze, twarz ma workowatą jak sweter, zaspaną. Tata ma na sobie granatową sportową marynarkę, krawat z dzianiny, którego nie rozpoznaję, brudnobrazowy i niemodnie szeroki, władczo obejmuje drobne plecy mamy, prawie jakby ją trzymał za szlufkę, ale opiekuńczo i po dżentelmeńsku, co nie jest dla niego typowe.

Żadne z nich nie patrzy w moją stronę. Może dlatego, że nie wiedzą, gdzie mnie szukać, ale nie wygląda na to, by wypatrywali w tłumie mojej twarzy, zachowują się tak, jakby ich w ogóle nie interesowało, gdzie jestem. Przypomina mi to te Spotkania Otwarte, na które uczęszczałam, kiedy ty siedziałeś tu, a ja tam, desperacko próbując zwrócić na siebie twoją uwagę, a ty byłeś jak skamieniały, zupełnie jakbym nie istniała, Boże, jak to bolało, ale teraz mama i tata są tam, znowu po tamtej stronie, a zachowują się tak samo jak ty wtedy po tej. Może nie połapałam się jeszcze, że obowiązuje zasada żadnego-kontaktu – wzrokowego-podczas-otwartych-spotkań.

– Kto z was chce powitać swoją rodzinę w ośrodku? – pyta Dwight, gdy publiczność już się usadowiła. Grupa się motywuje, jak gdyby nie mogła

wyobrazić sobie przyjemniejszych okoliczności, i ryczy słowa powitania.

W miarę jak spotkanie postępuje, przypomina mi się jego formuła. Inaczej niż na codziennych grupowych sesjach, na Spotkaniach Otwartych używa się mikrofonów, ponieważ sala jest wielka i tłum publiczności, tak że nawet płuca Dwighta zostałyby nadwerężone od krzyku, gdyby chciał być słyszany we wszystkich kątach pomieszczenia. Są cztery mikrofony. Dwa dla Dwighta i Hilary, jeden dla fazowiczów i jeden dla rodziców. Z tym ostatnim, bez rakiетки pingpongowej, kursuje między nimi Ramona.

Piątofazowicze są rozmieszczeni na obwodzie i obstawiają drzwi, członkowie grupy siedzą w porządku alfabetycznym, według nigdy-nie-wymienianych nazwisk, natomiast rodzice i rodzeństwo zajmują miejsca w swoich rzędach na zasadzie przypadku, kto pierwszy, ten lepszy. Chaotycznie.

Tak więc część wieczoru poświęcona kontaktowi my – oni jest ze zrozumiałych powodów czasochłonna. Wygląda to tak, że Dwight albo Hilary wyczytują kogoś z listy, ta osoba przejmuje mikrofon fazowiczów i wstaje, a wtedy właściwi rodzice też wstają i czekają, aż Ramona ich wypatrzy i z ponurą miną czarownicy podbiegnie do nich, żeby podać im mikrofon. Następnie Hilary lub Dwight, głównie Dwight, ogłasza orzeczenie w sprawie tygodniowych postępów danego fazowicza i daje jego rodzicom kilka minut na reakcję, po czym fazowicz ma zareagować na reakcję rodziców. Wypowiedź rodziców trwa zwykle jakąś chwilę, ponieważ na ogół raport o postępach nie jest świetlany i raczej ich wkurza, natomiast reakcja fazowicza jest zawsze krótka i układna, ma ustaloną formułę. Bez względu na to, co pada pod jego adresem ze strony personelu i rodziców, jedyna dopuszczalna odpowiedź brzmi: „Kocham was, mamó i tato” – im tęskniej, tym lepiej.

Lista jest wyczytywana na zmianę – to w sekcji dziewcząt, to chłopców. Najpierw zostaje wywołany pierwszy rząd chłopców, na „A” i „B”, po czym pojawia się Bo, pracownik z końskim ogonem (będzie miał potem za zamiennika jedną z dziewczyn z piątej fazy), żeby przekazać pałeczkę, czyli mikrofon, na drugą stronę półtorametrowego przejścia między dwoma sekcjami – gdyby nie on, czyjeś palce mogłyby musnąć cudze palce, a nie powinny ich musnąć – następnie wywołany zostaje pierwszy rząd dziewcząt, też na „A” i „B”. Emily, ta miła szesnastoletnia dziewczyna, która na początku tygodnia dostała za swoje podczas sesji Spraw Bieżących, jest w samym środku drugiego rzędu dziewcząt. Domyślam się, że jej nazwisko musi się zaczynać na „C” i próbuję sobie wyobrazić, jak brzmi. Chapman, Coyler, Conway, Corcoran, Crawford, Crusoe. A może ona jest z

początku „D”. Davis, Denton, Danvers.

Emily, jakiegokolwiek ma nazwisko, bierze mikrofon w drżącą dłoń, a Hilary wyrokuje o jej losie.

– Emily zgrzeszyła Rozmową za Plecami w tym tygodniu i zaniedbała swój Obrachunek Moralny. W efekcie została cofnięta do drugiej fazy.

Wargi Emily drżą, opadła jej ręka z mikrofonem, który ociera się teraz o jej spodnie, sądząc po dźwięku o sztruksy, może te moje stare.

– Mamo? – przynagla Hilary, a Ramona podtyka drugi mikrofon pod nos mamie Emily.

Nigdzie nie widzę taty, za to wydaje mi się, że obok mamy jest para maluchów. Ich główki nie są widoczne spoza rzędu siedzących przed nimi dorosłych, ale ich słyszę, jak rozrabiają, wspinając się na krzesła jak na drzewa. Mama pochyla się, żeby ich uciszyć, a potem poszukuje chusteczki, szarpiąc się z mikrofonem.

– Och, Emily, kochanie – pociąga nosem. – Bardziej się staraj, kochanie. Musisz się bardziej postarać. Dobrze? Proszę! – Przerywa, żeby znowu uciszyć maluchy. – Wiem, że stać cię na więcej. Nie obniżaj poziomu, OK? Kotku? Proszę! Cicho, maluchy. Musisz się bardziej starać. Nie wytrzymam tego dłużej, wiedz, że nas na to nie stać. Cicho. Kochanie? Och, ja nie... dość już, dość.

Ramona namawiają, żeby powiedziała coś jeszcze, ale młoda mama odsuwa od siebie mikrofon. Hilary kiwa na Emily.

– Ja, ja... – Jąka się, przetyka ślinę, po czym nagle wyrzuca z siebie słowa jak karabin maszynowy. – Kocham cię mamo. Kocham was JuJu i Stevie. – Jeszcze szybciej siada na krzesło.

Mama Emily ma zamiar usiąść, ale maluchy, których twarzy wciąż nie widać, usłyszawszy swoje imiona i głos Emily, nie mają wcale ochoty sięść-spokojnie-i-robić-co-się-im-mówi.

– Emmy – beczy jeden – gdzie jest Emmy, mamo? – Zanim mama zdołała go zatrzymać, maluch z loczkami i w pajacyku, na pewno Stevie, wyrusza niepewnym krokiem na poszukiwanie starszej siostry. – Emmy, Emmy, Emmy! – popiskuje, jednocześnie torując sobie drogę między krzesłami.

Ramona łapie go, zanim udaje mu się dotrzeć do naszej grupy, i podczas gdy jego siostra porykuje cicho w drugim rzędzie, z twarzą ukrytą w dłoniach, mama ciągnie Steviego i zaczynającego również rozrabiać małego JuJu przez podwójne drzwi na zewnątrz.

Neilowi z trzeciego rzędu sekcji chłopców (Harper? Howard? Huntington?) poszło, jak widać, lepiej. Zanim mikrofon pojawia się w zasięgu jego ręki, Neil już

wie, co będzie w raporcie, wie, że raport będzie dobry, naprawdę dobry, i gdy Dwight wywołuje jego imię, Neil nie wygląda na zaleknionego. W najmniejszym stopniu. Jeszcze jego sąsiad, Jack F., na dobre nie usiadł, a on już zrywa się z krzesła, chwyta za mikrofon i krzyczy: „Wracam do domu!!!”, z taką siłą, natężeniem i zapalem, że chyba musiał to przedtem ćwiczyć. Przeskakuje przez kolana pobliskich fazowiczów i pędzi w otwarte ramiona oszołomionych rodziców. I wszyscy w grupie i na widowni klaszczą i wiwatują, i wrzeszczą: „Dobra robota, Neil, dobra robota”. I można by pomyśleć, że to sam Richard Gere w swoim białym mundurze zstąpił tu i dodał mu skrzydeł. Niektórzy ludzie mieli łzy w oczach, łzy szczęścia.

Tak akcentuje się w programie wielki skok z pierwszej do drugiej fazy, przemianę nic nieznaczącego nowicjusza w prawdziwego fazowicza, wkraczającego na drogę do wyzdrowienia. Zupełnie co innego dzieje się, gdy przychodzi kolej na siedzącego w piątym rzędzie Shauna, chłopaka, który ma dziewczynę o imieniu Felicity.

– W tym tygodniu Shaun dopuścił się nieuczciwości, wymigiwał się od obowiązków i podjął próbę odnowienia narkotykowych kontaktów – obwieszcza Dwight. – Te czyny stanowią poważne zagrożenie programu Shauna, więc w celu chronienia Shauna i z myślą o jego zdrowieniu uznaliśmy za konieczne zacząć z nim od początku.

Wszyscy są przez chwilę cicho, przytłoczeni nieszczęściem Shauna. Jest w programie Come Clean od bodaj siedemdziesięciu sześciu dni – jedenaście tygodni, czyli prawie trzy miesiące pracował na awans na fazowicza – i zaledwie pół minuty wystarcza, bo tyle czasu potrzebował Dwight na wyartykułowanie tych dwóch zdań, by cała ta harówka i zmagania zostały przekreślone. Shaun zostaje rzucony znowu do walki z pozycji nowicjusza z jednodniowym stażem.

– Tato, czy chcesz odpowiedzieć? – pyta Dwight.

Pan N. – Nash? Nelson? Northcott? – niski i krępy jak jego syn, ma na sobie T-shirt, jakby to nie była pełnia zimy, tak ciasny, że wyraźnie widać muskularne ramiona i grę mięśni, gdy pan N. zaciska i rozluźnia pięści. Wyrzywa mikrofon z rąk zadyszanej Ramony i rozluźnia pięść wolnej ręki, by wymierzyć oskarżycielski palec w stronę Shauna.

– Chłopcze, lepiej zbij się do kupy. Mam dość twojego wymigiwania się. Żaden mój syn nie będzie szaleć, brać narkotyków, łamać zasad. Nie pozwolę na to, nie pozwolę. Jeśli nie zmadrzejesz, zostaniesz tu, aż zgnijesz. Słyszysz?

Matka Shauna jest o parę cali wyższa od ojca, ale zachowuje się jak myszka.

Biała jak papier twarz i czerwone plamy na policzkach i szyi przypominają chińskie wzory. Odchyła głowę od męża, gdy ten odpowiada, po czym zamyka oczy i udaje, że nie widzi, jak przekazuje jej mikrofon, nie zapytawszy przedtem, czy chciałaby coś od siebie dodać.

– Shaun – mówi Dwight.

Mikrofon fazowiczów leży i czeka na krzesło Shauna, ale on go nawet nie dotknął. Stoi tak samo jak tamtego dnia w grupie – podbródek wysunięty, ramiona splecione na piersi, jakby własny mostek służył mu za półkę.

– Shaun – twoja kolej na odpowiedź.

Stoi tam, jakby był panem czasu, jak gdyby pięćset par oczu nie świdrowało każdego żywego cała jego ciała.

– Shaun, nie pójdziemy dalej, dopóki nie odpowiesz.

Minęła minuta, potem kolejna. Skądś, z miejsc dla rodzin, dochodzi tykanie zegarka. Tylko swatch tyka tak głośno. Brakuje mi mojego swatcha, tego z paskiem z konfetti, który dostałam od ciebie.

– Shaun!

Shaun N., jakby dopiero usłyszał Dwighta, zwraca w końcu wzrok w jego stronę, brwi ma uniesione wysoko. Wzrusza ramionami, prychna lekceważąco, schyla się po mikrofon.

– Kocham cię, mamó – mówi jak automat, po czym dodaje sarkastycznie – i tato.

Rzucając mikrofon, kopie krzesło przed sobą, słysząc dźwięk metalowych nóg pod uderzeniem jego stopy. Piątófazowicze pilnujący chłopców szykują się do interwencji, a Jack F. i inni po obu stronach Shauna N. chowają nogi pod krzesła, żeby na wszelki wypadek zrobić przejście.

Z rzędów dla rodzin rozlegają się wrzaski taty Shauna. Jego głos dudni nawet bez wzmocnienia, a gdy Ramona podsuwa mu mikrofon, nie raczy być nawet o ton cichszy. Jakby grzmot przetaczał się przez salę, a mikrofon rzezi na znak protestu.

– Chłopcze, nie masz szacunku! To twój problem, nigdy nie miałeś szacunku. Za grosz!

Kobiety i dzieci zatykają uszy.

– Nauczę cię respektu! Myślisz, że te zakute łby dadzą ci wycisk? Ja podejść tam i złoję cię osobiście, jeśli znowu usłyszę twoje pyskowanie. Słyszysz mnie? – Jego palec jest skierowany jak lufa pistoletu w twarz Shauna, między jego oczy.

– Dziękujemy, tato – mówi Hilary stanowczo.

Ojciec Shauna stoi niewzruszenie w tym samym miejscu, złościąc się i grożąc

palcem.

– Dziękujemy, tato – powtarza Hilary belferskim tonem, zwykle zarezerwowanym dla fazowiczów. – Dziękujemy, tato, możesz już usiąść.

Reszta alfabetu toczy się dalej. Jeszcze dwie osoby „idą do domu”, kilka awansuje o fazę, a najwięcej zostaje zdegradowanych. W końcu mikrofon zbliża się do mojego rzędu. Przechodzi przez końcówkę alfabetu chłopców i dociera do ostatnich fazowiczek. Jackie W. – Waverly? Williams? Womble? – krzyczy: „Kocham was, mamę i tato”, a ja nie odrywam wzroku od naszych rodziców, choć na mnie nie patrzą. Zerwę się za chwilę z krzesła, nasze oczy się spotkają i nie będę miała nic przeciwko temu, żeby wypowiedzieć dokładnie te słowa, i to nie dlatego, że muszę, nie dlatego, że taka jest formuła, tylko dlatego, że tak naprawdę myślę. Kocham was, mamę i tato, też idę do domu, na dobre.

– Dziękuję, Jackie. Możesz już usiąść – mówi Hilary.

Teraz moja kolej i Jackie W. przekazuje mi mikrofon, już trzymam go przy ustach i próbuję wczuć się w rolę, gdy nagle podbiega Bo i uwalnia mnie od tego sprzętu. W żaden nieprzyjemny sposób. Nie wydziera go, nie szarpie mnie, nic takiego. Po prostu bierze mi go z ręki jak solniczkę, jak gdyby to było najzupełniej oczywiste. Ani Hilary, ani Dwight nie wywołują mojego imienia – nie słyszę: Justine Zeeeet, czego tak nie znoszę – i moja kolej mija.

Przez ułamek sekundy jestem rozczarowana, a potem uświadamiam sobie, że wszystko idealnie pasuje. Nie liczę się, bo przecież nie jestem fazowiczką. Jasne. Nie ma mojej kolejki, bo nie ma takiej potrzeby, przecież wracam do domu na dobre, i to szybko. Bardzo szybko.

Znowu oddaję się moim planom weekendowym. Może namówię mamę i tatę, żeby po drodze do domu zatrzymali się przy wypożyczalni wideo albo zamówię film z kablówki. Dają teraz *Rumble Fish*, który przegapiłam, gdy szedł w kinach, i od dawna chciałam go zobaczyć, podobnie jak Cindy. Może zadzwonię do Cindy, żeby przyszła i obejrzała ze mną, i zrobimy w mikrofalówce dwie gigantyczne paczki popcornu Orville’a Redenbachera i oglądając film, napchamy się, aż nam będzie niedobrze. Po napisach końcowych ponarzekamy na Matta Dillona i Mickeya Rourke’a, a potem opowiem Cindy, mojej najlepszej koleżance, o tych zwariowanych rzeczach, które przydarzyły mi się w tym tygodniu, i to będzie strasznie śmieszne, zwłaszcza o szlufkach i ubraniach z Kmartu i o Happy Meals, no i o tych wszystkich zasadach, zasadach, zasadach. To śmieszne wariactwa, jeśli się nad tym zastanowić. Prześmieszne. I Cindy zostanie na noc, i nie pójdziemy spać wcześniej niż po północy, bo sobie poplotkujemy, a jak się rano obudzimy, to

się okaże, że to już nie rano, ale mamie i tacie nie będzie to przeszkadzało, bo będą dla mnie wspaniali i też szczęśliwi, że jestem w domu i wszystko wróciło do normy. I chociaż zjedzą swoje odchudzające płatki Special K parę godzin wcześniej, zaproszą mnie i Cindy do całodziennego baru śniadaniowego u Shoneya i będziemy się objadać kiełbaskami i syropem klonowym, i grzankami, a potem pójdziemy do centrum handlowego i... tyle jest do roboty w ten weekend, że nie mogę się już doczekać.

Ale najpierw muszę przetrwać resztę niekończącego się Spotkania Otwartego. Pora na wyróżnienia. Hilary wybiera dwoje piąttofazowiczów, jednego chłopaka i jedną dziewczynę, którzy jako modele ról dla reszty grupy mają opowiedzieć własne historie uzależnienia i odkupienia. Lisa M. – Mason? Meadows? Mulcahey? – gładzi przez piętnaście, dwadzieścia, może trzydzieści minut o tym, jak jej chłopak narkoman wciągnął ją w mocne trunki i ćpanie, jak jeździli za miasto nad jezioro Eudora i pili, i palili, i pieprzyli się na tylnym siedzeniu, i nawet po tym, jak jej chłopak miał wypadek za kierownicą w którym zabił swojego najlepszego przyjaciela, bo ten nie zapiął pasa, a sam stracił nogi i nie mógł chodzić, więc nawet po tym jedyne, co się liczyło dla Lisy, to upić się w trupa, więc kradła buicka swojego wuja i jechała sama nad jezioro Eudora, i piła, i paliła, i sama robiła sobie dobrze na tylnym siedzeniu, aż pewnej nocy postanowiła jechać dalej i wyjechała prosto na 1-95 do Miami...

Ty też pojechałeś do Miami. I *tyle tylko* masz wspólnego z nudną, monotonną Lisą M. W Miami jest zawsze słonecznie i przez cały rok można nosić szorty, tak jest ciepło. Kiedy wyobrażam sobie ciebie w Miami, widzę cię z twoim przyjacielem o imieniu Jonathan, z nim mieszkasz, w apartamencie o jasnych, żółtych ścianach, zarzuconym poduszkami w pastelowych kolorach, z luksusowym barkiem. Widzę cię szczęśliwego i opalonego, jak leniwie przesiadujesz obok *twojego* własnego basenu z dwoma trampolinami, jedną wysoko, drugą nisko.

Nie tak było z Lisą M. Zastawiła samochód wujka i żyła na ulicy, aż skończyły jej się pieniądze i omal nie zagłodziła się na śmierć. Zebrała i zbierała datki do puszek, a te marne pieniądze, które udało jej się zdobyć, wydawała na wino Blue Nun i gatunkowe wódki oraz na trawę, aż złapała ją policja i odstawiła z powrotem do rodziców. Tylko że rodzice Lisy M. powiedzieli, że nie dają już sobie z nią rady, więc policja podrzuciła ją do programu zamiast zostawić w domu u rodziców i, Boże, jaka była wściekła i jak się buntowała i buntowała, i zaprzeczała, że jest uzależniona, a potem ujrzała światło i poddała się Najwyższemu, a teraz jest w piątej fazie i pomaga innym, i wraca do szkoły średniej, i zbiera się do kupy, i czy

nie jest dla nas wszystkich świetlanym przykładem?

Jeśli wiesz, że czysty jesteś, w dłonie klaszcz. I cała sala uprzejmie klaszcze, a jakiś facet z tylnych rzędów, pewnie tata Lisy M. albo może jej wujek, który poświęcił dla sprawy samochód, dołącza z entuzjastycznym gwizdem na dwóch palcach.

Erie, chłopak z piątej fazy, jest bardziej zwięzły. Dał się wciągnąć rówieśnikom, zaczął rozprawdzać tabletki LSD, został w swojej szkole dealerem, przyłapał go tajniak i powiedziano mu, że może iść do więzienia albo do programu, wybrał to drugie i ma za sobą pięćset dwadzieścia trzy dni czystego życia, w ciągu których odpokutował za swoje grzechy, zadośćuczynił wszystkim, a teraz może z dumą powiedzieć, że dzięki Najwyższemu oraz wspaniałym instruktorom ośrodka jest byłym narkomanem i że wyzdrowienie to wspaniała rzecz, spokojna żegluga stąd w świat. *Let go, let God. Amen.*

Spotkanie po niedługim czasie kończy się kilkoma komunikatami i śpiewem. Burczy mi w brzuchu, pieką mnie oczy i tyłek całkiem mi zdrętwiał od długiego siedzenia. Jest późno, dziesiąta albo jeszcze później. Chcę tylko mamy, taty i domu, i popcornu Orville'a Redenbachera, niestety to jeszcze nie teraz, jeszcze nie teraz. Zgromadzenie ogólne rozbija się na różne sesje. Rodzice idą do swojej sali na własną sesję, bracia i siostry do innej sali na sesję dla rodzeństwa, a my zostajemy tu, gdzie jesteśmy, z powrotem ustawiając naprędce nasze krzesła w elipsy na końcową sesję fazowiczów. Kilkoro nowicjuszy obdarzonych przywilejem Rozmowy odprowadzono na indywidualne spotkania z rodzinami, pod kuratelą, oczywiście. Dwight już szykuje się na pozostałych, a Ramona wyczarowała skądś rakiетkę do ping-ponga i zaczyna krążyć między nami.

– Jestem tak bardzo wami rozczarowany. Tak bardzo rozczarowany – lamentuje Dwight. – Znacie zasady regulujące Spotkania Otwarte. Zapomnieliście o nich? Czy umknęły waszym małym mózdzkom? Powinniście wszyscy prezentować się jak najlepiej, gdy wasze rodziny są tutaj. Jak najlepiej.

Rozwija długą listę przestępstw. Ludzi ziewających, wiercących się, garbiących się, nieodpowiadających szybko i pokornie. Jego litanii towarzyszą głośne pacnięcia, to Ramona wali rakiетką po szyjach i łopatkach fazowiczów. Nikt się teraz nie garbi, ani jedna osoba, niemniej walenie nie ustaje.

– Myślicie, że boimy się ganić was w obecności waszych zacnych rodziców? – pyta Dwight. – Grubo się mylicie. Nie boimy się ani trochę. Nie chcemy tylko pokazywać was w złym świetle. Ale wy sami zaprezentowaliście się tak, że już gorzej i żałośniej nie można.

Pac, pac. Jakby w grze zręcznościowej na jarmarku próbowała trafić kreta w głowę.

Dwight kładzie ręce na biodrach, jest wściekły.

– Czuję odrazę do wielu z was, dosłownie odrazę.

Pac, pac.

– Nie chcecie być czyści? – pyta – Pac. – Odpowiedzcie mi!

– Chcemy, Dwight! – krzyczy grupa chórem.

– Czy nie będziecie wytrwali na drodze do zdrowienia?

– Będziemy, Dwight!

– He. To nowość, bo, do diabła, tego po was nie było dziś widać. Pokażcie mi, jak się motywujecie.

Fazowicze zaczynają podnosić ręce i pompować w górę i w dół, początkowo niemrawo. Wydaje się, że nikt nie wie, do czego ma się motywować. Co się stanie, jeśli ktoś zostanie wywołany i nie będzie wiedział, co powiedzieć?

– Mocniej! – krzyczy Dwight.

Pac, pac. Ramona ciągle jest w akcji, a ponieważ grupa się motywuje, więc poruszające się cele powodują, że rakieta zbacza z kursu i Ramona wali gdzie popadnie, po ramionach, głowach, policzkach i łokciach.

– Motywujcie się do cholernego zdrowienia.

Fazowicze zwiększają wysiłek, wszyscy z wyjątkiem mnie.

Ja trzymam ręce na kolanach.

– Mocniej – rozkazuje Dwight, gapiąc się prosto na mnie, ale ja jestem jak posąg.

Patrę poza niego, poza wijące się rzędy, poza puste krzesła publiczności, marzę o weekendzie. Jadę do domu.

– Mocniej, mocniej, mocniej! Szybciej, szybciej, szybciej! Pac, pac, pac.

Dwight nikogo nie wywołuje, ale nie ustaje w zagrzewaniu grupy. Pięć minut, dziesięć minut, nikt nie liczy. Tylko Dwight ma zegarek, a rusza się za szybko, żeby odczytać na nim godzinę, biega wte i wewte, sam wymachuje rękami.

Dziewczyna obok mnie, Jackie W., zmienia motywujące się ręce – gdy jedna się zmęczy, podtrzymuje ją drugą. Twarze czerwienieją, brwi ociekają potem, z wysiłku oczy wychodzą z orbit, szyje sztywnieją, guzik odlatuje od koszuli jednego z chłopców i szybuje w powietrzu, metalowe nogi krzesel łupią hałaśliwie w podłogę.

– Mocniej! – krzyczy Dwight.

Jackie W. próbuje znowu zmienić ręce, ale się poddaje, kuli się z wyczerpania,

włosy ma potargane i ciężko dyszy, aż pojawia się Ramona i walnięciem w plecy pobudza ją do rozpaczliwego wysiłku.

Ja siedzę cicho i obserwuję, jak inni zamęczają się w imię wyzdrowienia. W końcu Hilary przychodzi po mnie. Jadę do domu.

Rozdział 23

Mówimy teraz „tata, tato” i „mama, mamó”, jak przystało tak dużym dzieciom. Zaledwie pamiętamy, jak płaczliwie rozciągaliśmy te słowa w trzy, cztery sylaby i więcej. Taka dziecinada już za nami, mamy prawie dziewięć lat. Aż tyle.

Jesteśmy tak blisko dziewiątego roku życia, że niepokojące przeczucie tej dorosłości narasta w nas jak ból zęba. Nasze urodziny o rzut kamieniem. Już prawie czujemy zapach dymu ze świeczek i atramentu na czekach od wujków, ciotek i dalszej rodziny oraz na kartkach od babci i dziadka Shirlandów, którzy jak zawsze nagryzmolą czułe słowa w poprzek nadruku „Ukochanym Wnukom Wszystkiego Najlepszego w Dniu Urodzin”. Dziadek jeszcze się trzyma i myśli, że to bardzo śmieszne, że tak szybko rośniemy. Oczekujemy więc ukończenia okrągłych dziewięciu lat, bo będziemy wtedy o niebo starsi i bardziej dorośli niż przy okrągłych ośmiu. Rozkoszujemy się myślą o uwiecznieniu piórem naszych imion, przy których dopiszemy „lat dziewięć”, oczywiście razy dwa.

Zanim jednak my będziemy starsi, najpierw tacie musi przybyć rok. Przytrafił mu się dobry znak zodiaku z naszego wspólnego miesiąca, jest Lwem, a to znacznie lepiej niż być Panną, czyli dziewicą. Już teraz wiemy, co to znaczy być dziewicą, w zeszłym roku wytłumaczył nam to Lloyd Taggart.

Lloyd powiedział, że jego dużo starsza siostra, Tracey, nie jest już dziewicą i że czasem leci jej krew stamtąd, no wiecie skąd, a te dwie rzeczy się ze sobą wiążą. Powiedział też, że jak ktoś spał z kimś przeciwnej płci, to przestaje być dziewicą. Rodzice Lloyda przyłapali Tracey, jak spała ze swoim chłopakiem, który ma na imię Lance. Wydzierali się na nią strasznie, a Tracey płakała przez cały tydzień. O dziewictwie Lloyd wie, jak widać, to i owo. Po jego opowieściach martwiliśmy się, że już nie jesteśmy dziewicami, bo przecież bawiliśmy się w małżeństwa, ale Lloyd twierdził, że jednak jesteśmy, bo podczas zabawy nigdy nie usnęliśmy. Wtedy przypomniało ci się, że kiedyś byłeś strasznie zmęczony i chyba przez całą minutę miałeś zamknięte oczy, zanim zaczęła się wojna na poduszki, ale Lloyd stwierdził, że to nie to samo, i dodał, że skoro masz urodziny pod koniec sierpnia i jesteś spod znaku Panny, czego nie da się zmienić, to już na zawsze pozostaniesz dziewicą, cokolwiek by się zdarzyło.

Pogodziliśmy się z tym, że Bóg tak przesądził, wyznaczając nam los raczej zabawnych kobiet w luźnych szatach, a nie lwów potrząsających wspaniałymi

grzywami. Zresztą cóż to w końcu nadzwyczajnego być tym lwem? Tata wcale nie przypomina lwa, z wyjątkiem tych chwil, kiedy straszliwie ryczy.

Taty urodziny są pięć dni wcześniej niż nasze i jak byliśmy malutkimi dziećmi, nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego jest taki duży, skoro pojawił się na świecie niecały tydzień przed nami. Jesteśmy teraz dużo starsi i mądrzejsi, wstydzimy się tamtej ignorancji, jak i dotychczasowej niewiedzy na temat dziewictwa, nawet tego, że kiedyś po dziecinnemu mówiliśmy „mamusiu” i „tatusiu” zamiast „mamo” i „tato”.

Jakkolwiek jest, nie wydaje nam się fair, że taty urodziny są tuż przed naszymi i z tego powodu skracają okres przygotowań do naszych, więc tracimy drogocenny czas na zamartwianie się, co ma od nas dostać, zamiast skupić się na wymyślaniu okazji do zasygnalizowania, jakie prezenty wymarzyliśmy dla siebie.

Tata nigdy nie da do zrozumienia, co chciałby dostać, nie wydaje się zresztą, żeby kiedykolwiek czegokolwiek potrzebował. Tego roku, kiedy mama pyta nas, co tata powinien dostać na swoje urodziny, jesteśmy w kropce. Podsuwasz pomysł zaproszenia go do Farrella na lody, gdzie można kupić deser lodowy wielkości góry, bo nakładają chyba setkę gałek lodów o różnych smakach, a ze szczytu spływa karmelowa polewa. Mama marszczy brwi.

– Nie sądzę, żeby wasz tata aż tak bardzo lubił lody. Musimy kupić coś, co mu się spodoba.

Widzę, że jesteś trochę urażony podtekstem. To prawda, że uwielbiasz deser lodowy od Farrella, ale kto go nie lubi, włącznie z tatusiami?

Mama zabiera nas samochodem do centrum handlowego i ciąga za sobą tu i tam w poszukiwaniu odpowiedniego prezentu. Chcemy iść do KayBee, pooglądać zabawki, ale mama prowadzi nas do butik z krawatami, a potem do sklepu z walizkami i do witryny z męskimi skarpetkami.

Bierze coś do ręki i pyta: „A co o tym myślicie?”.

Chcę powiedzieć tak/to świetne/bardzo udane, ale ty z jakichś powodów jesteś na nie. Zgłaszasz weto raz za razem i krążymy po sklepach centrum, mijają godziny, aż wreszcie odciągamy cię na bok, daję ci kuksańca i żądam wyjaśnień, dlaczego marnujemy przez ciebie tyle czasu, zamiast wykorzystać okazję i w sklepie z zabawkami podsunąć mamie jakieś pomysły na nasze urodziny.

– Jeżeli to ma być prezent od nas, my powinniśmy go wybrać – upierasz się – inaczej w ogóle się nie liczy.

Wydało mi się to dość śmieszne, zważywszy na to, że w tym roku mama po raz pierwszy zasięgała naszej rady w sprawie prezentów dla taty. Tak jak pamiętam,

każdego roku po prostu kupowała coś i podpisywała naszymi imionami. Mówiąc uczciwie, nie widziałam powodu, żeby akurat w tym roku miało się coś zmieniać. Po co wprowadzać zamieszanie, skoro dotychczasowy system wspaniale się sprawdzał?

Wykładałam ci to wszystko, ale wzdychasz i przewracasz oczami.

– Tylko ośmiolatek może coś takiego powiedzieć – oświadczasz, a ja czuję się urażona. Nie przestaję się dąsać, a tymczasem udaje ci się namówić mamę, żeby dała nam trochę pieniędzy i pozwoliła się oddalić, żebyśmy sami wybrali prezent dla taty.

Naprawdę jestem zdumiona, gdy otwiera portfel i wyciąga szeleszczący dziesięciodolarowy banknot. Zostawiamy ją samą. Teraz dociera do mnie oczywiście, jakiego wspaniałego podstępu użyłeś, przestaję się dąsać, spieszę z gratulacjami.

– To było dobre – mówię – biegniemy do KayBee.

Znowu ciężko wzdychasz jak poprzednio i ruszasz w stronę księgarni. Z zaciśniętymi ustami, palcami dla skupienia wspierając podbródek, zmierzasz wprost do działu dla dorosłych, nie zatrzymując się wcale przy książkach dla dzieci. Chodzisz i chodzisz między półkami, ja tuż za tobą, aż w końcu podejmujesz decyzję – to czego tata chciałby, czego chciałby naprawdę, to dobrego słownika.

Stajesz na czubkach palców i wyciągasz taki z najwyższej półki. Jest w twardej oprawie i jest tak gruby jak twoje ramię, lśniąca okładka ma tło w czerwone, zielone i niebieskie pasy.

– Czy myślisz, że to się tacie spodoba? – pytasz mnie.

– Dlaczego by nie?

– Musimy mieć pewność – mówisz. – Nie chcę źle wybrać, chcę, żeby dostał coś, co mu się naprawdę spodoba.

– Rozumiem, na pewno się spodoba.

Podchodzisz ze słownikiem do kasy, ale tam pani patrzy na nasz nowiutki dziesięciodolarowy banknot i mówi, że mamy za mało pieniędzy. Nie martwcie się, pociesza nas i wyszukuje inny słownik, o połowę mniejszy, w matowej okładce z kartonu. Nie widać zadowolenia na twojej twarzy, gotów jesteś protestować, ale rzucam ci wymowne spojrzenie i rezygnujesz. Płacisz i dostajesz jeszcze resztę, żeby kupić jakiś drobiazg w KayBee.

W następnym tygodniu tata rozpakowuje prezent, obdarza nas półuśmiechem i

mówi: „Ho, ho, dziękuję, dzieci”. Później jednak, kiedy myśli, że nie ma nas w pobliżu, chichocząc pyta mamę, czy zachowała paragon. Tego słownika nigdy więcej nie widzieliśmy na oczy.

Staraleś się kryć urazę, a nawet powiedziałeś mi, że gdybyśmy kupili odpowiedni słownik, ten z luksusową okładką, cała sprawa wyglądałaby inaczej. Ja nie jestem tego pewna.

Rozdział 24

Idę za podzwaniająco-pobrzękującą Hilary do pokoju przyjęć, tego samego pomieszczenia, w którym to wszystko się zaczęło. Czy to było tylko pięć dni temu? Wydaje się, jakby minęło pięć wieków. Rodzice już są, siedzą i czekają. Zamienili się krzesłami. Mama przycupnęła na brzegu zielonego ogrodowego, które pod tak drobnym ciężarem nic a nic się nie ugina, tata zaś rozsiadł się w wygodnym, poplamionym kawą fotelu. Ciekawe, że dewocyjna wyszywanka i dzisiaj znajduje się akurat nad jego głową, tylko nad jego. „Uwierzcie w Niego”.

Mam odruch, żeby podbiec i przytulić się do mamy, ale Hilary podprowadza mnie do krzesła – tego samego, drewnianego, z poprzeczkami – sama siada na obrotowym, opierając się łokciem o poźółkły laminat znanego mi stołu. Jest na nim plik papierów i podkładka też jest, i garstka recepturek. Ogarnia mnie nagle mdlące poczucie deja vu. Ścisza mnie w żołądku, ręce robią się lodowate, jak ukąszone mrozem.

Uspokój się, Justine, uspokój się. Wracasz do domu, wracasz do domu, wracasz do domu.

Odchrząknawszy, Hilary zaczyna mówić. Najwyraźniej tylko do rodziców, jakby mnie nie było. W ogóle nikt nawet na mnie nie spojrzy. Zwraca się do nich w dziwny sposób, mamó i tato, jak do innych rodziców w grupie, żadne pan i pani, ani Ziegler, ani nawet Zeeet.

– Mamó i tato, przywieźliście Justine do nas, do programu, w niedzielę, zaalarmowani ostatnio jej niepokojącym zachowaniem. Jeszcze wtedy przedwcześnie byłoby wyrokować, czy Come Clean jest, czy nie jest miejscem najbardziej dla niej odpowiednim. Zgodziliśmy się przyjąć waszą córkę na krótko, na obserwację... – Trzy dni!, chcę krzyczeć, to miało być tylko na trzy dni. – ...w trakcie której uda nam się, tak zakładaliśmy, rozpoznać przypadek Justine, by móc wam doradzić, jaki tryb postępowania byłby najkorzystniejszy. W ciągu minionych pięciu dni właśnie to uczyniliśmy. Mamy teraz przekonanie, że dobrze zrobiliście, przywożąc Justine tutaj. Przykro mi poinformować was, że Justine jest poważnie uzależniona i potrzebuje pomocy.

Uciskam wiadomy punkt u nasady nosa, chcę mieć jasność umysłu. Nie mogła w żadnym wypadku mieć na myśli tego, co powiedziała, a zabrzmiało to tak, jakby właśnie o nic innego jej nie chodziło. Nie mogło jej o to chodzić, w żadnym wypadku nie mogło, nie, nie mogło. Wracam do domu. *Dzisiaj wieczorem.*

– Jeśli będzie współpracować, odniesie ogromne korzyści z uczestnictwa w programie Come Clean. Chce powiedzieć, mamie i tato...

– Proszę nie zwracać się tak do mnie – tata traci cierpliwość – nie jestem pani ojcem.

– Przepraszam. Zapewniam, że to w żadnym wypadku brak szacunku. W ten sposób zwracamy się do wszystkich rodziców, jak być może pan zauważył.

– Tak, zauważyłem, ale tak czy owak nie jestem pani ojcem.

– Nie przez pokrewieństwo, oczywiście nie. Jesteśmy jednak wszyscy tu w programie członkami jednej rodziny.

– Justine nie jest na razie członkiem waszego programu – odparowuje tata z nutą wyzwania w głosie, od jakiej robi mi się cieplutko. Mimo to nie podoba mi się to „na razie”, wcale mi się nie podoba.

Hilary również podchwytuje te dwa słówka.

– Racja. Oficjalnie Justine nie uczestniczy w programie... na razie. Ale właśnie próbuję wam wyjaśnić...

Zamykam oczy, wciskam kostkę wskazującego palca w ten swój punkt, wgłębienie między jednym i drugim okiem, a czerwone i białe błyski wdzierają się w ciemność za powiekami.

– ...próbuję wam wyjaśnić, że powinna, taka jest nasza opinia. – Hilary znowu musi odchrząknąć. – Nasze zalecenia sprowadzają się do tego, że powinniście, dla jak najlepiej rozumianego dobra Justine i waszej rodziny, zostawić ją tutaj z nami, tak aby mogła przejść swoją drogę do pełnego wyzdrowienia.

Słysząc, jak mama wciągnęła głęboko powietrze, a pode mną zakołysała się podłoga. Czuję, jak mój żołądek obsuwa się, jest między kolanami, potem między kostkami nóg, potem ucieka spod stóp, takie dokładnie doznanie ma się podobno w dalekobieżnej windzie, która za szybko pokonuje piętra, chociaż ja nigdy nie byłam w tak pędzącej windzie. To niemożliwe, że powiedziała to, co powiedziała. W pokoju zrobiło się czarno, czyżbym miała zamknięte oczy, ale nie, gdy je w pełni świadomie otwieram, pokój jest ciemny, nie widzę niczego, wszystko jest jedną wielką, mroczną zamazaną plamą, w ustach mam gorzko, chciałabym umyć zęby i przeczyszczyć je nitką dentystyczną i nagle, nagle, przychodzi mi do głowy absurdalna myśl, że być może tata wetknął do kieszeni kłębek nici dentystycznych dla mnie. Już, już mam go o nie poprosić, ale mówię sobie „nie”, przecież tu ich nie potrzebuję, bo wracam do domu, wracam do domu, wracam do domu, a w szafce w swojej łazience mam nieskończony zapas nici dentystycznych. W domu. Tato, proszę, weź mnie do domu, żebym znowu mogła czyścić zęby nicią.

– Na jak długo? – pyta tata i nie ma to nic wspólnego z higieną zębów.

– Tego się nie da wyliczyć. To zależy od Justine. Tak długo, jak długo będzie trzeba, to jedyne, co mogę powiedzieć. Jak długo będzie trzeba.

Nasza mama chyba przez cały ten czas wstrzymywała oddech, a teraz głośno wydycha powietrze, potem je znowu łapie szybkimi, szarpanymi haustami, jakby jej było duszno. Tata wpatruje się w Hilary, ale nawet mu powieki nie drgną. Usta ma zaciśnięte, mocno, wargi nieruchome, ale patrzę na niego z profilu i widzę, że szczęki mu chodzą, jakby zgrzytał zębami albo coś przeżuwał, jakby przeżuwał sugestię, którą właśnie wysunęła Hilary.

Otwieram usta i walczę, żeby wydobyć z siebie głos, lecz słyszę tylko świsty, szybkie, nierówne, jakby moje płuca były zsynchronizowane z płucami naszej mamy.

– Nie wiem – mówi tata.

– Rozumiem wasze obawy. Biorąc pod uwagę... – Hilary przerywa w poszukiwaniu właściwych słów – *...to wszystko, co było i minęło*, musi być wam niezwykle trudno stanąć znowu w obliczu takiej samej decyzji. Pozwolę sobie jednak powiedzieć, co następuje: głęboko wierzymy, że miejsce Justine jest tutaj. Uważamy, że zabranie jej stąd na obecnym etapie byłoby lekkomyślne i nieodpowiedzialne, nawet więcej, byłoby niebezpieczne. Nie potrzebuję wam uświadamiać, jak bardzo autodestruktywne potrafią być osoby uzależnione, gdy prawda wyjdzie na jaw.

– Nie jestem uzależniona! – odzyskuję głos i czucie w nogach, żołądek wraca na swoje miejsce, jakbym nacisnęła przycisk stop w windzie. I wreszcie udaje mi się zwrócić na siebie uwagę rodziców.

Hilary odkręca długopis, rzuca okiem na pierwszą kartkę podkładki i odhacza coś na marginesie.

– Muszę was poinformować, że Justine sprawiła nam już dużo kłopotu. W poniedziałek wszczęła awanturę o jedzenie podczas lunchu i brutalnie zaatakowała innego fazowicza. – Hilary podnosi wzrok znad podkładki, pozwala mu spocząć najpierw na mamie, potem na tacie, zanim dodaje: – *Chłopca*.

– Nie, nie, nie – mówię, bijąc dłońmi w najeżone drzazgami poręczce mojego krzesła. – Rozlałam swoje picie. Niechący, to było...

– Próbowала również uciekać, trzykrotnie. To była jej pierwsza noc pod naszą opieką, kiedy to usiłowała wyniknąć się z domu przydzielonych jej gospodarzy i dopiero system alarmowy pokrzyżował jej plany.

– To nieprawda! – Mój głos przechodzi w pisk, mnie samej trudno go

rozpoznać. Jest w nim takie napięcie, którego nie znam, napięcie bliskie hysterii. Nie daj się panice, nie daj się ogarnąć panice. Uspokój się, Justine, uspokój się. Tata nigdy nie chciał cię wysłuchać, jeśli traciłaś nad sobą kontrolę. – To nieprawda – powtarzam, teraz wolniej, wolniej, ciszej. – Musiałam iść do łazienki, chciało mi się siusiu.

– Dwa kolejne przypadki zdarzyły się tu na miejscu, w tym budynku, w obecności całej zgromadzonej grupy. W czwartek, podczas przerwy na gimnastykę, próbowała urwać się starszej rangą fazowiczce i staranować osobę z personelu. Mnie, gwoli ścisłości – dodaje Hilary z lekkim prychnięciem.

– Nie! Nie. Próbowałam z panią porozmawiać, to wszystko. Mamo, tato, oni w ogóle nie mówili mi, o co chodzi, Próbowałam tylko dowiedzieć się, co się dzieje.

– Innym razem Justine rzuciła krzesłem w opiekującą się nią fazowiczkę i także próbowała uciezki.

To jest dla mnie absolutnie nie do pojęcia. Nigdy nie widziałam twarzy tej dziewczyny, tej, która oskarżyła mnie o napaść, podczas gdy ja tylko mocowałam się wtedy z dwoma ciężkimi składanymi krzesłami, usiłując dowlec się z nimi do stołu. Jak oni mogą tak przekręcać fakty? Jak można czemuś zupełnie niewinnemu nadać wymiar zła i premedytacji? Pochyliłam głowę, potrząsając nią w proteście.

– Nie, nie, nie, nie. To nie było tak. W każdym przypadku nie tak. Nie!

– Na dodatek Justine odmawia uczestnictwa w jakiegokolwiek aktywności grupy i świadomie demonstruje lekceważenie obowiązujących zasad, które przecież wprowadzone są po to, żeby ją wraz z innymi chronić – tata sapie i poprawia się w fotelu – i okazuje wyraźną wrogość wobec personelu. Nie jest mi łatwo o tych wszystkich rzeczach mówić, mamie i tacie – tata mruży oczy i znowu poprawia się w fotelu – każda jest niepodważalnym faktem, jak wynika z wielu godzin i dni wnikliwej obserwacji.

– Mamie, tato, posłuchajcie mnie. Nic z tego nie jest prawdą. Ta kobieta nie spędziła sam na sam ze mną ani minuty od czasu, jak mnie tu zostawiliście. Ani żadna inna osoba z personelu, oni nawet nie zauważyli, że się tu pojawiłam. Nikt ze mną nie rozmawia, nikt, ale to nikt, nikt mnie nie ocenia...

Przez ułamek sekundy wzrok Hilary spoczywa na mnie i tylko na mnie.

– Czy naprawdę uważasz, że jedynie personel ma oczy i uszy? – Odwraca się z powrotem w stronę rodziców, sięgając jednocześnie po papiery leżące na stole. – Jak wicie, mamie i tacie, program Come Clean jest wspólnotą terapeutyczną. Opiera się na zasadzie, w myśl której dzieci słuchają swoich rówieśników i od nich głównie się uczą. Wiadomo przecież, że to rówieśnicy wciągają nastolatków w

alkohol i narkotyki; stwierdzamy, że rówieśnicy również są najbardziej skuteczni w wyciąganiu ich z powrotem z nałogu. Oddziaływanie rówieśnicze w dobrą stronę, jak wolicie. „Dzieci pomagają dzieciom” to nasz etos i dzięki niemu nasz program jest tak wyjątkowy i odnosi takie sukcesy.

Trzyma teraz w ręku znaną mi plastikową koszulkę. Wypełnioną skrawkami papieru, tuzinami skrawków papieru, oddzieranych, a nie odcinanych, jakby nie było czasu ani potrzeby na wzięcie do ręki tak przydatnego i rozsądnego narzędzia jak nożyczki. Znowu ziemia zakołysała mi się pod nogami, a kwaśny, trochę jakby chlorowaty smak w ustach zintensyfikował się i utrwalił.

– W ciągu tych pięciu krótkich dni zebraliśmy mnóstwo raportów dotyczących Justine od jej rówieśników w programie. To są dzieci, które jej nie znały, nie miały do niej żadnych uprzedzeń. Nie kierowały nimi żadne osobiste pobudki. Znają natomiast aż za dobrze symptomy uzależnienia i rozpoznały je u Justine.

Podsuwam się z krzesłem do przodu, rozpaczliwie staram się nawiązać kontakt z rodzicami.

– Mamo, tato, proszę, proszę, wysłuchajcie mnie. Ona nie jest w porządku, ona przedstawia sprawy w taki sposób, że to wszystko jest nie tak. Nie uwierzycie, co oni tutaj robią dzieciakom. Personel wrzeszczy przez cały czas, tłuką dzieci, gdzie popadnie, bez żadnego powoduje tłuką, potrafią pobić i skopać, i poniżają ludzi, codziennie, od rana do wieczora, oni...

– Chętnie, oczywiście, posługuje się kłamstwem. – Hilary rozwija myśl dalej. – Osoby uzależnione muszą bardzo często kłamać, żeby zacierać ślady. Mamo i tato, nie możecie wierzyć nawet w jedno słowo wypowiedziane tu przez Justine. Radziłabym tego nie słuchać. Po co macie się denerwować.

– Nie kłamię! Nie jestem uzależniona! – Napięcie ujawnia się znowu w moim piskliwym głosie, nie stłumię go, nie jestem już w stanie.

– Kłamstwo jest jedyną bronią osoby uzależnionej, zwłaszcza na pierwszych etapach zdrowienia, kiedy to w żadnym razie nie chce przyznać, że ma problem. To mechanizm zaprzeczania, trwanie w nim.

– Nie trwam w zaprzeczaniu, nie mam czemu zaprzeczać. Nie mam żadnego problemu.

Hilary robi krzesłem obrót w moją stronę, pochyla głowę.

– Justine, kochanie, czy nie widzisz, co właśnie robisz? Zaprzeczasz. Zaprzeczasz w każdym momencie. Czym jest mechanizm zaprzeczania? Powtarzaniem „to nieprawda”. Miałam do czynienia z tyloma młodymi ludźmi, takimi jak ty. Myślisz, że masz na wszystko gotową odpowiedź, boisz się odsłonić i

dać sobie pomóc. Ale musisz, po prostu musisz. To twoja jedyna nadzieja. – Zmiętkło jej spojrzenie, wydaje się mówić szczerze. – Wiem, że jest ci teraz ciężko, nieprawdopodobnie ciężko, i potrafię to zrozumieć. Naprawdę wiem, co się za tobą ciągnie. Na pewno jednak później będzie łatwiej.

Musisz nam pomóc, żebyśmy mogli pomóc tobie. Współpracuj z nami, Justine. *Dla twojego własnego dobra.*

Dla twojego własnego dobra. Oh, Josh, ratuj mnie. Czy ta baba rzeczywiście wierzy w te bzdury, które tu z siebie wypluwa?

– Często sprawa powtarza się u rodzeństwa – wyjaśnia Hilary rodzicom. – Mamy w programie wiele takich przypadków. Z badań wynika, że jeśli jedno dziecko popadło w uzależnienie, prawdopodobieństwo wystąpienia skłonności do nałogu u brata czy siostry znacząco wzrasta. Dokładnie nie wiemy, dlaczego tak jest. Po części odpowiedzialne są geny, a po części wspólne środowisko, zwłaszcza jeśli rodzeństwo jest zbliżone wiekiem i przebywa w tej samej grupie rówieśniczej. U bliźniąt, które już od urodzenia wykazują nienormalnie wysoki poziom współzależności, prawdopodobieństwo rozwoju osobowości podatnej na uzależnienie rośnie jeszcze bardziej drastycznie.

– Justine i Joshua zawsze się *wszystkim* dzielili – szlocha mama, a w jej głosie daje się wykryć niecodzienną mieszalinę dumy i rozpacz. Kliknięcie zamka torebki, mama grzebie w niej zawzięcie w poszukiwaniu kolejnej chusteczki. Z głębi dochodzi pbrzękiwanie tic taców.

– Tak to jest, że – wyklada dalej Hilary – uzależnienie stanowi często składową tej „specjalnej więzi”, o której psychologowie uwielbiają mówić aż do znudzenia.

– Chwileczkę, jakkolwiek problem miał Joshua, nie miało to nic wspólnego ze mną.

– Jesteś tego pewna, Justine?

– Do diabła, tak...

– Nie wyrażaj się, młoda damo – warknął tata. •

– Tak, jestem tego pewna – odzywam się grzeczniej. – Jezu, czy rzeczywiście pani tak myśli?

– Nie chodzi o to, czyja tak myślę, to są fakty udowodnione naukowo – odpowiada Hilary.

– Kompletna bzdura!

– Justine!

– Współuzależnienie to bardzo poważny problem. – Znowu zwraca się do rodziców. – Zapewniam was, że u Justine nie doszło jeszcze do rozwoju

poważnego zespołu uzależnienia od alkoholu i narkotyków, jak u niektórych innych dzieciaków, które prowadziliśmy w naszym programie, w tym u jej brata. W każdym razie jeszcze nie. Natomiast prawdopodobieństwo, że do tego dojdzie, jest bardzo wysokie. A przecież ona przez całe życie ujawniała, o co gotowam się założyć, syndrom współzależności, który sam w sobie jest rodzajem uzależnienia. Współzależność to, najkrócej mówiąc, zaburzone związki emocjonalne, to choroba zagubionej tożsamości. Polega na nadawaniu takiego znaczenia drugiej osobie, że jednostka nie utożsamia się ani nie identyfikuje z własnym „ja”. Podporządkowuje się potrzebie spełniania się w tej drugiej osobie, zamazując w ten sposób granice własnej osobowości. Najprościej mówiąc, przypadek współzależności to... – Hilary podnosi w górę po jednym palcu obu rąk i kreśli nimi w powietrzu dwa znaki zapytania – ...niewiedza na temat tego, gdzie ja się kończę, a ty zaczynasz.

Mówi o tobie i o mnie, Joshua. O tobie i o mnie.

– Delikwent odczuwa pustkę, wstyd, lęk, złość, zagubienie, często apatię, zwłaszcza gdy zostanie odcięty od źródła swojej zależności. Chyba to nie brzmi obco, mamó i tato? Współzależność to zaburzenie chroniczne, postępujące i o bardzo wysokim stopniu złośliwości.

Ona uważa nas za chorych, Joshua, mówi, że przez całe życie byliśmy chorzy, ponieważ byliśmy takimi, jakimi się urodziliśmy. To właśnie mówi. Odżyło we mnie najwcześniejsze nasze wspomnienie. Jesteśmy na kanapie, tej z pokryciem w owocowy wzór, ja na paterze z winogronami wymachuję jak wiatrak pulchnymi rączkami, gaworzę i ślinię się, aż tu nagle dostrzegam ciebie – widzę cię po raz pierwszy – leżysz na paterze z gruszkami, ale ja myślę, że ty to ja, i strasznie się cieszę, Joshua, ekstatycznie się cieszę. A ona mówi, że to było niezdrowe, że to zaburzenie i że cały czas, jaki razem spędziliśmy, i wszystkie te lata, i nasza miłość, i wszystkie sekrety były czymś złym, bo tak właśnie powiedziała. Czy tobie powiedzieli to samo, Joshua? Czy jak znalazłeś się w tym miejscu, powiedzieli ci, że byłam częścią twojej choroby? Czy perswadowali ci, żebyś wyciął mnie z twojego serca, jakbym była nowotworem?

Jeśli chodzi o mój żołądek, to mam wrażenie, że znalazł się w uścisku pięści olbrzyma, która rozgniała go na kawałki. Odchyłam się do tyłu, poszukując wzmocnienia w twardym oparciu z drabinkowych poprzeczek, ponieważ wydaje mi się, że inaczej zegnę mnie wpół z bólu i już nigdy nie będę zdolna się wyprostować. Nasz tata wysuwa raz po raz koniuszek języka, ale ani mrugnie. Mama ma usta i nos całe zakryte chusteczką Kleenex, rozmiar dla panów, jest nadzieja, że się nie udusi. W jej wzroku czai się obłądny strach, jak u Mii Farrow w

filmie *Dziecko Rosemary*, kiedy zdała sobie sprawę, co w sobie nosi. Co za obrzydliwe monstrum ma urodzić?

– Tak więc zaczyna się od współzależności. W przypadku Justine wszystko wskazuje na to, że spirala bardzo szybko się teraz rozkręci, że Justine zacznie się włączyć w złym towarzystwie małych jak ona, wciągać się coraz bardziej w picie i narkotyki i na koniec popadnie w uzależnienie. Początek tego procesu sami zaobserwowaliście. Powinna być wdzięczna losowi za tak czujnych rodziców, którzy potrafili przyłapać ją, zanim posunęła się za daleko. – Gratulując im, Hilary dosłownie puszcza oko do taty. – Nie chcielibyście zapewne zmarnować efektów swojego trudu, chyba się nie mylę?

– To bzdety. Mamo, proszę, mnie wysłuchaj, mamo. Znasz moje koleżanki i kolegów, wiesz, że oni nie są tacy. Znasz Cindy, znasz Beth i Kelly, znasz też Lloyda. Lubisz ich, mamo. przypomnij sobie, jak bardzo ich lubiłaś.

– Czy to są twoje narkotykowe przyjaźnie?

Mama niemal zachichotała.

– Och, nie nazwałabym Cindy Gregory narkomanką. Cindy jest miłą dziewczynką. Razem z jej rodzicami chodzimy do kościoła.

Hilary pogroziła jej palcem.

– Nie ułatwiał jej, mamo, proszę. To nie pomoże sprawie.

– Niech tu przyjdą – sugeruję. Nazywajcie ich, jak chcecie, ale sprowadźcie ich tutaj, wszystkich. Oni zaświadczą, że...

– To nie jest proces sądowy, Justine.

– Powiedzą wam. Cindy i Lloyd powiedzą wam, że nie jestem ani pijaczką, ani ćpunką, niczym takim.

– Żadnych narkotykowych imion ani nazw – ostrzega mnie Hilary, a mama wpada jej w słowo.

– Nie możemy tego zrobić, kochanie.

– Dlaczego?

– Poinformowaliśmy twoich przyjaciół, że pojechałaś pomieszkać jakiś czas z babcią i dziadkiem Shirlandami. To wszystko jest takie trudne, zdajesz sobie sprawę. Cindy dzwoniła codziennie, Lloyd wpadł do nas, od niektórych dziewczynek i chłopców przysły kartki, pozdrowienia. Oni wszyscy cię ściskają, kochanie, ale prosiliśmy, żeby ci dali trochę czasu i oddechu. Powiedzieliśmy, że potrzebujesz побыć trochę sama ze sobą, i to zrozumieli.

W wyobraźni widzę swoich znajomych, każda twarz przemyka mi przed

oczami, wyobrażam ich sobie, jak roztrzásają, co ze mną, wyciszeni, w ich głosach czuć sympatię. Całkowicie bezużyteczne i niecelowe jest ich współczucie. Nie wiedzą, gdzie jestem, nie wiedzą, co się ze mną dzieje, nie przybędą na pomoc.

– Tak jest w porządku – Hilary wyraża aprobatę. – Justine potrzebuje odciąć się kompletnie od dotychczasowego narkomańskiego życia. Potrzebuje czasu i spokoju, żeby móc się skoncentrować na zdrowieniu. Chyba się z tym zgadzacie, mamó i tato?

– Nie słuchajcie jej, słuchajcie, co ja mówię, wysłuchajcie mnie, to nie jest miejsce dla mnie. Zabierzcie mnie do domu, mamó, zabierzcie mnie do domu, tato, przyrzekam być grzeczna. – Wydaje się, że nikt mnie nie słucha. Czyja rzeczywiście krzyczę, czy w pokoju znowu jest ciemno, chociaż nie zamknęłam oczu? Przęłykam ślinę raz po raz, ale brzydki smak w ustach pozostaje.

– Justine potrzebuje pomocy, mamó i tato. Chyba dacie jej szansę? Jestem pewna, że nie chcecie, żeby powtórzyło się to, co stało się z Joshem. Na pewno nie chcecie.

Nasza mama przesłania rękami uszy, łzy leją się jej strumieniem po twarzy. Daj mi tic taca, mamó. Daj mi tic taca i zrób coś, żebym mogła pozbyć się tego ohydneho smaku w ustach.

Twarz taty stężała, podbródek znieruchomiał. Przytakuje bardziej wzrokiem niż kiwnięciem głową.

– Jeśli to ma być dla jej dobra – mówi.

Przypomina mi się sen, jaki miałam. Ty na rowerze. Powinienem był zeskoczyć, powiedziałeś do mnie.

Rozdział 25

To dzisiaj kończymy dziesięć lat i mamy przyjęcie.

Zwykle mama i tata nie zgadzają się na przyjęcia urodzinowe. Mówią że niełatwo jest zebrać dzieci pod koniec lata, bo niektóre są z rodzinami na wakacjach w Rehoboth Beach albo pojechały w odwiedziny do dziadków lub jeszcze gdzie indziej. Jednakże w tym roku robią wyjątek, ponieważ kończymy dziesięć lat i mama mówi, że już nigdy więcej nie będziemy przechodzić od wieku jednocyfrowego do dwucyfrowego i to warto uczcić.

Praktycznie przez całe lato z niecierpliwością czekaliśmy na ten wielki dzień, planowaliśmy i organizowaliśmy wszystko, dobrego nastroju nie były nam w stanie zepsuć nawet urodziny taty, pięć dni przed naszymi. Mama kupiła zaproszenia w sklepie Hallmark w centrum handlowym, są na nich Tom i Jerry, bohaterowie kreskówek. Pomogła nam je wypisywać, po czym wozila nas od domu do domu, byśmy je osobiście wręczyli każdemu dziecku.

Wszyscy przychodzą na nasze wielkie przyjęcie. Będzie Davie Kirchner i Richie Richardson, i Beth Jenkins, Billy Prophett i Michael Sanderson, i oczywiście Sheila Marple, moja najlepsza przyjaciółka, i Lloyd Taggart, i Cindy Gregory, Hank Wood i Lucy Hamilton, i Melanie Heath, a nawet Norman Macalister, którego nie znosisz, bo jest pupilkiem pani, ale on naprawdę nie jest zły. Będą chyba wszystkie dzieci z naszej klasy. Z wyjątkiem Wayne'a Westbrooka. On już nie jest w naszej klasie, bo nie zdał, a poza tym i tak byśmy go nie zaprosili.

Babcia i dziadek Shirlandowie też są, bo w tym roku to oni przyjechali do nas, a nie my do nich. Dziadek praktycznie cały czas siedzi na werandzie z tyłu domu, popija przez słomkę mrożoną herbatę Liptona obserwuje całe to zamieszanie wokół i oświadcza, że to śmieszne. A babcia mówi, że za nic w świecie nie opuściłaby naszych urodzin i powtarza: „Mój Boże, ale wy rośnięcie”. Poprzedniego wieczoru, kiedy przyszła utulić nas do snu, czochrała palcami nasze włosy i cmokała nas w czoła.

Babcia mówi, że nawet wtedy, kiedy nie będzie przy nas przyjaciół, rodziców ani dziadków, każde z nas będzie miało przynajmniej tego drugiego, pamiętającego o urodzinach. Babcia wyjaśnia, jakie to wielkie dla nas szczęście i że większość ludzi nie może czegoś takiego powiedzieć.

– Wiercie mi – szepcze babcia, gdy przytulamy się do niej – to coś

wyjątkowego, i to bardzo.

I czujemy się wyjątkowi, ponieważ mamy dziesięć lat i przyjęcie urodzinowe – w nocy byliśmy tak podekscytowani, że nie mogliśmy zasnąć. Mama orzekła, że z powodu dwucyfrowej liczby powinny być dwa torty i pozwoliła każdemu z nas wybrać taki, jaki chce. Ja wybrałam w cukierni A&P trzywarstwowy tort udekorowany mnóstwem miniatuerek lalki Barbie, a ty w Baskin Robbins tort lodowy, z bitą śmietaną na wierzchu, posypaną siekanymi orzechami i przystrojona połówkami koktajlowych wisienek. Na jednym i drugim torcie mama wypisała niebieskim lukrem *Happy Birthday* i pod tym nasze imiona.

Wieszamy serpentyny i chorągiewki, dmuchamy balony, a mama z babcią rozstawiają za domem dwa długie składane stoły, nakrywają je obrusami z napisem *Happy Birthday* oraz postaciami Toma i Jerry'ego i wykładają pamiątkowe drobiazgi dla wszystkich naszych gości. Jest idealnie, absolutnie idealnie, i nie złościsz się nawet, gdy mama mówi, że muszę włożyć sukienkę, na dodatek z koronkami, którą tata kupił mi specjalnie na tę okazję.

Kiedy zaczynają pojawiać się dzieci, aż kipimy z emocji. Podwożone są przez rodziców samochodami, a mieszkające bardzo blisko przychodzą same. Wszyscy są w wyjściowych strojach i mają w rękach prezenty. Każdy powinien przynieść prezenty dla nas obojga, ale niektórzy chyba nie tak to zrozumieli, bo zdarza się, że dziecko wręcza dyżurującemu przy prezentach dziadkowi tylko jeden. Dziadek odbiera kolorowe pudełka i reklamowe torby, czasem paczki o dziwnych kształtach, zerka na przywieszki i ustawia wszystko w stosy na rozkładanych stołach z urodzinowymi obrusami z Tomem i Jerrym.

Wszyscy biorą balony, rozrywają paczuszki z upominkami od nas na pamiątkę urodzin, potem każdy łapie za swoją trąbkę i trąbiąc, biegnie do węża ogrodowego ze swoim pistoletem na wodę, choć mama krzyczy, że te zabawki są na później. Moja uroczysta suknia urodzinowa ocieka wodą, tobie koszula wyszła zza paska, a na nowych spodniach masz plamę z trawy, ale kto by się tym przejmował, przecież to nasze dziesiąte urodziny i jest cudownie.

Tata piecze na grillu hot dogi Oscara Mayera, a my pożeramy je jak stado głodnych wilków. Nie wiadomo kiedy przychodzi pora na torty. Ja i ty mamy na głowach spiczaste urodzinowe czapki i uśmiech od ucha do ucha, a wszyscy zaczynają śpiewać *Happy Birthday*.

Mój tort Barbie stoi przede mną z dziesięcioma płonącymi dużymi świeczkami urodzinowymi i wygląda pysznie. Wszyscy krzyczą: „Pomyśl życzenie, pomyśl życzenie”, a mama podbiega z aparatem i robi pstryk, pstryk, błyska lampa, każdy

wiwatuje i klaszcze, i każdy dalej woła: „Pomyśl życzenie, pomyśl życzenie”, i mam życzenie. Zamykam oczy, nadymam policzki, dmucham z całych sił i życzę sobie, żebyśmy mogli mieć takie cudowne przyjęcia urodzinowe co roku.

Moja najlepsza przyjaciółka Sheila Marple stoi przy mnie, szturchając mnie i błagając, by dać jej ekstraduży kawałek i jeśli można, z miniaturową Barbie na wierzchu. Kroję tort, podaję na plastikowych talerzykach pasujących do obrusa z Tomem i Jerrym i nagle słyszę, jak Sheila Marple zaczyna chichotać. Co mogło ją tak rozśmieszyć, myślę, chyba któryś z chłopaków zrobił coś durnego, może Hank Wood podłubał w nosie i wytarł to w koszulę.

– Twój brat – mówi Sheila Marple, ale ja jestem pewna, że ty nie wycierałbyś glutów w koszulę, a zresztą nie podoba mi się, że ona się z tego śmieje – nie jest nawet w połowie tak popularny jak ty – mówi mi Sheila. – Patrz, jak mało dostał prezentów.

Patrzę i widzę, że ma rację. Sarta prezentów na twoim stole jest niepozorna i mało kto pcha się do ciebie po tort. Nawet nie zacząłeś go kroić, nawet nie pogasiłeś świeczek. Wyglądasz, jakbyś zaraz miał się rozplakać.

Sheila Marple ciągle się śmieje, ale przestaje, gdy wcieram jej w twarz ukrojony specjalnie dla niej superduży kawałek tortu z Barbie – robią tak czasami w filmach *Scooby Doo*, *Tom i Jerry*, *Struś Pędziwiatr* i innych kreskówkach, które oglądamy w niedzielę rano.

Potem zostawiam mój tort i wszystkie prezenty, podchodzę do ciebie, pomagam ci zdmuchnąć świeczki i ponakładać porcje na talerzyki. Mówię, że tort lodowy jest o niebo lepszy od tego z Barbie i jaki głupi zrobiłam wybór. Wszyscy dostają po kawałku twojego tortu i chociaż już się zaczyna roztapiać, przyznają mi rację. Cindy Gregory mówi ci, że to najlepszy tort urodzinowy, jaki kiedykolwiek jadła, i postanawiam, że Cindy Gregory zostanie moją nową najlepszą przyjaciółką.

– Czy to nie śmieszne? – zauważa dziadek Shirland, kiedy próbuje kawałek. – To właściwie wcale nie jest tort.

Rozdział 26

To jak przeżywanie wszystkiego od nowa. To, co przez pięć ostatnich dni wydawało się dziwne albo straszne, teraz jest przerażające. Nie stoję już z boku, nie jestem jak zamroczona, nie jestem na specjalnych prawach. Jestem częścią tego. Nie jadę do domu. Czy tak samo się czułeś, Joshua, gdy pierwszy raz tu przyjechałeś? Czy miałeś zaciśnięty z przerażenia żołądek, jakby tkwiła tam ołowiana kula, tak ciężka, że ledwo można się ruszyć. Czy bałeś się tego, co cię czeka? Czy czułeś się zdradzony, okrutnie, okrutnie zdradzony, niezrozumiany i opuszczony? Czy czułeś się samotny?

Bo ja właśnie tak się czuję, Josh. A z tego wszystkiego najgorsza jest samotność. Czuję się samotna, absolutnie samotna. I nie jadę do domu.

Tak naprawdę teraz jest gorzej, niż było wtedy, gdy mnie przywieźli. Wtedy, choć zszokowana, że się tu znalazłam, głęboko wierzyłam, że chodzi tylko o obserwację. A po tej obserwacji, jak rozumowałam, nikt nie będzie mógł stwierdzić niczego poza prawdą – *nie jestem* narkomanką i *to nie jest miejsce dla mnie*. Wmawiałam sobie – zgodnie z tym, co tłumaczyła nam pani Potter, nasza nauczycielka nauk społecznych w szóstej klasie – jeśli nie zrobiłaś nic złego, jeśli jesteś niewinna, nie masz powodu się martwić. Powinnam była być mądrzejsza.

Teraz jest gorzej, bo rzucona do tej jaskini lwów wiem już, czego się mogę spodziewać, wiem, jak okropnie może tu być, jak ostre są ich zęby. Jestem tutaj i nie jadę do domu. Ani jutro, ani za trzy dni, ani za pięć, ani w żadnym bliskim czasie.

Początkowo ta świadomość mnie paraliżuje. Nie mogę zamknąć oczu ani choćby ich przymrużyć, ale też nic nie widzę. Niby patrzę w dół w jakiś punkt oddalony o kilka kroków, lecz nie wiem, czy mam przed oczami wykładzinę podłogową, czy linoleum, czy żwir. Nie odrywam wzroku od tego punktu, jest, nie ma go, znowu jest... Wyprowadzają mnie stamtąd.

Choć ciągle słyszę płacz mamy, nie pamiętam momentu, gdy wyjeżdżali rodzice, ani domu, w którym potem gościłam, ani obiadu, ani mycia zębów, ani sikania przy kimś, ani spania. A następnego dnia jestem znowu w programie i nie odrywam oczu od porysowanej podłogi w sali, gdzie się zbiera grupa.

Przyszło mi na myśl, że jeśli będę siedziała z opuszczoną głową, to może nikt mnie nie zauważy. Tak jak wtedy kiedy byliśmy zupełnie mali i wierzyliśmy, że

jeśli schowamy głowy pod poduszki, nikt nas nie może zobaczyć. My oczywiście widzieliśmy się nawzajem, ale dla reszty świata – także dla mamusi i tatusia, którzy nas wołali, bo pora posprzątać pokój albo zjeść brukselkę czy inne obrzydlistwo – byliśmy absolutnie niewidzialni. Jeśli my ich nie widzimy, wyobrażaliśmy sobie, to oni też nie mogą nas zobaczyć.

Moja iluzja szybko zostaje rozwiana.

– Jeszcze tutaj? – szyderczo pyta Gwen, udając zdziwienie. Pochyliła się, by zajrzeć mi w oczy, więc nie mogę nie widzieć jej twarzy, choć staram się nie odrywać wzroku od jakiejś szczeliny w podłodze.

– Ubyło trochę tej koguciej zadziorności, co, kurczaczku? Nie daję się sprowokować, więc ona przydeptuje mi nogę, raz, potem jeszcze raz, jakby ją chciała zmiażdżyć. Ciągle mam na sobie te białe klapki, które dała mi na początku tygodnia, na jednym jej tenisówka zostawia nową trwałą smugę w poprzek palców.

Podczas porannej sesji „życiorysów” próbuję nie zwracać na siebie uwagi, siedzę z opuszczoną głową. Wyobrażam sobie, że jestem gdzie indziej. Gdziekolwiek. Słyszę głosy, to oddalają się, to zbliżają, podniesione i pełne złości, zlewają się bądź zderzają ze sobą wokół mnie. Siedzę w pierwszym rzędzie sekcji dla dziewcząt i gdy gapię się w podłogę, czasami w polu mojego widzenia pojawiają się nogi i stopy. To Dwight i Ramona prowadzący dzisiejszą sesję.

Dwight też drażni się ze mną, jestem tego pewna. Jego stopy krążą coraz bliżej. Ma na nich granatowe mokasyny, postrzępione nogawki szorują o rzemyki u butów. Czasami zatrzymuje się na wprost mojego krzesła, jakby złapał trop, a ja nastawiam uszu, bo wydaje mi się, że właśnie usłyszę swoje imię. *Ju... st*, mówi. Albo *Ju... stly*. Przeciąga to „ju”... ale nie jest to Justine Zeeet, jeszcze nie, nie w czasie porannej sesji.

Dopiero po południu, podczas Spraw Bieżących, kończą się ceregiele.

– Powiedz nam, dlaczego tu jesteś – żąda ode mnie odpowiedzi, a ja stoję i drżę, sto par obcych oczu bacznie mi się przygląda.

– Nie mam pojęcia – mówię. – Nie powinnam tu być. Kilka osób chichocze.

– Jasne, że nie powinnaś! – rechocze Dwight. – Ale zrób mi uprzejmość i powiedz, dlaczego, *twoim zdaniem*, tu jesteś.

Wzruszam ramionami.

– A nie dlatego, że jesteś narkomanką?

– Nie jestem narkomanką.

– No to alkoholczką. Nazywaj to sobie, jak chcesz.

– Nie jestem alkoholczką. W ogóle nie jestem uzależniona.

– Rozumiem. To znaczy, że my, profesjoniści, nie mamy o tym zielonego pojęcia. – Po tych słowach też się śmieje, grupa mu wtóruje. – Ludzie – kontynuuje, już z chmurą na twarzy – obawiam się, że Justine dała swemu programowi bardzo zły początek. Bardzo zły. – Przerzywa w oczekiwaniu, że ktoś zgadnie dlaczego. – Złamała jedną z podstawowych zasad Come Clean. – Pauza. – Kto może nam powiedzieć, jakie są najważniejsze zasady naszej grupy? Mark G.

– Szczerść! – krzyczy Mark G.

– I?

– Poufność!

– Dobrze, szczerść i poufność. Są święte w działaniu tej grupy. Bez szczerści i poufności nie ma programu. Wydaje mi się całkiem oczywiste, że Justine Z. jest jeszcze w fazie zaprzeczania, że nie ma jeszcze w sobie dość siły, żeby zdobyć się na szczerść wobec nas i wobec siebie. – Kilkoro fazowiczów potakuje. – Ale nie wiecie, że po pięciu swoich nędznych dniach w programie Justine naruszyła zasadę poufności naszego programu. Zdradziła was – Dwight pokazuje na przypadkowe osoby. – Ciebie i ciebie, i ciebie, i ciebie.

Ramona wyciąga magnetofon i podaje go Dwightowi, który wciska przycisk play. Wtedy słyszę własny głos, wyższy i bardziej piskliwy niżbym sobie życzyła, ale bez wątpienia mój.

– Nie uwierzycie, co oni tutaj robią dzieciakom. Personel wrzeszczy przez cały czas, tłuką dzieci gdzie popadnie, bez żadnego powodu je tłuką, potrafią pobić i skopać, i poniżają ludzi, codziennie, od rana do wieczora.

Dwight wyłącza urządzenie, w grupie słycać szmer głosów.

– Justine Z. to papla – mówi Dwight. – Naruszyła zasadę poufności, stwarzając przez to zagrożenie procesu zdrowienia każdego z was. Ale to nie wszystko. Kłamała! Kłamała na temat tego, co się tutaj dzieje, kłamała, by chronić własny tyłek. Kłamała jak wszyscy uzależnieni. – Znowu zbliża się do mnie.

– Czy wrzeszczymy na was bez powodu?! – wrzeszczy Dwight.

– Nie, Dwight! – grupa drze się zgodnie.

– Nie słyszę was.

– Nie, Dwight!! – drą się głośniej.

– Czy bijemy was bez powodu?

– Nie, Dwight!!

– Czy kopujemy, czy uderzamy, czy kaleczymy was bez powodu?

– Nie, Dwight!!

– Czy poniżamy was bez powodu?

- Nie, Dwight!!
- Dlaczego robimy to, co robimy w tych czterech ścianach?
- Aby pomóc każdemu z nas być czystym, Dwight.
- A czego chce każdy z was?
- Być czystym, Dwight!
- Czego, jeszcze raz?
- Być czystym, Dwight!

– Tak. Dokładnie. A to znaczy, że Justine Z. jest nie tylko papłą, ale na dodatek wstrętną kłamczucha. – Cmoka z dezaprobatą. – Okazała brak szacunku dla siebie, brak szacunku dla mnie i innych tutejszych instruktorów, brak szacunku dla was i, co najgorsze, dla programu.

Teraz grupa wrze, wszyscy podskakują na krzesłach jak popcorn w trakcie prażenia, nogi krzesel zgrzytają po podłodze.

- Dlaczego nie wstaniecie i nie powiecie Justine, co o tym myślicie?

Wszyscy wstają i wyzywają mnie – ściera, papła, kłamczucha, kapuś, zdzira i jeszcze gorzej – i mówią, że mnie nienawidzą i że jestem gównem, że jestem niewdzięczna i głupia, i złośliwa, i nieuczciwa, i znenawidzona, i fałszywa, i podstępna, i jeszcze gorsza. Próbuję się od tego odciąć, próbuję ich nie słyszeć ani ich nie widzieć, tych wymachujących rąk, twarzy czerwonych od złości, ale choć widziałam tu już wcześniej takie konfrontacje, one nigdy nie były aż tak głośne, tak przerażające ani tak wrogie. Siadam z powrotem na krześle i zatykam uszy. Pochylam się, chowam głowę w kolana i zamykam oczy tak jak wtedy, kiedy nasi nauczyciele z podstawówki – pani Wolf albo pan Newhouse, albo panna Fawcett czy ktoś inny – ćwiczyli nas w przyjmowaniu bezpiecznej pozycji na wypadek tornada. A burza nade mną szaleje dalej.

Później jestem przydzielona na noc do kogoś imieniem Deirdre, ale zanim ona wyprowadza mnie z sali za szlufkę, Dwight pojawia się przy moim krześle.

– Teraz to nie będzie letni obóz – mówi. – Lepiej naucz się zasad, kotku. I to szybko. – Wyciąga listek gumy Juicy Fruit z kieszeni džinsów. Cały jest wymięty i poskręcany. Prostuje go, rozpakowuje, wkłada do ust i zaczyna żuć. – A pierwsza zasada, którą lepiej zapamiętaj, brzmi: nigdy... a nigdy znaczy nigdy... nie bruźdź starszemu bratu Dwightowi. Nigdy. – Z uśmiechem przekazuje mnie w ręce Deirdre, obdarzywszy szczególnie mocnym szarpnięciem jedną z przednich szlufek moich spodni.

Rozdział 27

Próbuję otworzyć tę część mojego mózgu, tę małą niszę, gdzie za radą Moiry mam przechowywać wszystkie zasady i przepisy programu Come Clean, ale teraz robię to nie dla rozrywki, lecz dla przetrwania, i tak jest o wiele trudniej. Ciągłe nie udaje mi się spamiętać tych głupich zasad – zresztą moja jedna połowa wcale nie chce się do nich stosować, a druga jest przerażona konsekwencjami, jakie mogą z tego wyniknąć.

Nieustannie wyciągają mnie na sesjach Spraw Bieżących i poddają konfrontacjom z powodu wykroczeń. Sięgnęłam po Happy Meal w czasie lunchu, zanim usłyszałam, że już wolno; zmyliłam krok ciągnięta za szlufkę; powiedziałam do jednego z fazowiczów *na zdrowie*; w samochodzie próbowałam pofolgować swojej próżności, przeglądając się we wstecznym lusterku; podczas noclegu nie powiedziałam „dziękuję” gospodarzowi, gdy podał mi serwetkę. Pewnego dnia obrywam za to, że odmawiam włożenia koszulki naszykowanej przez goszczącą mnie rodzinę – koszulki, której nie mogłam nosić, bo była przynajmniej trzy numery za mała – a następnego dnia obrywam za próbę prowokowania chłopców, bo mam na sobie za ciasną koszulkę, która uwydatnia piersi.

Moje najgorsze wykroczenie jest jednak dziesięciokrotnie cięższe od każdego z tamtych. Moje najgorsze wykroczenie polega na tym, że niewłaściwie odpowiadam, kiedy mnie wywołują przy sprawdzaniu listy. Co rano, gdy zasiadamy w pokoju grupowym i gdy Dwight, Bo, Hilary albo ktoś inny z personelu wyczytuje nasze imiona, to jak słyszysz swoje, masz się zerwać i oświadczyć: „Jeszcze tutaj, i trzynaście (albo trzydzieści, albo trzysta) dni czysta!”. Tylko że ja nie mogę się do tego zmusić. Jeżeli powiem, ile dni jestem „czysta”, będzie to równoznaczne z przyznaniem, że wcześniej nie byłam czysta. Więc co rano, kiedy wywołują moje imię, mówię po prostu „tutaj” albo „jeszcze tutaj”. I prawie każdego popołudnia tego żałuję, bo dostaję wycisk.

Któregoś dnia, gdy przydzielili mnie do Moiry, ona mnie wręcz zaklina, żebym przestała być taka uparta.

– Pogódź się z tym, ustąp choć trochę – nakłania. – Ułatwisz sobie życie. I wszystkim innym też.

A więc staram się dla Moiry. Podczas sprawdzania listy wygłaszam formułkę, jakiej oczekują. Kiedy Dwight wywrzaskuje moje imię – Justine Zeeet – ja odwrzaskuję „jeszcze tutaj” i mówię, od ilu dni tu jestem, a na koniec dodaje

„czysta”, jak każą, ale w myślach zamieniam to na „uwięziona”. To małe ustępstwo najwyraźniej działa i spotyka mnie trochę mniej konfrontacji podczas Spraw Bieżących. Jest jednak cena, którą za to płacę. Nie mogę nie rachować upływającego czasu. Co rano muszę odliczać dni, potem tygodnie, a wreszcie zacznę z bólem liczyć miesiące.

Przyzwyczajam się też do podnoszenia ręki, gdy potrzebuję do toalety, i przyzwyczajam się do śpiewania piosenek – na przykład „Chciałabym uczynić świat czystym” – i już powtarzam jak echo właściwe odpowiedzi we właściwym czasie, i biorę prysznic za zasłonę z prześwitującej folii w obecności widzów, i piszę Obrachunek Moralny w notatniku w klejonej oprawie (druciane spirale są wbrew przepisom), który wędruje ze mną, dokądkolwiek jadę. Piszę głupoty i piszę szybko, tak jak nauczyła mnie Moira. W wydarzeniach z przeszłości piszę na przykład o tym, jak podczas zabaw w berka w domu Richiego Richardsona ty nigdy nie wygrywałeś i jak chciałabym zadośćuczynić ci za to, że nigdy nie pozwoliłam ci wygrać i że teraz nauczyłam się, że każdy zasługuje na to, żeby choć raz wygrać. W sprawach aktualnych piszę, że mam obolały tyłek od siedzenia całymi dniami albo że robię się gruba – a robię się od tej gównianej diety z fast foodów – albo że grzywka wpada mi do oczu, bo mam już za długie włosy. Zwykle muszę się wysilać na końcu przy relacji pozytywnej, bo nie mam niczego pozytywnego do wzmiankowania, nawet żadnego gównianego budżetu. Jak sobie z tym radzę? Piszę, że jestem szczęśliwa, bo zamiast fanty czy sprite’a albo zwykłej coli dostałam do mojego lunchu dietetyczną colę czy cokolwiek innego. Gdybym zostawiła puste miejsce, wrzeszczeliby na mnie. Wypisuję więc głupoty.

Nauczyłam się na pamięć wszystkich Siedmiu Kroków. Pierwszy: „Przyznajemy się do naszej bezsilności wobec uzależnienia i do braku kontroli nad własnym życiem”.

Tylko że ja się do tego nie przyznaję. Powtarzam słowa razem z innymi, ale się z tym nie zgadzam, nigdy nie będę się zgadzała. I za każdym razem, gdy Dwight każe mi wstać i próbuje mnie zmusić do powiedzenia ich z przekonaniem, do przyznania przed wszystkimi, że jestem uzależniona, opieram się, opieram, opieram. Mówią mi, że jestem w fazie zaprzeczania, i zwykle zostaję ukarana, ale i tak się opieram.

Życie w programie toczy się w niezmiennym rytmie – gadanie, jedzenie, ciągnięcie za szlufki, wrzaski, motywowanie się, spanie i trwanie. Co rano przyjeżdżamy tu wszyscy, my, nowicjusze, tłoczmy się najpierw w bocznej sali, podczas gdy weterani idą do swoich zadań. Potem prowadzą nas do sali grupowej i

widzimy, że znowu przestawili krzesła, tworząc kolejną konfigurację, każdego sadzają w zupełnie innym miejscu niż poprzedniego dnia, obok kogoś nowego, do kogo nie wolno się odezwać ani nawet mu się dobrze przyjrzeć. Następnie jest odczytywanie listy i ćwiczenie Kroków, potem poranna sesja, podczas której wałkujemy czyjś życiorys pod jeden z Kroków, czemu towarzyszą wrzaski, wymachiwanie rękami, konfrontacje i łzy. Przerwa na lunch zaczyna się około wpół do pierwszej. Najpierw ciężko pracujemy, ustawiając w prostej linii, idealnie prostej linii stoły, potem przerykamy niezdrowe jedzenie z dużą ilością wysokonasyconych tłuszczów, przywożone przez piątófazowiczów z jakiegoś *drive thru* usytuowanego przy najbliższej autostradzie. Gdy do nas trafia, jest zimne, nieapetyczne, poprzyklejane do opakowania. Potem dostajemy świstki papieru na raporty, w których mamy na siebie nawzajem kablować. Potem znowu ustawiamy kolejną dziwną konfigurację krzesel i wrzeszczą na nas, jeśli nie robimy tego dobrze. Potem są Sprawy Bieżące i świstki pojawiają się ponownie, tym razem dowiadujemy się z nich, co na kogo doniesiono, i są krzyki, i wyzwiska, wymachiwanie rękami, konfrontacje i łzy. Potem trening, trening, trening Kroków. Potem rozpoczyna się odprawa *rolí and dole* i każdy trafia w szpony kolejnej dziewczyny i do śmierdzącego samochodu jej rodziców, i do domu, gdzie nie wolno o nic zapytać i gdzie należy być wdzięcznym za gulasz albo posmarowane serkiem krakersy na obiad, a potem trafia się do sypialni, która nie jest prawdziwą sypialnią, bo nie ma w niej łóżka, ale jest zamknięta na klucz, tak że niech Bóg broni, żeby zachciało ci się siusiu w środku nocy.

Chyba że jest piątek, bo wtedy wszystko się zmienia. W piątek, w każdy piątek, mamy Spotkanie Otwarte, przyjeżdżają z wizytą rodzice i rodzeństwo, ale niekoniecznie po to, żeby z nami porozmawiać, za to prawie na pewno po to, żeby na nas nawrzeszczyć i dowiedzieć się, jak się sprawujemy. Jeśli jest piątek, porządek dnia zmienia się po sesji Spraw Bieżących. Przygotowujemy salę do Spotkania Otwartego, rozsuwając do końca harmonijkowe przepierzenie i wyciągając legiony składanych krzesel, które zawsze ustawiamy w takim samym układzie – oni naprzeciwko nas i my naprzeciwko nich. A potem śpiewamy głupie piosenki – „Jeśli wiesz, że czysty jesteś, w dłonie klaszcz!” i tym podobnie, póki wszyscy krewni, aż do ostatniej duszy, nie zajmą miejsc. A potem zaczyna się spotkanie i jeden mikrofon krąży między nami, z drugim biega między rodzicami Ramona, przez trzeci i czwarty Dwight i Hilary ogłaszają, co każdy z nas zrobił, a czego nie zrobił w ostatnim tygodniu, i kilku szczęśliwych fazowiczów może wrzasnąć: „Jadę do domu!!!” i wykonać triumfalny bieg przez wolną przestrzeń

między nami-tutaj a nimi-tam, a reszta z nas musi przełknąć to wszystko, co się dzieje, i nie mówić nic poza „Kocham was, mamó i tato”. Są wrzaski i wymachiwanie rękami, są konfrontacje i łzy. A potem nieliczni idą na indywidualne spotkania z rodzicami i rodzeństwem, a większość ma trening i trenujemy te Kroki, a przy tym obrywamy słownie i rakieta pingpongowa za garbienie się, ziewanie, kichanie, burczenie w brzuchu czy cokolwiek innego, czego dopuściliśmy się przy rodzicach, zamiast zaprezentować przed nimi jak najlepsze zachowanie. Na koniec jest odprawa *rolí and dole* i każdy jak zwykle trafia do czyjegoś domu, z tym że jest prawie północ i nie czeka obiad na stole; dobrze, jeśli się dostanie odgrzane w mikrofalówce resztki spaghetti z puszki albo krakersy z jakimś smarowidłem, zanim można pójść do łóżka z brzuchem burczącym z głodu.

Tak mniej więcej wyglądają dni. Noce też mają swoją specyfikę. Moje opiekunki weteranki i ich domy zmieniają się codziennie, tak że straciłam już rachubę, w ilu domach spałam, a były bardzo różne, od trzypiętrowych wspaniałych pałaców w ekskluzywnych dzielnicach po małe parterowe domki bez garażu, centralnego ogrzewania i klimatyzacji. Za to pokoje dla fazowiczów niczym się w zasadzie nie różnią – gołe białe ściany, ośle materace na podłodze, szczelnie zamknięte okna i alarmy w drzwiach. Gdy już znajdę się w takiej niby-sypialni, słucham, jak inni zasypiają, czasami jestem tylko ja i moja opiekunka, a niekiedy jeszcze jedna albo dwie nowicjuszki. Świeże nowicjuszki zwykle płaczą, dopóki nie usną, a weteranki nakrywają im wtedy głowy poduszkami. Niektóre dziewczyny chrapią, inne mówią przez sen, jeszcze inne sapiają jak Gwen. Kiedyś jedna z nowicjuszek wstała we śnie i uruchomiła alarm. Następnego dnia została wywołana podczas sesji Spraw Bieżących i ukarana odosobnieniem oraz seansem w cztery oczy z Dwightem za to, że próbowała uciec, ale ja wiem, że wcale nie próbowała uciec, bo nie spałam i wszystko obserwowałam. Ta dziewczyna to lunaticzka, zachowywała się jak zombi z filmu *Dzień żywych trupów* – nie wiedziała, co robi. Powiedziałam to wszystkim naszej opiekunce, ale kara i tak została dziewczynie wymierzona, a ja oberwałam następnego dnia w Sprawach Bieżących za wspieranie narkotykowego zachowania.

Nie śpię dobrze, ale na ogół miewam sny. Śniesz mi się ty, Josh, jesteś tutaj i to nie są miłe sny. A czasami śni mi się, że jesteśmy razem, na basenie, pływamy na dmuchanych materacach, opalamy się, powietrze jest ciężkie od zapachu olejku Coppertone, mamy lato i żadnych lekcji do odrabiania. Jednakże rano, jeszcze przed wschodem słońca, budzę się w napadzie paniki – gdzie jestem, gdzie ty

jesteś, co się dzieje. A potem po kilku tygodniach lub więcej zaczynam panikować z tego powodu, że nie mam już napadów paniki – że niestety to wszystko stało się dla mnie codziennością.

Od czasu do czasu jakiś nieprzewidziany epizod zakłóca tę rutynę. Doszłam do tego, że nawet tych przykrych wyglądam, bo przywracają poczucie upływu czasu, rzeczywistego, w odróżnieniu od naliczania co rano kolejnych dni, pozostających nic nieznaczącymi liczbami. Tracę orientację w datach, nawet dniach tygodnia, bo wszystkie są jednakowe, z wyjątkiem piątków ze Spotkaniami Otwartymi. Tylko te epizody utrwalają się w pamięci, takie jak szczególnie okrutne konfrontacje, które kończą się krwawymi restrykcjami. Albo dzień, gdy złapała mnie taka grypa, że zwałałam się z krzesła i musiałam trafić do izby chorych, to jest do kolejnego pomieszczenia wielkości pokoju przyjąć, ale z łózkami; mogłam tam leżeć cały dzień w spokoju i ciszy, z gorączką. Albo czyjaś próba ucieczki, jak tej dziewczyny, która wypila dwie butelki szamponu, bo wymyśliła sobie, że jak pogotowie odwiezie ją do szpitala, to przyjaciele ją uratują. Albo przyjęcie nowej osoby.

Nowicjusz pojawia się raz na tydzień, może raz na dwa. Dołącza Vanessa. Ma trzynaście lat i była uczennicą szkoły średniej w York County. Czy ktoś zna Vanesę? Dołącza Toby S. Ma siedemnaście lat i był uczniem Gunther High School. Czy ktoś zna Toby'ego? Dołącza Bobby G. Ma szesnaście lat i był uczniem Kelsey High School w Chiverton. Czy ktoś zna Bobby'ego? Oni przyglądają się grupie, a grupa przygląda się im – czują się niepewnie, wyglądają na przestraszonych, i o to właśnie chodzi.

Przerywnikami w rutynie są też chwile, kiedy mam mikrofon podczas Spotkań Otwartych. Króciutkie chwile i wyreżyserowane, ale dla mnie, nowicjusza, to jedyny dozwolony kontakt z rodziną. Cały czas myślę, że gdybym mogła porozmawiać z rodzicami, zrozumieliby, że to nie jest miejsce dla mnie, opamiętaliby się i pozwolili mi wrócić do domu.

Dwight i Hilary nigdy nie mają jednak nic dobrego do powiedzenia na mój temat. – Justine Z. nie współpracowała z grupą w tym tygodniu... Justine Z. nie zasłużyła na przywilej Rozmowy... Justine Z. nie zrobiła w tym tygodniu żadnych postępów. I z piątku na piątek widzę, jak twarze rodziców robią się coraz bardziej posępne i przygnębione.

Kiedy Ramona wręcza naszej mamie mikrofon, czasami mama mówi tylko: „Tęsknimy za tobą, kochanie. Wracaj szybko do domu”, ale raz i drugi lamentuje, że ty i ja to jej jedyne dzieci, więc nie może mnie stracić, i woła: „proszę, Justine,

proszę, Justine, proszę”. A czasami płacze tak histerycznie, że nie może mówić i oddaje mikrofon tacie, a on oświadcza: „Widzisz, co robisz swojej matce?”. Albo: „Weź się, na Boga, w garść!”, albo wrzeszczy na mnie: „Przestrzegaj tych cholernych zasad”. A wtedy Bo albo Lois, albo jakiś piątofazowicz wręcza mi mikrofon fazowiczów i jedyne, co mogę powiedzieć, to „Kocham was, mamó i tato”. Po jakimś czasie tata przestaje przychodzić na Spotkania Otwarte, a w każdym razie przychodzi mniej regularnie, a któregoś tygodnia nie ma żadnego z nich, może są na wakacjach albo co, tak czy inaczej mikrofon mnie omija.

Tego dnia jestem wściekła, Josh, jestem na nich tak bardzo wściekła. Dlaczego mnie tu wsadzili? Dlaczego ciebie tu wsadzili? Jak mogli? Zniszczyli nas, zniszczyli nasze życie. Wydaje mi się, że jeśli kiedykolwiek tu wrócą, uduszę ich albo napluję im w twarz, a może raczej w ogóle nie będę chciała ich oglądać, chyba już nigdy nie spojrzę im w oczy. I przypominam sobie, jak to nigdy nie mogłam złapać z tobą kontaktu wzrokowego podczas Spotkań Otwartych, gdy ja siedziałam tam, a ty tutaj, i zastanawiam się, czy czuleś do nich to samo. Może nawet do mnie też.

Rozdział 28

Indywidualne konfrontacje to również przerywniki codziennej rutyny. Wywołują mnie na konfrontacje, głównie Dwight, za różne rzeczy, i co najmniej raz dziennie. Za bieżące wykroczenia po południu, a na porannym treningu Kroków za uchybienia z przeszłości, których nawet nie pamiętam, i zawsze za brak szczerości i lekceważenie. A także za ciebie. Rano i po południu za ciebie. Choć powinnam być na to przygotowana, choć powinnam być przewidująca, najczęściej atak Dwighta mnie zaskakuje.

Któregoś dnia podczas sesji Spraw Bieżących Dwight razem z Ramoną przesiewają świstki z donosami. Modłę się, żeby mnie nie wywołał, i kiedy pada imię Francis, odczuwam wielką ulgę. Rozpieram się na krześle.

Francis jest grubawy, ma gęste kasztanowe włosy oraz dziesiątki pryszczy i piegów, które walczą o wolne miejsca na jego nosie i policzkach. Wykręca sobie palce, zanim padło choćby jedno słowo.

Dwight mówi Francisowi, że został oskarżony o gapienie się na innych chłopców pod prysznicem.

– Jaki masz w tym interes, Francis? – pyta Dwight.

– Mam na imię Frank.

– Ach tak? Frank? Zgrywasz twardziela, co?

– N... nie – mamrocze Francis, wykręcając palce i ani trochę nie przypominając twardziela.

– Dlaczego przyglądasz się innym facetom, kiedy są rozebrani, z gołymi dupami?

– Nie przyglądam się.

– Nie?

– Nn... nie.

– Doprawdy?

Ramona wręcza Dwightowi plik świstków z donosami.

– A my tu mamy chłopców, którzy twierdzą, że tak. Wielu. Możemy poczytać, co oni mają do powiedzenia w tej sprawie.

– Wołałbym nie.

Dwight zaciska powieki i wybiera jeden ze świstków, jakby losował zwycięzcę w loterii.

– Aha – przez chwilę czyta w milczeniu, poruszając ustami. – A niech to –

cmoka. – „Zrobiłbym wszystko, żebym nie musiał być w gościnie w tym samym domu co Francis. Nie czuję się bezpiecznie w kiblu, a szczególnie pod prysznicem. Wolę się nie schylać po mydło”.

Przekłada świstek na spód pliku i bierze następny.

– „Jeśli nawet nie gapi się na ciebie, wiadomo, o czym Francis myśli. Tylko udaje, że nie patrzy. Głowę daję, że zerka na moje odbicie w lustrze łazienkowym”.

I kolejny.

– „Gapił się na mnie, gdy się wycierał. Wycierał się tam, wiadomo gdzie, bardzo długo, jestem pewien, że mu stanął...” – Dwight czyta świstki ponownie, po cichu, dla siebie, jak gdyby jeszcze nie całkiem pojął, o czym one mówią. Potem klepie plik dowodów. – I co ty na to, *Frank*? Co masz do powiedzenia?

Francis nie ma nic do powiedzenia.

– Jesteś homo? Czy o to chodzi?

Francis nie odpowiada.

– Lubisz chłopców? Lecisz na nich? Jesteś gwałcicielem, Frank? Jesteś ciotą? Pedalem? Lodziarzem? – Dwight wskazuje na własne krocze. – Chcesz tego, Frank? Smakowałoby ci to, synu? Lubisz lizanie lodu? Co, Frank, *Frankie*?

– Nie.

– Nie?

– Nie, nie jestem gejem.

– Chciałbym, żeby tak było, naprawdę. Wiesz dlaczego? Niech ktoś mi powie.

Kilka osób podnosi ręce, a Roger T. wstaje i deklamuje: Homoseksualizm jest zły, Dwight.

Francis nie wygląda jak ty, Josh. Z tymi najeżonymi włosami i piegami ani trochę jak ty. A jednak to ciebie widzę, jak stoisz tam na jego miejscu, i nie mogę na ten spektakl patrzeć.

– Jest zły – powtarza Dwight. – Bardzo, bardzo zły. – Robi rundkę wokół chłopaka, a jego słowa ciężą w powietrzu. – Powiedz mi, Frankie, jak według ciebie czuli się twoi rodzice, gdy dowiedzieli się, że mają syna pedzia?

Francis potrząsa głową.

– Powiem ci, jak się czuli. Wiem, ponieważ mówili mi o tym podczas sesji dla rodziców. Byli zdruzgotani, absolutnie zdruzgotani. Nie wiedzieli, co zrobili źle. Co takiego zrobili, że zasłużyli sobie na syna pedzia. Tak się wstydzieli. Twój ojciec chciał cię wydziedziczyć, wyrzucić na bruk. Wiedziałaś o tym, Frankie.

Francis potrząsa głową. Ręce mu poczerwieniały od wykręcania palców.

– Ale to twojej mamy było mi żal. Bardzo jej współczułem. Czy kiedykolwiek

pomyślałeś, jak bardzo ranisz swoją mamę, kiedy biegasz i obmacujesz facetom jaja? Czy pomyślałeś o niej choć przez chwilę?

– Nigdy nie chciałem zranić mamy.

– Chciałbym w to uwierzyć. Ale przyznam ci się, że nie wierzę. Uważam, że nie jesteś z nami szczery. Tak właśnie myślę. Myślę, że robisz to z premedytacją. Myślę, że chciałeś zranić swoich rodziców, i to dotkliwie, chciałeś ich ukarać. Chciałeś się zbuntować w taki sposób, żeby naprawdę im dokopać. To najgorszy rodzaj buntu, podły, wredny, nikczemny. Nie mogę na ciebie patrzeć, takie czuję obrzydzenie. – Dwight, który wpatrywał się w twarz Franka, teraz odwraca się od niego i spogląda na resztę grupy. – Kto z was chce powiedzieć naszej małej pannie Francis, co o niej myśli?

Grupa zawzięcie się motywuje, ludzie wstają jeden po drugim, żeby powiedzieć Francisowi, jaką czują odrazę, jak są rozczarowani, jak się nim brzydzą i jak są przerażeni. Nazywają go homo, edzio-pedzio, panienka kakałko, lachociąg, panicipa, homoerota, lala, dziobak, cwel, kolarz i gorzej. Po jakimś czasie zaczyna im brakować wyzwisk, więc Dwight ich ucisza i każe usiąść.

– Czy ktoś jeszcze ma coś do powiedzenia? – pyta.

Ludzie rozglądają się zakłopotani; wszyscy powiedzieli co trzeba, a nawet więcej.

– Zupełnie nikt? Wydaje się, że jeszcze nie wyczerpaliśmy tematu. Juuu... Chwileczkę. Niech pomyślę, Juuu... tak, wiem. – A potem wypowiada moje imię. – Juuustine Zeeet.

Nie wiem, co robić.

– Justine Z.! – wrzeszczy jeszcze raz.

– Wstań! – syczy dziewczyna obok mnie.

Wstaję.

– Dziękujemy za dołączenie do nas, Justine. Tak sobie myślę, że masz wiele do powiedzenia w tej naszej dyskusji. Dużo doświadczeń z pierwszej ręki. Podziel się z nami. Co o tym sądzisz?

Wzruszam ramionami.

– Musisz mieć jakieś zdanie. Na pewno masz. Śmiało, powiedz temu tam Frankowi, co sądzisz o jego zachowaniu.

Francis wciąż stoi. Z całej grupy tylko ja i on stoimy, a Dwight byczy między nami jak bąk uwięziony w samochodzie, gotowy, by użądlić. Odrywam wzrok od podłogi, żeby spojrzeć na Francis. Wygląda na nie mniej przerażonego niż ja, tak samo przerażony musiałeś być i ty. To też wyciągnęli, Joshua. Tobie też

powiedzieli, że ta część ciebie jest chora. Uwierzyłeś im? Czy zostawili na tobie choćby cal nietknięty i niesplamiony?

– To nie jest złe, Frank – mówię mu, słysząc zarazem gwizdy niedowierzających własnym uszom ludzi.

– Coś ty powiedziała?! – grzmi Dwight.

– Powiedziałam, że to nie jest złe. Nie ma nic złego w tym, że ktoś jest gejem.

Oczy Francis'a zabłyśły i na wpół otworzył usta. Chyba chciał wymamrotać „dziękuję”, ale nie zrobił tego, i całe szczęście – odbiłoby się to czkawką podczas jutrzejszych Spraw Bieżących.

– Siadaj, Francis! – rozkazuje Dwight. Potem z wielką werwą przystępuje do ataku na mnie. – Czyżbyś nie zgadzała się z grupą, Justine? Czy nie zgadasz się z tym wszystkim, co ja... co my... właśnie powiedzieliśmy?

– Nie zgadzam się.

Zaczyna chodzić wte i wewte, wte i wewte, wte i wewte.

– Mam zamiar uznać twoje prawo do błędzenia. Załóżmy, że jesteś tu jeszcze dość świeża, że twoja głowa jest jeszcze pełna narkotykowych bzdur z zewnątrz, że nie myślisz jeszcze poprawnie. I może jest ci trochę żal naszej małej panny Francis.

– Wte i wewte. Przyspiesza kroku, w miarę jak się rozkręca. – Coś ci powiem. Twoje współczucie jest nie na miejscu, naprawdę nie na miejscu. Myślisz, że robiąc mu z głowy śmietnik, pomożesz Francisowi, że jesteś taka szlachetna? Nie można się bardziej mylić, głupia dziewczyno. Ludzie, którzy pomagają Francisowi, to ci wszyscy pozostali, siedzący wokół ciebie, ci wszyscy fazowicze, którzy mają odwagę powiedzieć mu prawdę i którzy wiedzą, że jedyny sposób na to, by pomóc Francisowi, to skłonić go do szczerości, pomóc mu w skonfrontowaniu się z własnymi kłamstwami i złymi uczynkami. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

Podchodzi bliżej. Fryzura w stylu *Teenbeat* nawet nie drgnie, gdy Dwight macha głową. Widzę, że ma na włosach zaschnięty żel, na pewno supermocny – połyskuje w jasnym świetle.

– Wstydziałaś się czy nie swojego brata, który był ciotą tak jak Francis?

Kręcę głową na nie.

– Nie słyszałem cię. Co powiedziałaś?

– Nie, nie wstydziałam się.

– Proszę! – krzyczy, rozkładając ręce. – To wiele o tobie mówi, jak i o twoim żalonym usprawiedliwianiu bliźniaka.

Niektórzy z fazowiczów wiercą się na swoich siedzeniach, jakby było im niewygodnie. Ktoś puszcza bąka, a kilkoro innych nerwowo chichocze. Ramona

trzyma raketkę nieruchomo.

– Zostaw mojego brata w spokoju – mówię. Wydaje mi się, że właśnie to powiedziałam, ale chyba nie tak głośno, jak bym chciała. Mam pewne trudności z wydobywaniem z siebie głosu.

Dwight kontynuuje, jakbym w ogóle się nie odzywała.

– Homoseksualizm jest *zły*. Tak zostało powiedziane w Biblii, jest *zły*. Czytacie Biblię? Biblia głosi, że homoseksualizm to dzieło szatana, brudne, niemoralne i nieboskie, spowodował zniszczenie Sodomy i Gomory. – Z każdym zdaniem Dwight mówi coraz donośniej głosem i coraz bardziej brzmi jak jeden z tych straszących ogniem piekielnym kaznodziejów, których dziadek Shirland oglądał czasem w niedzielne popołudnia, żeby zabić nudę.

Czy to nie śmieszne? – zadumałby się dziadek i pomlaskałby chwilę.

– Homoseksualizm nie występuje w naturze, bo nie jest naturalny. Mężczyźni, którzy praktykują homoseksualizm, czynią tak z *wyboru*, *wybierają* anormalne zachowania, ale być może nie wiedzą, co czynią. Być może są obciążeni zaburzeniami psychicznymi... jakkolwiek to ująć, są *chorzy* i roznoszą swoją chorobę po całym świecie. – Dwight niemal mi wsadza palec do oczu, skórki wokół paznokci wymagają wycięcia; obgryza paznokcie. – Justine, czy słyszałaś o AIDS? Czy wiesz, co zespół nabytego niedoboru odporności robi z gejami? Zabija ich, to choroba chorych, zabijająca ich, jednego po drugim. – Cofa palec i śmieje się grubiańsko. – Do diabła, twój ciotowaty braciszek miał szczęście.

W pokoju jest tak cicho, że słyhać by było spadające piórko, a ja staram się zapanować nad swoim oddechem. Gdybym była dobrą bliźniaczką, tobym rąbnęła tego dowcipnisia, rozłożyłabym go na łopatki, położyłabym jak Wayne'a Westbrooka w drugiej klasie, podciąłabym mu nogi i rzuciła twarzą na podłogę, wybiłabym mu nie tylko zęby, rozwalilibym mu łeb, zamknęłabym mu gębę na dobre. Ale jestem zmęczona, Joshua, i taka przestraszona.

Dwight otwiera usta, żeby kontynuować, ale przerywa mu odgłos kolejnego bąka. Za chwilę Dwight znowu chce mówić i znowu ktoś puszcza bąka – jest dźwięczny i soczysty, głośniejszy tym razem, długi i przeciągły dochodzi z sekcji chłopców.

Dwight odwraca się w kierunku winowajcy.

– Kto to był?

Odpowiada mu kolejna hałaśliwa emisja gazów, która częściowo unosi owego chłopaka z siedzenia, metalowe nogi krzesła zaszurały po deskach podłogowych. To jeden z nowo przybyłych, Toby S., pamiętam, jak przyjechał jakiś tydzień temu.

Już miał konfrontację podczas którejś sesji, a chodziło o jakieś incydenty mające coś wspólnego z drużyną futbolową. Ma siedemnaście lat i jest obrońcą albo pomocnikiem, albo rozgrywającym w drużynie amerykańskiego futbolu w swojej szkole, w Gunther High. Ta drużyna w zeszłym roku weszła do ligi stanowej.

– Uups, przepraszam. – Toby szczyrzy zęby z błyskiem Dennisa Rozrabiaki w oku. – Nie mogłem się powstrzymać.

– Drogi panie, radziłbym...

Toby puszcza kolejnego bąka, ignorując uwagę Dwighta.

– Naprawdę przepraszam.

„Kto kroił ser?” – ty byś zapytał. „Kto go poczuł, ten wytoczył”, odpowiedziałabym. Ale tym razem to nie pasuje. Tym razem to Toby S. Każdy widzi, że to Toby S.

Za każdym razem, gdy Dwight zaczyna mówić, Toby puszcza bąki, aż wszyscy chichoczą i nie mogą się opanować. Wreszcie.

Toby ma odmaszerować do łazienki, aby sobie ulżyć stosownie do potrzeby – tak powiedział Dwight.

Koniec rozrywki. Ramona sygnalizuje Dwightowi, żeby kontynuował, wręczając mu kolejne świstki z raportami.

Dwight. Jest kolejnym przerywnikiem rutyny. Też naznacza moje dni w ośrodku.

Nie zawsze czyjeś bąki ratują mnie z opresji. I nigdy od kar. Te są zasądzone bezpośrednio po rytualnym upokorzeniu mnie wobec grupy. Karą może być cokolwiek. Czasami muszę napisać więcej w Obrachunku Moralnym albo obejść się bez lunchu, albo przez tydzień bez prysznic (a powód – jestem brudna), albo nie wolno mi spać, albo muszę stać cały dzień, albo tysiąc razy przepisać Siedem Kroków, albo zostaję spoliczkowana.

Dzień po incydencie z Francisem, gdy reszta grupy ćwiczy Kroki, ja odbywam karę drabiny. Mam chodzić w górę i w dół po rozstawionej drabinie, co ma symbolizować, że w programie zmierzam donikąd. Ćwiczę na tej drabinie, góra i dół, góra i dół, góra i dół, przynajmniej od godziny i zaczynam mieć wrażenie, że mam nogi jak kłody – są tak ciężkie, że wchodząc na pierwszy stopień, podciągam jedną i drugą rękami.

– I Drugi! – wrzeszczy Ramona gdzieś w tle.

– „Uznajemy istnienie Najwyższego i postanawiamy powierzyć Mu naszą wolę i nasze życie” – wrzeszczy grupa w odpowiedzi.

Jestem na drabinie w samym rogu hali spotkań grupowych, częściowo zasłonięta przez poskładane stoły, używane w czasie lunchu, i Dwight przychodzi sprawdzić, jak sobie radzę. Uśmiecha się, gdy stawiam stopę na drugim stopniu, trzecim stopniu, drugą na drugim stopniu, wykrzywiona od wysiłku. Plecy mnie bołą, twarz mam mokrą od potu i koszulkę przyklejoną do ciała. Nie dostałam dziś rano stanika, więc piersi mi się bujają, a brodawki sterczą.

– Masz mnóstwo energii – zauważa Dwight.

– I Czwarty!

– „Wyznajemy Najwyższemu, samym sobie i sobie nawzajem dokładną naturę naszych złych uczynków”.

Pochyla się tuż nade mną i wącha mnie. Jak pachnę? Ty pachniesz jak ty, Josh, pachniesz jak ty.

– Powiedz mi coś, Justine – mówi Dwight.

– I Piąty!

– „Utrzymujemy się w gotowości do tego, by Najwyższy usunął wszystkie braki naszego charakteru i pokornie Go o to prosimy!”.

Patrzy mi natarczywie w oczy i jest poważny.

– Czy jesteś w łóżku tak dobra jak twój brat?

Rozdział 29

Lato w jedenastym roku naszego życia jest bogate w wydarzenia.

Wiosną tego roku przeprowadziliśmy się do nowego domu. Praktyka taty coraz bardziej się rozrasta. Zatrudnił dwóch asystentów i rejestratorkę Zoe Eichelberger, która wedle słów mamy jest starą panną, bo jest naprawdę stara, około trzydziestki, jak nam się wydaje, i mieszka jeszcze z rodzicami. Tata odnosi takie sukcesy, że dostał nagrodę od lokalnego Lion's Club, a może od innego klubu, jako jeden z najbardziej przedsiębiorczych biznesmenów w Carrefort w Pensylwanii, i powiesił ją obok innych dyplomów na ścianie w recepcji, za biurkiem Zoe Eichelberger. Tata chwali się, że rośnie nasz status społeczny.

Nowy dom jest w eleganckiej, nowo powstałej dzielnicy, a moja najlepsza przyjaciółka Cindy Gregory mieszka trzy przecznice dalej, choć jej dom nie jest jednym z tych nowych. Za to nasz jest taki nowiutki, że aż błyszczący. Ma piętro, garaż na dwa samochody, cztery sypialnie, gabinet, oddzielny pokój telewizyjny, pokój dzienny i jadalnię. Ma tyle pokoi, że po raz pierwszy mamy oddzielne sypialnie.

Mam w pokoju nowe meble. Dwie komody na ubrania, jedna z dużym lustrem, biurko i duże łóżko z baldachimem. Wszystko dobrane do kompletu. Meble są białe, deseń z różowych i żółtych tulipanów namalowany jest na szufladach komód i wezłowie łóżka. Mówisz, że mój pokój wygląda bardzo dziewczęco i to jest *cool*.

Pojawia się jeden problem związany z oddzielnymi pokojami – są za bardzo od siebie oddalone. Twój jest na dole, a mój na górze. Ale wiele razy, zwłaszcza w weekendy, ty zakradasz się na noc do mnie na górę albo ja zakradam się na dół do ciebie. Wolimy, gdy ja schodzę na dół, bo masz wysuwane łóżko z drugim pościeleniem, tak że możemy je rozkładać i jak niegdyś wymieniać się miejscami i nie spać, lecz gadać długo, aż minie północ i oczy nas pieką od niespania.

Ale najlepsze, najlepsze z najlepszych w naszym nowym domu jest to, że mamy przy nim basen. Prawdziwy basen kąpielowy, nie taki ustawiony na ziemi, co wygląda jak misa, ale betonowy, wpuszczony w grunt. Jeden koniec zaokrągliła się w kształt fasoli, na drugim jest trampolina. Tata kupił komplet mebli basenowych z parasolami i leżakami, które mają regulowane oparcia, tak że można siedzieć w różnych pozycjach i poleżeć na poduszkach, jak się chce. Jedyna rzecz, której nie

ma nowy basen, to zjeżdżalnia, ale mama zaproponowała nam nadmuchiwaną ślizgawkę wodną, która jest chyba nawet lepsza. Rozłożona na ziemi tworzy pas startowy, kończący się w basenie, a gdy mama poleje ją wodą z węża, rozpędzamy się i wskakujemy na nią, ślizgając się przez całą jej długość, zanim wpadniemy do wody. Jodłujemy przy tym jak dzieci von Trappa w filmie *Dźwięki muzyki*. Jest wspaniale.

Kiedy kończy się szkoła, okazuje się, że nowy dom z nowym basenem to jedno z najcudowniejszych miejsc na letnie wakacje. Jesteśmy jedynymi dziećmi w klasie, które mają własny basen, więc stajemy się niezwykle popularni. Codziennie przewalają się u nas hordy dzieci. Cindy Gregory i Lloyd Taggart są tu zawsze, ale inni też się pojawiają, czy mają bliżej, czy dalej, schodzą się dzieciaki z całego miasta.

Jeździmy na ślizgawce, ochlapujemy się i przytapiamy nawzajem, nadmuchujemy materace i piłki plażowe, gramy w piłkę wodną i siatkówkę, w Marco Polo, naszą ulubioną wodną ciuciubabkę, i w co się tylko da. Trampolinę też uwielbiamy. Większość dzieciaków nie ma zielonego pojęcia o skokach i nurkowaniu, po prostu chyboczą się na trampolinie i wreszcie z niej spadają, czasem specjalnie na brzuch, bo najważniejsze to zrobić jak największy plusk. Ty jednak ćwiczysz na niej wieczorami, gdy już wszyscy chłopcy i dziewczynki idą do domu.

Uczysz się prawidłowo skakać. Ćwiczysz wysoki wyskok i potem zanurkowanie po łuku prawie bez plusku. A potem ćwiczysz skakanie tyłem i te wszystkie zwariowane przewroty i obroty, również skoki ze stania na rękach. Uczysz się nawet tego żargonu. Różne śruby, salta i delfiny. Prosisz mnie, aby sędziować twoje pokazy. Po zanurkowaniu i wypłynięciu pytasz mnie na przykład: „Jak wyszło odbicie?”. Albo: „Widziałaś, jakie czyste wejście?”. Kiedy mówisz w taki zwariowany sposób przy innych dzieciach, wiadomo, że się popisujesz, ale nikt się nie czepia, bo pozwalamy im korzystać z naszego basenu, a poza tym naprawdę warto popatrzeć, kiedy tak pięknie skaczesz. Sama bym tak chciała i jestem z ciebie naprawdę dumna.

W czerwcu na nasze najwspanialsze lato pada cień. Mama odbiera telefon z Kansas i zaczyna ryczeć. Tata bierze nas na bok i wyjaśnia, że odszedł dziadek Shirland.

– To znaczy, że nie żyje – dodajesz, i tata mówi, że właśnie to miał na myśli.

Czujemy smutek, ale mama jest *naprawdę* smutna. Próbujemy się do niej tulić, żeby ją pocieszyć, ale ona nie chce przytulania. Kiedy jadą z tatą na pogrzeb, nie

zabierają nas ze sobą. Zostawiają nas w nowym domu i tata umawia się ze swoją rejestratorką Zoe Eichelberger – to znaczy z Zoe Micklebaum, ale wtedy się tak nie nazywała, bo jeszcze nie spotkała swojego męża Feliksa – żeby zamieszkała w naszym domu i opiekowała się nami.

Uważamy, że Zoe Eichelberger jest stuknięta i nie lubimy jej towarzystwa. Ciągłe chichocze, zachowuje się, jakby nie była dorosła, że niby też jest na luzie jak my.

– Wyobraźcie sobie – mówi nam – gdybym była waszą starszą siostrą nazywałabym się Zoe Ziegler!

Nie lubimy Zoe Eichelberger nie tylko dlatego, że wygaduje głupie rzeczy, ona jest jakaś odpychająca i kilka razy znaleźliśmy ją w pokoju mamy i taty, jak grzebała w ich rzeczach.

Mama i tata przylecieli do domu po tygodniu chyba i przywieźli ze sobą babcię Shirland. Mieszkała przez miesiąc w jednym z pokoi gościnnych. Wydawała się też bardzo smutna jak mama, ale pozwalała się do siebie przytulać. W ciągu dnia lubiła siedzieć na słońcu na jednym z nowych leżaków, podczas gdy my pływaliliśmy i nurkowaliśmy, i bawiliśmy się w basenie. Tata pokrzykiwał nieraz, żebyśmy się uspokoili i nie przeszkadzali babci, ale babcia Shirland go uciszała i mówiła, że nie, nie krzycz, że lubi patrzeć, jak się bawimy.

Rozdział 30

Zawsze uważałeś, że to ja jestem ta silna. Mawialiśmy dla kawału, że tylko wtedy wysuwasz się do przodu, kiedy dostaniesz ode mnie kopniaka. Mówiłeś, że kopniaki były od zawsze, ale wiedziałeś swoje i wypowiadałeś to z ciepłą nutą, z taką samą nazwałeś mnie niedorozwojkiem, kiedy nie umiałam odczytać czasu na moim swatchu. Wiedziałeś, że zawsze byłam przy tobie, zawsze stawałam w twojej obronie, chroniłam cię. Dlatego tak mówiłeś. Jesteś silna, Justine, mówiłeś, kiedy potrzebowałam wsparcia i otuchy, na przykład przed egzaminem albo castingiem do szkolnych przedstawień, albo przed ważnym meczem koszykówki, a może i wtedy, gdy chciałam zaprosić Daviego Kirchnera na doroczny bal szkolny w Dzień Sadie Hawkins, kiedy to dziewczyny zapraszają chłopaków. Jesteś nie do pobicia, mówiłeś.

Ale nie czuję się już taka silna, Joshua, nie tutaj, nie jestem już nie do pobicia.

Nie wiem dokładnie, jak ani kiedy mnie to naszło, ale jak się zaczęło, nie mogę przestać. Jestem w ośrodku od siedemdziesięciu siedmiu dni i leżę na kolejnym materacu, na kolejnej podłodze, w kolejnym domu. Zaczynam płakać i nie mogę przestać.

Następnego dnia w ośrodku Dwight każe mi wstać i pyta. dlaczego płaczę. Wodzę oczami po sekcji chłopców. Rzędy, rzędy chłopców. Przyglądam się białym, gładko ogolonym twarzom. Badam każdą po kolei, kamienną i beznamiętną. Ciebie tam nie ma. Twojej twarzy nie ma w tym tłumie.

Mówię Dwightowi, że nie wiem, dlaczego płaczę.

Tego wieczoru dostaję przydział do Gwen i w dalszym ciągu płaczę. Ona wrzeszczy, żebym przestała. Nazywa mnie beczącą lalą i niedorozwiniętą, ale nie ma na myśli naszej płaczącej lalki Christy ani w ogóle niczego miłego nie ma na myśli. Nie mogę jeść przygotowanej przez jej mamę mięsno-chlebowej papy, udającej klopa na bułce, bo nie przestaję płakać ani na chwilę i nie ma mowy o zuciu i przelykaniu. W nocy też zanoszę się płaczem i Gwen nie może spać, więc wskakuje na mój materac i tłucze mnie pięściami, boksuje po uszach i każe mi się zamknąć, zamknąć, zamknąć do diabła.

– Nienawidzę pieprzonych beks! – wrzeszczy.

Przez ten płacz i niejedzenie czuję się słaba i boli mnie głowa. Z nosa mi cieknie, a oni nie dają mi żadnych chusteczek, żebym mogła go wycierać. I tak

bardzo tarłam oczy, że chyba nie mam już rzęs, a w podrażnionych kącikach osadza się od łez sól i czuję pieczenie. Cała twarz mnie piecze i pali, jest napuchnięta od płaczu.

Trzeciego dnia Hilary prowadzi z Dwightem popołudniową sesję, ja z moim płaczem jestem głównym punktem programu. Hilary uznaje, że mój płacz to dobry znak.

– Cieszę się, że w końcu zaczynasz podlegać emocjom – mówi, przebierając palcami w pęku kluczy na szyi. – Myślę, że to oznaka prawdziwego postępu.

– Prawdziwego postępu – powtarza Dwight jak echo, ale nie wydaje się przekonany.

– Uświadomienie sobie własnego uzależnienia może nami emocjonalnie wstrząsnąć, Justine, ale wszyscy musimy tego doświadczyć, żeby przejść na drugą stronę, ku wyzdrowieniu.

Szlocham.

– Myślę, że przyczyną twojego płaczu jest żaloba po dawnym narkotykowym życiu. Musisz mu teraz powiedzieć do widzenia, odrzucić je, i stąd twój smutek. – Opuszcza brodę i próbuje złapać mnie na swoje współczujące spojrzenie. – I miejmy nadzieję, że zaczynasz też odczuwać żal z powodu krzywdy i bólu, który sprawiłaś innym, twoim rodzicom, ale i samej sobie. Co?

– Nie wiem – płaczę.

– Jesteś pewna? Myślę, że w głębi duszy już wiesz. Wierzę, że zaczynasz stawiać czoło twardej rzeczywistości, wierzę, że zaczynasz zdawać sobie sprawę ze swojej bezsilności. Nie jest miło czuć się bezsilną, prawda?

– Nie.

– Ale jeśli przyznasz, że jesteś bezsilna i zrozumiesz, że to jest OK, jeśli zrozumiesz, że znalazłaś się w sytuacji, która wymknęła się spod twojej kontroli i sama sobie już z nią nie poradzisz, będzie to twój Pierwszy Krok. Możesz poddać się Najwyższemu i przyłączyć się do nas wszystkich w podróży do wyzdrowienia, do lepszego życia. *Let go and let God*, Justine. Tak będzie dobrze, prawda?

– Nie wiem.

– Nie wiesz? Przemyślmy to dokładnie. Czy czujesz się bezsilna?

– Tak.

– Czy czujesz, że straciłaś kontrolę nad swoim życiem?

– Tak.

– A więc przyznajesz, że jesteś uzależniona.

– Nie.

– Nie? – Hilary wysuwa dolną wargę i głęboko wzdycha. – Ale czy nie rozumiesz, że bezsilność i utrata kontroli nad życiem są typowymi oznakami uzależnienia? Nie rozumiesz?

– To prowadzi donikąd – mówi Dwight.

– Dobrze – Hilary zaczyna raz jeszcze. – Spróbujmy inaczej, Justine. Powiedz nam może własnymi słowami, co się z tobą dzieje?

Szlocham.

– Myślę, że byłoby dobrze, dobrze dla ciebie i dla grupy, gdybyś podzieliła się z nami tym, czego w tej chwili doświadczasz. Mów, proszę, językiem serca, a nie umysłu.

Przeczesałam wzrokiem rzędy chłopców. Są dzisiaj ustawione w wachlarz. Po trzy rzędy przedzielone przejściami. Płaczę i potrząsam głową.

Włącza się Dwight.

– Powiedz nam, dlaczego płaczesz – domaga się. – Powiedz nam teraz. – Zniecierpliwiony podrywa się z krzesła, zaczyna chodzić, uderzając dłonią o udo. – Może ja wysnuję parę domysłów... dobrze? Czy tego sobie życzysz, Justine? Chcesz, żebym zgadywał, dlaczego płaczesz?

Dzisiaj Dwight ma na sobie białą oksfordzką koszulę zapinaną na guziki i džinsy Calvina Kleina, opięte jak kuchenna rękawica. Choć łyzy zamazują widok, rzuca mi się w oczy, że biel koszuli podkreśla jego opaleniznę z solarium. Fryzurę ma oczywiście idealną. Myślę, że mógłby być modelem. Cindy zgodziłaby się ze mną. Zastanawiam się, czy Dwight uronił w życiu choć jedną łzę.

– Niech pomyślę, czy płaczesz, bo tęsknisz za mamusią i tatusiem? Nie? A może dlatego, że brakuje ci twoich narkotykowych znajomek? A może brakuje ci tych wszystkich szkolnych imprezek i potańcówek w sali gimnastycznej. Założę się, że byłaś popularna w szkole. Taka lalczka jak ty musiała cieszyć się powodzeniem, zwłaszcza wśród chłopców. Liczyłaś na to, że zostaniesz obwołana przez tych swoich adoratorów królową dorocznego balu? Czy o to chodziło? A teraz płaczesz, bo nie będziesz nosić korony? Dlatego?

Szlocham i potrząsam głową.

– Nie? – Dwight podpira brodę kciukiem i udaje, że zastanawia się nad moją nędzną kondycją. – Więc to nie ma nic wspólnego z ukoronowaniem tej żalostnej popularności. Hm. Niech pomyślę. Coś mi przyszło do głowy. Czy może chodzi o twojego *brata*? Czy chodzi o tego małego dupka *Joshue*?

Uciskam nasadę nosa i rozkazuję sobie natychmiast wyłączyć łyzy. Próbuje oddychać głęboko, opanować się.

– Ciepło, prawda. Wydaje mi się, że trafiłem w sedno. Hej, dobrze myślę, że te tu napady spazmów to z powodu brata.

Gdybym tylko mogła przestać płakać, nie miałby powodu kontynuować tego wątku przesłuchania. Ale moje płuca nie chcą pracować inaczej jak tylko na krótkich, łapczywych wdechach, a z oczu nie przestaje się lać.

Dwight zatrzymuje się przede mną, podciąga mi palcem podbródek i przyciąga moją twarz do swojej.

– A teraz powiedz nam, dlaczego wypłakujesz swoją cenną solankę z powodu twojego nic niewartego bliźniaka?

– Zostaw ją w spokoju! – krzyczy ktoś z drugiej części sali. Ocieram oczy i kieruję wzrok na rząd krzesel, z którego dobiegł ten głos. To Toby S., gwiazda futbolu szkoły Gunther High. Ten od puszczania bąków.

– Zostaw ją w spokoju – powtarza Toby S. – Nie widzisz, że jest całkiem zgnębiona, wystarczy.

– Toby, musisz się najpierw motywować, żeby być gotowy do wypowiedzi przed grupą – zwraca mu uwagę Hilary. Reszta grupy motywuje się, żeby wypowiedzieć się na temat nietaktu Toby’ego S.

– Przecież ona już płacze, nie prowokujcie jej dłużej.

Dwóch strażników z piątej fazy robi krok w kierunku Toby’ego S.

– Dziękujemy ci Toby, twój wkład został odnotowany, ale nie zapracowałeś na przywilej mówienia do grupy ani nie byłeś o to proszony.

– Ale...

– Siadaj! – warczy Dwight. – Zajmiemy się tobą później. Toby siada na swoim miejscu, a grupa na nowo wgapia się we mnie. Przestają się motywować i skupiają uwagę na przedstawieniu. Ja ciągle płaczę.

– Na czym to stanęliśmy? – zaczyna Dwight. – O czym mówiliśmy, zanim nam tak niegrzecznie przerwano? A tak, mówiliśmy o tym twoim biadolącym braciszku. Czy płaczesz z powodu Josha, Justine? Rozczulasz się? Opłakujesz brata bliźniaka? Czy płaczesz dlatego, że był narkomanem? A może płaczesz dlatego, że był panienką? O to chodzi?

Zasłaniam twarz rękami jak tarczą.

Panienki, tak mówiłaś czasem o świetlikach, które uwielbiałaś ściagać, łapać i robić z nich latarenki. Nazywałaś je też wrózkami, gdy obserwowałaś je w czerwcowe noce. Wrózkami, bo przypominały ci Dzwoneczka.

– Robi się bardzo ciepło, prawda? – naciska Dwight. – Już nam powiedziałaś, że ani trochę nie wstydziałaś się brata pedzia, a więc musi chodzić o coś więcej.

Pomyślmy. Czy płaczesz dlatego, że Josh był chłopcem do wynajęcia? Wiedziałaś o tym?

Pod zasłoną łez moje oczy rozszerzają się z niedowierzaniem. Nie słuchaj, Josh, nie słuchaj.

– O tak, to prawda. A jak według ciebie nastoletni chłopiec może się utrzymać, gdy ucieka na Florydę, gdy mieszka na ulicach Miami? Dealerzy i Kubańczycy płacili mu za seks. Płacili mu za ciągutki, dwadzieścia dolarów za ciągnięcie kubańskiego cygara. I trzydzieści dolarów za dawanie dupy do rżnięcia. Trzydzieści nędznych dolarów. Czy dlatego płaczesz? Dlatego że święta dupa twojego brata bliźniaka jest warta tylko trzydzieści pieprzonych dolarów?

Nie słuchaj, proszę, nie słuchaj tego więcej. Zamykam oczy i widzę cię w Miami, gdzie mieszkasz ze swoim sympatycznym przyjacielem Jonathanem w apartamencie w stylu art deco, o pastelowych barwach, gdzie jest ciepło, bezpiecznie i cudownie, gdzie słońce świeci przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, gdzie nikomu nie przeszkadza, że ubierasz się jak Audrey Hepburn. I gdzie są świetliki do łapania.

– A wiesz, co ja myślę? Myślę, że czasami nawet nie brał pieniędzy, bo, jak sądzę, tak bardzo to lubił, że czasami płacił tym kubańskim ciotom z własnej kieszeni.

– Nie – błagam. – Nie, nie, nie. Już dość.

– *Dlaczego płaczesz?!* – krzyczy Dwight.

– Nie wiem.

– Powiedz nam, do cholery!

– Nie wiem – jęczę. – Proszę, nie wiem.

Dwight rzuca się na mnie. Wymierza mi policzek, zamasyście, potem tak samo zamasyście drugi, a potem łapie mnie za ramiona i zaczyna mną potrząsać.

– Dwight. – Hilary jest wstrząśnięta, ale on nie zwraca na nią uwagi.

– Powiedz nam, jak ci każe, ty pieprzona dziwko, powiedz mi, do jasnej cholery, natychmiast, bo nie mogę już słuchać tego twojego żalosego, pieprzonego płaczu. – Potrząsa mną i potrząsa tak mocno, jak ty potrząsałeś automatem, gdy żeton wkręcił ci się w podajnik, a nie miałaś kolejnych pięćdziesięciu centów. Trzęsie mną tak mocno, że chyba za chwilę trzaśnie mi kark. – Powiedz nam ty...

– Zostaw ją, ty dupku!

To Toby S., który rusza przez salę i rzuca się na Dwighta, zanim strażnicy zdążyli zareagować. Dwight pada na podłogę, ja też tracę równowagę i się

przewracam, leżę w pewnej odległości od tych dwóch, którzy dyszą i szarpią się ze sobą jak bestie. Toby'emu S. udaje się zadać parę celnych ciosów, zanim czterech czy pięciu weteranów ląduje na nim i przytrzymuje go z całych sił. Hilary gwizdże swoim gwizdkiem i gwizdże, i gwizdże, dopóki bijatyka nie ustaje. Kiedy stawiają Toby'ego na nogi, widzę, że krwawi, jego twarz jest czerwoną maską, przypomina mi się, jak to tata miał w zwyczaju rozgniatać pomidory przed zrobieniem z nich soku.

Dwight zrywa się na nogi i ma zamiar rzucić się na Toby'ego S. Jeden z piętofazowiczów interweniuje, próbując go powstrzymać, na co Dwight posyła mu pełne wściekłości spojrzenie, tak że chłopak nie ma wątpliwości, że gorzko pożałuje swojego odruchu.

Hilary znowu gwizdże i tym razem Dwight się trochę uspokaja i wycofuje. Prostuje ramiona, wciska koszulę w spodnie i wygładza fryzurę *Teenbeat*.

– Leroy, weź Toby'ego S. do izolatki, żeby ochłonął! – rozkazuje Hilary i Toby S. zostaje wyprowadzony. – Justine, pozbieraj się.

Leżę na podłodze i płaczę. Z trudem gramolę się na nogi.

– To – Dwight wraca do tematu – na czym skończyliśmy?

– Myślę, że wystarczy, Dwight.

– Nie, Hilary, kontynuujmy, widać, że jesteśmy już blisko. – Znowu jest przede mną. – Powiedz nam. Przejdźmy do sedna. Powód twojego płaczu jest całkiem prosty.

– Dwight, myślę, że już czas na...

– Powód twojego płaczu jest taki, że twój pedziowaty brat, którego tak bardzo, bardzo kochasz, że ten twój brat...

– Doprawdy, Dwight...

– Ten twój brat utrzymanek...

Gwizdek rozlega się tak głośno, że mógłby roztrzaskać kryształ. Kilka osób z grupy aż się wzdrygnęło i zatyka uszy.

– Dwight! – wrzeszczy Hilary. – To *zupełnie* wystarczy. Dwight posyła mi wściekle spojrzenie i odwraca się do niej.

– Ale byliśmy o krok od złamania jej.

– To nie jest konieczne.

– Ale jesteśmy tak blisko.

– To nie jest konieczne, powiedziałam. Wystarczy na dzisiaj.

– Ale...

– Już powiedziałam, teraz przechodzimy do następnego punktu. – Wyczuwa się

w jej głosie, że zamyka sprawę, zaciska usta w jedną prostą linię, a za chwilę zwraca się do mnie: – Justine, możesz usiąść.

Rozdział 31

W wieku dwunastu lat jako pierwsi w klasie zaczynamy nosić klamry na zębach. I nic w tym dziwnego. Nasz ojciec jest jedynym ortodontą w mieście, więc mogliśmy się tego spodziewać, co nie znaczy, że nam się to podoba.

Tata zrobił nam wykład o tym, jak ważne są proste zęby. Uważa, że wszyscy porządni obywatele powinni mieć idealne, śnieżnobiałe, proste zęby. Krzywe i żółtawe są według niego oznaką ignorancji, biedy albo lenistwa. Krzywe zęby mają ludzie mieszkający w przyczepach, którzy nie zwracają sobie głowy używaniem nitki dentystycznej i płaceniem podatków.

Zoe Micklebaum wita nas w umówiony dzień w drzwiach przychodni taty. Zmieniła nazwisko z Eichelberger na Micklebaum, bo teraz jest mężatką. Tata zabrał mamę na ślub i wesele, mają zdjęcia z Feliksem i Zoe w ślubnych strojach. Tata instruuje nas, że odtąd mamy mówić „pani Micklebaum” zamiast Zoe, bo tylko tak jest grzecznie, ale my i tak po staremu mówimy do niej Zoe.

Zoe stara się uspokoić nas przed zabiegiem. Mówi, żeby się nie bać, bo nasz tata jest najlepszym ortodontą na świecie i że zakładanie klamer nie będzie ani trochę bolało. Ale my nie jesteśmy tacy głupi, żeby jej wierzyć. Obiecuje, że potem będziemy mogli wybrać sobie coś ze Skrzyni Skarbów, czyli tekturowego pudła, które trzyma pod biurkiem i wypełnia tanimi plastikowymi zabawkami, jak układanki, imitacje kostki Rubika, ciekące pistolety na wodę i breloczki kościotrupki, które zostały po święcie Halloween. Mówisz do Zoe Micklebaum, że już z takich rzeczy jak Skrzynia Skarbów dawno wyrosliśmy, a więc dziękujemy bardzo, ale nie.

Ty wchodzisz pierwszy – a może ja? W każdym razie jedno z nas wchodzi, podczas gdy drugie czeka w recepcji, przeglądając magazyn „Glamour and People” sprzed dwóch lat lub przyglądając się zakurzonym fotografiom – Zoe Micklebaum wystawia tu tego głupka Feliksa w T-shircie z oberwanymi rękawami, jaki nosił Stalone jako Rocky Balboa. I to z nas, które jest w recepcji, musi słuchać tego drugiego, jak dławi się i jęczy za drzwiami gabinetu, który jest tylko o krok, więc wszystkie odgłosy docierają.

Potem następuje zmiana i to z recepcji łąduje na fotelu dentystycznym, gdzie zwija się z bólu i wydaje z siebie różne dźwięki, i na próżno patrzy błagalnie w wyglądające znad maski oczy taty, żeby przestał, przestał, przestał. Cementowanie aparatu nie jest jednak najgorsze, najgorsze przychodzi dopiero później. Wtedy gdy

tata przewleka druty przez metalowe klamry, a w tym czasie usta wysychają i pękają, druty kaleczą wewnętrzną stronę policzków, ssawka zaś wyciąga ślinę. A najgorsze ze wszystkiego przychodzi jeszcze później. To zaciskanie. Tata zaciska i zaciska, i zaciska drut coraz mocniej, aż wydaje się, że zęby skruszą się pod tym naciskiem.

A ty przysięgasz potem, że jemu sprawiało to przyjemność. Nie widziałeś jego twarzy pod maską, ale szepczesz do mnie, że po wyrazie jego oczu poznałeś, że się przy tym uśmiechał.

Kiedy stamtąd wychodzimy, oboje mamy zapuchnięte oczy i policzki i rzucamy tak nienawistne spojrzenia, że Zoe Micklebaum zapomina o naszym przydziale ze Skrzyni Skarbów – może miały to być miniaturowe kule ze śniegiem albo plastikowe kajdanki. Jesteśmy przekonani, że tata nie wstrzyknął nam dość nowokainy, bo ból jest koszmarny. Dziaśła swędzą szczęki bołą, w zębach łupie.

Potem tata robi nam kolejny wykład i przedstawia zasady dbania o nałożone klamry. Na noc, przynajmniej na osiem godzin, musimy nakładać na głowy wyciągi korygujące, a tata będzie sprawdzał, czy druty i elastyczne taśmy, połączone z klamrami w ustach, są dobrze naciągnięte. I musimy oczyszczać zęby z resztek specjalną plastikową wykałaczką, dotrzeć nią pomiędzy wszystkie klamry i za wszystkie druty i tak dalej. I musimy bezwzględnie pamiętać o używaniu strzykawki na wodę, którą w tym celu kupił. Wygląda na to, że będziemy mieć z tym wszystkim mnóstwo kłopotu, i kiedy wreszcie tata zostawia nas i nasze obolałe jamy ustne w spokoju, nie żałujemy sobie jęków i narzekań.

Na koniec mówisz, że może jednak ludzie z krzywymi zębami wcale nie są głupcami, i po raz pierwszy tego dnia się śmieję.

Rozdział 32

Dwight nie ma zamiaru wybaczyć mi mojego udziału w publicznym upokorzeniu, jakiego doznał, i nie pozwala mi o tym zapomnieć. Tak samo Toby'emu S., jeśli o to chodzi. Napada na niego zaraz po jego powrocie na zajęcia w grupie, to znaczy dzień czy dwa po bójkę, bez względu na fatalną kondycję Toby'ego.

W grupie zapadła cisza, gdy Toby wprowadzony za szlufkę znalazł się z powrotem wśród nas. Jest jednym wielkim chodzącym siniakiem, a mówiąc precyzyjniej, powłóczącym nogami siniakiem. Jego skóra niczym ognie sztuczne rozbłyska różnymi odcieniami czerwieni, fioleto, czerni, niebieskości, a na lewej stronie twarzy widnieje przerażająca szrama od skroni do policzka. Chyba ma szwy nad jednym okiem, nad prawym, ale z tej odległości nie jestem tego pewna. To nie mogą być duże szwy, raczej kilka małych, które same się rozpuszczają, tata zakłada takie po zabiegu na dziąsłach. Toby kuleje na dodatek, porusza się z wielką ostrożnością, a gdy jest już na krześle, sporo wysiłku kosztuje go znalezienie wygodnej pozycji.

Jednakże gdy tylko się usadowił, Dwight podnosi go z powrotem na nogi i rusza do ataku, nie zważając na jego stan. Zaczyna wrzeszczeć, że Toby ma problem z kontrolowaniem gniewu. Mówi, że takie napady złości są oznaką uzależnienia, że same w sobie uzależniają i że dla takiej agresji nie ma usprawiedliwienia. Mówi też, że agresja jest ucieczką słabych umysłów i nie będzie tolerowana w tym ośrodku.

Mówi, że choć Toby chciałby uważać się w tym wszystkim za bohatera, jest przeciwnie i nie pomógł mi ani trochę. Jeżeli cokolwiek zdołał, twierdzi Dwight, to tylko mnie skrzywdził, być może nieodwracalnie, cofając mnie na drodze do wyzdrowienia co najmniej o miesiąc. Mówi, że zachowanie Toby'ego było egoistyczne, szkodliwe, podłe, fałszywe i sprzeczne z moim dobrze pojętym interesem. Każe Toby'emu na stojąco, przed całą grupą, wygłosić do mnie pokorne przeprosiny, a mnie każe wstać, by je przyjąć. Tyle tylko, że przeprosiny nie są zbyt zrozumiałe, bo Toby ma spuchniętą wargę i język również, jak podejrzewam, więc nie może jeszcze dobrze mówić.

Ja już nie płaczę i chcę powiedzieć Toby'emu, żeby powstrzymał się od czczych słów i nie słuchał perorowania Dwighta. Chcę mu powiedzieć, że to był najzyczliwszy, najodważniejszy i najszlachetniejszy czyn, na jaki ktokolwiek

kiedykolwiek się dla mnie zdobył. To, co zrobił, chcę mu powiedzieć, było jedyną miłą rzeczą, jaka zdarzyła mi się od czasu, gdy obudziłam się z pierwszym w życiu kacem i wylądowałam w piekle. Pragnę nie tylko powiedzieć mu to wszystko, ale chcę polecieć na drugi koniec sali, pocałować go i rzec, że to ja jego powinnam przeprosić za wciągnięcie go w takie tarapaty. To ja powinnam dziękować tobie. Ale jedyne, co mogę zrobić, to wysłuchać niewyraźnych przeprosin Toby'ego i je przyjąć.

Po tym wszystkim Dwight nieustannie czepia się Toby'ego. Cokolwiek Toby zrobi i cokolwiek Toby powie, świadczy według Dwighta o arogancji, samowoli, nienawiści do samego siebie i problemach z wybuchami agresji.

Nie przebacza też mnie. Ale w moim wypadku bardziej pilnuje się przy grupie. Zwłaszcza gdy Hilary jest osobą współprowadzącą zajęcia. Pilnuje się, nie podchodzi za blisko, nie atakuje mnie tak zaciekle. I nie wspomina o tobie.

Ale wycisk od niego dostaję. Coraz częściej słyszę, że muszę odbywać pokutę w pokoju odosobnienia, żebym nie przeszkadzała grupie. Moje chodzenie po drabinie oraz odrabianie karnych zadań pisemnych i pamięciowych zakłóca rzekomo spokój reszcie grupy, na co nie można pozwolić. Wsadzają mnie więc do tej izolatki i zamykają drzwi na klucz.

Moira martwi się o mnie. Rzadko się zdarza, żeby ktoś był tak często izolowany od grupy, mówi. Pilnuj się, przestrzega, bo masz coraz więcej wrogów.

– Kogo? – pytam.

Niektórym piąttofazowiczom nie podoba się moja postawa, wyznaje. Uważają, że jestem nadęta i zadzieram nosa. Wiem, że ma na myśli Gwen, i mówię to. Moira nie potwierdza i nie zaprzecza.

– Ona rozpaczliwie stara się, by ją traktowano jak dorosłą, marzy też o zostaniu instruktorem – stwierdza zamiast tego. – Gwen ma czternaście lat, a wolałaby mieć czterdzieści.

Czternaście. Rok *młodsza* ode mnie.

– Myślisz, że się na to zgodzą? Na to, żeby była instruktorem?

– Jasne, wiele za nią przemawia. Ma za sobą wyboistą ścieżkę. Ale jest twarda i tu w programie też przeszła długą drogę.

Pytam Moirę o historię Gwen. Przez chwilę przygryza język, zastanawia się, a potem sylabizuje wyraz, jakby nie była w stanie zwyczajnie go wymówić. KA-ZI-RODZ-TWO.

Pamiętam drobną satysfakcję, jaką czułam, patrząc na tłusty brzuch Gwen i jej brodawki jak dolarówki i myśląc wtedy, jak musieli jej dokuczać chłopcy. I

pamiętam jej ciemnowłosego, stale zmęczonego ojca, jak opowiada, że ludzie z fabryki mają go za nic. Widzę ich oboje razem, podczas gdy matka z loczkami po trwałej pichci w kuchni te obrzydliwe pulpety, a mała nadąsana Trish siedzi przed telewizorem. To wszystko wydaje się wstrętne, smutne i żałosne. I może dobrze się stało, że teraz Gwen potrafi trzymać ich krótko hitlerowskimi metodami. I może ja czuję się troszeczkę winna wobec niej.

A potem przypominam sobie, z jaką siłą szarpała mnie zawsze za szlufkę, jak szydziła ze mnie, jak dostawałam po twarzy tym jej końskim ogonem jak z filmu / *Dream of Jeannie*, i jeszcze przypominam sobie, jak okładała mnie pięściami, żebym przestała płakać. Jest ofiarą kazirodztwa czy nie, po prostu jej nie lubię.

– Hilary? – pytam Moirę.

– Co z nią?

– Też jest wrogiem?

Moira zżyma się.

– Och nie. Hilary jest po dobrej stronie.

Mówię, że nie jestem tego pewna.

– Uwierz mi, że jest. Możesz jej zaufać, Hilary chce pomagać ludziom, o to jej chodzi.

Mówię Moirze, że nie potrafię w to uwierzyć. W ogóle już nie wiem, w co mam wierzyć.

Musisz w to uwierzyć, tak będzie lepiej, mówi Moira, ściskając mnie za ramię. Zapewnia, że będzie lepiej, jeśli tylko przestanę być aż tak uparta. Jeśli wejdę w rolę, moje życie będzie łatwiejsze.

Ale to oznacza, że musiałabym kłamać. Musiałabym udawać, że jestem uzależniona.

– Po prostu powiedz im to, co chcą usłyszeć – tak to widzi Moira.

– Nie mogę.

– A co ci się stanie?

– Po prostu nie mogę.

– Jeśli powiesz, że jesteś uzależniona, będziesz mogła zobaczyć się z rodzicami – upiera się. – Jeśli tylko to powiesz, któregoś dnia się stąd wydostaniesz. W przeciwnym razie nigdy cię nie wypuszczą.

Moira ma dar rozsądnego przedstawiania spraw. Często też ma rację. Mam nadzieję, że nie tym razem. Mam nadzieję, bo nie mogę się zdobyć na to kłamstwo.

– Nie mogę tego powiedzieć – mówię – To nieprawda.

– A kogo tu obchodzi prawda? Po prostu powiedz: jestem uzależniona. Dwa

słowa, czy tak ciężko jest powiedzieć dwa zwykłe słowa.

Ale to o dwa słowa za dużo i nie zmuszę się do ich wypowiedzenia.

Moira rozkłada ręce zirytowana, lecz nie skąpi mi ostatniej dawki życiowej mądrości:

– Staraj się nie wkurzać Dwighta – radzi. – Dwight to nie jest człowiek, w którym można mieć wroga.

Rozdział 33

Moira ma rację, jeśli chodzi o Dwighta. Jest wrogiem, i to zawziętym, a jego wrogość do mnie narasta i narasta. Z każdą konfrontacją, z każdą nową karą pogłębia się i nasila.

Czasami gdy odbywam karę, personel zostawia mnie w pokoju odosobnienia na tak długo, że zastanawiam się, czy nie wyrzucili kluczy i nie zapomnieli o mnie. Kiedy indziej słyszę brzęk więziennych kluczy i wchodzi Dwight, siada w kącie i patrzy na mnie. Po prostu patrzy, prawie się nie odzywa, jakby go nie było. A ja myślę wtedy, że byłoby lepiej, gdyby te klucze w ogóle wyrzucili.

Aż któregoś dnia Dwight wchodzi i zaczyna mówić.

Jest przedpołudnie i mam za karę nauczyć się do perfekcji „Modlitwy o pogodę ducha”, bo to jedyny sposób, żebym kiedykolwiek była w stanie osiągnąć wewnętrzny spokój. Mam się jej nauczyć, przepisując ją sto razy – albo więcej, jeśli tak każą.

Tablicę w pokoju zainstalował Bo, specjalnie dla mnie. Dał mi garść kredy, ale same końcówki – takie ogryzki zbierała Melanie Heath, żeby można było pograć w klasy podczas przerw. Rysowałeś kwadraty ogromniaste i twoje kostki u rąk krwawiły od szorowania nimi po betonie, bo koniuszek kredy był za krótki.

Przytrzymuję kredę paznokciami, jak w szczypcach, przepisuję tekst chyba po raz sześćdziesiąty siódmy, gdy przychodzi Dwight. Ustawia krzesło za mną i przez chwilę jest cicho, jakby go nie było, tak jak zawsze. Potem zaczyna głośno czytać, co właśnie napisałam.

– „Boże, użyż mi pogody ducha, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić, odwagi, abym zmieniał to, co mogę zmienić, i mądrości, abym odróżniał jedno od drugiego”. – Robi przerwę. – Piękna modlitwa, prawda?

Kiwam przytakując głową, nie odwracając się.

Dwight podchodzi do mnie z tyłu, blisko, wiem, jak jest dzisiaj ubrany, nie potrzebuję znowu patrzeć. Ma na sobie koszulę polo, białą z szerokim czerwonym pasem na piersi, i bawełniane spodnie khaki. Dotyka moich pleców i czuję zapach wody kolońskiej, polo albo brut czy old spice, o ile znam się na męskich zapachach. Pod moim ramieniem sięga po ścierkę do tablicy.

– A fe, Justine, zrobiłaś błąd. – Wyciera słowo „ducha”. – Źle napisałaś ducha. Napisz jeszcze raz, proszę.

Więc piszę jeszcze raz, tak jak było: D-U-C-H-A.

– To jest źle – mówi Dwight – powinno być przez „h”.

– Nie – sprzeciwiam się lekko drżącym głosem. – Nie sądzę, a właściwie wiem na pewno. To się pisze przez „ch”.

Stoi tak pochylony nade mną jeszcze przez minutę, jego broda niemal wspiera się na wgłębieniu mojego ramienia, ja wstrzymuję oddech. Potem robi krok w tył i słyszę, jak drzwi za mną otwierają się i zamykają. Wypuszczam powietrze z płuc i dalej piszę.

Pięć minut później Dwight wraca ze słownikiem. Siada obok, tak że widzę go kątem oka. Nie przestaję pisać. Szybko przerzuca kartki, aż znajduje właściwą stronę, jedzie palcem po papierze, przeczesując słowa i definicje. Zatrzymuje się, czyta, potem z hukiem zamyka książkę i rzuca ją na podłogę.

Wydyma wargi.

– Chciałaś iść do college’u, tak Justine Z.? Byłaś dopiero w drugiej gimnazjalnej, ale założę się, że już wybrałaś college w jednej z najlepszych snobistycznych uczelni, za którą rodzice będą musieli słono płacić. Ależ skąd, jestem w błędzie. Jesteś na to za mądra. Taka mała mądrała jak ty pewnie szykowała się na to, że dostanie stypendium. Mam rację? Co?

Dyplomatycznie nie reaguję, podnoszę rękę i piszę dalej. „Boże, użycz mi pogody ducha...”.

On przysuwa krzesło bliżej i kontynuuje przemowę do mojego profilu.

– Ja nigdy nie liczyłem na to, że pójde do college’u. I nikt tego ode mnie nie oczekiwał. Nie miałem głowy do nauki, można by rzec. W ogóle nikt wiele ode mnie nie oczekiwał. Przynajmniej dopóki nie trafiłem do programu.

Dwight wyciąga w górę rękę, a potem splata je na karku, tak że łokcie sterczą mu po obu stronach uszu jak skrzydła motyla.

– Come Clean ma teraz ośrodki w siedemnastu stanach. Wiedziałaś o tym? To w tym kraju najszybciej rozwijający się program dla nastoletnich narkomanów. To jest coś, nie? – gwizdże z uznaniem. – Przeszedłem program w ośrodku w Tennessee. Moich rodziców nie było oczywiście stać na opłaty, więc byłem trzymany za Bóg zapłać, jak sądzę. Ale tamtejszy dyrektor ani przez chwilę nie żałował, że mnie przyjął. Byłem jego gwiazdą. Do dziś do mnie należy rekord – najszybciej przeszedłem Siedem Kroków. Poniżej sześciu miesięcy. Sto sześćdziesiąt siedem dni. – Szydzi: – Mój Boże, ile czasu ty się tutaj objasz, ja po takim czasie byłem już chyba w czwartej fazie.

Raz czy dwa przejeżdżam po tablicy paznokciem, przeraźliwie zgrzytając. Nie daje się pisać tymi ogryzkami kredy. „Odwagi, abym zmieniał...”.

– Potem, kiedy skończyłem, zostałem tam asystentem instruktora. I wiesz co, byłem w tym dobry. Co ty na to? Byłem najlepszym pracownikiem, jakiego mieli w ośrodku w Tennessee. Nie będą już takiego mieli. Kiedy zostałem samodzielnym instruktorem, w gazecie było moje zdjęcie. Wyobraź sobie. Taki byle kto jak ja... gwiazdą. – Znowu gwiżdże, tym razem przez zęby, wargi tworzą linię prostą. – A potem przyszedłem tutaj. – Dwight rozgląda się po małym, obskurnym pokoju, jakby to było jego królestwo. Świadomie nadeptuje na okładkę słownika leżącego na podłodze. – Zapamiętaj moje słowa, nie dalej jak za rok będę tutaj dyrektorem. Dyrektorem, słyszysz? A wiesz, ile mam lat, panno Justine Z.?

Czeka. To nie jest, jak rozumiem, pytanie retoryczne. Wzruszam ramieniem, że nie wiem.

– Śmiało, zgaduj – zachęca.

– Nie wiem. Hm... Dwadzieścia cztery?

– *Dwadzieścia*. – Znowu czeka, by tak młody wiek zrobił odpowiednie wrażenie. – A nawet nie. Dwadzieścia lat dopiero skończę w dzień urodzin. Dwadzieścia lat i wkrótce będę głównym szefem ogromnego biznesu. Niewielu chłopców i niewiele dziewcząt z college'u może się czymś takim pochwalić, co? Większość z nich w tym wieku nie wyrasta jeszcze z ławek i wieczorków zapoznawczych.

Cały czas piszę. „Mądrości, abym odróżniał...”.

– Oczywiście oficjalnie dyrektorem programu jest Hilary... *na razie*... kontynuuje Dwight. – Ale tylko formalnie. Wszyscy i tak wiedzą, że to ja tu rządę. To ja pilnuję, żeby wszystko się kręciło. Wszyscy o tym wiedzą.

Dwight wstaje i ciosem karate wytrąca mi z ręki kredę. Patrzę, jak kreda turla się po podłodze i zatrzymuje obok słownika, który ma zniszczony grzbiet. Dwight pstryka mnie kciukiem w brodę, jakby wykonywał sztuczkę z zapalniczką.

– Wszyscy – powtarza. – A ci, którzy jeszcze nie wiedzą, niech się dowiedzą. Nawet małe dziewczynki z college'u.

Wychodząc, zostawia na okładce słownika jeszcze jeden ślad buta i zleca przepisywanie karnej porcji modlitwy od nowa, ale z uwzględnieniem prawidłowej pisowni ducha: D-U-H-A.

Rozdział 34

Pewnego ranka w domu Moiry, gdzie nocowałam i jeszcze długo po północy przewracałam się na łóżku z boku na bok, Moira zapytała, czy przypadkiem nie czuję się gorzej.

– Nie – odpowiadam – gorzej już być nie może.

Mówi mi, żebym sprawdziła swój zeszyt z Obrachunkami Moralnymi.

– Może tam znajdziesz coś, co poprawi ci nastrój – sugeruje. Mam nadzieję, że nie chodzi jej o refleksje na temat samoświadomości czy wewnętrznego spokoju, bo wiem, że funta kłaków nie jest warte to, co wypisywałam w tym idiotycznym zeszycie.

Ale przeglądam go, jak mi powiedziała, i kiedy dochodzę do końca, widzę notkę wetkniętą między kartki. Od razu wiem, że nie jest moja, ponieważ litery są czerwone, a ja nie używałam czerwonego długopisu, a poza tym to nie jest mój charakter pisma.

„Głowa do góry”, czytam. „Ja też cię obserwuję”. A dalej jest rysunek uśmiechniętej buźki i podpis: „Toby S., Twój AS”.

Toby. Uśmiecham się szeroko, szeroko jak ta uśmiechnięta buźka, a że dawno tego nie robiłam, aż mnie bołą mięśnie twarzy. Co to jest AS? – pytam Moirę, ale ona nie wie.

Pozwala mi przeczytać liścik kilka razy, porozkoszować się nim, ale potem mówi:

– Nie możesz go zatrzymać, Justine. Musisz go zniszczyć. Zjedz tę kartkę albo podetrzyj się nią i wrzuć do sedesu, nie interesuje mnie to. Ale nie możesz jej zachować. Gdyby ktokolwiek ją znalazł, wszyscy siedzielibyśmy w bagnie po uszy.

Ten pierwszy liścik od niego coś zmienia, mogę teraz myśleć o czymś miłym. Cenię to sobie, jestem wdzięczna. Kiedy tylko obraz Dwighta pojawia się w mojej głowie, przepędzam go wyobrażeniem Toby’ego – przypominam sobie jego twarz, pochyłe pismo, ton głosu.

Wiesz, Josh, spodobałby ci się Toby, słowo daję. Oczywiście nie wiem o nim tyle, ile bym chciała, tym bardziej że nigdy nie rozmawialiśmy ze sobą, ale składam w całość migawki z sesji, Spotkań Otwartych i tak dalej.

Pamiętam, jak pojawił się po raz pierwszy. Było to jakiś miesiąc temu. Przeprowadzili go na spotkanie grupy i zanim ogolili na łyso, paradował w modnej fryzurze o nastroszonych włosach, z zielonymi pasemkami. Na lekko rudawych

włosach ta zieleń, ostra jak sztuczna trawa Astrotorf, przykuwała wzrok. Nosił też kolczyk, nie za duży, ale widziałam go wyraźnie, pomimo że siedziałam w drugim końcu sali.

Dwight przyczepił się do niego, i to bardzo szybko, a weteran, który przeszukiwał Toby'ego, dostał potężny ochrzan. Następnego dnia Toby nie miał już zielonych włosów i nie miał kolczyka. Teraz może się szczycić krótką wojskową fryzurą jak reszta fazowiczów, którzy wyglądają jak na fotografii z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Wszyscy przypominają relikty z *Powrotu do przeszłości* i wolę nie myśleć, jak musimy wyglądać my, dziewczyny, siedzące naprzeciwko nich.

Toby to typ atlety, to prawda. Przypadłby do gustu naszemu tacie. Mógłby z nim porozmawiać o komentarzach sportowych albo o wydarzeniach na stadionie Rose Bowl czy o drużynie Pittsburgh Steelers, czy czymś takim. Toby był najlepszym obrońcą, a może pomocnikiem lub rozgrywającym w drużynie amerykańskiego futbolu w swojej szkole, czyli w Gunther High, a oni naprawdę weszli do ligi stanowej. Jest potężny i muskulamy, widać po nim, że trzyma formę. Ale tobie też by się spodobał, bo nie jest typowym mięśniakiem. Ilu znasz mięśniaków noszących kolczyk i mających zielone włosy? I ilu znasz mięśniaków, którzy stanęliby w mojej obronie tak jak Toby? Kto dałby się tak stłuc jak on?

Ciągle jeszcze hodzi po bójkę z Dwightem. Przez kilka pierwszych Spotkań Otwartych po tym incydencie kolorystyka skóry Toby'ego była tak szokująca, że uznano za stosowne sadzać go w ostatnim rzędzie sekcji chłopców, tuż za Fredem T, który jest jednym z najwyższych fazowiczów w programie. Myślę, że pudrowali mu twarz albo nakładali make-up, żeby rodzice niczego nie zauważyli. Teraz większość siniaków przybladła i Toby ma skórę w żółtawe łaty, jak po żółtaczce – tak opisywała mama nasz wygląd zaraz po urodzeniu.

Do Toby'ego w ogóle nie przystaje twoje określenie „to typowy głupi mięśniak”. Jest jakby krzyżówką osiłka i Simona Le Bon z zespołu Duran Duran. Jest *hybrydą* – to odpowiednie słowo – o hybrydach nauczyliśmy się w piątej klasie na lekcjach biologii z panną Bedlow.

Toby był gwiazdą futbolu i uczniem ostatniej klasy w Gunther High, i – jak się po cichu mówi – miał od jesieni zapewnione stypendium sportowe w jednym z college'ów na Środkowym Zachodzie. Właśnie by kończył szkołę, gdyby w niej był. Możesz w to uwierzyć? Na miesiąc przed zakończeniem roku rodzice wyrwali go ze szkoły i wsadzili tutaj.

Toby ma teraz siedemnaście lat, ale jeżeli miał wkrótce kończyć szkołę, to

zbliża się już do osiemnastki. I na osiemnaście wygląda. Wydawało mi się, że gdy ktoś ma skończone osiemnaście lat, czyli jest pełnoletni, nie mogą go tutaj trzymać, w każdym razie legalnie. Ale kiedy zapytałam o to Moirę, powiedziała, że wcale tak nie jest. Twierdzi, że każdego mogą tu trzymać, jak długo chcą, jeśli tylko przyjęty został za przyzwoleniem rodziców, gdy był jeszcze nieletni. Nie rozumiem, jak to jest możliwe, Moira też nie wie, ale tak się właśnie dzieje. Twierdzi, że w Come Clean jest mnóstwo uczestników, którzy mają osiemnaście lat, a nawet więcej.

Toby S. ma młodszą siostrę. Wydaje mi się, że ona musi być mniej więcej w naszym wieku. Nie wiem, jak ma na imię, ale wiem, że jest jego siostrą, bo zawsze wstaje razem z jego rodzicami, gdy dostają mikrofon podczas Spotkań Otwartych. Tata Toby'ego jest do niego podobny, tylko że nie ma kolczyka ani zielonych włosów, a mama jest wysoka i bardzo ładna. Też nie ma zielonych włosów, ale nosi kolczyki.

Lubię, gdy Toby S. mi się przygląda, a on mnie obserwuje stale, tak jak obiecał w swoim liściku. Czuję na sobie jego wzrok i nie odbieram tego źle, to coś zupełnie innego niż czujne oczy Dwighta, Gwen, Hilary czy weteranów. To miła czujność. Toby S. czuwa nade mną, tak jest. Czuję, że jestem chroniona.

Lubi czasem puścić do mnie oko i uśmiechnąć się tym swoim szczególnym uśmiechem, przeznaczonym tylko dla mnie.

Wiem, Josh, że na pewno polubiłbyś Toby'ego S. Moglibyśmy spędzać razem czas i zostać przyjaciółmi, jak trzej muszkietierowie czuwać nad sobą nawzajem i tak dalej.

Rozdział 35

Wszystko się zmienia, gdy kończymy trzynaście lat.

Mamy zdjęte z zębów klamry i druty, podczas gdy wszyscy inni w klasie mają buzie pełne metalu i mówią, jak bardzo nie znoszą naszego taty. Nam tata wykłada zasady higieny ortodontycznej i uświadamia, jak ważne jest teraz noszenie aparatu retencyjnego.

– Tydzień zaniedbywania tego obowiązku i roczna praca profesjonalisty idzie na marne – mówi, a my podejrzewamy, że pewnie przesadza, ale wolimy tego nie sprawdzać. Znowu robi nam wykład na temat prostych zębów i nawet ty jesteś skłonny przyznać, że masz całkiem ładny uśmiech, oczywiście, jeśli chce ci się wysilić na uśmiech.

Ale aparaty to tylko początek. My sami się zmieniamy pod wieloma względami, i to drastycznie. Staje się oczywiste, nawet dla nas – nie mówiąc o tym głupku Wayne Westbrooku, który teraz jest już dwie klasy niżej – że nie jesteśmy identyczni. Im dalej i dalej, tym mniej i mniej podobieństw między nami. Moje piersi pęcznieją, a ty wybijasz w górę jak pęd fasoli, masz trądzik i wygląda na to, że nie wiesz, co robić z rękami i nogami.

Zaczynamy się też różnie zachowywać. Już nie to samo lubimy. Ja wycinam zdjęcia fajnych chłopaków i modnych ciuchów, najchętniej Laury Ashley, z czasopism „Young Miss” i „Seventeen”, po czym obwieszam nimi ściany mojego pokoju. I zaczynam spędzać znacznie więcej czasu z mamą, Cindy Gregory, a tobie się to nie podoba. Mama zabiera mnie do fryzjera i strzygę się na Lady Di. Mama mówi, że wyglądam jak ona i to mi bardzo odpowiada, bo pamiętam, jak całą noc nie spaliśmy, żeby obejrzeć w telewizji królewski ślub i dobrze pamiętam, jak piękna była wtedy Di. Na jej zdjęcia poluję w czasopismach i rozwieszam je na ścianach.

Ty spędzasz mnóstwo czasu w swoim pokoju, przyjmując pozę nieszczęśliwego i nadęanego. I niezbyt często myjesz głowę. Gdy wreszcie wyjdiesz, robisz głupie rzeczy, na przykład wygulgasz puszkę mellow-yellow i potem bekasz głośno, co ma być zabawne.

Mama zabiera mnie do sklepów, kupuje mi nowe ciuchy i nawet jakieś kosmetyki. Wkrótce prawie cała moja szafa to tylko Esprit albo Benetton, czyli – jak każdy wie – najlepsze marki. I mama uczy mnie i Cindy, jak malować paznokcie. Gdy jesteśmy same, pokazuje mi też, jak się goli nogi. I mówi, że jak

przyjdzie lato, nauczy mnie też golenia się w innych miejscach, żebym mogła pokazać się w kostiumie kąpielowym przy chłopcach i nie musiała się wstydzić.

Którejś niedzieli w kościele coś niedobrego się ze mną dzieje, przepraszam na chwilę i idę do w.c. A kiedy ściągam majtki, wszędzie jest krew. Wiem, że wreszcie dostałam okres, bo inne dziewczyny w mojej klasie już mają i widzę je na wf. z podpaskami. Aleja nie mam podpaski i nie wiem, co robić. Krew już przeciekła przez majtki i zabrudziła rajstopy, więc boję się, że jak się ruszę, poplamę również sukienkę, a wtedy wszyscy zobaczą.

Zostaję więc w w.c. do końca mszy i dalej tam siedzę, podczas gdy wierni przeszli już do sali parafialnej na ciasteczka i kawę z jednorazowych kubków.

Tata jest pogrążony w rozmowie z kimś ważnym z Lion's Club czy z inną personą, a mama zapewne wymienia się przepisami kulinarnymi z panią Gregory, mamą Cindy. A ty, znudzony, kręcisz się obok nich i dziwisz się, co się ze mną stało. Po jakimś czasie zaczynasz krążyć pod damską toaletą, a kiedy uznajesz, że teren jest czysty, zakradasz się, żeby mnie poszukać.

Zamknięta w jednej z kabin ryczę.

– Just, to ty?! – wołasz. – Co się z tobą dzieje? Just, co się stało?

W twoim głosie słycać niepokój. Mówię ci, żebyś sobie poszedł.

– Nie bądź taka – prosisz. – Powiedz, co się stało.

Szarpiesz za klamkę do kabiny, a ja się drę, żebyś nie wchodził, do cholery jasnej. Jeszcze raz mówię ci, żebyś sobie poszedł.

– Ja tylko chcę ci pomóc – odpowiadasz.

Na to ci powtarzam, że nie możesz mi pomóc. Każę ci iść i zawołać mamę.

Mama przychodzi i wie, co robić. Po drodze z kościoła do domu zatrzymujemy się przy drogerii Eckhard, kupujemy babskie akcesoria, a po powrocie do domu mama pokazuje mi, jak się ich używa, daje mi tabletkę tylenolu na bolący brzuch i wysyła mnie do łóżka.

Czujesz się urażony, że cię odesłałam, i kiedy ja drzemię, mama próbuje cię udobruchać. Mówi ci, żebyś nie był dla mnie niedobry, bo miałam ciężki dzień. A kiedy odparowujesz, że ty też miałeś ciężki dzień, i pytasz, co niby takiego strasznego mi się przydarzyło, mama odpowiada, że to kobiece sprawy, więc i tak byś nie rozumiał. A ty bardzo nie lubisz czegoś nie rozumieć.

Miarka się przebiera, gdy Davie Kirchner prosi mnie, żebym z nim chodziła, a ja mówię tak. Pytasz mnie, czy uważam, że Davie Kirchner jest moim księciem Karolem, i jesteś na mnie wściekły, chociaż zapewniam, że nie, nie jest, zresztą i tak nic chodzę z nim dłużej niż miesiąc. Stwierdzasz, że już mi na tobie w ogóle

nie zależy. Mówisz, że wolę towarzystwo mamy i Cindy, a ostatnio Kirchnera. Mówisz, że poświęcam za dużo czasu „babskim sprawom” i robisz w powietrzu cudzysłów przy tych słowach, jak gdyby to była jakaś nowomoda, niemająca jeszcze właściwej nazwy.

Bronię się przed takimi zarzutami i mówię, że jesteś głupi i żebyś przestał żalić się nad sobą. Denerwujesz się. Jesteś dotknięty do żywego. Więc cię przepraszam, przysięgam, że nie ma na świecie nikogo, z kim bym bardziej chciała spędzać czas niż z tobą. Mówię, że drzwi są otwarte, jeśli chcesz przyjść do mnie i do Cindy, gdy malujemy paznokcie albo kręcimy włosy, albo tańczymy w moim pokoju przy kasetach Madonny, puszcanych na radioodtwarzaczu, który dostałam od taty na Gwiazdkę.

Usiłowałam obrócić wszystko w żart, bo oczywiście masz za krótkie włosy do lokówek i nienawidzisz Madonny, co wiem. Ty jednak nie uważasz, że to było zabawne.

– Josh, zawsze możesz przyjść i posiedzieć z nami, czy będzie u mnie Cindy, czy Davie, czy ktokolwiek – zapewniam. – Zawsze jesteś mile widziany, przecież wiesz.

Nie jesteś przekonany. Twierdzisz, że ja wcale tak nie myślę. Gulgasz do dna swoje mellow-yellow i głośno bekaasz. Potem rzucasz puszkę na podłogę w kuchni, lecisz do swojego pokoju, zatrząskując za sobą drzwi.

Rozdział 36

Pewnego wieczoru podczas odprawy *rolí and dole* nie wywołano mojego nazwiska. Czekam, tymczasem inni nowicjusze są już pod okiem starszych fazowiczów. Składają swoje krzeselka i zbierają rzeczy, a Toby S. w drodze do sterty kurtek przy drzwiach kopie mnie lekko w kostkę. Niby niechcący, ale robi do mnie oko, na szczęście nikt tego nie zauważa.

Jest już wiosna, chyba połowa maja, więc w stercie nie ma wielu kurtek. Trochę wiatrówek i jakieś poncho. Niektórzy, w tym Toby, wychodzą na parking w samych koszulach.

Nie wiem, co robić, i myślę, że pewnie ktoś się pomylił albo zapomniano wydrukować ostatniej strony listy z nazwiskami na Z. W końcu podchodzi do mnie instruktorka. Lois oznajmia, że znowu zostałam ukarana, a ponieważ nie było czasu podczas popołudniowej sesji, żeby się mną zająć na boku, będę odbywała karę teraz.

Prowadzi mnie do pojedynczego pokoju i wręcza tom *Encyklopedia Britannica*. Jest to wydanie w luksusowej oprawie, ze złotymi tłoczeniami, taki komplet kupił nam tata od domokrażcy, gdy byliśmy w trzeciej klasie, żebyśmy rozszerzali horyzonty myślowe, jak powiedział, i rozszerzaliśmy je za każdym razem, gdy trzeba było oddać pracę pisemną, a nie wiedzieliśmy jeszcze, co to plagiat. To gruby tom. Litera M.

Lois instruuje mnie, że mam trzymać encyklopedię nad głową w wyprostowanych rękach. Ma to symbolizować mój opór wobec przyjmowania wiedzy o samej sobie. Kiedy będę już gotowa przyznać się do własnej bezsilności, mówi, będę mogła opuścić książkę, położyć ją na kolanach i czerpać wiedzę.

– Nie ma większego daru niż samoświadomość – podkreśla. Rozumiem, że dopóki jej nie osiągnę, muszę trzymać tom M encyklopedii wysoko, wysoko w górze.

– Niech ci nawet przez myśl nie przejdzie, żeby to zlekceważyć – ostrzega mnie Lois. – Pamiętaj, *ktoś* zawsze patrzy. – Wskazuje na dewocyjną wyszywanekę wiszącą na ścianie i wychodzi, zamykając drzwi na klucz. „Dzień po dniu” głosi napis.

Czy Lois miała na myśli to, że Najwyższy obserwuje wszystko, co robimy, czy też chodziło jej o ukrytą kamerę? Nie wygląda na to, żeby za tymi ramkami kryła się kamera. To nie ciężki obraz, tylko wyszywananka. Nie może kryć kamery. Czy

może? Przecież nie widziałam żadnego magnetofonu w tym pokoju, w którym wieczorem miałam spotkanie z rodzicami, a jednak każde moje słowo zostało nagrane. Rozglądam się wokoło, jakby ktoś mógł wyskoczyć zza plastikowego krzesła, jedyne mebla w pokoju, i uspokojona, że nic takiego nie może się zdarzyć, podchodzę na palcach do wyszywanki na bliższą inspekcję. Tak jak przypuszczałam, nie ma za nią kamery i w tynku też nie ma żadnych podejrzanych otworów.

Siadam. Do diabła z symbolizowaniem czegośkolwiek.

Do diabła z tym, przynajmniej na razie, bo po dłuższym czasie słyszę podzwanie więziennych kluczy na korytarzu za drzwiami. Błyskawicznie zrywam się na nogi i mam encyklopedię wysoko w górze, zanim Hilary, Lois, Bo czy jeszcze ktoś inny, kto jest teraz za drzwiami, znajduje właściwy klucz metodą prób i błędów. Kiedy drzwi się otwierają, okazuje się oczywiście, że nie jest to ani Bo, ani Hilary, ani Lois, tylko Dwight.

Wchodzi nadęty jak paw i rozsiada się na składanym krześle, od którego niestety, co było głupie, nie ustawiłam się w większej odległości. Siedzi niecały metr ode mnie i uśmiecha się w sposób niepozostawiający wątpliwości, że krzesło było jeszcze ciepłe, gdy na nim siadał, i że doskonale zna przyczyne.

Gdybym miała mojego swatcha, mogłabym powiedzieć ci w przybliżeniu, ile czasu tak siedzi, pilnując mnie i nie mówiąc ani słowa. Odnoszę wrażenie, że upłynęła godzina, ale zdaję sobie sprawę, że nie mam zbyt silnych rąk, a *Encyklopedia Britannica*, tom M, jest ciężka, bardzo ciężka. Dwight przygląda się, a mnie krew odpływa z górnej części ciała, palce zaczynają drżeć, łokcie się zginają, ramiona drętwieją i czuję, że za chwilę ręce mi odpadną od ciała, zostawiając mnie z samym tułowiem.

Kiedy nie mogę już dłużej wytrzymać i opuszczam książkę zaledwie na sekundę, by ulżyć całkowicie zdrtwiałym rękóm, Dwight każe mi zdjąć but.

– Słucham?

– But. Kazałem ci zdjąć but. I za każdym razem, gdy opuścisz książkę, będziesz zdejmować jakąś część garderoby.

Moje serce zatrzymuje się na jedno uderzenie, a może na dwa albo trzy. Zastanawiam się, czy nie krzyknąć, ale jest późno i na pewno wszyscy poszli do domu. Dwight musi wiedzieć, że nikogo już nie ma, w przeciwnym razie nie przyszedłby tutaj, na pewno poczekał, aż teren będzie bezpieczny. Myślę o ucieczce, ale zamknął drzwi na klucz. Nawet gdybym walnęła go encyklopedią w głowę i zdołała zabrać mu klucz oraz otworzyć drzwi zdrtwiałymi i drżącymi

palcami, jak daleko bym uciekła? Prawdopodobnie zamknął też zewnętrzne drzwi, a ja nie wiem, gdzie są do nich klucze, zresztą nawet gdybym wiedziała, dokąd bym miała uciekać i kto by mi pomógł w środku nocy w tej okolicy, gdzie są same magazyny? Gdybym mogła dostać się do telefonu i zadzwonić do Cindy lub Lloyda, miałabym jakąś szansę, ale nie sądzę, żeby mi się to udało.

– Rozumiesz?

– Tak – odpowiadam i powoli zdejmuję lewy but.

Nie patrzę na Dwighta, żeby nie zobaczył strachu w moich oczach. Podnoszę rękę z encyklopedią i zastanawiam się, dlaczego tom M jest taki ciężki. Dlaczego aż tyle rzeczy, które trzeba poznać, zaczyna się na literę M? Przypominam sobie, jak przeglądaliśmy nasze wydanie encyklopedii, żeby ściągać z niej do pracy domowej albo po prostu dla zabicia czasu, gdy padał deszcz i nudziliśmy się, a w telewizji nie było nic ciekawego. Twoim ulubionym był tom z literą A, bo z upodobaniem oglądałeś obrazki z aniołami i cieszyło cię, że tyle miast i rzek zaczyna się na Aa. Ja najbardziej lubiłam tom z XYZ, bo nie mogłam uwierzyć, że jest wystarczająca liczba wyrazów zaczynających się na te litery, które mogą pełnoprawnie znaleźć się w *Encyklopedii Britannica*, choćby zajmowały tylko jedną trzecią tomu, i to najcieńszego. Zaglądaliśmy też do litery M. Malaria jest na M. To taka choroba, którą można zarazić się od moskitów w krajach afrykańskich, też na M, na przykład w Mozambiku, i odszukiwaliśmy hasło Mozambik. Miami na Florydzie też tam jest, przeczytałam całe to hasło nie dalej jak w zeszłym roku, ale teraz Miami jest dla mnie okropnym miejscem, nie mogę myśleć o Miami. Jest mnóstwo rzeczy zaczynających się na literę M, o których można się czegoś dowiedzieć.

Jestem cała mokra. Krople potu strużkami spływają mi po rękach, szyi i plecach, szczególnie dokuczliwe we wgłębieniach kolan, nad górną wargą i na skórze głowy. Swędzi mnie wszędzie, jakby chodziło po mnie stado mrówek, wydaje mi się, że zwariuję, jeśli się nie podrapię. Maniak też jest w tomie M, i męczarnie. Struga potu zebrała się nad brwią i jak łza ścieka po policzku, chociaż nie płaczę. Dwight wyciąga rękę i wyciera ją, cofam się odruchowo, upuszczam książkę i tracę drugi but.

Moje próby utrzymania encyklopedii nieruchomo w górze są coraz krótsze, w miarę jak się coraz bardziej męczę. Nie czuję rąk i chwilami nie potrafiłabym powiedzieć, czy jeszcze trzymam książkę, czy już nie. Tego, że właśnie wypadła mi z rąk, pewna jestem tylko wtedy, gdy Dwight informuje mnie, że mam zdjąć z siebie kolejną rzecz.

Monstra też są na M, podobnie jak mitologia. Przepytyuję sama siebie, żeby sprawdzić, czy jeszcze pamiętam nazwy tych potworów, o jakich uczyliśmy się, czytając mity na lekcjach literatury pani Mission. A może to było na historii w piątej klasie? Albo w szóstej? Mam. Były oczywiście cyklopy i centaury, najłatwiejsze do zapamiętania.

Ściągam jedną skarpetkę i kopię ją w stronę butów.

Potem były wszystkie te przerażające żeńskie postacie. Gorgony, furie i harpie. Gorgony były superstraszne, jak choćby Meduza, znowu na M, która rozwijała skrzydła i zamiast włosów miała węże. Furie też miały skrzydła i, o ile dobrze pamiętam, także węże zamiast włosów, ale były tylko trzy i były boginiami. Ich zadaniem było karanie tych, którzy czynili zło.

Dwight każe mi zdjąć drugą skarpetkę.

I jeszcze harpie. Były naprawdę obślizgłymi istotami i nic można z czystym sumieniem nazywać ich kobietami, bo miały ciała ptaków, chociaż głowy kobiet. Sfinks też miał głowę kobiety, ale ciało lwa. To sfinks zadawał zagadki, a kto nie potrafił ich rozwiązać, zwał się z nóg i umierał.

Wychodzę z moich spodni.

Minotaur, kolejne M, był nienawistną bestią. Mieszkał w labiryncie na Krecie, był pół człowiekiem, pół bykiem i jadał ludzkie mięso, ale nie wiem, czy bycze mięso też, choć wydawałoby się, że tak byłoby fair.

Teraz gumka do włosów. Uwolnione z niej włosy, które za bardzo odrosły, opadają mi na ramiona i zaczerwienioną twarz.

M. Mitologiczne istoty starożytnej Grecji. Ci starożytni Grecy mieli mnóstwo potworów. Była też Hydra. Dziewięciogłowy wąż morski. Gdy ucięło mu się jedną z jego groteskowych głów, na jej miejsce wyrastały dwie nowe.

Rozpinam koszulę.

Cerber miał tylko trzy głowy, ale był pupilkiem Hadesa i strzegł bram piekła.

Rozpinam biustonosz, który miałam szczęście dostać dziś rano. Ogarnia mnie na krótko fala wdzięczności za to, że służył mi przez godziny jako podpora, a także za tę chwilę obecnej zwłoki. Ale już go nie ma i zostaję tylko w bawełnianych majtach jak po babci. Czuję się tłusta, przeraźliwie tłusta. I po co on chce mnie taką widzieć?

Dwight znowu wskazuje palcem na encyklopedię, więc staram się ją podnieść. Wstał z krzesła i stoi tak blisko, że słyszę jego oddech, tak blisko, że wiem, iż w jego południowej porcji hamburgera z serem był dodatek cebuli.

Przełykam ślinę i zastanawiam się, czy Dwight wie coś o Chimerze. Założę się,

że nie. A ja i ją pamiętam. Chimera była krzyżówką trzech zwierząt. *Hybrydą?* Miała głowę lwa, ciało kozła i ogon węża. Zionęła ogniem.

Dwight wyciera palcem pot zbierający się pod moją lewą piersią. Wącha palec, a następnie wkłada go do ust. Potem wsuwa nos między moje piersi, byłby tam rowek, gdybym miała jeszcze na sobie stanik. Głęboko wciąga powietrze nosem. Jak ja pachnę, Joshua? Czy ja jeszcze pachnę jak ja?

– Jesteś taka brudna – mówi Dwight chrapliwie. – Po prostu śmierdzisz. – Wyszczерza zęby w pogardliwym uśmiechu. – Wiesz, panno Justine, śmierdzisz mi jak mała brudna dziwka.

Upuszczam encyklopedię, która ląduje na jego stopie. Dwight odskakuje z krzykiem, masuje palec przez ułamek sekundy i upewnia się, że nie jest złamany, potem z rozmachem uderza mnie w twarz. Nosi dziś sygnet, to chyba *claddagh*, z wyobrażeniem irlandzkiego bożka. Trafia mnie w kość policzkową. Słyszę to uderzenie jak wystrzał wewnątrz ucha.

– Skończyłaś swoje sztuczki?

Przytakuję bezgłośnie.

– Miło mi to słyszeć. – Niekontuzjowaną stopą odkopuje encyklopedię w kąt pokoju, co sygnalizuje, jak sądzę, koniec tej części moich ćwiczeń rozwijających samoświadomość. Znowu zaczyna mnie okrażać, przeciągając palcem tu i tam, przeczesując ręką moje włosy, wachając, gdzie mu się podoba.

Matematyka też jest w tomie *Encyklopedia Britannica*. Nigdy nie byłam dobra z matematyki. Nauka o społeczeństwie, historia, angielski to przedmioty, w których celuję. Jeśli chodzi o rachunki, trygonometrię i algebrę, nie mam głowy do terminów i wzorów. Nie pamiętam, jaka jest różnica między mnożnikiem a współczynnikiem, i nie wiem, jak je obliczać.

Usta Dwighta dotykają teraz mojego policzka, całuje mnie dokładnie w to miejsce, w które uderzył sygnetem.

– Chciałbym wiedzieć, jak jesteś dobra, mała królowo balu – mówi, a raczej szepcze.

Josh, chciałabym być na powrót silna. Tak bardzo bym chciała. Szukam w sobie resztek dawnej siły. Oczy mam przyklejone do wykładziny, przelykam ślinę i myślę, jak bardzo nienawidzę matematyki.

– Nie wiedziałam, że lubisz dziewczyny, Dwight – mówię z takim spokojem, na jaki tylko mogę się zdobyć.

Słyszając te słowa, uderza mnie w drugi policzek, tylko mocniej i zewnętrzną stroną dłoni, czuję ostre draśnięcie sygnetem. Zdrowo piecze i mimo woli wydaję z

siebie jęk, a ręka sama leci do twarzy, do źródła bólu. Jest tam krew. Niedużo, zaledwie kropla, ale jednak krew.

– Myślałem, że skończyłaś już ze swoimi sztuczkami! – grzmi.

Drżą mi powieki, trzepoczą się jak robaczkowi świętojańskiemu skrzydełka.

– Tak, Dwight, tak.

– Nie będę więcej znosił twojej głupoty.

– Ja... ja... nie... próbuję... żadnych... sztuczek – jąkam się. – Ja tylko myślałam, że lubisz chłopców, nic więcej.

Zamierza się chyba, żeby mnie znowu uderzyć, więc cofając się przed ciosem, spiesznie wyrzucam z siebie kolejne słowa.

– Chodzi mi o to, że spałeś z Joshem, prawda? Więc myślałam...

Dwight zawiesza rękę. W gardle narasta mu jakiś bulgocik.

– Twój brat... – Bulgocik przechodzi w chichot, miękki i niski. – Cóż, chyba nie możesz mieć mi tego za złe. Był taki miłutki. Jak ty. – Nie podoba mu się, że mam zwieszoną głowę. Chwyta mnie za brodę i patrzy na mnie. Wytrzymuje mój zimny wzrok znacznie dłużej niż przez chwilę. – Jakby w ogóle nie był chłopcem, prawda?

Jego palce i ręce są znowu wszędzie. Chciałabym się jeszcze trochę cofnąć, ale nie mam dokąd, opieram się już o ścianę. Za każdym razem, gdy uchylam się albo odwracam twarz, on mnie szczypie, mocno. Warstwa potu na mojej skórze zrobiła się zimna i lepka. I czuję własny zapach. Wiesz, Josh, nie pachnę jak ja. Nie pachnę jak ty. W ogóle nie pachnę przyjemnie.

– Ale był pyskаты ten twój brat bliźniak. Tak jak ty. Pod tym względem jesteście prawie identyczni.

Te symbole matematyczne są takie dziwaczne. Wszystkie te zygzaki, wężyki, niby-ósemki, U odwrócone w złą stronę. Nie mogę dojść z nimi do ładu. To jak zupełnie inny alfabet. Egzotyczny język albo co. A ja nigdy nie byłam dobra z obcych języków.

Dwight rozpina zamek u spodni. Ma na sobie te dżinsy, które tak lubi nosić, a które wyglądają na starsze od niego, z wystrzępionymi nogawkami i wystrzępionymi szwami, tak sprane, że niebieski kolor jest tylko wspomnieniem. To nie w porządku, nie powinni mu pozwolić na noszenie dżinsów, skoro nam nie wolno. Ale to jest zasada, o której nie mogę zapominać – zasady nie dotyczą personelu.

Znowu przeczesuje palcami moje włosy i w pewnym momencie zaczyna przyginać moją głowę ku ziemi, tak że zmusza mnie do ukłęknięcia. Przed oczami

mam teraz tylko jeden widok, więc zamykam powieki. I nie mam już siły. Uszła ze mnie do końca. Jestem jak pozbawiony mocy superbohater z sobotnich porannych kreskówek. Kiedyś dumny i potężny, teraz słabszy od każdego śmiertelnika. Dwight jest moim *krypton i te*.

– Kłopot w tym, że twój brat nigdy nie chciał zrobić właściwego użytku z tej swojej pyskatej buźki. Joshua, mówiłem mu, lepiej weź mnie do tej swojej buźki. – A potem Dwight zmusza mnie, żebym wzięła go w usta i wprawia moją głowę w ruch.

Nie wiem, co robię. Nigdy w życiu tego nie robiłam i bardzo się boję, że robię to źle i że mnie znowu uderzy. Josh, czy ty wiedziałeś jak? Podobało ci się to? Mnie się to bardzo nie podoba i przychodzi mi do głowy, że gdybym go ugryzła, udałoby mi się zrobić mu coś złego, bolesnego, ale za bardzo się trzęsę ze strachu. Otwieram usta najszerzej jak potrafię i trzymam zęby jak najdalej, i pozwalam mu poruszać moją głowę tak, jak chce.

Pamiętam za to twierdzenie Pitagorasa. W każdym razie czego dotyczy, choć niezupełnie czemu służy. Właśnie do tego doszliśmy na lekcjach z panią Henry przed Bożym Narodzeniem. Twierdzenie Pitagorasa odnosi się do trójkątów, trójkątów prostokątnych.

Właściwie nie pamiętam dokładnie, o co w nim chodzi. Jest tam mowa o kwadratach i przeciwprostokątnej i o tym jak wyliczyć sumę boków trójkąta. Nie wiem dokładnie. Nie chcę wiedzieć.

Dwight łapie mnie za włosy i podnosi na nogi. Miętosi moje piersi i pochyla się, żeby polizać mnie w szyję. Wydaje się, że chciałby, żebym i ja lizła go w szyję, ale już dość mam jego smaku w ustach i nie wiem, czy mój żołądek wytrzyma więcej.

– Powiedz mi, jaka jesteś dobra – chrypi mi do ucha. – Opowiedz mi o tym wszystkim, co lubisz robić z mężczyzną.

– Ja... ja nie wiem.

– No dalej, powiedz mi, co robi dobra dziwka.

– Nie mogę...

Dwight zgrzyta zębami.

– Owszem, możesz.

Chyba nie rozumie, o co mi chodzi.

– Nie wiem, co się robi... – próbuję jeszcze raz wyjaśnić, zanim w końcu wyznaję: – Jestem dziewczyną.

Śmieje się, z gardła dobywają mu się chrapliwe dźwięki.

– I ja mam w to uwierzyć?

– *Jestem.*

Robi krok do tyłu, przygląda mi się, jakby chciał oszacować, czy mówię poważnie.

– O kurczę – dziwi się i jeszcze głośniejsze się śmieje. – Tym lepiej. Tak czy siak, opowiedz staremu Dwightowi pieprzne kawałki, uruchom wyobraźnię.

Równanie jest terminem matematycznym, tak samo średnica, algorytm i mnożnik. Współczynnik, czynnik, obwód, zmienna, styczna to wszystko terminy matematyczne. Ale nie umiałabym ich zdefiniować, choć wiem, że obwód odnosi się do okręgów, no i nie mogę przypomnieć sobie żadnego terminu matematycznego zaczynającego się na M.

– Mam okres – mówię Dwightowi, i jest to prawda, ale on ciągle przygląda mi się podejrzliwie. Wierzy dopiero, gdy ściągam majtki, ostatnią część garderoby, i pokazuję mu, że mam założony tampon. Pociąga za sznureczek, żeby mieć ostateczny, niepodważalny dowód.

– No cóż – oznajmia – myślę, że nie chcemy narobić zbyt dużego bałaganu. Nie chcemy zostawić śladów, których nie da się zetrzeć. – Uśmiecha się. – Następnym razem – obiecuje.

Potem zmusza mnie, bym znowu wzięła go do ust.

Nie jestem już silna, to prawda, ale stać mnie jeszcze na to, żeby się oderwać od własnego ciała. Nie takie tam głupoty, że unoszę się pod sufitem, jak opowiadają w programie Marcusa Welby'ego o pacjentach w stanie śmierci klinicznej. Nie chcę się unosić i widzieć, co się tutaj dzieje, nie chcę sobie niczego wyobrażać. Chcę zostać wewnątrz siebie z tobą i z tomem *Encyklopedii Britannica* na literę M.

Medycyna też tam jest, wiesz. Tak samo jak marketing, magia, makiawelizm i mafia.

Kiedy Dwight dochodzi w moich ustach, omal tego nie połykam, ale potem niezależnie od mojej woli wszystko wraca i wraz z połową lunchu ląduje na dywanie.

– Chyba się myliłem – mówi, zasuwając rozporek i zapinając pasek. – Nie jesteś tak dobra jak twój brat... na razie. No, ale on miał przecież sporą praktykę.

Przynosi mi mokry ręcznik, żebym wytarła podłogę, po czym wyłącza światło i zamyka mnie na noc. Słyszę, jak otwiera i zamyka podwójne drzwi prowadzące na parking. I z oddali chyba jeszcze słyszeć, jak otwiera i zamyka drzwi samochodu. Słyszę, słyszę, jak uruchamia silnik i odjeżdża.

Tom M *Encyklopedii Britannica* zawiera też hasło o muzyce. Można przeczytać

wszystko o teorii muzyki, dowiedzieć się, co znaczą różne terminy, słowa takie jak kantata i intermezzo, arpeggio, kadencja i staccato. Presto też jest terminem muzycznym. Szybko. A czasem coś się zmienia nawet w jednej chwili. Ale nie mogę sobie przypomnieć żadnych melodii.

Rozdział 37

Mam sny. Okropne sny. Noc w noc. Pojawiasz się w nich i są po prostu koszmarne.

Czasami jesteśmy jak kiedyś, w basenie, pływamy na materacach, świeci słońce, jest cudownie, wyglądamy wspaniale, tacy opaleni, wyciągamy do siebie ręce, a gdy się złączą, zaczynamy kręcić się w kółko na tratwie z materacy, leniwie, jak lubiliśmy. Ale nagle basen zamienia się w ocean, woda jest ciemna i głęboka, nie widać dna, nie widać lądu, gdziekolwiek się odwrócimy, wszędzie tylko ocean i ocean aż po horyzont i wtedy przypominam sobie początkowe sceny ze *Szczęk* – te z małym dzieckiem na materacu, kiedy pod powierzchnią wody ukazuje się jakiś cień, a potem wyskakuje rekin – i potwornie się boję, Josh. A potem z naszych materacy zaczyna uchodzić powietrze. Nie wiem, jak to się dzieje, ale najwyraźniej są gdzieś nieszczelne, i jeden, i drugi, a my nie możemy znaleźć dziur, żeby je załatać, ani nadmuchać tej naszej tratwy, a w materacach jest coraz mniej powietrza i zaczynamy tonąć. Cały czas trzymamy się za ręce, trzymamy się mocno, a materace toną. A potem ty zanurzasz się, zanurzasz i ciągniesz mnie w dół. Nie możemy puścić jedno drugiego, więc ciągniesz mnie w dół. „Jesteś silna, Justine, nie do pokonania”, mówisz. „Wyciągnij mnie”, mówisz. Ale ja nie mogę. Próbuję wołać o pomoc, lecz zachłystuję się słoną wodą oceanu, która ma posmak chloru i która dławi mój krzyk, zresztą i tak nie ma nikogo, kto mógłby mnie usłyszeć. A czasami to nie ty opadasz na dno, tylko najpierw ja. To ja pierwsza dostaję się pod wodę i nagle nie umiem pływać, a jedyne, o czym myślę, to ten rekin, więc kopię nogami i rozchlapuję wodę, prerażenie mnie paraliżuje i tonę, to ja ciągnę cię w dół, pod powierzchnię fal, nie widzimy dna; tam w dole nie ma chyba w ogóle dna.

Kiedy indziej śnię o nas, jak jesteśmy z Dwightem. Paskudne sny. Nie wiem, gdzie przebywamy, jest biało, wszystko jest białe, ale jest tam Dwight. Widzę ciebie, Joshua, na kolanach przed nim, a on trzyma rękę w twoich włosach. I widzę cię też w różnych innych pozycjach, jego ręce wędrują po tobie, twoje ręce wędrują po nim i robicie niewypowiedziane rzeczy. Nie chcę na was patrzeć, ale patrzę. Potem widzę siebie z nim i on jest na mnie albo ja na nim, albo jestem jak ty na podłodze na czterech, a Dwight jest wszędzie, dotyka mnie wszędzie i nie mogę usnąć. Mamo, Josh, nie usypiam, Lloydzie Taggarcie, nie usypiam i nie sędzę, żebym jeszcze mogła być dziewicą. A ty siedzisz sobie i patrzysz, siedzisz na

białym składanym krześle i patrzysz na nas i ni stąd, ni zowąd ja też jestem obok ciebie i też patrzę. Potem czasami jesteśmy oboje z Dwightem, oboje naraz, i dotykamy go tam, gdzie lubi, żeby go dotykać, wkładamy go sobie do ust, a on jęczy i mówi brzydkie rzeczy, szepcze nam do ucha takie słodkie obrzydlistwa. Moje śliczne małe dziwki, mówi do nas. Na to też patrzymy razem, bo znowu razem siedzimy, sami siebie oglądamy i najgorsze, absolutnie najgorsze jest to, że chyba nam się to podoba, wygląda na to, że to lubimy i kiedy tak patrzę, czuję mrowienie w intymnych częściach ciała i jestem wilgotna i podniecona, a jednocześnie czuję obrzydzenie.

W innych jeszcze snach jesteśmy w ośrodku. Jesteśmy w sali grupowych spotkań i to musi być w czasie sesji. Krzesła są ustawione naprzeciwko siebie, jak zawsze w ustalonym z góry porządku, i ty tam jesteś w pierwszym rzędzie sekcji chłopców, a ja w pierwszym rzędzie sekcji dziewcząt. Motywujemy się jak szaleni, aż trzeszczą nam w stawach nadgarstki, łokcie i palce rąk. Ktoś nas wywołuje, ale nie widzę kto – czy to Hilary, czy Dwight, czy Bo, a może ktoś inny – a potem obydwójce stoimy twarzą w twarz. Ja w konfrontacji z tobą, przeciwko tobie. Wrzeszczę, rwę włosy z głowy i pluję na ciebie. Potem ty w konfrontacji ze mną, przeciwko mnie. Zachowujesz się tak gwałtownie, że próbują cię powstrzymywać. Wyzywamy się nawzajem strasznymi słowami i mówimy nienawistne rzeczy. I są łzy, prawie zawsze są łzy.

Mam także sny o zasadach. Często występuje w nich Dwight, ale czasami jest tata i robi nam wykłady, peroruje i wrzeszczy: Justine, Joshua, musicie, musicie, musicie przestrzegać zasad, żaden Ziegler nigdy nie łamie zasad, zasady są po to, by wskazywać wam drogę.

Czasami moje sny nie są tak spójne. Czasami są tylko mieszanką chwil, wycinków z naszego życia, ale całkowicie zamgloną i bez żadnego ładu. I składającą się głównie ze złych fragmentów, a nawet jeśli zdarzają się dobre, to i one wydają się złe, bo umykają, toną pod falami na naszych gubiących powietrze materacach. Nosimy klamry na zębach i tata je zaciska, zaciska coraz mocniej, widzę nas w naszej najwcześniejszej pamięci na kanapie, podanych na talerzu z gruszkami, winogronami czy bananami, dokucza nam Wayne Westbrook, przebieramy się, walczymy o Christy Crybaby, widzę tatę doprowadzonego do ostateczności, widzę, jak każe nam zbierać papierki na poboczu drogi i słyszę mamę mówiącą: „Żaden Ziegler nie śmieci w miejscach publicznych”, widzę, jak ty płaczesz w swoim łóżeczku, i widzę, jak mama mnie, grzeczną, kładzie obok ciebie, a ty nie przestajesz płakać, rodzimy się, ty wychodzisz, wykopuję cię, a

siedem i pół minuty później wydostaję się za tobą skaczemy razem, bawimy się króliczkami o imionach Bunny i Funny, i misiem Teddym Kennedym, widzę, jak uciekasz ode mnie, Joshua, jak pakujesz manatki i jedziesz stopem na Florydę z jakimś przypadkowym obcym facetem, który leniwie prowadzi swój ogromny samochód po autostradzie, i uciekasz ode mnie, widzę nas tu w programie, jesteśmy obydwójce i nikogo więcej nie ma, widzę cię, jak wymykasz się z domu w środku nocy do grubego Earla i tych swoich kumpli, widzę cię, ale ty uciekasz ode mnie.

Jest jeszcze jeden sen, przyjemniejszy. Znowu jesteśmy dziećmi, ale nie całkiem małymi, i jest tam też mama. I jest przed nami jakaś pani w kolejce do kasy w A&P i pyta mamę: „Czy oni są bliźniętami?”. Mama chce już odpowiedzieć, a ma w pogotowiu uprzejmą formułkę, jako że już wiele razy zadawano jej to samo pytanie. Ale wtedy ty robisz krok naprzód, bo jesteś pyskаты, dźgasz tę panią palcem w obojczyk, a gdy się odwraca, wykrzykujesz jej prosto w twarz, dając upust złości: „Czy jesteśmy bliźniętami? Pytała pani, czy jesteśmy bliźniętami?”. A kobieta wyjąkuje: „T... t... tak?”. „Czy Ziemia jest okrągła?”, pytasz ją. „Czy Święty Mikołaj ma czerwoną czapę? Czy Ameryka jest największym krajem na tej planecie? Czy Biały Dom jest w Waszyngtonie? Czy zima jest po jesieni? Czy wiosna jest po zimie? Czy w Chicago wieją wiatry? Czy skunks śmierdzi? Czy papież jest katolikiem? Czy coca-cola jest do picia?”. „T... t... tak”, odpowiada kobieta. „A więc czy to nie jest oczywiste?”, mówisz jej. Kocham tę zabawę i wiwatuję. Czasami to ty wiwatujesz, gdy ja wygłaszam taką przemowę, bo ja też jestem pyskata.

Ten sen w ogóle nie jest zły. Jest przyjemny. Próbuję wywoływać inne przyjemne sny, o Tobym S. i o Cindy, o tobie i o nas wszystkich, jesteśmy razem i wszystko nas cieszy, śmiejemy się i rozmawiamy, nie mamy żadnych zmartwień. Ale choć bardzo się staram je wywołać, te sny nie pojawiają się tak łatwo i często jak te inne, złe.

Rozdział 38

Jest noc, jesteśmy z Moirą same w pokoju fazowiczów w jej domu. Pyta mnie, czy ze mną wszystko OK. Doskonale wie, że nie. Nie przydzielano mnie do niej przez jakiś czas, ponad tydzień, więc nie rozmawiałam z nią o zdarzeniu z Dwightem, ale ona czuje, że coś jest nie tak. Bezsenna i złe sny, strach i wszystko inne zbierają swoje żniwo. Myślę, że każdy to po mnie widzi. Tę S. też, najprawdopodobniej. Nie mogę spojrzeć mu w oczy. Jestem ponura w grupie, podczas ćwiczeń i konfrontacji, kiwam głową na tak i zgadzam się ze wszystkim, co mówią instruktorzy. Przystaję na wszystko, wszystko jest OK, z jednym wyjątkiem – nie przyznaję się do uzależnienia.

Zastanawiam się, czy opowiedzieć Moirze o Dwightcie. Jeszcze nie spełnił swojej obietnicy, nie było „następnego razu”, lecz boję się, że będzie chciał pójść na całość już wkrótce, naprawdę wkrótce. Ale co dobrego może wyniknąć z tego, że powiem Moirze? Nie sądzę, żeby mogła cokolwiek w tej sprawie zrobić, za to czułaby się fatalnie, wiedząc o tym, i na dodatek mogłabym ją wpędzić w jakieś kłopoty. Nie byłoby dobrze, gdyby Dwight i ją uznał za godną jego szczególnej uwagi. Postanowiłam nie rozmawiać z nią na ten temat.

– Zasluguję na to, żeby tu być – mówię zamiast tego.

Siada na łóżku, które nie jest łóżkiem.

– Co masz na myśli? Chcesz powiedzieć, że jesteś uzależniona? Masz zamiar zrobić Pierwszy Krok.

– Nie o to chodzi. Nie jestem uzależniona, ale mimo to zasługuję na to, żeby tu być. To jest jak kara.

– Co przez to rozumiesz?

Spójrz mi w oczy, prosi, ale tego nie zrobię. Zresztą po co, noc jest ciemna, w pokoju i tak nic nie widać prócz cieni. Gapię się w sufit. Konstelacje gwiazd zainstalowane przez rodziców Moiry są tam i błyszczą.

– Opowiedz mi o Joshu, ile pamiętasz – proszę.

– Cicho, wiesz, że nie wolno nam wymieniać jego imienia.

– Proszę, Moiro, powiedz mi.

Wzdycha, robi głęboki wdech i wydech.

– Był miły, tyle pamiętam. Miły, dobry dzieciak.

– Mów dalej.

– Był jakiś cichy. Z drugiej strony wszyscy nowicjusze są tacy na początku, ale

jednak on wydawał się naprawdę wyciszony. Wyglądał na bardziej samotnego niż inni.

- Czy kiedykolwiek mówił o mnie? Do ciebie albo na sesjach?
- Boże, nie wiem. To było dawno. Nie pamiętam wszystkich sesji.
- Coś musisz pamiętać.

Nie zauważyłam tego wcześniej, ale jak teraz patrzę, wydaje mi się, że rodzice Moiry nie rozmieścili tych gwiazd dobrze. Poprzyklejali je jakkolwiek, byleby ładnie wyglądały. Nie jestem bardzo dobra z astronomii, ale znam jakieś gwiazdozbiory, bo przerabialiśmy je na lekcjach przyrody w szkole podstawowej z panną Fawcett i panem Jenkinsem albo z panią Wolf, albo panną Bedlow, jeśli dobrze pamiętam. Nie widzę tych konstelacji na suficie.

– Dobra – mówi Moira – Wiedziałam, że ma siostrę bliźniaczkę. A skoro to pamiętam, to znaczy, że musiał coś o tobie mówić.

- Co o mnie mówił?
- Nie wiem, nie przypominam sobie.

Nie ma na suficie Małej Niedźwiedzicy ani Wielkiej Niedźwiedzicy, na przykład. Ani Gwiazdy Polarnej.

– Czy pamiętasz, o co go oskarżali na konfrontacjach?

– Wszyscy są oskarżani o wszystko, przecież wiesz.

– Ale chodzi mi o duże sprawy, czy pamiętasz, czego od niego chcieli podczas tych zasadniczych konfrontacji z życiorysami?

– Nie. – Myślę, że Moira jednak pamięta, tylko nie chce mi powiedzieć. Ale mogę sobie wyobrazić, jak było. – Niektórym ludziom trudno jest odnaleźć się w ośrodku – kontynuuje. – Wiadomo, każdemu jest ciężko, ale niektórym szczególnie ciężko. Myślę, że Josh znosił to bardzo źle.

- Gorzej niż ja?
- To nie to samo – mówi. – Różnicie się przecież.
- Ale powiedziałaabyś, że gorzej?
- Chyba tak. Powiedziałabym, że gorzej. Tak.

Na suficie nie ma też Kasjopei.

– Powiedz mi jeszcze jedno, Moiro. – To muszę wiedzieć. – Czy sądzisz, że to było miejsce dla Josha? Czy myślisz, że był narkomanem?

Moira przez chwilę milczy. Gapimy się w sufit. Nie ma Panny ani Bliźniąt.

– Nie wiem. Zrozum, nie mnie to oceniać, nie jestem instruktorem. Co ja mogę wiedzieć o rozpoznawaniu uzależnienia?

Jest teraz lato, początek czerwca, gorąca wilgoć w powietrzu. Błądzimy

bezradnie wzrokiem po sztucznym firmamencie i słuchamy szumu klimatyzacji. W domu Moiry mają te głośne stare urządzenia, które przyczepione do okien jak pąkle chłodzą każdy pokój z osobna. Okno z takim klimatyzatorem jest tuż nad moim materacem i kiedy skrapla się w nim nadmiar wilgoci, chłodne maleńkie kropelki zraszają mi czoło i poduszkę. Wiem, że Moira nie miałyby nic przeciwko temu, żebym przesunęła materac, ale nie chce mi się go ruszyć.

To ostatniego lata mama i tata zdecydowali, że już dość. Niedługo po naszych urodzinach, piętnastych. Wtedy też klimatyzacja była włączona na maksimum.

– Wiesz, ja go tu przywiozłam – mówię Moirze.

– Kogo przywiozłaś?

– Josha. To byłam ja. Ja pomogłam przywieźć go do programu.

Zrobiłam to.

Zrobiliśmy to wszyscy troje – mama, tata i ja. Nie chciałam brać w tym udziału, ale mama mnie przekonała, powiedziała, że sami sobie nie poradzą, że ty będziesz spokojniejszy, mniej przerażony, jeśli ja przy tym będę.

Mama przekonywała tatę, że przydałby się mężczyzna do pomocy, może by namówił jakiegoś kolegę z klubu, ale tata powiedział, że nie ma mowy, by prał rodzinne brudy przy koledze z klubu golfowego, więc mama zaproponowała Feliksa Micklebauma, męża recepcjonistki Zoe. Felix nie jest członkiem klubu, pracuje jako robotnik w firmie budowlanej i ma potwierdzające to mięśnie. Tata normalnie nie rozmawia z Feliksem Micklebaumem, bo o czym, tyle że obaj byli w szkole średniej gwiazdami futbolu, więc podczas spotkań świątecznych znajdują wspólny temat. Zatem mama usłyszała, że wystarczy mu dzielić się z Micklebaumem problemami futbolowymi i że tata nie lubi plotkarstwa Zoe. Musieliśmy załatwić to sami. Problemy rodzinne, powiedział tata, najlepiej załatwia sama rodzina.

Najpierw przyszli do mojego pokoju. Nie spałam tej nocy, nie mogłam spać. Ciągle sprawdzałam akumulatorki w latarce, by upewnić się, czy są naładowane. Trzymałam światło pod kołdrą i włączałam je i wyłączałam, włączałam, wyłączałam. Błyskało i migotało jak robaczki świętojańskie, które ścigaliśmy wokół domu w letnie noce, takie jak dzisiaj. Włączałam, wyłączałam, włączałam, wyłączałam. Tak strasznie uganiał się za nimi, marząc, żeby choć jednego złapać i przytrzymać ten blask w spoconej rączce. Nazywałeś je wtedy wrózkami, bo po swojemu rozumiałeś tatę, gdy pierwszy raz tłumaczył nam, co to za żyjątka. A poza tym wiedziałeś przecież, że tak lata Dzwoneczek, błyskając i gasnąc, błyskając i gasnąc. Chcieliśmy bawić się w Piotrusia Pana i Wendy, z własnym

Dzwoneczkiem.

Robaczki świętojańskie nigdy nie dawały się dogonić. A jednak kiedyś, gdy machnąłeś ręką w powietrzu, wpadł w nią jeden z tych małych owadów i udało ci się zacisnąć palce, zanim zdążył odlecieć.

– Złapałem jednego, złapałem jednego – piszczałeś, biegnąc, żeby mi go pokazać.

Myślałam, że blask będzie bił spomiędzy twoich palców jak światło latarki, a tam niby coś błysnęło, ale zgasło, jak tylko zajrzałam do środka przez szparkę między twoim kciukiem i palcem wskazującym. Rozluźniłeś uścisk, żeby lepiej się przyjrzeć.

– Kurczę, to tylko głupia stara mucha.

Poszłam za mamą i tatą na dół do twojego pokoju. Była trzecia nad ranem i mocno spałeś. Plan był taki, żeby nie zapalać górnego światła, tylko użyć latarki. Nie rozumiałam dlaczego, ale tak zostało postanowione.

– Nie budźcie go! – rozkazał tata.

Wskazał mamie pozycję w nogach łóżka, sam stanął w głowach, po czym dał mi sygnał, żebym ściągnęła kołdrę. Prześcieradło było pozwijane, podjechało ci pod same ramiona i jeszcze okręciło się wokół ciała, gdy wierciłeś się we śnie. Chciałam je wyciągnąć spod ciebie, ale byłeś w nie zaplątany.

Tata powiedział: „Zostaw to prześcieradło”, a potem odliczył „raz, dwa, trzy” i cię unieśli – on trzymał cię pod pachami, a mama za nogi. Twoje ciało zawisło między nimi, bezwładne i ciężkie od snu, ale gdy zmagali się z ciężarem, zaczęłaś się kręcić.

– Hej, co u...

Gdy zaświeciłam ci prosto w oczy, zacisnąłeś powieki, żeby cię nie raziło, kręcąc przy tym nosem, jakby coś śmierdziało. Kto kroił ser? Kto poczuł, ten wytoczył. Obudź się, obudź się, obudź się, Joshua. Uciekaj.

– Co u...

– Justine, drzwi – powiedział tata.

Nie chciałam, ale otworzyłam i przytrzymałam drzwi, gdy mama i tata cię dźwigali. Tata wytrzymał ciężar twojego ciała, za to mama walczyła z twoimi nogami. Nagle zaczęłaś kopać. Wściekle wierzgać nogami.

– Odczep się ode mnie! – Twoja pięta jak pocisk trafiła w brzuch mamy, która z łoskotem upadła do tyłu.

– Justine, złap brata za nogi.

Tego też nie chciałam robić, ale zrobiłam i wtedy przestałeś kopać. Nie mogłam

patrzeć ci w oczy, więc wpatrywałam się w twoje stopy. Wyrosły ci włosy na palcach i zastanawiałam się, kiedy to się stało oraz dlaczego wcześniej tego nie zauważyłam. Cały czas pytałeś mnie „Co u... co u... co u... licha się dzieje”. Nie odpowiadałam, mama też się nie odzywała, a tata mówił coś do nas ponad twoją głową. Nie odrywałam wzroku od twoich stóp, ponieważ nie mogłam odpowiedzieć ani patrzeć ci w oczy. To dobrze, że nie zapaliliśmy światła. Mama zajęła się latarką, doprowadziła nas do garażu i tak właśnie wsadziliśmy ciebie razem z prześcieradłem do samochodu.

Nie pojechałam, opuściłam cię, sami zawieźli cię do ośrodka, więc nie widziałam, jak kopaleś i wrzeszczałeś, gdy szarpały cię jakieś typy na podobieństwo Marka i Leroya, które zapewnić miały silną obstawę w środku nocy, jeśli o takiej porze było zaplanowane przyjęcie. Tego już nie widziałam. Ale w tym wszystkim miałam swój udział.

– Zasluguje na to, żeby tu być – mówię Moirze, i jestem o tym przekonana.

Rozdział 39

Liściki od Toby'ego S. nadchodzą w dalszym ciągu. Nie są długie. Czasami składają się zaledwie z kilku słów. Píše takie rzeczy, jak: „Jesteś piękna”. „Uśmiechaj się”. Albo: „Pamiętaj, że czuwam”.

Oczywiście, że pamiętam o tym, nigdy nie zapominam. Ale od incydentu z Dwightem też się zamartwiam. Niepokoję się, co widzi Toby, kiedy mnie obserwuje.

Czuję się taka brudna, Josh, brudna i odrażająca, obleśna i plugawa, przyłgnęło do mnie coś obrzydliwego, jakbyś wdepnął w g... i nie mógł potem sczyścić tego z podeszwy. Czy Toby widzi, co mi się stało? Czy dostrzega na mnie odciski palców Dwighta?

Wiesz, że jeszcze nawraca jego smak. Czasami to odczucie jest tak silne, że nie mogę jeść mojego zestawu Happy Meal z McDonalda ani cebulowych pierścieni z Burger Kinga, ani tostady z Taco Bell czy innego fast foodu przywiezionego na lunch. Albo muszę to wypluć po ugryzieniu jednego kęsa. Smakuje jak pleśń, sól, pełnotłuste mleko i chlor wymieszane razem.

Gdy mignie mi gdzieś przed oczami odbicie mojej twarzy, próbuję sprawdzić, czy rzeczywiście wyglądam tak okropnie, jak się czuję. Nigdzie nie ma luster, ale czasami udaje mi się przejrzeć w szybie samochodu któregoś z gospodarzy albo w drzwiach kabiny prysznicowej, zanim moja opiekunka zdąży zauważyć to przestępstwo. Odbicie jest jednak zawsze zamazane, niewiele mi mówi, poza tym że urosły mi włosy i cały czas są naelektryzowane, a twarz mam ogromną jak dynia.

Co więcej, wykoślawiają się ohydnie pozbawione aparatu zęby. Kiedy przejeżdżam po nich językiem, wyczuwam szpary między siekaczami, kłami i trzonowcami, wszędzie szpary, wielkie jak kaniony. Mieszkanka przyczepy to ja, z tym krzywym, dziurawym uśmiechem. Czy męczarnia z kłamrami poszła na marne?

A do tego jeszcze na własne oczy widzę, jaka się robię gruba. Spoglądam czasem na swoje ciało i go nie poznaję. Wszędzie fałdy, gdzie ich w ogóle nie było, i dołeczki, gdzie ich być nie powinno. Wstydzę się nieogolonych pach i nóg. Czuję się jak duży, gruby, owłosiony goryl. *Jestem* dużym, grubym, owłosionym gorylem. I dziwką, Josh, dziwką też. Dziwką Dwighta. To wszystko musi widzieć Toby, kiedy na mnie patrzy, taki obraz sobie utrwała przez obserwowanie mnie.

Ale jeśli tak jest, nie daje tego po sobie poznać. Komunikaty od niego ciągle przychodzą, a w nich: „Jesteś śliczną dziewczyną”. Albo: „Zesłało Cię niebo”, i zawsze są podpisane: „Twój AS”.

Z liścików Toby’ego dowiaduję się o nim coraz więcej. Sam fakt, że uparcie je nadsyła, podejmuje ryzyko pisania i przekazywania ich jakimś cudem Moirze, świadczy o tym, że jest dzielny, przedsiębiorczy i odważny. A z tego, co pisze, dowiedziałam się, że jest także miły, ciepły i troskliwy. Jest dżentelmenem, Josh, prawdziwym dżentelmenem.

Liściki od Toby’ego są zawsze wydarzeniem dnia, kiedy je dostaję, choć nie zdarza się to tak często, jak bym chciała. Czasami mija kilka dni, zanim znajdzie sposobność przekazania karteczki Moirze, a potem jeszcze trochę czasu upływa, zanim ona uzna za bezpieczne wsunięcie notatki do mojego zeszytu, zwłaszcza że nie jestem do niej regularnie przydzielana. Ale kiedy ta korespondencja wreszcie dociera, jest warta czekania. Chciałabym odpisać i przekazać mu całe mnóstwo miłych rzeczy, ale nie mogę, nie mam odwagi. Ja nie jestem już tak silna, Josh.

Pewnego razu w domu Moiry, bo taki był przydział tego dnia, nie mogę już znieść oczekiwania na bezpieczny moment i prawie natychmiast otwieram zeszyt Obrachunków Moralnych i kartkuję go, żeby sprawdzić, czy jest liścik. Jest. Znajduję go w środku między niezapisanymi stronami. A na nim słowa: „Możemy uciec. Bądź gotowa. Twój AS”.

Uciec?

– Zamknij Obrachunki Moralne! – rzuca Moira. Wygląda na zdenerwowaną bardziej niż zwykle i założę się, że wiem dlaczego. Moira przysięga, że nie czyta karteczek od Toby’ego, zanim mi je przekaże, ale sądzę, że tę czytała i jest przestraszona.

Później, po zjedzeniu obiadu i odejściu rodziców od stołu, kończymy sprzątanie w kuchni. Jako nowicjuszka nie mam prawa dotykać się naczyń, więc Moira pakuje je do zmywarki, a ja ścieram stół.

– Przekazujecie sobie za dużo wiadomości. To się robi zbyt niebezpieczne.

Nic nie mówię, bo jeśli się z nią zgodzę, może odmówić dalszego przekazywania mi wiadomości od Toby’ego S., a tego bym nie zniosła.

– Niszczysz je? Pozbywasz się wszystkich, tak jak ci kazałam?

– Tak – mówię.

Spogląda na mnie groźnie.

– Nie wierzę ci.

I ma rację. Powinnam w ubikacji spuszczać karteczki z wodą, jak kazała, ale w obecności innego nadzoru czasem nie mam takiej możliwości. Przede wszystkim jednak nie chcę tego robić. Lubię czytać je jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz. Tylko one wywołują mój uśmiech.

– Zniszczyłam większość z nich – informuję.

– Daj mi resztę. Już! – Wyrywa mi z rąk zeszyt i potrząsa nim. Karteczki wypadają na podłogę jak zawstydzone jesienne liście, wypada i ta, którą dostałam dzisiaj. – Wrzucam je do rozdrabniacza odpadków, i na tym koniec.

Odwracam się tyłem, gdy Moira uruchamia rozdrabniacz, słyszę okropny, bulgocząco-zgrzytliwy odgłos mielenia.

Rozdział 40

Mamy czternaście lat i zaczynamy pierwszy rok nauki w High School imienia Johna F. Kennedy'ego. Barwy naszej szkoły to kolor czerwony i niebieski, a naszymi maskotami są prezydenci, co stanowi trudność przy projektowaniu kostiumów. Dekoruje się więc podium na oficjalnych imprezach i bębni szkolnej orkiestry na paradzie, i inne tego typu akcesoria podobiznami czterech prezydentów, skopiowanymi z rzeźby na górze Rushmore, co jest raczej śmieszne, zważywszy na to, że nie ma wśród nich J.F.K. Ale uczniom to nie przeszkadza, a zwłaszcza nam, bo kochamy naszą szkołę. Teraz mamy dobry okres w życiu.

Zawsze marzyliśmy o tym, żeby być w szkole średniej, i wyruszając do niej pierwszego dnia, czujemy się bardzo ważni i dorośli. Tak jest niestety wyłącznie w naszym mniemaniu. Jesteśmy pierwszakami i gdy tylko wkraczamy w mury szkoły, zanim jeszcze przydzielono nam szafki, zaczyna się. Seniorzy, juniorzy i przede wszystkim drugoklasiści, którzy popchnęli nas w holu tak mocno, że wypadły nam z rąk książki, szybko dają nam do zrozumienia, że nie jesteśmy ani ważni, ani dorośli.

W Kennedy High po raz pierwszy w życiu jesteśmy w różnych klasach. Mamy uczyć się tych samych przedmiotów – angielskiego, algebry, historii, wiedzy obywatelskiej i innych – ale mnie zaliczono prawie we wszystkich do grupy zaawansowanych, z uwagi na moje oceny w ostatnim roku i wyniki testów na umiejętności ogólne. A ciebie nie. Dlatego tak się stało, mówisz, że jesteś opóźniony w rozwoju, i nie dajesz się przekonać, gdy na wszelkie sposoby tłumaczę ci, że to nieprawda.

Szafki mamy blisko siebie, więc czasami wpadam na ciebie w holu, chociaż niezbyt często. Zwykle nie mamy okazji, żeby pogadać, aż do powrotu do domu po popołudniu, kiedy rozwalamy się na kanapach w salonie, plotkujemy i zgłębiamy intrygi w telewizyjnym serialu *General Hospital*. A czasami nie widzimy się nawet popołudniami, bo zapisałam się do cheerleaderek i żeńskiej drużyny koszykówki, tak że często mam różne spotkania i zajęcia po szkole. Jednakże kiedy tylko możemy, nadrabiamy te zaległości.

Pewnego dnia podczas lunchu w stołówce, czyli na długo przed godziną emisji serialu *General Hospital*, Melanie Heath z hukiem stawia swoją tacę na stole, przy którym siedzę z Cindy. Mówi mi, abym ci powtórzyła, że na lekcji angielskiego pan Waldemar zapowiedział na jutro sprawdzian ze słownictwa. Śmieję się na to i

mówię, że raczej nie muszę ci przypominać, skoro usłyszałeś o tym w klasie. Właśnie o to chodzi, mówi Melanie Heath, że nie było cię na lekcjach. Uznała, że pewnie jesteś chory albo coś takiego.

Dobrze wiem, że nie jesteś chory, ale tego nie zdradzam, przytakuję Melanie, ach tak, rzeczywiście, Josh dzisiaj leży, jest przeziębiony.

Cały czas po lunchu zastanawiam się, gdzie, u licha, możesz być. Między trzecią i czwartą popołudniową lekcją wymykam się do telefonu na parkingu i próbuję zadzwonić do domu, ale cały czas mam sygnał zajęty. Przed piątą lekcją postanawiam wyjść ze szkoły i zobaczyć, co się z tobą dzieje.

Kiedy otwieram drzwi wejściowe do domu, wita mnie cisza. Rozglądam się za tobą w pokoju telewizyjnym i w pokoju dziennym, ale nie ma ani śladu twojej obecności. W kuchni znajduję odłożoną słuchawkę i narzuconą na nią poduszkę z kanapy, mającą zagłuszyć nagranie: „Proszę odłożyć słuchawkę, proszę odłożyć słuchawkę”.

A potem wchodzę do twojego pokoju.

Drzwi są zamknięte, a kiedy otwieram je z rozmachem i wpadam do środka, chcąc cię zaskoczyć, Lloyd Taggart skacze pod sufit.

– Co ty tu robisz, Lloyd? – zaczynam mówić, choć w jednej sekundzie staje się dla mnie jasne, co Lloyd tutaj robi. Jest nagi w twoim łóżku i ty jesteś w łóżku i też nagi.

W mgnieniu oka Lloyd się ewakuuje, zakrywając się po drodze wysłużonym Teddym Kennedym z naszej kolekcji pluszaków, które ciągle jeszcze trzymasz przy poduszce. Szuka na podłodze ubrania i bełkocze coś o tym, że to nie tak, jak ja sobie myślę, że to nie tak, jak to wygląda, że tylko się zabawialiście, tylko eksperymentowaliście, a ja pewnie nie wiadomo co sobie wyobrażam.

Lloyd wkłada spodnie na lewą stronę i oczywiście ma kłopot z suwakiem, ściąga je i zaczyna ubierać się od początku. I cały czas wyrzuca z siebie potoki słów, ja stoję w drzwiach, a ty leżysz w łóżku, naciągnąwszy na siebie kołdrę. Lloyd błaga, żebym na niego nie doniosła, żebym nic nie mówiła jego rodzicom ani naszym rodzicom, ani nikomu, wymusza na mnie obietnicę, że nawet słowem nie pisnę o tym Cindy czy Daviemu ani nikomu znajomemu. Ani słówka. To wcale nie jest tak, jak myślisz, powtarza bez przerwy.

Potem patrzy na ciebie, jest mu naprawdę głupio.

– Przepraszam, Josh – mamrocze.

Galopem wypada z pokoju, nie zawiązawszy nawet sznurówek. Słyszymy, jak przewraca się w holu. Potem słyszymy, jak klnie, a po chwili przerwy, jak galopuje

do drzwi wejściowych, które zamykają się za nim z hukiem.

„Co ty sobie myślisz?”, pytam, a ty nic tylko leżysz w łóżku z kołdrą naciągniętą na głowę. „Każdy mógł tu wejść”, mówię. „Mama. Albo tata”.

Radzę, żebyś był ostrożniejszy, a ty mnie ignorujesz. Wtedy mówię ci, że masz jutro sprawdzian ze słownictwa na zajęciach pana Waldemara i powinieneś się pouczyć. Ty dalej mnie ignorujesz. Trzymasz głowę pod kołdrą i czekasz, aż wyjdę.

Następnego dnia w szkole po sprawdzianie ze słownictwa, który oblewasz, Lloyd Taggart prosi Melanie Heath, żeby z nim chodziła, a ona się zgadza. Ty nie chcesz rozmawiać o tym ani o niczym innym, w ogóle o niczym, nawet o serialu. A Lloyd zachowuje się odtąd dość dziwnie przy nas, zwłaszcza przy tobie. Przez jakiś czas praktycznie w ogóle nas nie odwiedza.

Rozdział 41

Piątek, pora lunchu, właśnie ustawiliśmy stoły, równo, równiutko. Zajmuję swoje miejsce i ku mojemu zaskoczeniu, oj, jak miłemu, widzę, że prawie dokładnie naprzeciwko mnie ulokował się Toby S. Nie mam pojęcia, jak mu się to udało. Może to tylko przypadek, ale nie sądzę. Powstrzymuję się od wpatrywania w niego, trzymam głowę pochyloną nad stołem, za to uśmiecham się od ucha do ucha, żeby wiedział, że się cieszę.

Menu jest dzisiaj z Burger Kinga, dostaję ich wersję Chicken McNuggets, co mi odpowiada. Kiedy sięgam na środek stołu po sos, Toby robi to samo i nasze palce przez chwilę się stykają. Nie na tyle długo, by mogło to zwrócić czyjąś uwagę, niemniej kontakt był, pierwszy taki kontakt, i ten dotyk Toby'ego przeszywa mi rękę od palców w górę, jak błyskawica. Schylam głowę i jeszcze raz się uśmiecham, od ucha do ucha oczywiście.

Po posiłku piątofazowicze rozdają ołówki i czyste świstki na raporty, więc wszyscy zasklepiają się nad swoimi karteluzkami i zaczynają gryzmolić. Jak zwykle nie wiem, co pisać. Gdy się nad tym głowię, Toby upuszcza ołówek. Nurkuje po niego pod stół i wykorzystuje ten moment, żeby mnie połaskotać w kostkę. Prąd przeszywa mi nogę jak poprzednio rękę i robię, co mogę, żeby się nie rozchichotać, nie roześmiać na cały głos. Pochylam głowę i uśmiecham się od ucha do ucha.

Być może nie potrafiłabym się głośno do tego przyznać, ale te porażenia prądem mnie zainspirowały. Lekko oszołomiona i w figlarnym nastroju, pochylam się nad moim raportem i piszę: „Malcolm X nie skończył swojej porcji Happy Meal”. Wydaje mi się to zabawne, bo nie mamy dzisiaj jedzenia z McDonalda i w programie nie uczestniczy Malcolm X, ale założę się, że taki czy inny idiota z piątej fazy, sortujący te świstki, nie musi wiedzieć, kto to był, i że prawdziwy Malcolm X żył i bronił praw Murzynów. A więc prawdopodobnie nic mi nie grozi.

Gdy po cichu rozkoszuję się myślą, jak będzie taki idiota skonfundowany, słyszę cichutkie stukanie. Podnoszę głowę znad kartki i widzę, że Toby puka w blat stołu gumką od ołówka, tak jak ty mógłbyś robić podczas egzaminu, pogrążony w rozgryzaniu któregoś z pytań. Potem Toby kładzie palec na blacie, jakby chciał bardzo dyskretnie pokazać w dół. Chce, żebym spojrzała pod stół.

Nerwowo rozglądam się po sali. Jestem pewna, że ktoś to zauważy. Jeśli mnie złapią, będę w poważnych tarapatach, bardzo poważnych. Ale najwyraźniej nikt nie

patrzy. Biorę głęboki wdech, staram się uspokoić, po czym wypuszczam ołówek spomiędzy palców i nurkuję w dół, żeby go podnieść. Toby zostawił koło mojej stopy kolejny liścik. Oderwał malutki skrawek od karteczki z raportem i coś na nim napisał ołówkiem, ale tak delikatnie, że trudno to przeczytać pod stołem, bo nie dociera tu światło. Wyteżam jednak wzrok i udaje się.

Wiadomość brzmi: „Dziś wieczorem”.

Szybciotko zwijam papierek. Co mam z nim zrobić, gdzie go wsadzić, co będzie, jeśli go przy mnie znajdą? Nie wolno mi wpadać w panikę. Nagle dostrzegam torebkę po lunchu z Burger Kinga, leżącą pod krzesłem dziewczyny siedzącej obok mnie. Umazaną w musztardzie i z resztkami ogórka. Wtykam karteczkę w grudkę musztardy, robię zbitą kulkę z torebki z liścikiem w środku i zostawiam ją pod krzesłem tej dziewczyny.

Wyłaniam się spod stołu akurat w porę, żeby wrzucić złożoną na pół karteczkę z moim raportem do poszewki. Nie myślę, żeby ktokolwiek widział, co robiłam pod stołem. Na pewno jeszcze przed popołudniowym treningiem kulka trafi pod szczotkę razem z innymi śmieciami po lunchu, zostanie wrzucona do plastikowego worka, a następnie do kontenera na tyłach parkingu. Zniknie.

Ale tamte słowa nie znikły, wyrwały się w moim mózgu. „Dziś wieczorem”.

Wiem, co Toby ma na myśli. Wiem, że to na serio, ta ucieczka ma być na serio, wyrwiemy się z tego miejsca, wyrwiemy się stąd dziś wieczorem. Nie wiem, jak to ma się odbyć, i nie chcę wiedzieć. Po prostu chcę stąd uciec. Ufam Toby'emu i chcę mu wierzyć.

Ale wiesz, Josh, z drugiej strony boję się. Jestem przerażona. Ze strachu zamiera mi serce i dławi mnie w gardle. Nie wiem, czy sprostim temu, czego będzie ode mnie wymagała nasza ucieczka.

Mimo wszystko kiwam porozumiewawczo głową i przesyłam uśmiech od ucha do ucha, żeby Toby wiedział, że znalazłam jego liścik, wiem, co znaczy, i jestem szczęśliwa. Ten uśmiech na lekko drżących wargach jest teraz trochę węższy niż poprzednie, ale on na pewno tego nie zauważy. Nie powinien wiedzieć, jak bardzo się boję.

Rozdział 42

Cały dzień się zastanawiam, jak będzie wyglądała nasza ucieczka. Od dnia kiedy Moira dała mi pierwszą wiadomość od Toby'ego, że to możliwe, stale nad tym rozmyślałam. Ale wtedy jeszcze w to nie wierzyłam. Uznałam, że Toby napisał to tylko po to, żeby mnie pocieszyć, bo nigdy nie należy tracić nadziei.

Od dłuższego już czasu nie pozwalałam sobie na poważne rozważanie ucieczki z ośrodka. Na początku chętnie wmawiałam sobie, że przyjedzie Cindy albo Lloyd, albo jakiś inny wybawca, choć przecież wiedziałam, że nie byłabym w stanie przekazać im wskazówek, jak tu jechać i mnie znaleźć. Tamta nadzieja prysła owej nocy, kiedy dowiedziałam się, że zostaję tu na dobre, kiedy mama powiedziała, że dla moich przyjaciół jestem w Kansas. Wtedy wiedziałam już, że nikt tu po mnie nie przyjedzie.

Jednakże odkąd dostałam liścik Toby'ego, wyobraźnia na nowo zaczęła pracować. Ucieczka. Ponosi mnie fantazja. W najbardziej odrealnionych wizjach widzę ciebie – opalonego słońcem Florydy – to ty pomagasz wydobyć stąd Toby'ego i mnie, przybywasz, żeby mnie ratować, tak jak ja bym przybyła, żeby ratować ciebie, Josh, przysięgam, gdybym tylko wtedy wiedziała. I wyobrażam sobie, że gdy już będziemy wolni, zadzwonię do Cindy i Lloyd'a i pójdziemy wszyscy połączyć się w centrum handlowym. Przedstawiłabym im Toby'ego, a oni by go polubili, po prostu wiem, że by go polubili, tak samo i ty. A potem, rano, siedzielibyśmy nad naszym basenem, bawiąc się w wodną ciuciubabkę, i zaprosilibyśmy też Richiego Richardsona i może Daviego Kirchnera, który nie jest nawet w połowie tak cudowny jak Toby S., i wszystkich znajomych z sąsiedztwa, i bawilibyśmy się w całowanie berka. Tata by rozpałił grilla i serwował hamburgerki i hot dogi, siedzieliby z mamą na zewnątrz, śmiejąc się razem z nami i ochlapując nas dla zabawy wodą, i mówiliby nam, Josh, jak to dobrze, że jesteśmy w domu, że wszystko jest tak jak dawniej, tak jak być powinno.

Nie mam jednak głowy w chmurach i zdaję sobie sprawę, że nie tak będzie wyglądała nasza ucieczka, nie będzie ani trochę tak miło. Nie wiem, co się ma zdarzyć, ale Toby S. musi mieć jakiś plan, więc tak jak prosił, przygotowuję się i na razie bołą mnie wszystkie mięśnie, bo naprężam i napinam je od wielu godzin, żeby być sprawna.

Gdy wieczorem nadchodzi pora Spotkania Otwartego, nerwy mam napięte jak struny, w oczekiwaniu. Widzę, jak przybyli rodzice Toby'ego i jego młodsza

siostra, w napływającym tłumie widzę też inne znajome twarze. My, fazowicze, wydzieramy się na melodię *Rocky Mountains High*, też śpiewam, ile sił w płucach, z tego zdenerwowania, podekscytowania i przerażenia.

High naturalny mam Bo czystą drogę znam High bez igły mam Bo czystą drogę znam.

Wszystko na Spotkaniu Otwartym wlecze się, ciągnie w nieskończoność, jak syrop klonowy ciotki Jemimy. Do tego zdaje się, że nic nie przebiega normalnie, co mnie tym bardziej deprymuje. Po pierwsze są nasi rodzice. Nie spodziewałam się ich. Żadne z nich od tygodni nie było na Spotkaniu Otwartym, a razem nie pojawiali się tu od jeszcze dawniej, a teraz są obydwój. Zauważam ich dopiero wtedy, kiedy już siadają. Mama popatruje wokół i nasze oczy się spotykają. Uśmiecha się. Mocno tym zaskoczona, nie odpowiadam uśmiechem, zresztą trudno o uśmiechy, gdy człowiek się na całe gardło wydziera, więc śpiewam dalej sprofanowane piosenki Johna Denvera.

Potem jest jakiś problem z mikrofonem instruktorów i wieczność upływa, zanim stwierdzają, że nie da się nic z nim zrobić, i wstrzymują wszystko, a Lois biegnie po zapasowy i wraca w końcu z megafonem, bo mikrofonu nie mogła znaleźć. I tak Dwight krąży po sali z megafonem. Wygląda jak trzepocząca się ćma, cała w bieli, w białych sportowych spodniach i białej koszulce polo, tyle że jest głośniejszy niż ćma, głośniejszy jest przez megafon niż zwykle bywa, co wywołuje u wszystkich gorszy niż zwykle ból głowy. W części rodzice/fazowicze personel pozwala dłużej niż zazwyczaj grzmieć tym pierwszym w pełnych oburzenia tyradach w reakcji na złe raporty, a kiedy dwóch nowicjuszy „idzie do domu”, całe chyba wieki biegną przez salę, a potem uściskom, łzom i wiwatowaniu też w ogóle nie ma końca.

Doznaję ukłucia niepokoju, ostrzejszego niż zwykle, gdy mikrofon wędruje do mojego rzędu. Kiedy wstaję, Hilary ogłasza, jaki jest mój status, i przynajmniej to nie odbiega od normy.

– Justine Z. w dalszym ciągu zaprzecza – Hilary ogłasza wyrok. – Zrobiła w tym tygodniu małe postępy.

Nie widziałam rodziców od czasu, kiedy non stop lałam łzy, i chciałabym, żeby oni, a zwłaszcza mama, wiedzieli, że płakałam, że ryczałam jak bóbr, ale Hilary nie mówi nic na ten temat. Ramona wręcza mamie mikrofon i usta mamy wyginają się w tę smutną małą podkówkę i wiem, że z trudem powstrzymuje łzy.

– Brakuje mi moich maleństw, Just, brakuje mi moich małpeczek.

Przekazuje mikrofon tacie, spinam się cała w oczekiwaniu na atak z cyklu

patrz-co-robisz-swojej-matce, ale tata też wygląda na smutnego. Ramiona ma opuszczone i wzdycha.

– Też mi ciebie brakuje, Just – mówi. – Wiemy, na co cię stać. Po prostu weź się w garść. Dobrze?

– Kocham was, mamó i tato! – Wykrzykuję formułkę tak beznamiętnie, jak tylko można sobie wyobrazić.

W końcu nadszedł czas na wyznania piętofazowiczów. Nie mogę się skupić. Erie H. recytuje swoją historię, którą słyszałam już co najmniej trzy razy – o LSD, dealerce i kapusiu. Odwracam głowę w stronę Toby'ego S., żeby zobaczyć, co robi, czy nie daje jakiegoś sygnału. Ale widzę go tylko z profilu i nie wiem, jaki ma wyraz twarzy.

Nadstawiam uszu, kiedy Hilary wywołuje Moirę. Nie do pomyślenia, ale w ogóle nie przypominam sobie zeznania Moiry. Tak długo tu jestem, że nie mogłam go nie słyszeć. Jeśli występowała z nim podczas jakiegoś Spotkania Otwartego już w czasie mojego uczestnictwa w programie, to musiało to być w jednym z tych tygodni, kiedy byłam zupełnie nieobecna duchem, bo nie pamiętam ani słowa. Dziewczyna, o której mówi, w niczym nie przypomina znanej mi Moiry.

Słucham, jak Moira poznała swojego narkotykowego chłopaka kiedyś w nocnym klubie, choć w ogóle nie powinna się tam znaleźć, bo była nieletnia, ale weszła tam, bo jakiś narkotykowy kumpel wycygał dla niej dokument tożsamości i chociaż wykidajło wiedział, że to nie jej, bo Moira ani trochę nie była podobna do dziewczyny ze zdjęcia w dokumencie, powiedział, że chętnie przymknie na to oko, jeśli się z nim popieści, co zrobiła niemal w drzwiach klubu, i on przymknął oko, a potem ona poszła z nim tej nocy, choć miała ją spędzić z tamtym narkotykowym kumplem, i uprawiała seks z wykidajłą i nie był to jej pierwszy raz, choć miała dopiero czternaście lat. Ten facet został jej narkotykowym chłopakiem, a Moira nie wspomniała o nim rodzicom, boby go nie zaakceptowali, ponieważ był ponad dziesięć lat starszy i miał więzienną przeszłość, ale nigdy nie powiedział, za co siedział, więc uznała, że to nie było nic poważnego.

Narkotykowy chłopak Moiry, ten wykidajło, miał do czynienia z różnymi narkotykami i choć nie parął się dealerstwem na serio, sprzedawał je czasem odpowiednim ludziom w drzwiach nocnego klubu, a wiadomo było, komu można, ale Moirze dawał za darmo. Już wcześniej paliła trawkę z narkotykowymi kumplami, ale ten nowy, mocno starszy narkotykowy chłopak wciągnął Moirę w kokainę i grzybki, amfetaminę i inne pobudzacze, w środki uspokajające, w ogóle we wszystko, co możliwe. I rozsmakowała się w tym. Podobało jej się, że może

sobie zażyć taki czy inny narkotyk, osiągnąć pożądany stan, odlecieć, gdy miała ochotę, albo przyhamować, a gdy chciała czuć się normalnie, też wiedziała, po co sięgnąć.

Moira musiała brać coraz większe i większe dawki narkotyków, żeby osiągnąć ten sam efekt, jazdy były coraz krótsze, a dołki coraz dłuższe, w końcu narkotykowy chłopak powiedział jej, że to robi się za kosztowne, że on nie zarabia aż tyle na małych działkach w klubie, żeby starczyło na nich dwoje, więc niech sama ciągnie swój wózek. Na pierwsze działki ukradła wtedy trochę pieniędzy z portmonetki mamy, ale to nie na długo starczyło, więc wkrótce kradła mamie bransoletki z kasetki z biżuterią, a potem różne inne rzeczy z domu, których brak nie od razu rzucałby się w oczy, na przykład sprzęt wędkarski taty, schowany na półce w garażu, czy prezenty gwiazdkowe, już zapakowane, schowane na strychu, ale potem i tego było za mało, więc Moira ze swoim narkotykowym chłopakiem uknuli plan sfingowania włamania do domu jej rodziców. Miało wyglądać na to, że ktoś się włamał i zabrał dwa telewizory, wideo, kuchenkę mikrofalową i całą zawartość kasetki z biżuterią mamy.

Gdy już przetarli szlak, narkotykowy chłopak Moiry powiedział, że mogą spróbować tego samego w innych domach, więc wybrali kilka z sąsiedztwa Moiry, zaczynając od tych, w których pracowała jako baby-sitter albo gdzie podlewała starszym ludziom ogródki. Wchodzili tylko wtedy, kiedy mieli pewność, że nikogo nie ma w domu, i przed każdym zadaniem byli na dobrym haju. Ale właśnie z tego powodu zaczęli fuszerować, bo jarali za mocno i zapominali o ostrożności, tak że pewnej nocy w jakimś domu, gdy otworzyli jedną z szuflad właściciela w poszukiwaniu gotówki i znaleźli broń, a była naładowana, narkotykowy chłopak Moiry zaczął się wygłupiać i wołać patrz, jestem Butch Cassidy, a ty Sundance Kid, i gdy tak się wygłupiał, właściciel, emeryt, wpadł na nich, a oni nie usłyszeli, jak się zbliżał, więc gdy narkotykowy chłopak Moiry zobaczył go za jej plecami, był tak przestraszony i ogłupiał, i naćpany, że zanim pomyślał, zastrzelił tego emeryta. Moira miała krew na koszuli.

Policja znalazła Moirę następnego dnia w mieszkaniu jej narkotykowego chłopaka, a wiedzieli, gdzie szukać, bo ona i jej narkotykowy chłopak zostawili wszędzie odciski palców. Moira omal nie umarła od dawki, którą wzięła, a jej narkotykowy chłopak zwał. Policja złapała go później i wsadzili go z powrotem do więzienia. Moirę potraktowali łagodniej, bo była nieletnia, a poza tym według ustaleń policji nie brała udziału w strzelaninie, chociaż narkotykowy chłopak zeznał inaczej, więc Moira wylądowała w zakładzie dla nieletnich, gdzie przeżyła

piekło i była na kilkumiesięcznym detoksie, a potem władze pozwoliły rodzicom zabrać ją z zakładu, bo obiecali oddać ją do programu Come Clean i trzymać pod ścisłym nadzorem. A kiedy już znalazła się w programie, choć przez wiele miesięcy zaprzeczała, że jest uzależniona, w końcu zaakceptowała swoją bezsilność i powierzyła siebie Najwyższemu, dołączając do tych, którzy wcześniej od niej weszli na drogę zdrowienia, i teraz chciała podziękować im za to, że pomogli jej być czystą, ale przede wszystkim chciała podziękować rodzicom za to, że ratowali jej życie. Dzień po dniu.

Wyznanie Moiry było zdecydowanie najdłuższe ze wszystkich, jakie słyszałam w czasie Spotkań Otwartych, ale nikt nie miał jej za złe przekroczenia czasu. Publiczność oniemiała.

Szukam wzrokiem w tłumie rodziców Moiry. Oboje mają łzy w oczach, a tata Moiry pokazuje córce gest zwycięstwa i wyglądają na takich dumnych. Trudno mi uwierzyć, że przez to przeszli. Patrzę na całą ich trójkę inaczej i też czuję się dumna. I trochę się w tym gubię.

Po wyznaniach i końcowych informacjach Dwight ogłasza, że czas na odrębne sesje. Ramona krzyczy, że dzieci mają wychodzić za nią, ponieważ spotkania z rodzeństwem są dzisiaj w innym pomieszczeniu. Wszyscy bracia i siostry wstają i zbierają swoje rzeczy – i to właśnie wtedy pojawia się pierwszy sygnał, że przygotowany przez Toby'ego plan ucieczki zaczyna wcielać się w życie.

Rozdział 43

Końcówka Spotkania Otwartego zostaje zakłócona przez potężną eksplozję na parkingu. Bang! A potem jeszcze jedna. Bang!

Niektóre z przybyłych na spotkanie dzieci rzucają się do podwójnych drzwi. Otwierają je na oścież i wyglądają w ciemną noc. Bang! Kilkoro młodszych zakrywa oczy i zaczyna płakać. Jakaś dziewczynka w zadziwieniu wykrzykuje: „Och, jak ładnie!”. Ma około dziewięciu lat, kucyki i uroczy uśmiech na buzi, skapanej teraz w liliowym świetle. Wszyscy wyciągają szyje, żeby coś zobaczyć, i ja też, i widzę kątem oka fragment czarnego nieba i – bang! – zalewa się ono kolorami, słychać świst i trzask fajerwerków. Z tłumu wydobywa się przeciągłe aaaach.

Potem coś wlatuje przez otwarte drzwi, ponad głową dziewczynki z kucykami i głowami innych dzieci. Syczy i śmierdzi, a w ślad za tym leci następny pocisk. Ładują oba w pomieszczeniu i – bang! bang! – eksplodują i sala jest pełna dymu. Nie widzę płomieni, ale ktoś widzi albo mu się wydaje, bo słyszę krzyk kobiety, jednej z mam: „Pali się!”, a potem drugi głos, tym razem męski: „Uciekajmy!”. Alarm przeciwpożarowy w budynku zaczyna wyć, mikrofony zostają porzucone i lecą na podłogę, piszcząc jakby w proteście. Rodzice i dzieci w popłochu biegną do drzwi frontowych i tylnych, a fazowicze, przewracając krzesła, też pędzą do najbliższych drzwi na parking. Dwight trzyma megafon i ryczy, by wszyscy, proszę, proszę, do jasnej cholery, opamiętali się, słyszę też głos Hilary, która apeluje o spokój i prosi starszych fazowiczów, żeby zgodnie z panującymi obyczajami wyprowadzili nowicjuszy z budynku.

Mimo tych apeli wszyscy biegną bezładnie, kaszląc, krztusząc się i wrzeszcząc, nie daje się odróżnić rodziców i dzieci od fazowiczów i personelu. Przez snujący się dym widzę, jak jeden z chłopaków, piątofazowicz, próbuje przez pomyłkę złapać za sprzączkę Ramonę i obrywa mu się za głupotę. Gdy zmierzam do wyjścia, ktoś łapie mnie z tyłu za spodnie i ciągnie z całej siły tak mocno, że wrzynają mi się w ciało, jakbym za chwilę miała być przecięta na pół. Przy drzwiach powstało wąskie gardło – z rozpychaniem się łokciami, potrącaniem się i deptaniem sobie nawzajem po nogach. Mam nadzieję, że nic się nie stało tej małej dziewczynce z kucykami, a ktokolwiek trzymał mnie od tyłu za spodnie, puścił wreszcie i aż trudno uwierzyć, ale wymknęłam się na parking, jestem wolna na otwartej przestrzeni i nikt, zupełnie nikt za nic mnie nie chwyta.

Na zewnątrz również panuje chaos i moja krótkotrwała euforia ustępuje miejsca zagubieniu. Fajerwerki rozbłyskują nad głowami i coraz więcej świec dymnych eksploduje na całym terenie, powietrze jest gorące i cuchnące kordytem, olejem, potem i Bóg wie czym jeszcze, a ludzie biegają w kółko i kaszlą, prychną i krzyczą. Mija mnie w pędzie ktoś przypominający z wyglądu piłkarza. Dziwnego piłkarza. Twarz ma umorusaną smarem, jest ubrany cały na czarno, z wyjątkiem nałożonych na koszulę naramienników, które łopoczą, gdy biegnie, i z wyjątkiem kasku, białego z zieloną maskotą, niewątpliwie niedźwiedzia grizzly. Takie mają w drużynie Grizzly ze szkoły Gunther High.

Biegam wokół jak wszyscy i szukam, szukam Toby'ego, ale trudno go wypatrzeć w tłumie fazowiczów, rodzeństwa.

rodziców i personelu, tym bardziej że wszyscy chłopcy z programu wyglądają od tyłu dokładnie tak samo z tymi króciutko przystrzyżonymi włosami. Próbuje sobie przypomnieć, jaką koszulę miał na sobie Toby, ale nie pamiętam, czy była zielona, czy niebieska, a poza tym niełatwo rozróżnić kolory w świetle fajerwerków zalewających wszystko niesamowitymi barwami. Łapię kogoś za ramię, myśląc, że to Toby, ale nie, to Jack F., który znika, zanim mi się udaje go zapytać, czy widział Toby'ego.

Widzę ludzi biegnących do samochodów, słyszę tłuczone szkło i uruchamiane silniki, ale kończy się na piskach opon, żaden z samochodów nie odjeżdża, gęstnieje dym, wzmaga się swąd spalenizny. Nigdzie nie mogę znaleźć Toby'ego. Widzę za to coraz więcej piłkarzy. Latają po całym terenie i zaczynają zaczepiać ludzi. Wybierają tych z kluczami i gwizdkami, nawołujących do porządku, wyglądających na osoby funkcyjne. Dwight staje się dla nich łatwym celem, widoczny i słyszalny jak radiolatarnia, bo ubrany na białą ryczy przez megafon, żeby wszyscy, wszyscy, do cholery, weszli natychmiast do wewnątrz. Czterech czarnych piłkarzy przewraca go na ziemię, aż huknęło, a skądś rozległy się wiwaty, gdy padał na twarz. Znowu zaczynam biegać w kółko i szukać, i szukać, ale nigdzie nie ma Toby'ego.

Widzę jakichś fazowiczów znikających za rogiem budynku i zamierzam popędzić za nimi, gdy ktoś znowu łapie mnie za portki.

– Zatrzymaj się, ty mała cipo! – To Gwen. Jej twarz jawi mi się, jakby należała do jednej z gorgon z hasła „mitologia grecka”, *Encyklopedia Britannica*, tom M, twarz wzięta z samego Hadesu.

– To wszystko twoja robota! – wrzeszczy. – Wiem to, wiem, widziałam ciebie i twojego chłopaka. To wszystko wasza robota.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Wiem to, wiem! – wydziera się, a jej koński ogon jak z filmu *I Dream of Jeannie* majta się z zawrotną szybkością wokół czubka jej głowy. – Widziałam cię, widziałam cię dzisiaj flirtującą z tym Tobym S., flirtującą jak mała dziwka, którą jesteś. Zaplanowaliście to. Zaplanowaliście to wszystko.

– Zamknij się! – Walczę, żeby się jej wyrwać i rozglądam się, i rozglądam się, i nigdzie nie widzę Toby'ego.

– Wiem! Wiem dobrze! – wrzeszczy Gwen. – Sprzątałam po lunchu. *Ja sprzątałam po lunchu.*

– Puść mnie, wiedźmo. – Szarpię się z nią i walczę, i wśród mijających nas twarzy wypatruję Toby'ego S.

– Nigdzie nie uciekniesz. Możesz to sobie wybić z tej pieprzonej głowy.

Ale świece dymne w dalszym ciągu wszędzie wybuchają, ludzie biegają, kaszlą i krzyczą, panuje chaos i w tym wszystkim udaje mi się wykorzystać moment nieuwagi Gwen. Zahaczam stopą o pięty jej butów, popycham ją do tyłu, podcinając jej nogi, ona jednak diabelnie mocno uczepliła się mojej szlufki, to muszę przyznać, lecz moje spodnie to tania para z Kmartu, a szlufka już została mocno dzisiejszego wieczoru nadwreżona, więc urywa się i zostaje w ręku Gwen. Zanim ta zdążyła choćby nabrać powietrza w płuca, reszty moich spodni i mnie już tam nie ma.

Uciekam za budynek, na parking od frontu, dla personelu i gości, a stamtąd dalej na drogę. Przede mną są inni fazowicze i choć żaden z nich nie jest Tobym, biegnę za nimi. Przede mną pędzi Francis i prawie go doganiam, ale on przyspiesza. Nie przypuszczałam, że tak szybko biega. Pamiętam z ostatniego odczytywania obecności, że jest w ośrodku od sześciuset osiemdziesięciu dni, prawie dwa lata, cztery razy zaczynał od początku i jest dopiero w trzeciej fazie. Francis ma przed czym uciekać. Znowu przyspiesza, a ja biegnę za nim, mijamy magazyny z dachami i ścianami z falistej blachy, magazyn traktorów Caterpillar, magazyn z artykułami biurowymi Billy'ego i magazyn z holenderskimi tulipanami.

Jeśli tylko dotrę do Harvey's Shrimp Shack, będzie dobrze.

Harvey jest na pewno czynny całą noc i na pewno jest tam płatny telefon, więc jeśli się tam dostanę, będę mogła zadzwonić po ratunek. Harvey's Shrimp Shack, ta stara stodoła ze zmurszałego drewna, z odłazającą czerwoną farbą i rozklekotanym neonem wiszącym od frontu. Tu Zjesz Krewetki Za \$5,97. To drogowskaz. To droga ucieczki.

Boli mnie w klatce piersiowej, brakuje mi tchu, ale to już niedaleko, nie mogę

się zatrzymać, to już niedaleko. Harvey's, powtarzam sobie.

Gdy zbliżamy się do autostrady, a to jeszcze daleko do Harvey's, chaos się zwiększa. Słyszę syreny i widzę czerwone pulsujące światła, a na skrzyżowaniu bocznej drogi z autostradą robi się zator. To musi być policja, wezwali policję, która robi blokadę. Ludzie krzyczą i płaczą, biegają w koło, a ja przyglądam się twarzom, ale nigdzie nie widzę Toby'ego. Boję się, Joshua, tak bardzo się boję. Tylko tego by brakowało, żeby mnie zatrzymała policja. Wrzucą mnie z powrotem do programu z Dwightem i Gwen albo oddadzą w jeszcze gorsze miejsce i wyrzucą klucz... Nie mogę zostać zatrzymana, nie mogę.

Francis biegnie dalej, a ja odłączam się przy magazynie z holenderskimi tulipanami. Przemykam się na tyłach i ponownie skręcam w stronę autostrady, ale gdy dobiegam do końca parkingu, którejdy chciałam się przedostać, mam odciętą drogę. Przede mną ogrodzenie, wysokie i zakończone drutem kolczastym. Wygląda na to, że jedyne wyjście prowadzi drogą dojazdową a na tej policja zrobiła blokadę. Nie mogę dać się im złapać, nie mogę.

Nie mam dobrego wyjścia. Zawracam, skąd przybiegłam. Kieruję się z powrotem w stronę ośrodka przez magazynowe parkingi. Tu sytuacja znacznie się uspokoiła. Fajerwerki przestały wybuchać, dym opada, nie ma przemykających czarnych piłkarzy, a większość ludzi chyba wróciła do budynku. Przekradam się między samochodami, które jeszcze nie odjechały, aż znajduję auto mamy i taty. Jedno z tylnych okien jest rozbite, więc otwieram drzwi i wchodzę do środka.

Przez chwilę siedzę na tylnym siedzeniu, nie wiem, co robić, jestem sama, przerażona, więc zsuwam się i wciskam za siedzenie kierowcy, zwijając się w kłębek, tak jak robiliśmy, kiedy byliśmy mali i dłużyła się podróż na wakacje do Rehoboth Beach albo gdy mieliśmy dość zabawy z mamą w literowanie znaków drogowych. Teraz jestem za duża, żeby się tu zmieścić, ale gdy wysuwam nogi za siedzenie mamy, można wytrzymać. Trzęsę się wprawdzie z zimna, mimo że jest balsamiczny czerwcowy wieczór, ale czuję się prawie bezpiecznie, kiedy opieram głowę o fotel taty, o kieszeń, w której są atlasy, i nawet nie kicham, choć jest jeszcze pył i kurz w powietrzu, i nie chcę stąd wychodzić.

Rozdział 44

Zbliżamy się do piętnastych urodzin, ty zachowujesz się coraz dziwniej.

Nie masz czasu dla Cindy, Lloyda, Daviego, Richiego ani innych naszych przyjaciół. Nawet ze mną chyba nie lubisz przebywać. W te dni, kiedy spieszę do domu, żeby oglądać Luke'a, Laurę i Scotty'ego i pokręcone intrygi w serialu *General Hospital*, zwykle patrzę w telewizor sama, a nawet jeśli siedzisz koło mnie, jesteś nieobecny, nawet nie nadążasz za akcją.

Masz zupełnie nową paczkę przyjaciół, większości z nich nie znam. Niektórzy nie chodzą do Kennedy High. Myślę, że część z nich w ogóle nie chodzi do szkoły. Wiem na pewno, że jeden z twoich kolegów został wyrzucony ze szkoły i pracuje w supermarkecie A&R układając tam towary na półkach.

Coraz częściej opuszczasz szkołę i dzieciaki z twojej klasy tak się do tego przyzwyczyły, że już mnie nawet nie pytają, czy jesteś chory. Przestały mi przekazywać, co jest zadane, bo nigdy nie podziękowałeś za to ani im, ani mnie. Wyraźnie zaniedbujesz wszystko, w ogóle nic cię nie obchodzi. Pod koniec roku szkolnego omal nie zawałęś co najmniej dwóch przedmiotów i w zasadzie to cud, że zdałeś do dziesiątej klasy.

Tego lata zacząłeś notorycznie wymykać się w nocy i bardzo późno wstajesz. Całe ranki i popołudnia siedzisz w swoim pokoju przy zamkniętych drzwiach i zaciągniętych zasłonach, nie wystawiasz nosa nawet po to, żeby popływać ze mną, nawet gdy mówię, wręcz błagam, naucz mnie któregoś ze swoich skoków, jesteś w tym świetny, Joshua. Czasem, kiedy pukam do drzwi twojego pokoju, zastaję je zamknięte na klucz, słyszę za nimi twój szept i jestem pewna, że ktoś u ciebie jest, ale na pewno nie Lloyd Taggart.

Pewnego dnia, wiedząc, że wybrałeś się do centrum handlowego, wyważam zamek i włamuję się do twojego pokoju. Jest w nim bałagan, śmierdzi i wiem, że tata napadłby na ciebie i kazał posprzątać, ale to jeszcze nie powód, żeby zamykać drzwi na klucz. Kiedy jednak zainteresowało mnie łóżko, widzę że między materac a stelaż wetknięte są butelki. Mnóstwo butelek, niektóre puste, inne do połowy opróżnione. Nie sikacze, słabe wino czy piwo, ale mocniejsze rzeczy. Wódka, dzin, rum i tym podobne.

Zaczynam się o ciebie martwić i chcę, żebyś wiedział jak bardzo. Jestem zaniepokojona, mówię. A ty mi na to, żebym dała sobie spokój, niepotrzebna ci moja troska.

Wtedy właśnie wymusiłam, żebyś mnie zabrał ze sobą na tę nocną jazdę, doczepiłam się do was, do ciebie i twoich podejrzanych przyjaciół. Wgramoliłam się do tego wielkiego grata z kierowcą, który miał bokobrody jak z waty. Siedzę z tyłu obok Grubego/Earla, a twoi kumple śmieją się ze mnie, i wtedy jeden raz zaciągam się jointem. I dziwię się, co robisz z tym kierowcą nad rzeką – wmawiam sobie, że się dziwię, ale tak naprawdę to wiem.

Po tej nocy zwierzam się mojej najlepszej przyjaciółce, Cindy Gregory. Mówię jej, że zachowujesz się nienormalnie, że nie jesteś sobą, i pytam ją co powinnam zrobić. Chcę wiedzieć, czy uważa, że powinnam powiedzieć rodzicom. Ona mówi, że w żadnym wypadku, absolutnie nie. Więc oczywiście nie mówię. Nie mogłabym na ciebie naskarżyć.

Ale mama i tata nie są głusi ani ślepi, ani głupi. Sami potrafią połapać się, o co chodzi. Po pierwsze dostają twoje świadectwo z JFK School. Potem tata natyka się w łazience na twój aparat ortodontyczny i staje się dla niego jasne, że nie nosiłeś go od kilku miesięcy, więc wpada w szal. Ty cały czas wymykasz się w nocy, zamykasz pokój na klucz w dzień, a ja nic nikomu nie mówię. Jednakże któreś nocy wymykasz się i nie wracasz, nie ma cię w domu rano, kiedy rodzice wychodzą do pracy. Masz potem szlaban na dwa tygodnie. Niecały tydzień później, wbrew zakazowi, znowu wychodzisz na całą noc. Tata powiększa szlaban do miesiąca, a ty mu mówisz, żeby poszedł do diabła.

Rozdział 45

Przycupnąwszy w naszym samochodzie na parkingu ośrodka, zemdlałam chyba czy coś w tym rodzaju, bo następne, co pamiętam, to mama nade mną, trzymająca mnie w objęciach. Serce wali mi jak wściekłe, jak przy raptownym wynurzeniu się ze zbyt gorącej kąpieli – czuję bicie tętna w klatce piersiowej, w zgięciach łokci i kolan, w stawach palców i na podeszwach stóp, słyszę je w uszach, mocne, potem zanikające i znowu mocne. Mama obejmuje mnie i płacze, mówi, jak bardzo się martwili, i pyta, co ci się kochanie stało, i znowu, że tak bardzo się martwili i dzięki Bogu, że jestem cała i zdrowa. Nazywa mnie swoją dzidzią i mówi, że teraz wszystko jest dobrze, wspaniale.

I ja też obejmuję mamę. Siedzi na tylnej kanapie samochodu, podniosła mnie z podłogi i posadziła sobie na kolanach. Przytulam się i wciskam stopy w zgięcia jej kolan, wdycham zapach jej perfum Chanel, rozkoszuję się ciepłem jej piersi i delikatnym, choć może lekko nerwowym unoszeniem się i opadaniem klatki piersiowej. Znowu czuję się mała i chciałabym, żeby mi poczytała wierszyki Doktora Seussa. Czuję się bezpieczna.

Potem zaczynam płakać. I płaczę, płaczę i płaczę.

– Ty płaczesz – mówi nasza mama, zaskoczona, bo nic wie, ile łez zebrało się we mnie. I może nie wie, co robić, ale zachowuje się w porządku. Cmoka pocieszająco i powtarza, że wszystko jest już dobrze i nie martw się, maleńka, nie martw się. Rozpina torebkę, wyciąga pogniecione chusteczki i wyciera mi z policzków łzy, odpryski szkła i kropelki krwi. Następnie oferuje mi tic taca.

– Tak się martwiłam o moje maleństwo – szepcze mama i kołysze mnie na kolanach na tylnym siedzeniu samochodu, pokrytym szkłem. – Tak się martwiłam. Myślałam, że moje maleństwo jest tam na autostradzie. Nie powiedzieli nam, kto to, Justine, i myślałam, że to mogłaś być ty. Nie zniosłabym tego, kochanie, nie zniosłabym utraty was obojga, po prostu bym nie zniosła. Tylko was mam, moje małpeczki, zawsze będziecie moimi jedynymi dziećmi.

Nie rozumiem, o czym mama mówi. Jestem w świecie Doktora Seussa i w mojej głowie majaczy postać Sama, który proponuje zielone jajka sadzone, i twoja postać, jak upominasz się o swoje prawo do zjedzenia zielonego jajka sadzonego, bo kto by nie jadł zielonych jajek sadzonych, żeby tylko być bohaterem książki Doktora Seussa.

I tak właśnie zastaje nas tata, kiedy wychodzi na parking, cichy już, choć

zasypany resztkami fajerwerków i świec dymnych. Szuka mamy, bo miała wyjść tylko na chwilę, tylko po odświeżające chusteczki ze schowka pod przednią szybą. Siedzimy skulone na tylnej kanapie, kołysząc się i ssąc miętówki, i smakując zielone jajka sadzone, a mama śpiewa dla mnie, żebym przestała płakać, żebym już przestała płakać. Sza, sza, maleńka.

Tata początkowo też sprawia wrażenie zadowolonego, że mnie widzi. Ma łzy w oczach, obejmuje mnie i mówi, jak bardzo się o mnie martwili i żebym już nigdy, nigdy więcej nie sprawiała im kłopotu, tak cię proszę, Justine, kochanie. Ale potem robi krok w tył. Zostawia otwarte drzwi do samochodu i delikatnie opiera się ręką o fragment niestłuczonego okna, odciskając na szybie ślady palców, czego nigdy by nie zrobił, gdyby przytomnie myślał.

Bierze głęboki wdech, a potem mówi mi, że muszę wracać. Niemożliwe, żeby to mówił serio; w każdym razie mama tak nie myśli. Mama się sprzeciwia, a ona prawie nigdy nie przeciwstawia się tacie.

– Nie, Jeff – odzywa się miękko, lecz zdecydowanie, kołysząc mnie w ramionach. – Myślę, że nasze dziecko powinno wrócić z nami do domu. Weźmy ją do domu, OK?

– Nie, Helen, to nie byłoby w porządku.

– Będzie w porządku.

– To nie my powinniśmy decydować. Profesjoniści wiedzą lepiej, oni wiedzą, co jest teraz z korzyścią dla Justine.

– Nie myśl tak. Matka wie najlepiej.

Ciaśniej mnie obejmuje ramionami i kołyszemy się, kołyszemy, kołyszemy. Kryję twarz na jej piersiach i razem z nią unoszę się i opadam, coraz szybciej i szybciej.

– Puść ją, Helen.

– Nie.

– Puść ją, w ten sposób nie pomagasz.

Tata na siłę zdejmuje mnie z kolan mamy i wyciąga z samochodu, brzęczy szkło. Próbuje mnie postawić w pionie, ale podkuliłam nogi, nie chcę wstać. Ja na ziemi, mama szłocha w samochodzie i sama we łzach mówi do mnie: „Nie płacz, kochanie, nie płacz, kochanie”, a potem krzyczy, żeby on przestał, krzyczy: „Przestań, Jeff, przestań”.

– Cicho! – Nasz tata mocuje się ze mną i próbuje unieszkodliwić mamę, zatrzymać ją w samochodzie. – Dość tego! – woła.

– A teraz, Justine – mówi – wiem, że nie chcesz mnie posłuchać, ale to dla

twojego dobra. Masz zaraz pomaszerować z powrotem do ośrodka i masz okazać więcej hartu, odmienić się na lepsze, masz wyjść z tego, świecąc innym przykładem. I nie chcę już słyszeć ani słowa na ten temat.

– Tato, nie masz pojęcia, jak tu jest...

– Wiem doskonale, a ty masz wiedzieć, że Ziegler nigdy niczego nie przerywa w pół drogi. A co więcej, Ziegler nigdy, *nigdy* nie łamie zasad.

– Tato...

– Wiem, wiem, że lubisz je naginać albo zapominać o nich, gdy tak ci wygodniej. Ale zasady są zasadami i istnieją nie bez powodu.

– To nie jest miejsce dla mnie, tato! Nie nadaję się tutaj. I Josh też się nie nadawał. Nie powinien być się tutaj znaleźć. Ty nigdy nie powinienesz być go tutaj umieścić!

– Młoda damo, nie wiesz, o czym mówisz.

– Ja *wiem*. Ja...

– Joshua miał problem.

– Nie, tato.

– Tak, Justine, miał. Nie wiesz nawet połowy tego, co się działo, próbowaliśmy chronić cię i kryć to najgorsze.

– Nie.

– Justine Amando Ziegler, widzę, że trudno ci to zaakceptować. Ale twój brat *miał* problem, i to bardzo poważny.

Zawzięcie kręcę głową na nie, a ojciec równie zawzięcie kiwa głową na tak, jak gdyby przeciwnym gestem mógł anulować mój.

– Tak, tak, tak, miał problem. Joshua był narkomanem.

– Nie, tato! – wrzeszczę. – Joshua był gejem!

Tata cofa się najpierw, a potem zbliża się rozkołysanym krokiem. Jego prawa pięść łączy się z moim lewym policzkiem, jakby była dwutonowym magnesem przyciągniętym przez czołg. Uderza mnie z taką siłą, że przez głowę przemyka mi Dwight – tak walnąłby tylko Dwight. Mamie serce chyba pękło z bólu. „Maleństwo, moje maleństwo, nie krzywdź mojego maleństwa”. Trzymam się za policzek, a potem naciskam ten swój punkt między oczami. Muszę to zrozumieć. Wszystko wyjaśni się w ciągu minuty. Mam szeroko otwartą buzię, jak przy ziewaniu, i płaczę. Tata chce przeprosić, na pewno chce. Na pewno, Joshua. Zanoszę się od płaczu, płaczę z szeroko otwartą buzią...

Nasz ojciec patrzy na mnie, nieruchomieje i patrzy. Jego ręka, ta która mnie uderzyła, drży – jakby ani ona, ani on nie mogli uwierzyć w to, co zrobili. Potem

wzrok taty wyostrza się, skupia się na mojej twarzy, oczy robią się surowe.

– Justine Ziegler – mówi tata, a w jego głosie słychać drżenie, którego normalnie nie ma i które stara się opanować. – To jest właśnie to, o czym mówię. Nie mogę w to uwierzyć – uderza mocno dłonią o udo i zapuszcza wzrok w moje otwarte usta. – Gdzie, do cholery, jest twój aparat? Coś ty z nim zrobiła?

Mój aparat? Pamiętam, że Gwen zabrała go podczas przeszukania, jak tylko mnie tu przyjęto. To było tak dawno temu, miesiące temu, ponad trzy i pół miesiąca. Przeciągam językiem po dziąsłach. Czy mam jakieś szpary między zębami? Czy po takim czasie zęby się rozsunęły? Nie da się teraz powiedzieć, bo szczękają mi ze strachu.

Drogi sprzęt ortodontyczny, grzmi tata, nabierając impetu. Trzeba będzie zrobić nowe formy. Jak mogłam być tak niedbała? Jak mogłam?

– Ale tato...

– Nie ma żadnego „ale”! – ryczy. – Mam powyżej uszu tych twoich „ale”. Nie szanujesz swoich zębów, tak jak nie szanujesz siebie ani swojej matki, ani mnie, ani żadnych autorytetów, brak ci wytrwałości, nie respektujesz dyscypliny, *zasad*. To tyle. Powiem ci, co zrobisz, młoda damo, pomaszerujesz tam z powrotem i wypijesz piwo, któregoś nawarzyła. Właśnie to zrobisz. *Natychmiast!* I jeśli należy ci się kara za złamanie zasad programu dziś wieczorem, to ją poniesiesz i tak ma być.

– Ale te zasady nas *niszczał* – krzyczę, szlochając.

– Ani słowa więcej – mówi tata i próbuje powstrzymać mamę.

Chce zaalarmować strażników i oddać mnie w ich ręce, ale nie ma takiej potrzeby. Usłyszeli nas i zbierają się przy podwójnych drzwiach. Słyszę gwizdek i ktoś krzyczy: „Znaleziono następnego!”.

Nasza mama kołysze się, płacze i woła raz po raz, na zmianę: „Nie płacz, kochanie” albo „Przestań, Jeff”. Miota się w otwartym oknie, choć jest tam pełno szkła, a jej chusteczka jest zmięta i poplamiona krwią. Ja się drę i błagam: „Nie tato, nie tato, nie tato, nie”, nogi mam podkulone, siedzę w kucki na ziemi i nie mogę wstać.

– To Justine Zeee..! – ktoś krzyczy.

Kilku piętofazowiczów otacza samochód, przytrzymują mamę, choć tata mówi im, że to niepotrzebne i żeby trzymali swoje brudne łapska z dala od jego żony. Kładą swoje łapska również na mnie, a ja kopię i wrzeszczę, i pluję, i błagam, i nie wstaję, ale on nie mówi im, żeby mnie puścili. Nie. Nasz ojciec ryczy na mnie, że to dla mojego dobra, i radzi mi, żebym się z nimi nie szarpała, bo będzie dla mnie

lepiej, jeśli przestanę walczyć.

To dla twojego dobra, dla twojego dobra. Tata wygląda na smutnego, w jego głosie jest nuta rezygnacji, na twarzy maluje się rozczarowanie. A ja przypominam sobie tę noc, kiedy pomagałam w wywiezieniu cię w to miejsce, a ty kopałeś i wrzeszczałeś i błagałeś, i też nie chciałeś stać na nogach. Tę noc w domu, z latarką, prześcieradłem i twoim jękiem się. „Co za... Co za...” – zbyt byłeś zaskoczony, żeby wykrztusić pełne zdanie. To te same słowa powtarzał tata w kółko i na okrągło wtedy przy tobie, kiedy się to wszystko działo. To dla twojego dobra, Joshua.

Kopię i wrzeszczę, słyszę płacz mamy i zlewa mi się to wszystko w jedno z twoim jękiem się, odbłaskiem latarki w twoich oczach, szamotaniem się w prześcieradle owiniętym wokół ciała, z delikatnym zapachem perfum mamy i nawracającym magicznym echem wersów Doktora Seussa.

Mark i Leroy, a może jacyś inni, eskortują mnie do budynku i słyszę ostatnie słowa mamy, która krzyczy za mną: „Nie płacz, nie płacz, Just, wszystko będzie dobrze”. A potem: „Dajcie mojemu dziecku szklankę wody, proszę, dajcie jej szklankę wody”.

Rozdział 46

Strażnicy zlewają mi twarz wodą z gumowego węża, co ma mnie uspokoić, a potem odprowadzają na spotkanie grupy. Wszyscy fazowicze zostali stłoczeni w jednej z mniejszych sal – gdzie zwykle odbywają się spotkania z rodzeństwem – a to dlatego, że rodziny kręcą się w głównym holu, czekając, aż przyjadą mechanicy naprawić im samochody. Poza wybitymi szybami są piłeczki tenisowe wetknięte w rury wydechowe i opony ze spuszczonego powietrzem, a nawet przypadki unieruchomionych silników, bo wykręcono jakiś drobiazg, oraz najrozmaitsze inne uszkodzenia. Pewnie w okolicy zabrakło na to wszystko mechaników.

Pokój dla rodzeństwa jest prawie trzy razy mniejszy od głównego holu i fazowicze są tu ściśnięci jak śledzie w beczce, krzesła chłopców i dziewcząt ustawione blisko siebie, jak być nie powinno. Dygoczę, i to nie tylko z powodu mokrych włosów, z których woda ścieka na koszulę, też już nieźle mokrą. Zimny, lepki pot pokrywa całe moje ciało i trzęsę się ze strachu jak galareta. Mark albo Leroy, albo ktoś inny przywiązuje mnie do krzesła – chyba jakimiś porzuconymi skarpetami, i mogłabym się założyć, że są nieświeże – a ja dalej trzęsę się tak bardzo, że aż słyszę stukot krzesła.

Przyglądam się twarzom w sekcji chłopców, ale nie ma tam ani ciebie, ani Toby'ego S. Oprócz Toby'ego brakuje Francisa, Shauna N. i Emily, tej słodkiej szesnastolatki. Jeszcze troje albo czworo innych próbowało uciec, ale tak jak ja zostali okrażeni i siedzą teraz przywiązani do swoich składanych krzeseł.

Dwight już nie jest na biało. Jest umorusany błotem, kurzem i czarną mazią, obie nogawki spodni są postrzępione na kolanach, a fryzura *Teenbeat* zupełnie zmierzwiona. Lata w furii wokół grupy. Nigdzie nie widzę Hilary.

Dwight informuje nas, że Emily jest w szpitalu. Mówi, że została potrącona przez samochód, gdy pędziła środkiem autostrady w kierunku Harvey's Shrimp Shack, dokąd w ogóle nie powinna była zmierzać, bo jaki miała w tym interes. Był tam karambol i Emily jest w szpitalu w bardzo ciężkim stanie.

Dziewczyna po mojej prawej stronie mruczy pod nosem, że Emily została potrącona przez trzy różne samochody i nie żyje.

– Żadnego gadania, do jasnej cholery! – wybucha Dwight.

Ramona wchodzi na paluszkach. Ubrana w dżinsową kamizelkę, spódnicę z falbaną w stylu rustykalnym i kowbojskie buty, wygląda jak z katalogu Laury Ashley. Niesie duży plik karteczek, które rozdaje wszystkim razem z ołówkami i

długopisami. Objaśnia, że każdy ma szczegółowo opisać, co widział i słyszał dzisiejszego wieczoru – kto, co, jak i kiedy robił – a także podać każdą informację służącą wyjaśnieniu tego, co się zdarzyło. Każdy spoziera na pozostałych, wreszcie wszyscy pochylają się nad kartkami, używając zamiast blatu własnych ud lub siedzisk krzeseł.

Leroy uwalnia moją rękę z więzów, żebym mogła napisać raport, ale dalej trzęsę się tak, że nie potrafię stawiać liter, zresztą nie mam zamiaru czegokolwiek pisać, rysuję kilka zawijasów i składam papier.

Ramona zbiera postrzępione karteczki do poszewki i wręcza je Dwightowi. Ten zwija poszewkę, jakby ukręcał kurczakowi głowę, po czym wymachuje nią w górze.

Mam nadzieję, że napisaliście prawdę – mówi. – Mam nadzieję, że nikt z was niczego nie zataił, a jeśli tak zrobił, to go na tym przyłapiemy. Zostaniemy tu całą noc, cały weekend, jeśli będzie trzeba, aż znajdziemy winnych.

Wzywa piątofazowiczów, żeby z nim poszli i pomogli mu przejrzeć raporty. Ramona i Bo zostają i każą czwartofazowiczom wstać i zastąpić tamtych, którzy stali na warcie na obwodzie naszych krzeseł. Ramona czyni wysiłki, żeby poprowadzić z nami trening Siedmiu Kroków, ale bez większego powodzenia. Wszyscy są podenerwowani, z nią włącznie, ona myli kolejność Kroków, a fazowicze mylą słowa, nie wychodzi chóralna recytacja.

Czekamy na powrót Dwighta jak na ogłoszenie wyników wyborczych czy tajnego głosowania. Jakby piątofazowicze przeliczali teraz mandaty albo coś w tym rodzaju. Napięcie zżera nerwy, a ja wciąż się trzęsę.

Nie ma ich około godziny, a kiedy wracają, w pokoju zalega grobowa cisza. Wszyscy fazowicze wstrzymują oddech, oczy nerwowo omiatają pomieszczenie, ci przywiązani skarpetkami napinają krępujące ich więzy. Nie kto inny tylko Gwen zajmuje centralne miejsce, i to moje imię wywołuje.

Rozdział 47

Eskortują mnie do jednego z pomieszczeń służących i za pokój przyjęć, i odosobnienia, do tego samego, w którym Dwight szkolił moją samoświadomość za pomocą *Encyklopedii Britannica*, tom M. Dwight i Hilary już czekają, pojawiło się kilka dodatkowych składanych krzesel. Wprowadza mnie Gwen w asyście Leroya i gdy tylko mnie sadzają, znowu przywiązują mi ręce do krzesła. Następnie Dwight daje znak głową i Leroy wychodzi od razu, natomiast Gwen ociąga się przy drzwiach, póki Hilary jej nie podziękuje, prosząc, żeby też wyszła. Gwen obdarza mnie szyderczym uśmiechem i obracając się na pięcie do wyjścia, pokazuje mi w wiadomym geście środkowy palec, trzymając go na poziomie rozsadzającego dres brzuszyska, tak żebym tylko ja widziała.

W tym pokoju nie ma stołów, ale są świstki z raportami i inne papiery ułożone w kupkach na podłodze wzdłuż jednej ze ścian. Przyglądam się im z obawą.

Hilary podnosi do oczu swoją podkładkę.

– No tak, Justine – mówi – przejdę prosto do sedna. Wiemy, że Toby S. był głównym prowokatorem dzisiejszych wieczornych... – szuka odpowiedniego słowa – ...wybryków. I wiemy, że ty też byłaś w to zamieszana. A więc nie komplikujmy sprawy, dobrze? Chciałabym, żebyś powiedziała nam swoimi słowami, dlaczego tu jesteśmy. Co się zdarzyło?

Dygoczę cała i milczę jak zakłęta.

– Powiedz nam, co wiesz. Śmiało.

– Nic nie wiem.

– A ja myślę, że wiesz. – Hilary czeka, żebym coś powiedziała, i zapada cisza, osaczająca cisza, słycać jedynie, jak moje krzesło dygocze wraz ze mną.

– Dość tych głupot – Dwight kipi ze złości. Mamy twoją karteczkę, Justine. Mamy ten świstek, ty durna, głupia dziewczyno. – Wyciąga plastikową koszulkę na dokumenty z jednej z kupek pod ścianą. Jest w niej skrawek papieru, który Toby S. zostawił pod moją stopą podczas lunchu, jeszcze poplamiony od musztardy i pomięty, ale teraz chyba spod żelazka, bo jest czytelny. „Dziś wieczorem” – tyle na nim napisano.

– Jak to wyjaśnisz?

Wzruszam ramionami i dygoczę, a moje krzesło postukuje o podłogę.

– Czy inni też byli w to zamieszani? Jaki był udział Emily? A Francisa? I Shauna N.?

– Lepiej zdecyduj się i powiedz nam teraz – mówi Hilary, notując coś na podkładce.

– Wiadomo przecież, że oni zostaną złapani – zapewnia mnie Dwight. – Wszyscy będą złapani, tak jak ciebie złapano. A kiedy sprowadzimy ich tu z powrotem, przekonają się, co to ciężkie życie, przekonają się, że dotąd było im lekko. Tak jak i ty się przekonasz, panno Justine Z. – I jego wzrok wędruje po mnie, czuję go na skórze, przypomina mi się znajomy dotyk palców. Zaciskam oczy, chciałabym pokryć zasłoną ciemności tę scenę, wymazać ją, zniszczyć w załączku.

Przesłuchanie się rozkręca, daleko do końca. Dwight i Hilary wmawiają mi w kółko, że należałam do spiskowców. Mówią, że mieliśmy wielkie plany, że zamierzaliśmy spalić budynek, zniszczyć program, że nie obchodziło nas, czy będą ranni, a nawet mieliśmy nadzieję, że część rodziców, rodzeństwa i personelu zginie. Opowiadają tego typu bzdury, Hilary notuje, a moje krzesło stukocze w podłogę.

Pomimo wysiłków Hilary, aby go okiełznać, Dwight cały czas krąży wokół mnie, wytrząsa się nade mną i raz czy dwa mnie policzkuje. Ze związanymi rękami nie mam się jak bronić, ale próbuję go kopnąć, niestety przewracam się wraz z krzesłem. Hilary musi mnie rozwiązać i ponownie posadzić, Dwightowi zaś rozkazuje, żeby też usiadł na krześle.

– Poddaj się, Justine! – wrzeszczy Dwight. – Masz szansę wyznać wszystko, zanim będzie za późno na jakiegokolwiek zadośćuczynienia. Wiemy, że jesteś winna. Planowałaś to od tygodni, przekazywałaś wiadomości, planowałaś i intrygowałaś. Wiemy wszystko; były donosy na ciebie, do diabła ciężkiego.

– Gwen nie wie, o czym mówi – odpowiadam.

Zdaje się, że to rozbawiło Dwighta.

– Ho, ho – rechocze i rozpiera się na krześle. – Myślisz, że to Gwen na ciebie donosiła, tak?

– Dwight, wiesz, że doniesienia są poufne.

– Daj spokój, Hil. – Dwight przybiera ton niby to rzeczowości. – Myślę, że to będzie cenna lekcja dla Justine. Ona myśli – mówi o mnie tak, jak gdyby mnie tu nie było – że to nasza mała Gwen donosiła na nią, no i oczywiście ma rację.

– Dwight – strofuje Hilary.

– Ale nie wie, że to nie była tylko Gwen.

– Dość tego, Dwight.

– Dobrze już, nie podaję żadnych imion, ale chodzi o to, że Justine nie wie, że

to dwie osoby na nią donosiły, nie jedna.

Cieszy się, widząc po mojej twarzy, że jestem zszokowana. Chciałabym nacisnąć mój punkt u nasady nosa, chciałabym przytrzymać go mocno i rozjaśnić nieco swój umysł. Ale ręce mam związane, dygoczę, a moje krzesło postukuje.

– Próbujesz zgadnąć, kto to mógł być, próbujesz, Justine? Zgadnąć, kto na ciebie kablował, kto cię *zdradził*. – Dwight wyszczerza się od ucha do ucha. – Oczywiście nie mogę podać żadnych imion – macha uspokajająco ręką w stronę Hilary – ale, kurczę, naprawdę przykro mi patrzeć, jak się gryziesz. Może zdołam ci pomóc w poukładaniu myśli.

Znowu się podniósł i chodzi. – Zastanówmy się. Ciekawe. Może to był jeden ze współkspiratorów, którzy teraz siedzą tam związani, z resztą grupy. A może ktoś inny. Ktoś z zaprzyjaźnionych fazowiczów. Rety, może to nawet był twój chłopaczek. Może Toby S. wylał na ciebie gnój, zanim się stąd zmył.

– Nie bądź śmieszny.

Twarz Dwighta powlekła się chmurą.

– Śmieszny? Powinnaś być na tyle mądra, żeby się tak do mnie nie odzywać. – W ułamku sekundy odczytuję jego parszywe myśli. Nie marnuj, panienko, swojej buźki na pyskowanie, chciałby mi powiedzieć, zrobiłbym z niej lepszy użytek. Niech poczuje smak spermy.

Dobieram słowa ostrożniej.

– Toby nie doniósł na mnie.

– Nie powiedziałem, że to zrobił, powiedziałem, że może to on.

– Nie zrobiłby tego.

– Nie? Tak sądzisz? Co do tego muszę mieć odmienne zdanie. – Dwight przeszukuje pliki na podłodze. – Zostawił tu swój Obrachunek Moralny, wiesz o tym? Boże, ten chłopak zapisał mnóstwo stron w czasie swojego pobytu tutaj. Wiele można się z tego dowiedzieć o człowieku, wiele. – Migają jedna po drugiej kartki zeszytu, jak wachlarz z talii kart, a ja poznaję charakter pisma i atrament, czerwony jak kiery i kara.

Nachodzi mnie *deja vu*. Patrząc na pliki na podłodze i szukam wśród nich mojego dawno straconego pamiętnika.

– Nie – powtarzam.

– Nie! Nie? – Dwight rzuca Obrachunek Moralny Toby'ego z powrotem na podłogę. – Czy wiesz, że chodzi nawet taka zwariowana plotka, że Toby S. był wtyczką? Że wsadziliśmy go tutaj, aby wyreżyserował ucieczkę i pomógł nam

złapać potencjalnych uciekinierów. Najślabsze ogniwa. – Dwight ciągnie szyderczo. – Możesz w to uwierzyć? Tak nieprawdopodobne, że może być prawdziwe, tak?

– Nie.

– Nie? Hmm. Ale nie jesteś pewna?

– Jestem. Toby nie był wtyczką i na nikogo nie donosił.

– Cóż, w takim razie jesteś głupsza, niż się zdaje. Nie nauczyłaś się jeszcze, że wszyscy szpiegują wszystkich?

– Nie wszyscy.

Dwigh ma swój irlandzki pierścień *claddagh*. Dzisiaj na środkowym palcu lewej ręki. Jestem pewna, że normalnie nie nosi go na lewej ręce, ale teraz tam jest. Przekręca go o pół obrotu w jedną stronę, a potem z powrotem. – Dobrze, podaj mi imię jednej osoby, tylko jednej, która według ciebie nie wydałaby cię, nawet gdyby miało to ułatwić jej życie. Kogoś, kto nie powiedziałby ani jednego słowa przeciwko tobie, nawet w obliczu wyboru ty albo on?

– Toby by tego nie zrobił – mówię. – I nie zrobił.

– Żadnego dowodu. Próbuje dalej.

Oczywiście nie muszę się długo zastanawiać. Wymieniam osobę, która nigdy, wiem to, nigdy by mnie nie zdradziła. Mówię mu o mojej bratniej duszy, mówię mu o moim bracie bliźniaku. Mówię mu o tobie.

Dwight wybucha śmiechem.

– Nie rozśmieszaj mnie – rzuca i znowu się zaśmiewa. – Joshua! Ten twój brat był największym winowajcą. Dawał cynk bez mrugnienia okiem.

Zwracam ku Hilary błagalny wzrok, ale ona bawi się swoim naszyjnikiem z kluczy i gryzie skuwkę długopisu.

– Nie robiłby tego, nie wierzę.

– Ten twój brat zużył więcej ołówków niż jakikolwiek fazowicz w historii tego ośrodka. Prosił o *dotatkowe* kartki na raporty. *Codziennie*. Ten twój brat doniósłby na każdego.

– Dwight – wskoczyła mu w słowo Hilary – treść raportów jest poufna.

– Och, daj spokój. Jakby był jakiś powód, żeby przestrzegać tajemnicy w przypadku Joshui Zieglera.

– Nie – mówię i trzęsę się, a moje krzesło hałasuje o podłogę. – Nie na mnie, Joshua nie doniósłby na mnie.

Jego śmiech dzwoni mi w uszach, wypełnia cały pokój. Powietrze rozbrzmiewa Dwightowym cha, cha, cha.

– Ty tępa, głupia dziewczyno – akcentuje słowo po słowie – a jak myślisz, dlaczego się tu znalazłaś? To twój brat donosił na ciebie, *zanim jeszcze tutaj trafiłaś!*

Gdybym miała wolne ręce, mogłabym sięgnąć do nasady nosa, nacisnąć bardzo mocno ten mój punkt i wszystko stałoby się jasne, mogłabym zakryć oczy, twarz i uszy, odciąć się od tego, nie słyszeć, co ten facet mówi, i nie oglądać zachwyty na jego gębie, kiedy to mówi.

– To nieprawda – mamroczę.

– A skąd, według ciebie, wiedzielibyśmy o twoich narkotykowych nocach nad rzeką?

To była tylko ta jedna noc.

– Wiecie od Grubego – mówię i jestem tego pewna. – To znaczy od Earla, to był Earl.

– To nie był Earl. Earl nie znał twojego imienia, dopóki się tu nie pojawiłaś. A co z tym twoim pamiętnikiem. Jak myślisz, skąd go mamy?

– Nie – wbijam oczy w kafelki na podłodze. Czy jest więcej niż jeden zeszyt pamiętnika, więcej jego kart na podłodze? Co jeszcze wyciągną?

– Pewnie myślałaś, że to twoi rodzice. Pewnie myślałaś, że to tata albo mama przeszukali twój pokój. Wcale nie, to nie byli oni.

To jest tak jak w tych durnych komediowych skeczach, które do znudzenia powtarzali w programie *Carol Burnett Show*. Właściwie ten sam tekst, tylko kostiumy inne. Carol mówi: „Doktorze, doktorze, boli mnie brzuch”, a Harvey Korman, zwariowany doktor z wystającymi zębami, zwraca się do niej: „Pokaż, gdzie boli, dziecko”. I Carol przykłada rękę do brzucha, a wtedy on wali ją młotkiem po palcach i kiedy ona zaczyna krzyczeć, że strasznie boli ją ręka, on jej na to: „Tak, ale już nie przeszkadza ci ból brzucha. Pięćdziesiąt dolarów proszę”. I choć ból brzucha był przerażający, teraz czuję tylko ten młotek, i to jest koszmar. Nie podoba mi się to, Josh, i nie podoba mi się to miejsce, i chciałabym, żeby Harvey Korman przyniósł mi szklanę wody.

– Nie, Justine – kontynuuje Dwight i teraz już młotek miażdży mi palce na proch – nie byłabyś nawet na liście kandydatów do tego programu, gdyby Joshua nie zwrócił na ciebie naszej uwagi. Samej sobie też możesz podziękować, oczywiście. Wyjście, urznięcie się, a potem pijany powrót do domu i popis przed rodzicami. Po tym wszystkim przez co przeszli. Jak sądzisz, co mogli sobie pomyśleć? I co mieli zrobić?

To nie może być prawda, nie może. A publiczność w studiu Carol Burnett się

śmieje, śmiech dochodzi jak z wnętrza puszki, ja dygoczę, słyszę stukot krzesła, serce za chwilę mi się zatrzyma albo wyskoczy z piersi.

– To prawda, Justine Z., to wszystko prawda. *Każdy donosi na każdego.*

Dwight ciska we mnie jedną z koszulek z dokumentami. Jest wypchana jak pifiata – bożonarodzeniowa kula ze słodyczami – i wszystko się z niej wysypuje, gdy uderza o ścianę nad moją głową. Świstki fruują w powietrzu, a potem opadają na dywan pod moimi nogami. Dziesiątki, dziesiątki i dziesiątki kawałków papieru, niektóre zapisane ołówkiem, inne niebieskim atramentem, jeszcze inne czerwonym.

Więc mówię im, co chcą usłyszeć. Nie zadowala ich ta mała wiedza, którą mam, więc rozwijam temat. Mówię, że Toby był przywódcą, że zorganizował wszystko na zewnątrz, ale nie wiem jak, opowiadam też, że Shaun N, Francis i Emily pomogli w tworzeniu planu, i mówię im, że inni fazowicze przywiązani teraz do krzesel w pokoju spotkań z rodzeństwem też byli w to zamieszani. Mówię im, że wszyscy jesteśmy winni.

Dwight kiwa głową z zadowoleniem, a Hilary puka długopisem w podkładkę i robi notatki.

Rozdział 48

Pierwszy ranek po ucieczce Toby'ego i mój sto szósty dzień w programie. Tkwią tu i jestem tak zmęczona odczuwaniem ciągłego strachu, że postanawiam nie poddawać się żadnym emocjom.

Ostatni rodzice wyjeżdżali tuż przed świtem, a wiemy to stąd, że natychmiast piętofazowicze popędzili nas z powrotem do głównej sali. Mignęły mi jeszcze przed oczami pochylone od zmęczenia plecy mamy i taty, jak wychodzili przez podwójne drzwi na parking zaśmiecony pozostałościami po fajerwerkach, świecach dymnych i aktach wandalizmu na samochodach. Ponad głowami wychodzących rodziców, zanim zamknęły się za nimi drzwi, spjrzałam w niebo, szarogranatowe o tej wczesnej porze przed świtem. Taki ma zwykle kolor, kiedy budzimy się i w cudzych domach przystępujemy do porannych obrządków przed powrotem do ośrodka.

Spędziliśmy całą noc na treningu, przesłuchaniach, konfrontacjach i piosenkach, ale skoro ranek zastał nas już na miejscu, personel zdecydował, że równie dobrze można nas przetrzymać dalej i kontynuować zajęcia. I tak robią. Wszyscy są zmęczeni i na wpół śpiący, więc mój sto szósty dzień w Come Clean przebiega w surrealistycznej aurze. Jakby wszystko odbywało się w zwolnionym tempie. Jakby wszyscy byli lunatykami jak ta nowicjuszka, która poruszała się którejś nocy niczym zombi z *Dnia żywych trupów* i która uruchomiła alarm w domu gospodarzy, a oni twierdzili, że chciała uciec.

Ramona czyta listę i kiedy dochodzi do mojego imienia, mówię: „Jeszcze tutaj i sto sześć dni czysta”, ale na zimno, bez emocji.

W toku konfrontacji każdy atakuje każdego za najdrobniejsze naruszenie reguł podczas wydarzeń ostatniej nocy. Rachel B. nie trzymała swoich podopiecznych za szlufki wystarczająco mocno, Rick nie wrócił do budynku wystarczająco szybko, Jennifer J. podbiegła w tym chaosie do swoich rodziców, choć nie zasłużyła jeszcze na przywilej Rozmowy, Gino próbował przez pomyłkę zatrzymać Ramonę, nikt z nas nie zwracał należytej uwagi na komendy Dwighta przez megafon, wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za to, że pozwoliliśmy uciec Toby'emu S., Francisowi, Emily i Shaunowi N” bo oczywiście nie zrobiliśmy dość, żeby ich zatrzymać. No i patrzcie, co się stało z Emily.

W konsekwencji wprowadzono nowe zasady, mnóstwo zasad. Od tego dnia także podczas Spotkań Otwartych drzwi na parking będą zamykane na klucz, jak w

każdych innych okolicznościach. I wprowadza się nową procedurę na wypadek zagrożenia pożarowego, zgodnie z którą ludzie z pierwszej do trzeciej fazy mają być odpowiednio dopilnowani i trzymani za szlufki, zanim przystąpi się do ewakuacji. Wezwano inżyniera, żeby wyłączył system czujników dymu, bo taki alarm może niepotrzebnie wywołać panikę, gdyby znowu włączył się niespodziewanie, a to już się więcej oczywiście nie zdarzy. Ponieważ od tej pory wybuch pożaru jest faktem od momentu, kiedy ogłosi to ktoś z personelu, i ani sekundę wcześniej. Ktokolwiek się nie podporządkuje tym zasadom, zostanie cofnięty w programie, i to nie o fazę czy dwie, ale będzie musiał cały program zacząć od początku.

Późnym rankiem wciągają za szlufkę Francisa. Jest brudny, włosy i ubranie ma w nieładzie, podbite jedno i drugie oko, wygląda na wycieńczonego jeszcze bardziej niż my. I Francis, który jest dziś od sześćset dziewięćdziesięciu trzech dni czysty, jak deklaruje, natychmiast zostaje cofnięty na pozycje startu w programie.

Niedługo potem odwiązują resztę uciekinierów od krzeseł i wypychają na środek grupy. Jest nas sześcioro, razem z Francisem. Ze wszystkich stron rozlega się wrzask pozostałych fazowiczów, którzy obrzucają nas gradem obelg i oskarżeń, a Ramona używa sobie na nas swoją raketką pingpongową. Nie ma we mnie żadnych emocji.

Potem inni uciekinierzy siadają i tylko ja zostaję na pożarcie lwom. Dwight ogłasza grupie, że moja wina jest największa, że to ja byłem razem z Tobym głównym spiskowcem, że Toby i ja pod nosem wszystkich od tygodni utrzymywaliśmy potajemne kontakty, z premedytacją przygotowaliśmy zniszczenie programu i stworzyliśmy zagrożenie dla procesu zdrowienia wszystkich razem i każdego z osobna. To mnie należy winić, mówi Dwight, a oni mają teraz dać upust nagromadzonej w nich złości i rozczarowaniu, frustracji i krzywdzie, goryczy, wszystkim urazom i negatywnym odczuciom, wyładować się bezpośrednio na mnie, z pełnym przekonaniem.

Zaczynam tracić poczucie rzeczywistości. To się nie dzieje naprawdę. Powtarzam to sobie, zwiesiwszy w półprzytomną głowę. To chyba nie może być rzeczywistość. To tylko jakiś głupi żart, choć się przedłuża. Jesteśmy w programie *Ukryta kamera*, tak, to na pewno to. Ukryli miniaturową kamerę za jedną z wyszywanek. Nabieram pewności, że tak jest, wprost słyszę szum filmu przewijającego się w kasecie, nagrywającego każde upokorzenie. Słyszę podłożone głosy lektorów i śmiech prowadzącego audycję Allena Faunta i jego irytujące „Niespodzianka”,

zapowiadające przerwę na reklamę. Słyszę to wszystko, uspokajam się i czekam, kiedy pojawisz się ty. Lada chwila wbiegniesz w podskokach, uśmiechając się znacząco i czuwając, by nie przeciągnąć struny. Przytulisz mnie, nazwiesz głuptasem, bo tak łatwo dałam się nabrać, i powiesz: „Co ty, Justine, nie znasz się na żartach?”. A ja na to, że skądże, uwielbiam żarty.

Świetnie się bawię. Ale kiedy próbuję się zaśmiać, wszystko się zatrzymuje. Stopklatka. Chciałabym się śmiać, żeby to wszystko stało się rzeczywistością, żebyś stanął przede mną prawdziwy z krwi i kości, tylko że nie mogę się śmiać. Śmiech więźnie mi w gardle, dławi mnie i krztuszę się. Publiczność w studiu rozplywa się, a ty znikasz za kulisami. Nie jesteśmy w *Ukrytej kamerze*.

Dwight i Ramona każą fazowiczom wstać z miejsc i ustawiają ich w szereg, by pojedynczo podchodzili do mnie niczym goście weselni, tyle tylko że nikt z nich nie ma zamiaru ścisnąć mi dłoni ani składać życzeń. Wydierają się na mnie i sypią wyzwiskami, drapią mnie po twarzy, targają za włosy, wymierzają policzki, potrząsają mną i biją pięściami, również chłopcy. I plują mi w twarz, tak, to też robią. Nie ma we mnie żadnych emocji.

Kiedy ostatni z nich wraca na miejsce, Dwight oświadcza, że w ramach zasłużonej kary będę zostawała do późna w budynku, co najmniej przez dwa najbliższe tygodnie, aby wykonywać specjalne pokutne ćwiczenia pod jego nadzorem.

Nie mam teraz okresu i ten drań to wie. Nie ma we mnie żadnych emocji.

Gdy nadchodzi pora lunchu, każdy jest prawie nieprzytomny z głodu i niewyspania. To znaczy nie każdy, bo piątofazowiczom pozwolono drzemać na zmianę w izbie chorych, personel zaś odbywał drzemki w pokoju Hilary, a niektórzy nawet wymykali się na krótko do domu, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Reszta słała się i niemal pada z głodu, więc kiedy stawiają przed nami na stole chilli dogi od Hardee'ego i cheesburgery oraz cebulowe krążki, w mgnieniu oka zżeramy to wszystko do ostatniego kęsa, łącznie z przyprawami. Przysięgłabym, że niektórzy jedli tak łapczywie, iż skonsumowali przy okazji fragmenty papierowych torebek.

A potem znowu rozdano świstki do raportów i tym razem niektórzy bekają albo kichają, albo wydają jęki w proteście, bo każdy już swoje zaraportował. Po ostatniej nocy i ranku inwencja donosicielska się wyczerpała. Ale nie u mnie. Biorę chętnie swój świstek i po raz pierwszy przedkładam prawdziwy i należyty raport.

Donoszę na Gwen.

Piszę, że gdy robiła mi rewizję osobistą przy przyjęciu do ośrodka, nie sprawdziła, czy w moim staniku są fiszbiny, że wyrzuciła potem moje rzeczy przez okno, żeby się to nie wydało, i że na wszelki wypadek mi dołożyła. Chcę jeszcze dodać coś zmyślnego, ale zbliża się poszewka i nie udaje się.

Tego popołudnia Gwen staje pod pręgierzem. To nietypowe, żeby senior fazowicz stawał w czasie sesji do konfrontacji, więc kiedy Gwen, zaskoczona, wychodzi na środek, niemal każdy się trochę budzi. W czasie konfrontacji, zresztą łagodnej w formie, Lois i Bo, którzy mają dyżur, raczej nie znęcają się nad Gwen, ale kilka nowicjuszek motywuje się, żeby coś dodać. Napadają na nią, mówiąc, że im też nie sprawdziła staników ani obcasów, ani sznurówek. Lois orzeka winę i mówi do Gwen, żeby porozmawiała z Dwigthem w sprawie kary. Gwen i jej koński ogon zwijają się ze wstydu, w moją stronę leci wściekłe spojrzenie i choć według tutejszych standardów to tylko drobna konfrontacja i tak rozkoszuję się tą chwilą.

Rozdział 49

Mamy piętnasty rok. Doroczne wspólne wakacje rodzinne zostały zaplanowane na koniec lata. Tata informuje, że spędzimy je znowu w Ocean City. Wyjedziemy w dniu naszych urodzin i mama daje do zrozumienia, że będzie to specjalna urodzinowa atrakcja. Ty raczysz odburknąć, że to żadna atrakcja, bo w ogóle nie chcesz jechać, a poza tym znowu będziemy mieszkać w tym samym gównianym domku kempingowym przy plaży, więc co specjalnego ma być w wyjeździe do Ocean Shitty – paskudnie przekręcasz nazwę.

Tata zaskakuje cię.

– Ależ nie – mówi – nie wynajmujemy kempingowego domku. W tym roku zatrzymamy się w Hiltonie.

Nigdy nie mieszkaliśmy w czterogwiazdkowym hotelu i muszę przyznać, że jestem dość podekscytowana. Hilton ma własną zamkniętą plażę o kilka kroków od promenady, dwa baseny, zjeżdżalnię i nocną dyskotekę dla nastolatków. Mama przynosi reklamową broszurkę i pokazuje mi baseny i zjeżdżalnię, plażę i dyskotekę, i wszystko to wygląda naprawdę super. A ty i ja będziemy mieli osobny pokój i, jak mówi mama, będziemy mogli nawet wzywać obsługę, jeśli przyjdzie nam na to ochota.

Wieczorem w przeddzień naszych urodzin i wyjazdu na wakacje w Hiltonie pakujemy się, i ciągle zbiegam na dół do twojego pokoju po jakieś rzeczy i mówię, jaka jestem podekscytowana i że będzie fajnie. Też wyglądasz na podekscytowanego. Pakujesz swoje ubranie, pakujesz i pakujesz, żartuję wreszcie, że chyba zabierasz tyle rzeczy, żeby się trzy razy dziennie przebierać.

Uśmiechasz się z błyskiem w oku.

– Założę się, że w Hiltonie będą napaleni, bogaci faceci – mówisz. – Chcę wyglądać jak najlepiej.

Zachichotałam, ale cię uciszam i ostrzegam, lepiej nie mów tego przy tacie, czując mimo wszystko ulgę, że coś cię ruszyło i znowu zachowujesz się na wpół normalnie. Jakoś nie przejmuję się tym, co powiedziałeś.

Tata wstaje skoro świt i zaczyna ładować samochód. Moja walizka jest zapakowana, zamknięta i gotowa do wzięcia. Wskakuję pod prysznic, a gdy spod niego wyskakuję, słyszę walenie. Na dole mama wali w twoje drzwi, które są zamknięte na klucz.

– Dlaczego Joshua zamknął drzwi? – pyta, kiedy schodzę na dół, zawinięta w

ręcznik. – Chyba mnie nie słyszy, musi bardzo mocno spać.

Hałas ściąga na dół tatę i on również zaczyna walić w drzwi i krzyczeć, nakazując ci natychmiast otworzyć. Obydwoje łomoczą i krzyczą przez chyba dwadzieścia minut, po czym tata decyduje, żeby wyłamać drzwi. Nie mówię mu, jak poradzić sobie z zamkiem, bo to byłoby równoznaczne z ujawnieniem, że od jakiegoś czasu zamykasz drzwi na klucz i coś ukrywasz, a ja o tym wszystkim wiem. Tata uderza drzwi ramieniem, raz, dwa, trzy razy, aż puszczają. W twoim pokoju jest ciemno, zasłony są zaciągnięte, ale nawet przy świetle starej lampki z Myszką Miki, której nie wyrzuciłeś, wyraźnie widać, że ciebie nie ma.

Dwa dni później policja znajduje cię, ukrywającego się po drugiej stronie miasta, mieszkającego z tamtym kierowcą z nocnych wyjazdów nad rzekę w osiedlu przyczep obok cmentarza Adwentystów Dnia Siódmego. Kierowca nazywa się Vinny, ma dwadzieścia trzy lata i zostaje aresztowany za ukrywanie nieletniego, a ciebie policja przywozi do domu.

Ale jest już za późno, żeby jechać do Ocean City. Tata musi odwołać rezerwację w Hiltonie. Przypadkowo słyszę, jak mówi do mamy, że nie rozpoznaje w tobie własnego syna, skoro wolisz spędzać weekend w przyczepie zamiast w czterogwiazdkowym hotelu.

Masz szlaban na wyjścia na czas nieokreślony, zarządzony przez tatę, a ty mówisz mu, żeby poszedł do diabła, po czym zwiewasz do swojego pokoju, gdzie i tak miałeś odmaszerować w celu odbywania kary. Trzaskasz przy tym drzwiami, a tata przez resztę dnia trzaska wszystkimi drzwiami, które napotyka na drodze.

Zastanawiam się, co będzie z kierowcą imieniem Vinny, i jestem ciekawa, czy ma krzywe zęby, bo sądząc po tym, że mieszka w przyczepie, na pewno nigdy nie był u ortodonty takiego jak tata. Postanowiłam zapytać, czy to zauważyłeś, myśląc, że a nuż uda mi się ciebie rozśmieszyć. Ale kiedy tej nocy wymykam się do twojego pokoju, drzwi są zamknięte, a ty nie otwierasz na moje pukanie i wołanie, Joshua to tylko ja, wpuść mnie, proszę. Mówisz mi, żebym sobie poszła.

Jednakże rano okazuje się, że to ty sobie poszedłeś. Znowu. Teraz zniknąłeś na dłużej i uciekłeś dalej niż na osiedle przyczep koło cmentarza Adwentystów Dnia Siódmego. Mijają dwa tygodnie, zanim dowiadujemy się czegoś, znowu od policji, tym razem z Miami na Florydzie. Mówią, że przejechałeś całą drogę autostopem międzystanową autostradą 1-95. Mówią mamie i tacie przez telefon jeszcze inne rzeczy, nie słyszę co, a oni nie chcą mi powiedzieć. Tata ma kamienną twarz, a mama płacze, płacze, płacze.

Sprawdzam hasło Miami w naszej *Encyklopedii Britannica*, tom M, i dowiaduję się, że leży w części Florydy zwanej Złotym Brzegiem i że ma podzwrotnikowy klimat, że jedna z dzielnic miasta nazywa się Art Deco i słynie z owoców cytrusowych i wspaniałego akwarium. Dochodzę do wniosku, że Miami nie jest najgorszym miejscem. Proszę mamę, żeby przestała płakać, próbuję ją pocieszać, ale wydaje się, że jej wcale na tym nie zależy.

Policja w Miami ma trochę kłopotów z zatrzymaniem cię i odstawieniem z powrotem do domu, a mama z tatą cały czas się kłóć. Tata uważa, że powinniśmy machnąć na ciebie ręką. Jeśli Josh upodobał sobie Miami, mówi, niech tak będzie. Mówi, żeby pozwolić temu chłopakowi zostać tam i na frytkę spiec się od słońca, które świeci w Miami przez okrągły rok. Mówi, że Joshua nie jest już jego synem.

Mama dzwoni do babci Shirland i szlocha w słuchawkę, przy tacie spazmuje i apeluje do niego. Miami to nie miejsce dla naszego dziecka, powtarza, i w końcu go przekonuje.

Później, kiedy myślą, że nie ma mnie w pokoju i w zasięgu głosu, słyszę wyznanie taty.

– To, co się z nim stało, przerasta nas, Helen. – Nasz tata mówi to z nutą zakłopotania. – Już nie damy sobie z nim rady.

A mama pociąga nosem i być może się z tym zgadza.

– On wymaga profesjonalnej pomocy – zamyka sprawę tata.

Rozdział 50

Wieczorem mojego sto szóstego dnia w ośrodku tylko ja nie zostałam nikomu przydzielona podczas odprawy. I kiedy Hilary, która wróciła już na posterunek, otwiera kluczem podwójne drzwi na parking, żeby wypuścić weteranów i nowicjuszy do mam i tatusiów czekających w świeżo naprawionych samochodach, Dwight staje nad moim krzesłem i mówi, że czas iść do pokoju odosobnienia i popracować nad moim zadośćuczynieniem. Sterczy nade mną i artykułuje bezgłośnie *ty brudna mała dziwko*, a we mnie nie ma żadnych emocji.

A potem na ramieniu Dwighta widzę czyjaś rękę. To pojawia się Hilary. Mówi mi, że nie dzisiaj.

– Wszyscy są zbyt zmęczeni, Justine zacznie odbywać karę jutro. OK? Zajmiesz się nią jutro.

Hilary przydziela mnie do Moiry, po czym oddala się z Dwightem, ale on rzuca jeszcze przez ramię spojrzenie pełne wściekłości, dając mi do zrozumienia, że jutrzejsza noc będzie tym gorsza. A we mnie nie ma żadnych emocji.

Na zewnątrz pada, więc Moira i ja puszczaemy się pędem po mokrym, chrzęszczącym żwirze, ale i tak zanim docieramy do zielonego kombi z drewnopodobnymi listwami, włosy oblepiają mi głowę i czoło.

Tata Moiry jak zwykle czeka za kierownicą.

– Cześć kochanie – rzuca, a Moira łaskocze go po szyi i pyta, czy miał dobry dzień.

– Chyba miewałem gorsze – mówi tata, a potem ostrzega nas, żebyśmy uważały na szkło, bo odkurzacz nie miał dobrego ciągu i mogło coś zostać. Zażartował jeszcze, że jeśli o niego chodzi, to krzywda mu się nie stała ostatniej nocy, bo jego samochód i tak był już mocno spóźniony z wizytą u mechanika. Potem popada w milczenie, ziewa od czasu do czasu, prowadzi zatopiony we własnych myślach.

A Moira i ja na tylnym siedzeniu nie musimy prowadzić, ziewamy, zatopione w naszych myślach słuchamy wycieraczki jeżdżącej po przedniej szybie i kropli deszczu uderzających o dach samochodu. Jestem zmęczona i nie ma we mnie żadnych emocji.

Potem Moira ni z tego, ni z owego zaczyna rozmowę. Z nagłym ożywieniem stwierdza, że Hilary wcale nie jest taka zła, jak by się zdawało, że miała młodszego brata, czy w ogóle o tym wiedziałam, że to Hilary wciągnęła go w narkotyki, ale on wsiąkł w to na dobre i przedawkował, a miał tylko piętnaście lat. Wymownym

ściśnięciem mnie za kolano podkreśla powagę tego, co mówi, i opowiada, jak potem Hilary od razu rzuciła narkotyki i włączyła się w zorganizowanie programu i że ma dobre intencje, naprawdę, i bardzo stara się, żeby innym dzieciakom nie przytrafiło się to, co jej bratu, jeżeli tylko może temu zaradzić. Hilary trzymałaby cały świat z dala od narkotyków, gdyby to było w jej mocy.

– To wcale nie jest taki zły cel, prawda? – Kolano mnie boli, bo Moira trzyma je w uścisku jak w imadle. – To wcale nie jest takie złe.

A mnie to guzik obchodzi. Patrzę na krople deszczu wysychające na moim przedramieniu i wyskakującą gęsią skórę. Nie ma we mnie żadnych emocji, więc jakie to wszystko ma znaczenie. Jest jednak coś, co chcę wiedzieć. Dość kręcenia. Odwracam się do Moiry i pytam ją wprost:

– Czy wsypałaś mnie i Toby’ego?

Ręka puszcza moje kolano. Moira wydaje z siebie jakiś gardłowy dźwięk, oczy ma okrągłe, wygląda na zdumioną albo urażoną, albo nie wiem jaką jeszcze.

– Wszyscy wiedzą, że to była robota Toby’ego – mówi. Przecież, do diabła, mieli na sobie kaski drużyny futbolowej Gunther High.

– A co ze mną? – pytam. – Wsypałaś *mnie!*

– Och, daj spokój – oczy jej robią się jeszcze okrągłejsze i szerzej otwiera usta, a jednocześnie odsuwa się ode mnie. – To była Gwen. Znalazła twoją wiadomość pod stołem. Ostrzegalam cię. Mówiłam, że wymieniacie za dużo liścików, powiedziałam ci, że masz je niszczyć. Wczoraj wieczorem podczas tej ucieczki Gwen przechwalała się wszystkim piątofazowiczom, że cię przyskrzyliła.

– Piątofazowicze wyszli z pokoju już po tym, jak raporty zostały oddane, mieli pomagać przy nich Dwightowi – przypominam sobie.

– I co?

– A to, że Dwight mówił o *dwóch* osobach, które na mnie doniosły... dwie osoby doniosły na mnie przed ucieczką.

Moira spuszcza oczy i przygryza wargę. Odsunęła się teraz daleko ode mnie, praktycznie siedzi na drzwiach. Przebiera palcami w gniazdku po zapalnicze, która została stamtąd wyjęta, bo tego wymagają zasady.

– To mógł być każdy – utrzymuje – skąd mogłabym wiedzieć kto to, każdy mógł was zobaczyć, to robiło się zbyt ryzykowne, nie byliście ostrożni.

– Nie sądzę. Nie sądzę, by ktokolwiek inny cokolwiek zauważył.

Bawi się tym gniazdkiem, badając wnikliwie miejsce po zapalnicze, jakby szukała ukrytej wady samochodu. We mnie nie ma żadnych emocji.

W końcu spoglądała na mnie spochmurniałymi oczami. Wpatruje się, jakby

znalazła usterkę techniczną i jakbym to ja nią była.

– Justine, dlaczego ty tak wszystko komplikujesz? Naprawdę próbowałam ci pomóc, ale to utrudniałaś. Jesteś uparta jak twój brat. Gdybyś tylko powiedziała im to, co chcieli usłyszeć. Chodzi o to, że jesteś bystrą dziewczyną i mogłabyś już być w połowie drogi. Inne dziewczyny, nawet w połowie nie tak inteligentne jak ty, choć zaczęły później, są już w drugiej fazie. Ale ty, ty po prostu nie chcesz współpracować.

– A dlaczego mam współpracować? Dlaczego mam kłamać i mówić, że jestem narkomanką? Nie jestem uzależniona.

– Mogłabyś być, nigdy nie wiadomo. Mogłaś mieć skłonności do uzależnień. Mogłaś...

– Nie! – krzyczę. – Sama powiedziałaś pierwszej nocy u ciebie, że wcale nie byłam uzależniona, i powiedziałaś, że w programie byli też inni ludzie, którzy nie powinni się tu znaleźć.

– Do diabła, a co ja w gruncie rzeczy wiem. Nie jestem profesjonalistką. Hilary jest profesjonalistką. Hilary wie. Ona próbuje ci pomóc. Ona chce, żebyś stała się czysta.

– Ja nie muszę stawać się czysta. *Ja nie jestem uzależniona!* Moira pokazuje mi, żebym była ciszej, bo ojciec usłyszy.

– Słuchaj! – syczy, oczy jej się zwięzają. – Jesteś czy nie jesteś, to naprawdę już nie ma żadnego znaczenia. Mój Boże, jesteś taką egoistką, taką egoistką. – Krzywi się gniewnie i kręci głową. – Gwen zawsze mówiła, że jesteś, a ja cię broniłam. Ale teraz widzę, jaka naprawdę jesteś. Myślisz, że ten program jest okropny, myślisz, że to miejsce to piekło. A więc posłuchaj, co ci powiem. To piekło uratowało mi życie. I uratowało też życie wielu innym dzieciakom.

Moja koszulka jest przemoczona na plecach, najbardziej między łopatkami, od mokrych włosów. Nie byłby to problem w letnią noc jak dziś, gdyby nie to, że wszystkie okna są szczelnie zamknięte, a tata Moiry włączył klimatyzację. Schłodzone powietrze przenika mnie na wskroś. Trzęsę się, ale przypominam sobie, że nie ma we mnie żadnych emocji.

– A Joshua? – pytam głosem płaskim jak naleśnik. – Czy uratowało też życie mojego brata?

– *Pieprzyć* Josha – rzuca w odpowiedzi. – *Pieprzyć* Josha i *pieprzyć* ciebie. Dwoje samolubnych smarkaczy, myślących tylko o sobie i o własnym nosie. Jest mnóstwo innych ludzi, nie tylko ty i twój brat bliźniak, mnóstwo dzieciaków, które *potrzebują* tego miejsca, które *potrzebują* powrotu do zdrowia, a ty, a ty

przysparzasz kłopotów nam wszystkim.

– To nieprawda.

– Prawda. Czy nie nasłuchiłaś się, co ludzie mówili podczas różnych sesji, nie słyszałaś opowieści o tym, przez co przeszli, co musieli pokonać.

– Słyszałam, i co z tego. Dlaczego mam im wierzyć? Ja już nie wiem, w co wierzyć.

– W każde słowo. Możesz wierzyć w każde słowo każdej opowieści. To są prawdziwi ludzie i prawdziwe historie. Otwierają swoje serca przed wszystkimi w grupie, mówią szczerze i ty też powinnaś.

Nie poznaję już tej osoby. Nie poznaję tej dziewczyny, której kiedyś się zwierzałam.

– Moiro, zrobili ci pranie mózgu – mówię. – Nie widzisz, że ludzie w tym miejscu nie są szczerzy, tylko przerażeni.

– Dzieciaki, wszystko w porządku tam z tyłu?! – krzyczy tata Moiry. Przykładając palec do ust, Moira daje sygnał, żebym była cicho, a ojcu odpowiada, że tak, u nas wszystko dobrze.

Słuchamy szumu wycieraczek i deszczu bijącego o dach – uwielbiam odgłosy deszczu. O co ja się właściwie z nią sprzecam, przecież nie ma we mnie już żadnych emocji. A jednak chcę wiedzieć.

– A więc zrobiłaś to?

– Co? – To bardziej zaczepka niż pytanie. Ona dokładnie wie, co znaczy moje „to”.

– Doniosłaś na mnie?

– Daj spokój – przewraca oczami.

– Chcę to usłyszeć z twoich własnych ust. – I tylko o to mi chodzi, ponieważ teraz już sama wiem, wiedziałam już w czasie przesłuchania, kiedy Dwight pokazywał *dowody*, kiedy wśród wysypujących się z pinaty świstków zobaczyłam karteluszkę od Toby’ego, zapisane czerwonym atramentem. Liściki Toby’ego pisane wyłącznie do mnie, skonfiskowane przez Moirę, która zagrała ze mną pokerowo, pozorując, że wepchnęła je do młynka na odpadki w zlewie.

Właśnie zdążyłam jej to powiedzieć, a ona odwarknąc „Przestań!”, kiedy dojechaliśmy do skrzyżowania.

W tym samym momencie tata Moiry wciska pedał hamulca na czerwonym świetle i wszyscy lecimy do przodu.

– Co u licha! – krzyczy, a Moira każe mi zapiąć pas.

Klakson trąbi, wewnątrz samochodu zalewa jaskrawe pulsujące światło.

– Co u licha! – powtarza tata Moiry i opuszcza w dół lusterko wsteczne, bo odbłaski światła rażą go w oczy. Moira pyta, czy sprawdził automatyczną blokadę drzwi.

Odwracam się i widzę za nami czerwoną plamę. Okna trochę zaparowały, ale chyba dobrze rozpoznaję, że to czerwony van stoi za nami, trąbi i błyska długimi światłami, które włącza i wyłącza. Włącza i wyłącza. Mrużę oczy, bo marnie widzę, kiedy te światła błyskają prosto w oczy. Słyszę ryk silnika wprowadzanego raz po raz na najwyższe obroty, jazgot klaksonu i głośną muzykę z samochodowego odtwarzacza stereo, wydaje mi się, że to Twisted Sister albo Iron Maiden, albo któryś z heavymetalowych zespołów, słyszę też krzyki niebędące częścią muzyki.

Van dodaje gazu, tym razem rusza do przodu i uderza w nasze kombi, klakson wyje, muzyka ryczy, pulsują światła, włączane i wyłączane.

Tata Moiry klnie, to nie do zniesienia, mówi. Naciska gaz, żeby szybko wystartować spod świateł i uciec tym wariatom. Wyrывa do przodu i wali w volkswagena garbusa, który chciał śmignąć przez skrzyżowanie, zanim światła dla niego zmieniają się na czerwone. Wszyscy lecimy do przodu, serca skaczą nam do gardeł, dziękujemy Bogu, że mamy zapięte pasy.

Wypadek nie wygląda tak źle. Tacie Moiry nic się nie stało, choć jego samochód, świeżo spod ręki mechanika, bucha dymem spod maski. Wygląda na to, że w volkswagenie też się nikomu nic nie stało, ale auto ma pokiereszowany tył, jakby miało do czynienia z otwieraczem do konserw. Kierowca, wygrażając pięściami i z pianą na ustach, biegnie do nas, wrzeszcząc do taty Moiry, że się z nim, cholernym matole, zaraz porachuje. A czerwony van jest ciągle za nami i ciągle trąbi, i ciągle miga długimi światłami.

Nagle mnóstwo ludzi podbiega do naszego samochodu, tłoczą się dookoła, krzyczą, wrzeszczą i wtórują ogłuszającemu śpiewowi Twisted Sister czy Iron Maiden, czy może innej gwiazdy, nie znam się.

– Co jest, u diaska! – krzyczy tata Moiry.

A potem ludzie tłoczący się wokół samochodu zaczynają walić w dymiącą maskę i w dach, i w drewnopodobne listwy, skaczą w kałużach zbierających się na asfalcie i tańczą w deszczu smagającym im twarze i ściekającym po włosach. I nagle zaczynają skandować, skandować, skandować. W pierwszej chwili nie rozróżniam sylab, wreszcie do mnie dociera. To na moją cześć, skandują moje imię.

Jus-tine! Jus-tine! Jus-tine!

Zauważam twarz rozplaszczoną na szybie mojego okna i odruchowo podskakuję z wrażenia. Okna są zaparowane, twarz ma zniekształcone, nierozpoznawalne rysy. Przeciągam rękawem po szybie, widoczność się poprawia i widzę, że ta twarz uśmiecha się od ucha do ucha, jest przyjacielska i dobrze znajoma. To Toby! Jest przy oknie! I skanduje Justine! Toby S. przyjechał mnie ratować, tak jak obiecał.

Łapię za klamkę, ale automatyczna blokada działa i nie mogę otworzyć drzwi. Kładę rękę na szybie, do której z drugiej strony przyciśnięta jest twarz Toby'ego, i przeciągam po niej palcami.

– Wypuść mnie – mówię do Moiry.

– Nie powinnaś. Nie idź. To nie w porządku. – Głos ma zdławiony, ale nadaje mu ostry ton. – Powinnaś zostać w programie, popracować ciężko nad sobą, wytrzymać do końca, a później będziesz zadowolona.

Staje mi przed oczami Dwight, Emily i Francis, i ty, Joshua, i mogłabym wydrapać tej dziewczynie oczy, z których wyziera teraz protekcyjna dobroć.

– Wypuść mnie – powtarzam.

– Sama powiedziałaś kiedyś, że to miejsce dla ciebie.

– **Nie.**

– No to co powiedziałaś? – napiera Moira.

– Powiedziałam, że na to zasługuję.

– Więc?

– Już tak nie uważam. Nikt na to nie zasługuje – mówię i jestem o tym przekonana. A potem krzyczę, krzyczę, ile sił w płucach – Wypuść mnie!!!

Toby i jego przyjaciele walą teraz w okna coraz mocniej i skandują moje imię, i odbijają piłki futbolowe o przednią szybę. To nie żarty, to dyktat, a nie prośba, życzenie czy modlitwa. Wydobywam się tym razem z tego gnoju.

– Jus-tine! Jus-tine! Jus-tine!

Przez lusterko wsteczne tata rzuca Moirze pytająco-błagalne spojrzenie – co zrobić? – i ona mówi wreszcie, żeby zwolnił blokadę.

– Znowu powybijają szyby, jeśli tego nie zrobisz – dodaje z rezygnacją.

Łapię za klamkę, która tym razem się poddaje, i drzwi się otwierają.

– Przecież wiesz, że cię złapią. – mówi Moira. – Ktoś cię zakabluje i wsadzą cię z powrotem do ośrodka na bardzo, bardzo długo. Nikomu nie możesz ufać – ciągnie. – Ktoś cię wyda. Zawsze się tym kończy.

Ale już jej nie słucham, bo drzwi są otwarte i wyskakuję na jezdnię, na deszcz i w ramiona Toby'ego S. Jestem w ramionach Toby'ego S., a on do mnie mówi, po

raz pierwszy twarzą w twarz:

– Nie myślałaś, mam nadzieję, że o tobie zapomniałem.

Rozdział 51

Zabiłeś siebie. Zrobiłeś to. I ja cię znalazłam. To był sylwester. Mieliśmy piętnaście lat, cztery miesiące i sześć dni.

Zaledwie tydzień wcześniej przyjechałeś do domu. Mama, tata i ja byliśmy wszyscy na Spotkaniu Otwartym, kiedy wykonałeś zwycięski bieg w nasze ramiona. To była dla nas niespodzianka i tak bardzo się ucieszyliśmy, a jeszcze bardziej cieszyliśmy się, kiedy oznajmili, że wychodzisz na cały tydzień do domu. Normalnie przywilej pobytu w domu obejmuje tylko weekend i po tym czasie fazowicz wraca do ośrodka i znowu pomieszkuje po domach innych uczestników programu, dopóki nie dojdzie do fazy czwartej. To wtedy może wrócić do domu na dobre, pod warunkiem że nie miał żadnych nawrotów. Wtedy też sam zostaje gospodarzem dla kolejnych nowicjuszy.

Tak się jednak złożyło, że przywilej wyjazdu do domu przyznano ci po raz pierwszy akurat w Wigilię, a ponieważ ośrodek miał być zamknięty z powodu świąt, zrobili wyjątek i mogłeś być z nami w domu przez cały tydzień. Były oczywiście ustalone warunki, mnóstwo zasad do przestrzegania, przede wszystkim mieliśmy cię zawozić na sesje w te dni, które nie były oficjalnymi świętami, ale najważniejsze było to, że znalazłeś się z powrotem w domu, więc byliśmy zachwyceni.

Święta były spokojne i ciche, bardzo ciche, bo – zgodnie z ustalonymi warunkami twojego pobytu w domu – nie wolno nam było słuchać żadnej muzyki, nawet tradycyjnych kolęd, i nie wolno było dawać ci prezentów, zatem wszyscy zrezygnowaliśmy z upominków. A ty? Ty też byłeś cichy, bardzo cichy. Pytaliśmy, jak było w programie, ale nie chciałeś o tym mówić, a skoro nie wolno było rozmawiać o kolegach, muzyce, programach telewizyjnych, bieżących wydarzeniach i tak dalej, więc właściwie w ogóle nie bardzo było o czym mówić. Za to menu świąteczne! Indyk z sosem żurawinowym, taki jaki uwielbiałeś, z chrupiącą skórką, nadziewany, a poza tym pachnące bułeczki, szynka, ciasta, sałatka owocowa i w ogóle wszystkie bajery.

I każdej nocy tego tygodnia cichaczem schodziłam na dół, żeby spać w twoim pokoju. To było niesamowite mieć cię znowu tak blisko. Chociaż od lat nie spaliśmy w jednym pokoju, teraz wydawało się to takie oczywiste. Wysunęliśmy drugie posłanie i zamienialiśmy się co noc – ty na chowanym łóżku, ja na głównym, i odwrotnie – jak to robiliśmy, kiedy byliśmy mali, tylko że wtedy

sprzeczałyśmy się o to, kto ma mieć Christy Crybaby, a kto misia Teddy Kennedy czy inną ukochaną zabawkę. Teraz już nie walczyliśmy. Nie gadaliśmy też do późna jak kiedyś, dlatego że nie było o czym, ale słuchałam, jak oddychasz, i to mnie uspokajało. Raz czy dwa w nocy, gdy byłam pewna, że śpisz, przytulałam się do ciebie, przykładając nos do twojej szyi i wachałam. Wciąż pachniałeś sobą, Josh, pachniałeś sobą i to było cudowne.

Którejś nocy zapytałeś jednak, czy nie mogłabym spać w swoim pokoju. Powiedziałeś mi, że od dawna nie miałeś możliwości spać sam, a fajna byłaby taka jedna noc czy dwie. „Rozumiesz to chyba, Justine?”, powiedziałeś, a ja zaklinałam się, że tak, choć nie rozumiałam i czułam się bardzo zraniona.

W sylwestra, twoją ostatnią noc w domu, mama i tata zostali zaproszeni na przyjęcie i postanowili pójść. Obiecali, że nie wrócą późno, a rano, zanim cię odwieziemy, pojedziemy wszyscy na uroczyste, późne, noworoczne śniadanie do restauracji ChiChi. Ja też miałam zaproszenie na sylwestrową imprezę, gdzie mieli być Cindy, Lloyd i reszta paczki, ale nie mogłeś być wtedy w domu sam, więc odmówiłam. Zrozumiałeś, że zostaję, żeby cię pilnować jak wynajęta opieka do dziecka, i nie dałeś wiary moim zapewnieniom, że wcale tak nie jest, że chciałam zostać w domu, bo chciałam być z tobą.

Gdy zostaliśmy sami, zaproponowałam, żeby włączyć Dicka Clarka, a ty powiedziałeś, że to jest wbrew zasadom, a ja na to, że kurczę, kto się o tym dowie. A kiedy Kula opadła na Times Square, wznieśliśmy toast noworoczny sokiem jabłkowym w kieliszkach do wina, zagryzając ciasteczkami Entenmanna, tymi królewskimi roladkami z czekoladowymi paluszkami w środku.

Około wpół do pierwszej przyszedł Cindy i Lloyd. Zaszczebiotali, że jeśli Mahomet nie przyszedł do góry, to góra przyszedła do Mahometa. Pojawili się w śmiesznych czapczkach i z innymi sylwestrowymi akcesoriami. Wiedzieli, że jesteś w domu, i chcieli się z tobą zobaczyć. Też im ciebie brakowało. Byli trochę wstawieni po niskoalkoholowych napojach i pseudoszampanie, ale nie pijani. Powiedziałam im, żeby chwilę poczekali, chciałam się upewnić, czy to jest OK z twojego punktu widzenia.

Kiedy wróciłam do pokoju telewizyjnego, ty już wyłączyłeś telewizor i Dicka Clarka i po prostu tam siedziałeś. Zapytałam, czy dobrze się czujesz, a ty odpowiedziałeś, że oczywiście. Powiedziałam, że Cindy i Lloyd stoją w drzwiach, a ty stęknąłeś.

– Mam ich wpuścić? – zapytałam.

– Nie mogę nawiązywać narkotykowych kontaktów.

– To nie są narkotykowe kontakty. To Cindy i Lloyd, na miłość boską. Znamy ich, odkąd skończyliśmy osiem lat. Nie nazywaj ich tak.

– To nie ma znaczenia. Ale nie mogę wymawiać ich imion i nie mogę się z nimi widzieć. To wbrew zasadom. W ogóle nikt poza rodziną nie może być w domu – wyjaśniałeś, mówiąc coraz szybciej i zaciskając mocno dłonie. – To wbrew zasadom.

I mama z tatą też nie powinni wychodzić, bo zawsze przynajmniej jedno z rodziców ma być w domu, i nie powinniśmy oglądać telewizji, bo to też jest wbrew zasadom.

Zirytowałam się wtedy na ciebie, byłeś taki niezyciowy.

– Twoje zasady są jak wrzód na dupie – palnęłam.

– Nie ja je wymyśliłem.

– Nieważne, i tak zalatują gównem. – Wyszłam z pokoju wściekła, próbując naprędce wymyślić jakąś wymówkę, żeby Cindy i Lloyd nie poczuli się urażeni, że nie mogą wejść do środka. W końcu po prostu powiedziałam im prawdę i siedzieliśmy na schodach przez jakieś pół godziny, trzęsąc się z zimna i naśmiewając się z ciebie, Joshua, i z twoich idiotycznych zasad. Nie chcieliśmy być złośliwi, ale wydawały nam się takie głupie.

Kiedy sobie poszli, a ja wróciłam do środka, ciebie nie było już w pokoju telewizyjnym. Sprawdziłam twoją sypialnię, obydwa łóżka były puste. Nie było cię też ani w łazience, ani w kuchni, ani w moim pokoju, ani w sypialni rodziców. Nie było cię w pokoju gościnnym ani w salonie, ani w gabinecie taty, ani w garażu. Przestraszyłam się. Nie było cię też w piwnicy i nie było cię na strychu. Jeżeli uciekłeś, gdy ja miałam cię pilnować, znalazłabym się w poważnych tarapatach. Prawdopodobnie byłeś w połowie drogi na Florydę i tata będzie znowu dzwonił na policję i cały ten cyrk zacznie się od początku, a mama będzie miała załamanie nerwowe. Wszystko, tylko nie to, modliłam się, wszystko.

I wtedy znalazłam cię za domem.

Mama chce myśleć, że to był wypadek. Ja też chciałabym w to wierzyć, ale wtedy, najdłużej jak mogłam, nie wierzyłam w ogóle. Po prostu nie wierzyłam, że odszedłeś.

Prawda jest taka, że to wcale nie był wypadek, czyż nie tak, Josh? Nikt przez przypadek nie skacze z rozbiegu z trampoliny do pustego basenu. Mówili potem, że musiałeś odbić się od deski kilka razy, musiałeś osiągnąć sporą wysokość, musiałeś zrobić jedną z tych twoich akrobacji, którymi lubieś się popisywać, bo leciałeś do basenu głową w dół i uderzyłeś w dno, tam gdzie było najgłębiej, tak mocno, że

twoja czaszka pękła, jakby nie była twardsza od skorupki jajka. Ale, powiedzieli, że nie to cię zabiło. Przez to straciłeś wprawdzie przytomność i pewnie w końcu spowodowałoby to śmierć albo byś wegetował jak roślina, ale zabiły cię dwa cale wody. To była właściwie kałuża, trochę chlorowanej wody, która od czterech miesięcy ledwie pokrywała dno, częściowo zamarznięta, pełna liści, brudu i Bóg wie czego jeszcze. Utopiłeś się w niej.

Powiedzieli mamie, że byłam w szoku, i to możliwe, bo nie pamiętam, co się działo. Musiałam wiedzieć, że wołanie kogokolwiek nie ma sensu. Podobno leżałam obok ciebie i jak to sobie teraz wyobrażam, pewnie próbowałam poczuć twój zapach, chociaż chlor, krew i lód prawdopodobnie tłumiły ten twój cudowny zapach. I mówią, że rodzice musieli mnie mocno trzymać, kiedy koronerzy przyszli cię zabrać. I mówią, że zostałam tam na dnie basenu, nie dałam się stamtąd ruszyć przez całe dwa dni, aż przyjechała babcia Shirland i namówiła mnie, żebym wyszła – po drabince, bo to było w głębszej części.

Rozdział 52

Oboje z Tobym wiemy, że nie możemy udać się do naszych domów. I nie możemy zatrzymać się u Cindy, Lloyda ani u żadnego z przyjaciół Toby'ego, bo jak amen w pacierzu będą nas tam szukać. Musimy pojechać gdzieś daleko stąd, i to szybko. Proponuję Kansas.

– Tam gdzie Oompa-Loompa, te krasnoludki, ci mali śpiewający faceci? – drwi Toby. – Zawsze mnie trochę przerażali, tak samo jak tańczący pomagierzy Ronalda McDonalda, króla burgerów.

– Nie – protestuję. – To było w Oz, gdzie mieszkał czarnoksiężnik i zła czarownica, i latające małpy. – A Kansas było bezpieczne, Kansas to było to miejsce, do którego chcieli wrócić Dorotka i Toto.

– Ten czarno-biały kawałek? – pyta Toby, a ja mówię tak, wszystko czarne i białe.

Jeden z kolegów Toby'ego pożycza nam trochę pieniędzy na greyhonda i jesteśmy mu wdzięczni, bo po historiach usłyszanych w programie nie chcemy jechać autostopem. Wyjeżdżamy tej samej nocy, zaraz po tym, jak Toby wyrwał mnie z zielonego kombi i z rąk Moiry.

Greyhound jedzie w nocy i gdzieś w okolicy Pittsburgha przestaje padać, a my cały czas gadamy. Myślę, że nie zamknęliśmy oczu nawet na sekundę. Pytam Toby'ego, jak to się stało, że wylądował w ośrodku. Opowiada, jak z kumplami z drużyny robili niegroźne zadymy – i nietrudno mi w to uwierzyć – ale rodzice to tolerowali, bo drużyna doszła do ligi stanowej. Po sezonie futbolowym Toby w dalszym ciągu lubił poszaleć i jego rodzice byli już mniej zachwyceni, ale to też tolerowali, bo Toby zdobył stypendium. Wprawdzie tylko do małej prywatnej szkoły w stanie Illinois, do RiverOaks College, bo jak mówi: „Byłem dobrym rozgrywającym, ale nie aż tak dobrym w ogóle”. Ale było to do zaakceptowania – pełne stypendium – darowanemu koniowi w zęby się nie zagłąda. Nie do zaakceptowania było jednak oświadczenie Toby'ego, parę miesięcy przed końcem roku, że zamierza odłożyć naukę w River Oaks College, nie zważając na stypendium pokrywające wszystkie koszty, bo chce wyruszyć z kumplami na rok, może dłużej, w podróż po Europie. Tego rodzice Toby'ego się wystraszyli. Wyobrazili go sobie robiącego rozróby w Londynie, Paryżu czy Madrycie, a tego oczywiście tolerować by nie mogli. Powiedzieli mu, że rujnuje sobie życie, a on im na to, że to jego życie, ale takiego punktu widzenia nie byli gotowi przyjąć. W

następstwie tego wszystkiego został nowicjuszem w programie Come Clean.

Toby opowiada mi też więcej szczegółów dotyczących ucieczki. Prawda wygląda tak, że niczego nie organizował, bo niby jak miałyby to robić zamknięty w ośrodku. Zorganizowała tę noc jego młodsza siostra, która ma na imię Stephanie i którą – jest tego pewien – polubię. Uważając za absurdalne potraktowanie jej starszego brata jak narkomana, zebrała lubujących się w zadymach jego kumpli z drużyny i razem to wszystko zaplanowali. Musieli tylko odczekać do końcowych egzaminów i uzyskania świadectw, ale od początku byli chętni. Stephanie dała Toby’emu cynk tydzień wcześniej, na Spotkaniu Otwartym.

– Wiesz, nadajemy sobie sekretne sygnały rękami, ja i Stephanie – wyjaśnia Toby – to jeszcze z czasów, gdy byliśmy mali.

A ja mówię:

– Tak, znam to.

Za oknem greyhounda ciemno, choć oko wykol, a wewnątrz jesteśmy jedynymi pasażerami, którzy mają jeszcze zapalone lampki do czytania. Ktoś syczy, żebyśmy się uciszyli, zgasili światło i dali innym spać. Przykręcamy lampki, na zewnątrz jest kompletnie ciemno, więc na pewno nie jesteśmy w pobliżu żadnego miasta. Dziwne, ale nie czujemy się ani trochę zmęczeni, nie chcemy ulec senności, kontynuujemy rozmowę szeptem.

Mówię Toby’emu, jak wiele znaczyły dla mnie jego liściki w tych najczarniejszych dniach w ośrodku, że jego obecność i wiadomości od niego pozwalały mi oderwać się od ponurej codzienności i dodawały mi sił.

– Zastanawia mnie tylko jedna rzecz.

– Co takiego? – chce wiedzieć Toby.

– Co znaczy AS?

I posłuchaj, Josh, odpowiedział mi, że to jest skrót od anioł stróż. Nie mogę powstrzymać łez, zaczynam myśleć o tobie i przyznaję się do tego Toby’emu, gdy pyta, dlaczego płaczę. Oczywiście zaczyna wypytywać o ciebie, coś niecoś mu opowiadam, ale nie za dużo. Nie o wszystkim chcę mówić, o pewnych sprawach nie czuję się jeszcze gotowa z nim rozmawiać.

Toby pyta, czybyś go polubił. Mówię, że tak, i gotowa jestem przysiąc, Josh, że tak by było.

Gapimy się przez okno i może zaczynam odczuwać odrobinę zmęczenia. Nie wiem, która jest godzina, bo nie odzyskałam mojego swatcha, ukochanego swatcha podarowanego przez ciebie. Suniemy w ciemności, nie widać żadnych

świateł w oknach domów ani latarni ulicznych, ani neonów reklamowych, jedynie poświata gwiezdna, i kiedy wyłączamy nasze lampki, wydaje się, że jesteśmy w statku kosmicznym i lecimy nad ziemią.

Wtedy przypomniało mi się, że nie znam nazwiska Toby'ego, więc go pytam.

– Toby Louis Sheridan – odpowiada. – A ty?

– Justine Amanda Ziegler.

– Diabelnie mi miło, Justine Amando Ziegler – mówi, a ja na to, że i mnie jest diabelnie miło z tego powodu, że go poznałam. Potem on podaje mi rękę i już jej nie cofa. Trzyma mnie za rękę całą noc, w mocnym uchwycie, jak linę ratunkową.

Rozdział 53

Do Edmiston w stanie Kansas przyjeżdżamy rano i meldujemy się w domu babci Shirland, nie mając ze sobą nic poza ubraniami na grzbietach. Przytula mnie mocno i przytula Toby'ego, choć dopiero co go poznała, i mówi też, że się piekielnie cieszy z jego widoku, choć gwoli ścisłości nie powiedziała „piekielnie”. Potem robi naleśniki i zabiera nas na zakupy do miejscowego Kmartu – co, jeśli o mnie chodzi, jest w porządku – i umieszcza nas w gościnnych pokojach po przeciwnych stronach holu – co też jest w porządku.

Mama dzwoni pierwsza. Telefon odzywa się już po godzinie od naszego powrotu z Kmartu, a babcia odbiera po trzecim dzwonku. Patrzymy na nią z Tobym i słyszymy tylko jedną stronę rozmowy. „O rety”, mówi babcia, „nie, nie wiedziałam... nie mów... och nie”. Jej brwi wyginają się w łuk będący oznaką zatroskania. Ale babcia przysięga mamie – a potem tacie, la potem Dwightowi, a potem Hilary, gdy i oni dzwonią – że nie widziała nas na oczy. Kiedy Dwight, Hilary czy ktoś inny z personelu ośrodka naciska na nią, opowiadając chyba jakieś kłopoty o nas, babcia tonem naiwnej starszej pani pyta, w jakich to kłopotach znalazła się jej wnuczka. Pyta, czy zrobiłam coś nielegalnego. Zanim odkłada słuchawkę, mówi, że jest jej bardzo przykro, ale nic nie może pomóc i oczywiście będzie miała oczy i uszy otwarte, zapewnia też mamę, tatę, Dwighta, Hilary i wszystkich innych, że będzie się za nich modlić.

Ale nasza mama, jak sądzę, zna swoją mamę i różne jej numery, tak że wkrótce orientuje się, co jest grane. I zanim z domu zniknął zapach sztucznych ogni po naszej trzyosobowej paradzie niepodległości, bo nie zapomnieliśmy uczcić święto 4 Lipca, któregoś dnia na progu pojawia się mama, niezapowiedziana jak Toby i ja, z tą różnicą, że ona ma ze sobą walizkę. Jestem pewna, że jest z nią tata, więc biegniemy ukryć się za ogrodową szopą stojącą na straży babcinych grządek z pomidorami, marchewkami i batatami. Za chwilę jednak babcia Shirland wystawia głowę zza rogu szopy i uspokaja, że mama jest sama.

Gdy już dajemy się przekonać, że można bezpiecznie wrócić do domu, mama bierze nas oboje w wyperfumowane objęcia i częstuje tic tacami właśnie wyciągniętymi z torebki. Potem, szarpiąc się z opakowaniem chusteczek Kleenex w rozmiarze dla mężczyzn, informuje nas wszystkich, że opuściła naszego tatę i być może się rozwiodą – z przerażeniem myśli o płaceniu za dobrą opiekę dentystyczną – ale tak czy owak muszą się na jakiś czas rozstać. Mówi, że według

niej tata ma chyba romans z Zoe Micklebaum, co mnie rozśmiesza. Jeżeli mama i tata by się rozwiedli, a Zoe opuściła muskularnego Feliksa i wyszła za tatę, wtedy rzeczywiście miałyby inicjały Z.Z. „Tak jak ten zespół muzyczny”, powiedziałbyś i miałbyś ubaw po pachy.

Jest ładne lato. Nasza zgrana czwórka szybko przywyka do nowego trybu życia. Późno wstajemy, robimy zakupy w Kmarcie albo w Edmiston Craft Centre, albo w nowym centrum za miastem, wpadamy do biblioteki, żeby przekartkować czasopisma i pożyczyć coś dla eskapistów (romanse Harlequina dla mnie, mamy i babci, sensacyjne *science fiction* dla Toby’ego), chodzimy na popołudniowe przedstawienia teatralne za pół ceny albo siedzimy w domu i do znudzenia oglądamy *Ali My Children* i *General Hospital* oraz powtórki telenowel.

Toby S. mówi, że musi powrócić do dobrej kondycji, więc bardzo dużo ćwiczy, co wieczór o zmierzchu biega, spędza całe godziny w YMCA, robi pompki, gdy my oglądamy program Phila Donahue, a przed pójściem spać trenuje z hantlami, podnosząc kule wielkości beczek.

Gdy Toby ćwiczy, ja z mamą i babcią Shirland zajmujemy się babskimi sprawami. Regularnie odwiedzamy salon fryzjersko-kosmetyczny w centrum Edmiston. Mniej więcej co tydzień zmieniam fryzurę, mama próbuje pasemka i nowy odcień farby D nazwie Sierra Gold, babcia poddaje się masażowi twarzy, a wszystkie zapisujemy się na konsultację do wizażystki. Według niej jestem Głęboką Zimą i powinnam używać barw podstawowych, czarnej kredki i różu *terracotta*. Babcia natomiast jest Chłodnym Latem i najbardziej pasują jej szarości, rolety i zimne czerwienie, a mama jest Ciepłą Wiosną, która powinna unikać czystej bieli, a używać brązów i beżów. Z wykresami naszych barw w rękach ponownie atakujemy centrum handlowe i wracamy do domu obładowane nową garderobą oraz udziwnionymi, cudownymi lakierami do paznokci do codziennego manikiuru i pedikiuru.

Wieczorami mama i babcia Shirland uczą Toby’ego i mnie gotowania, po czym jemy razem przy stole w jadalni, gadając o tym i owym, o czym nam się żywnie podoba, albo dla odmiany nie rozmawiamy, tylko słuchamy radia lub grania świerszczy, dochodzącego przez otwarte okna, bo babcia nie czuje potrzeby założenia klimatyzacji. Gdy już sprzątniemy po posiłku, oglądamy *Rumble Fish* czy inny wypożyczony film z Blockbuster. Czasem my, jako odmienione nie do poznania damy, robimy Toby’emu pokaz mody. Od czasu do czasu grywamy w *Thvial Pursuit* albo babcia wyciąga stare albumy z pożółkłymi fotografiami i opowiada o swoim ślubie, a także o kolejnych etapach życia mamy, gdy była

dziewczynką z loczkami i wystającymi zębami (Gdy nie znalazłam jeszcze żadnych ortodontów”, wzdycha mama). Potem, kiedy kładziemy się do łóżek, każde z nas zostawia szeroko otwarte drzwi do swojej sypialni, a w łazience całą noc świeci się światło.

Jest naprawdę ładne lato i chociaż nie ma z nami ani ciebie, ani taty i chociaż ilekroć tata telefonuje – a dzwoni co parę dni – mama rzuca słuchawkę i ucieka na werandę, żyjemy w Kansas jak w normalnej rodzinie. Do pewnego wieczoru, po czterech mniej więcej tygodniach od przyjazdu mamy.

Toby S. wyszedł jak zwykle pobiegać, mama i babcia są w kuchni, przygotowując na obiad specjalny boeuf Strogonow a la Shirland, po domu rozchodzi się coraz intensywniejszy zapach podgrzewanego chleba czosnkowego, a ja w pokoju dziennym relaksuję się przed telewizorem. Gapię się na odcinek serialu *Grunt to rodzinka*, już tyle razy oglądany, że prawie znam go na pamięć, ten, w którym chłopcy zrzucają i tłuką wazon, a bojąc się reakcji Carol, próbują go posklejać, ale on cieknie. Na tę scenę, w której piłka do koszykówki spada po schodach, patrzę chyba po raz pięćsetny.

Słyszę za sobą, jak zewnętrzne drzwi z siatki, chroniące przed owadami, otwierają się, po czym zatraskują, i zerkam na zegarek, żeby sprawdzić, czy Toby ma czas na prysznic przed obiadem. Słyszę jeszcze echo głosu Bobby’ego Brady: „Ile razy wam mówiłem, żeby nie grać w domu w piłkę”, a potem dochodzi mnie inny głos, już nie z telewizora, ale nie jest to Toby. I słyszę słowa: „Widzisz, co się dzieje, jeśli ktoś nie przestrzega zasad, panno Justine Z.?”

Sztywnieję na ułamek sekundy, czyjaś ręka sięga ponad moim ramieniem po pilota na fotelu. Obrazy w telewizorze kurczą się do jednego punkciku, a ja zrywam się na równe nogi, odwracam i staję twarzą w twarz z Dwightem.

– Zaskoczona?

Wygląda jak zwykle, kły wyszczerzone w uśmiechu, przylizana blond fryzura w stylu *Teenbeat*. Ma na sobie spodnie khaki i kanarkowe polo, którego jeszcze nie widziałam, z postawionym kołnierzem. Wygląda jak zwykle, ale jest w nim coś innego, i nie chodzi tylko o nową koszulę. Wiesz, wydaje mi się jednak, że Cindy Gregory nie spodobałby się Dwight. Nie sądzę, żeby był w jej typie.

– Domyślałam się, że nie spodziewałaś się zobaczyć starego Dwighta, co? Najwyraźniej nie cieszy cię mój widok – stwierdza i przyobleka twarz w gniewny wyraz, udając urażonego niechętnym przyjęciem. – Ale ja się cieszę, że cię widzę. Bardzo się cieszę – dodaje.

Siatkowe drzwi skrzypią i trzaskają ponownie, gdy wchodzi Hilary, trzymając w ręku aktówkę i kręcąc na palcu kółkiem z kluczykami do samochodu z wypożyczalni Hertz. Ona też wygląda niby tak samo, a jednak inaczej, jest wyższa, niż zapamiętałam, bardziej w stylu amazonki. Dwight oblizuje usta, szybko, pożądliwie, zanim Hilary do niego dochodzi, a ja zdaję sobie sprawę, że na moment przestałam oddychać. Robię teraz głęboki wydech, wycofuję się i wpadam na stół. Stojąca na nim lampa chwieje się, a potem spada na podłogę. Rozbija się na kawałki, tak jak wazon w domu Carol i Bobby'ego Bradych.

– Wszystko w porządku, Justine?! – woła mama z kuchni.

– Pani Ziegler?! – woła w odpowiedzi Hilary.

Być może mama rozpoznaje głos Hilary, ale babcia nie.

– Kochanie, jeśli to pani z Avonu, to powiedz jej, że już złożyliśmy zamówienie w salonie! – krzyczy.

Ale kiedy wchodzi do pokoju, wycierając ręce w papierowy ręcznik, domyśla się, że Dwight i Hilary nie są z Avonu. Mama, która wchodzi tuż za babcią, wie kto to, i staje jak wryta.

– Pani Ziegler, zdaje sobie pani sprawę, dlaczego tu jesteśmy – mówi Hilary. – Dobrze, że jest pani pod ręką, żeby pomóc.

– Pomóc? W czym? – chce wiedzieć babcia. – Co to wszystko znaczy?

– Pani Shirland, tak? – Hilary wyciąga rękę na powitanie. – Jesteśmy pracownikami centrum rehabilitacyjnego Come Clean w Pensylwanii.

Babcia nie ma najmniejszego zamiaru uścisnąć wyciągniętej do niej dłoni, tylko patrzy na nią uparcie, aż Hilary z powrotem ją opuszcza.

– Przyjechaliśmy, żeby dać Justine szansę dokończenia terapii – kontynuuje Hilary. – Przyjechaliśmy zabrać ją z powrotem do ośrodka.

– Akurat! – babcia przyjmuje postawę obronną i zasłania mnie. Zgnięta papierowy ręcznik w kulkę i rzucają Dwightowi pod nogi. – Wynoście się z mojego domu. Nikt was tu nie zapraszał i nie macie prawa tu być.

Hilary opiera aktówkę na udzie.

– Chodzi o to, że mamy prawo tu być – mówi, otwierając teczkę i wyciągając plik oficjalnie wyglądających dokumentów przewiązanych przez środek gumką. – Mamy pozwolenie rodziców.

Spoglądam na mamę, babcia też, ale na twarzy mamy również maluje się pełne zaskoczenie. Kręci głową na boki w charakterystyczny dla siebie nerwowy sposób, jak ptak.

– Ja, ja, ja nie dawałam wam niczego takiego.

– Rzeczywiście – zgadza się Hilary – ale *pan* Ziegler nam dał.

Nasz ojciec, Joshua. *Wierz w Niego*.

Mama zaczyna z nią polemizować, a potem wybucha płaczem. „Moje dziecko, moje dziecko, nie krzywdźcie mojego dziecka”, lamentuje. A babcia Shirland robi się naprawdę zła, chwyta za szczotkę i wymownym gestem daje Dwightowi i Hilary do zrozumienia, że wypędzi ich ze swojego domu jak zabłąkane muchy. A ja przez cały czas tam stoję, myślę o uciśnięciu mojego magicznego punktu u nasady nosa między oczami, ale nawet do tego nie jestem zdolna, stoję tylko w jednym miejscu, niema i nieruchoma jak wtedy, kiedy jako dzieci bawiliśmy się w posagi.

Hilary mówi dalej powoli i spokojnie. Prosi, żeby nie utrudniać sytuacji jeszcze bardziej. To tylko dla dobra Justine, twierdzi, kiedyś nam za to podziękuje. Opór nie ma sensu, zapewnia, podnosząc w górę swoją aktówkę, wszystko odbywa się zgodnie z prawem. A potem dodaje:

– Podjęłam dodatkowe środki ostrożności i przed naszym przybyciem tutaj wezwałam miejscową policję z prośbą o wsparcie. Będą lada chwila.

Policja. Nie mogę zostać aresztowana, Josh. Nie mogę. A jeśli zabiorą mnie z powrotem do ośrodka, nigdy nie wyjdę stamtąd cała. Wiem. Wyrzucą klucz i każda noc będzie jak w moich najgorszych koszmarach sennych, w pokoju odosobnienia z Dwightem w roli głównej. Nie mogę dać się zatrzymać policji, nie mogę. Mama ich nie powstrzyma, babcia też nie da rady. Panika mnie ogarnia, muszę się stąd wydostać, muszę się stąd wydostać, muszę się stąd wydostać i uciekać, uciekać, uciekać, uciekać już zawsze.

Udaje mi się wreszcie uruchomić nogi i idę w stronę kuchni, żeby wymknąć się tylnymi drzwiami do warzywnika. Ale Dwight jest szybki, łapie mnie jeszcze przed progiem jadalni, przypiera do ściany, tej, gdzie wiszą akwarele babci. Jeden z obrazów spada na podłogę, rama pęka, szkło rozbija się na więcej kawałków niż babcina lampa i wazon Bradych.

– Nie krzywdźcie mojego dziecka! – wrzeszczy mama, rozsiewając z ust kropelki śliny.

– Posłuchaj, Justine – mówi Hilary – będzie dużo prościej, jeżeli postarasz się nie opierać. Pani Ziegler, pani Shirland, wiem, że to może wydawać się okrutne, ale skupmy się na celach, a nie na środkach. Musimy pamiętać o tym, co jest dla Justine najlepsze.

Tkwię przy ścianie, a Hilary mówi naszej mamie i naszej babci, że jestem chora, jak i ty byłeś chory. Uzależnienie jest chorobą, mówi. Ty byłeś uzależniony i

ja jestem uzależniona. Współzależnienie też jest chorobą. Ty i ja byliśmy współzależnieni. Wyjaśnia objawy, symptomy i konsekwencje współzależnienia. Mówi, że potrzebuję pomocy, mówi, że oni *muszą* mi pomóc.

Zaciskam powieki, wyczuwam palcem mój magiczny punkt u nasady nosa i ugniatam to miejsce w poszukiwaniu jasności umysłu.

Mama płacze, babcia Shirland wtrąca raz czy dwa słowo „Bzdury!”, Dwight chodzi wte i wewte, otwierając raz po raz usta, żeby coś powiedzieć, ale widać woli ugryźć się w język. A mnie ogarnia panika, Josh. Jeszcze raz w myślach pokonuję drogę do tylnych drzwi, zastanawiam się, czy okno w łazience jest otwarte, próbuję sobie przypomnieć, czy w przedpokoju w szafie na okrycia zimowe jest kij baseballowy. Odmierzam odległość do drzwi wejściowych. Gdybym trzasnęła Dwighta w głowę kijem baseballowym i przemknęła obok Hilary, być może – tylko być może – udałoby mi się stąd wydostać i uciec.

Tak jestem pochłonięta wyobrażaniem sobie, co może się zdarzyć, że ledwie zauważam, że na werandzie przed domem pojawia się Toby S., spocony i bez tchu. Ale zanim ktokolwiek inny go dostrzeże, widzę, jak zagląda do środka, a przerażenie na jego twarzy przechodzi w złość, a następnie we wściekłość.

Hilary i Dwight, odwrócenii plecami do drzwi, nie zauważają Toby’ego, dopóki nie słyszą trzaśnięcia drzwiami. A Toby już szarżuje przez pokój – tak jak wtedy podczas tej sesji, kiedy Dwight chciał mnie zmusić do powiedzenia, że się ciebie wstydzę – rzuca się na Dwighta i przewraca go na podłogę. Nie ma piętofazowiczów, którzy by powstrzymali Toby’ego, ale nie wygląda też na to, żeby Dwight potrzebował pomocy. Dwaj mężczyźni moczują się na podłodze przez kilka minut, spada i rozbija się kolejna lampa, mama krzyczy, a babcia próbuje wetknąć szczotkę między walczących. Potem Dwight wymierza celny cios, a potem kolejny i jeszcze jeden, kopie Toby’ego w krocze, a gdy ten zwija się z bólu, wali go łokciem w tył głowy. Toby pada nieprzytomny.

Mama gwałtownie łapie powietrze, babcia opuszcza szczotkę i wszystkie trzy bez słowa słuchamy dyszenia Dwighta. W kuchni chleb czosnkowy zaczyna się przypalać i wydziela okropny swąd.

Hilary odchrząknęła i mówi do Dwighta:

– Myślę, że użycie takiej siły nie było konieczne.

Dwight odwraca się do niej z niedowierzaniem.

– Nie widziałaś, że mnie zaatakował?

– Tak, ale...

– Daj spokój! Nie widziałaś, jak wypadł nie wiadomo skąd i zaatakował mnie?

– Dwight podnosi głos, pokazując palcem leżącego na podłodze Toby’ego. – Tak jak teraz jest lepiej, znacznie lepiej. Teraz zabierzemy ich oboje. Wytropiliśmy ją... – pochyla się, łapie mnie za ramię i brutalnym szarpnięciem przyciąga do swojej kanarkowej piersi – ...ale z nim byłoby znacznie trudniej. On zawsze próbował wszczynać bójki. Teraz będzie potulny.

– Nie dotykaj mojego dziecka! – piszczy nasza mama. – Nie dotykaj jej!

– No tak – mówi Hilary – uspokójmy się teraz wszyscy. Puść Justine, dobrze? – Odczekuje chwilę. – Dwight, powiedziałam, puść ją.

Na moment ręka Dwighta zaciska się mocniej na moim nadgarstku, a gdy jeszcze robi półobrót, jestem pewna, że wyrywa mi włoski i moja skóra reaguje pokrzywką, jak to było z tobą, gdy z całej siły trzymałam cię za rękę, bo tak bardzo zależało mi zawsze na wygranej, kiedy bawiliśmy się z innymi dziećmi w „Królu, królu, daj wojaka”. Dwight niechętnie ulega i puszcza mnie wreszcie, lecz jednocześnie popycha tak, że lecę do tyłu, potykam się o nogę Toby’ego, ale udaje mi się, choć niezgrabnie, wylądować w kucki, unikając grzmotnięcia o podłogę.

– Jasne – mówi Dwight przez zaciśnięte zęby – zostawiam ją w spokoju, z przyjemnością. Nie ma problemu. – Wyciąga rękę z rozczapierzonymi palcami, jakby był magikiem demonstrującym, że nie ukrywa monety. – Jak sobie życzysz, Hil. Ty tutaj rządzisz.

Utrzymuję równowagę wsparta ramieniem o tył kanapy. Boli mnie kostka, pokój wiruje mi przed oczami i choć wbijam sobie do głowy, że ma proste kąty, nie mogę go zatrzymać. Chcą mnie znowu zabrać, Josh, i nic nie mogę na to poradzić.

Dźwigam się w górę, podpierając o kanapę, staram się odzyskać równowagę, a potem głos.

– On wcale tak nie myśli – szepczę.

Hilary skupia uwagę na mnie.

– Słucham?

– On wcale nie uważa, że pani tu rządzi, on uważa, że to on jest szefem, prawdziwym szefem.

Dwight się śmieje, a Hilary nerwowo mu wtóruje.

– To jest prawda, sam mi to powiedział. I wcale nie ma zamiaru zostawić mnie w spokoju. Teraz dał za wygraną, bo jest tu pani i mama, i babcia. Zachowuje się zupełnie inaczej, kiedy pani nie ma. Jeśli pani wyjdzie, będzie jeszcze gorzej.

Dwight uderza w dłoń na znak, że już dość.

– Daruj sobie, Justine, nikt nie jest ciekaw, co masz do powiedzenia.

– Ja chcę tego posłuchać – mówi babcia Shirland, a Hilary kiwa głową, żebym

kontynuowała.

A więc mówię dalej. Wyrzucam z siebie wszystko, co mam do powiedzenia o Dwighcie, groźbach, konfrontacjach, raketkach pingpongowych i specjalnych karach.

Oczy Hilary błysnęły, gdy usłyszała o pokoju odosobnienia. Pytająco unosi brwi, patrząc w stronę Dwighta. Czy coś jej świta w głowie? Tak czy nie? Zanim mogę coś wyczytać z jej twarzy, Hilary pozbawia ją jakiegokolwiek wyrazu.

Och, aleja mam niewyparzoną buzię, Dwight, i wiem, jak to teraz wykorzystać. Mówię dalej, choć próbuje mi przerwać i mnie przekrzyczeć. Gorączkuje się, pot zrasza mu czoło, tymczasem pokój wypełnia dym ze spalonego chleba czosnkowego. Gdyby tak włączył się alarm i odwrócił ich uwagę, może udałoby mi się rzucić do drzwi i wybiec na podjazd. Mieliby Toby'ego, ale może znalazłabym jakiś sposób, żeby później po niego wrócić. Czy babcia ma w domu czujnik dymu?

Przestaję mówić dla nabrania oddechu, wtedy Dwight odzywa się stanowczo:

– Myślę, że usłyszeliśmy już dość.

– Nie! Nikt nie słyszał jeszcze tego, co najciekawsze. – I kontynuuję, mówię o encyklopedii, o tomie M. Opowiadam, jak musiałam po kolei zdejmować części garderoby, a kiedy opisuję siebie na kolanach, mama mdleje i dołącza do Tby'ego na podłodze.

– Czy to prawda? – Hilary pyta Dwighta. – Cokolwiek z tego?

Dwight parska w odpowiedzi i przewraca oczami, babcia Shirland bierze z kanapy poduszkę i podkłada mamie pod głowę, a ja mówię dalej.

Mówię, co szykował dla mnie Dwight, co mi obiecał następnym razem, gdy mnie dorwie w tej izolatce.

– Ona kłamie! – Dwight ma czoło wprost złane potem, pomrukuje z udawanym niedowierzaniem i chodzi w tę i z powrotem za plecami Hilary, która teraz stoi między nami jak ściana. – To same kłamstwa. To smutne, że wszyscy uzależnieni tak kłamią. Żalotne.

– I nie jestem jedyna – upieram się. – Nie wiem, ile osób tam ściągał, ale na pewno jedną z nich był mój brat.

Babcia Shirland kręci głową i zasłania twarz rękami jak tarczą, żeby już nic więcej nie słyszeć, ale ja kontynuuję, unikając jej wzroku.

– Dwight znęcał się nad nim – mówię i zdaję sobie sprawę, że nie potrafię sobie wyobrazić nawet połowy tego, co przeszedłeś, Josh, i że nie umiem jeszcze ubrać tego w słowa. – Prawdopodobnie to on doprowadził Josha do tego, co zrobił.

– Nie bądź śmieszna! – Dwight grzmi, a jego twarz purpurowieje.

– Spokój, spokój – upomina Hilary – weźmy wszyscy głęboki oddech i spróbujmy trochę ochłonać.

– Zamknij pieprzoną gębę, dobrze?! – rzuca Dwight w jej zdumioną twarz.

– Zrobiłeś to sukinsynu, zrobiłeś. Gwałciłeś go, a on uciekł od ciebie w jedyny sposób, w jaki mógł. – Na trampolinę, w sylwestra, w mroźną noc.

Dwight odsuwa Hilary i rzuca się na mnie.

– Zamknij swoją brudną pieprzoną gębę! – Wrzeszczy, łapie mnie za gardło jedną ręką, a drugą wali po policzku. Tą z pierścieniem *claddagh*. – Nie zgwałciłem tego małego pedała. *Mówiłem* ci. On chciał tego, błagał o to.

Brakuje mi oddechu, nie mogę oddychać. Jak ty w wodzie, Joshua, w dwóch calach wody. Dwight trzyma mnie za gardło i potrząsa mną, a ja nie mogę oddychać. Próbuję się skupić na imitujących impresjonistów akwarelach babci Shirland, widzę lilie wodne, łodzie, baletnice.

W końcu Dwight mnie puszcza, a ja nie mam już nic więcej do powiedzenia. Łapię powietrze, a babcia Shirland i Hilary patrzą na niego z kamiennymi twarzami. Uciekać, powinnam teraz zwiać, uciec od tego, ale jestem wypruta z sił.

– Kłamstwa – mruczy Dwight, cofając się o krok, a potem dwa. Wciska koszulę, teraz już niechlujnie wyglądającą, w spodnie, przygląda fryzurę, prostuje ramiona. – O nic się nie martw, Hil – zaczyna – uporządkujemy to wszystko po powrocie do ośrodka. Ani się obejrzysz, a ci dwoje znajdą się z powrotem na dobrej drodze do wyzdrowienia. Dopilnuję tego. Możesz na mnie liczyć. – Mówi tym swoim cholernym głosem Gomera Pyle’a, przestępując z nogi na nogę, starając się powstrzymać od chodzenia. – Hej, a czy wspominałem ci, że ustanowiłem rekord... najszybciej przeszedłem Siedem Kroków. To było w ośrodku w Tennessee. Poniżej sześciu miesięcy, taki byłem szybki. Sto sześćdziesiąt siedem dni. – Gwiżdże wysokim tonem, przeciągle, na to słodkie wspomnienie. – Rety, ale mnie tam kochali. Kiedy zostałem instruktorem, zrobili mi zdjęcie i zamieścili w miejscowej gazecie. W podtytule: „Sukces procesu rehabilitacji”. Jeśli w ogóle można liczyć na kogokolwiek, że sprowadzi dzieciaka z powrotem na dobrą drogę, tym kimś jestem ja, spokojna głowa.

Gdy Dwight snuje wspomnienia, słychać pukanie do drzwi. Dwaj policjanci w mundurach salutują, a Hilary daje im znak, żeby weszli. Nie mogę zostać aresztowana, Josh, nie mogę.

Gdy wkraczają do pokoju, Dwight przestaje mówić. Jeden z policjantów wygląda na młodszego niż Toby, ma delikatny meszek nad górną wargą i zęby białe jak mleko, ale drugi policjant jest starszy i potężniejszy, a jego dłoń spoczywa

na kaburze pistoletu, jakby to było dla niej jedyne miejsce.

– Panna Navarre to pani? – pyta starszy policjant. Hilary przytakuje i po raz pierwszy słyszę, jak ktoś zwraca się do niej po nazwisku. Hilary Navarre. Brzmi jeszcze bardziej obco, niż kiedykolwiek mogłabym sobie wyobrazić.

Policjant zerka na nas czworo stojących, a potem na Toby'ego i mamę rozciągniętych na podłodze. Jego młody partner o mlecznych zębach wachluje się dłonią. Powietrze jest pełne dymu ze zwęglonego chleba czosnkowego. Babcia Shirland na pewno nie ma wykrywacza dymu.

– Występowała pani o pomoc przy zatrzymaniu kogoś? – warknął starszy policjant.

– Tak – odpowiadają równocześnie Hilary i Dwight.

– Tak – powtarza Hilary, głośniej i pewniej, podnosząc rękę, aby uciszyć Dwighta.

Ci dwaj policjanci nie wyglądają na głupich. Może mogłabym z nimi porozmawiać, przeciągnąć ich na swoją stronę. Może, wmawiam sobie, ale wiem, że Dwight i Hilary mają ten papier, wiem, że to tylko pobożne życzenie. Nic ich nie powstrzyma.

Hilary wpatruje się we mnie i nie mogę rozgryźć, co ona, u diabła, myśli. Zastanawiam się, czy ten jej młodszy brat, ten, który przedawkował, miał takie same oczy, małe, szare i szeroko rozstawione, zastanawiam się, czy on odgadywał, co ona myśli lub czuje.

– Tak – odpowiada, a jej wzrok podąża za własnym wyciągniętym ramieniem, dłonią i palcami. A potem ten jej gest „stop” zamienia się w strzałkę, która wskazuje prosto na Dwighta. – Proszę aresztować tego człowieka.

Rozdział 54

Lato trwa, ale straciło swój leniwy urok. Toby S., mama, babcia Shirland i ja późno wstajemy, robimy zakupy, pożyczamy filmy i książki i robimy inne rzeczy, wszystko bez entuzjazmu. Odwrotnie niż Dorotce i Toto, nam Kansas nie wydaje się teraz ani bezpieczne i zacne, ani czarno-białe, a Toby i ja nie jesteśmy całkiem pewni, od czego uciekliśmy, dlaczego uciekaliśmy i czy naprawdę uciekliśmy.

Toby niedługo kończy osiemnaście lat i nikt już nie będzie mógł ulokować go gdziekolwiek, jeśli on sam nie będzie tego chciał – jest to coś, czego jest pewien. Gunther High School pozwala mu skończyć semestr korespondencyjnie, a świadectwo dostanie pocztą. Po tym wszystkim postanowił jednak kontynuować naukę i zapisać się do River Oaks College na jesienny semestr. Domyślam się, że podobnie jak Kansas i lato, być może również Paryż, Londyn, Madryt, Rzym i inne miejsca zamieszkiwane przez Europejczyków też straciły na uroku. Toby kupił mapę na stacji benzynowej i pokazał mi, gdzie jest River Oaks. Tylko kilka godzin drogi greyhoundem, a nawet mniej, gdy dostanie prawo jazdy, co nastąpi wkrótce.

Wieczorem przed jego odjazdem przełazimy z Tobym przez płot za ogródkiem warzywnym babci i wkraczamy, bezprawnie, na teren graniczący z jej działką. To pole uprawne, na którym stosuje się płodozmian, w tym roku leży ugorem, więc trawa sięga nam powyżej łydek i jak idziemy, łaskocze mnie we wrażliwe miejsca pod kolanami. Rozkładamy kolorowego afgana, ściągniętego z babcinej kozetki, i usadawiamy się na piknik składający się z corn dogów, soku jabłkowego i M&M z orzeszkami.

Spoglądając w gwiazdy nad nami, chrapiemy, wzdychamy i trawimy. Przypomina mi się instalacja nieboskłonu umocowana przez rodziców Moiry w pokoju fazowiczów w ich domu. Z całą pewnością dokładnie pomieszali gwiazdozbiory. Toby zna takie, których ja nie pamiętam dobrze z lekcji, choć mówili o nich panna Fawcett, pani Wolf, pan Newhouse czy jeszcze ktoś, i pokazuje mi je – Kasjopeję, gwiazdozbiór Oriona i inne. Ja pokazuję mu Bliźnięta, ten pamiętam. I myślę o tobie, gwiazdy kojarzą mi się ze świetlikami, które tak lubieś łapać, ale migoczą tam wysoko na niebie, gdzie nie można ich dosięgnąć. Opowiadam Toby'emu, jak te zwinne małe robaczki nazywałeś wrózkami, myśląc o Dzwoneczku i jej magicznym pyle.

– Hmmm – mruczy Toby marzycielsko, chyba obydwójce imaginujemy sobie, jak by to było latać jak Piotruś Pan.

Mija dłuższa chwila, zanim któreś z nas chce jeszcze coś powiedzieć, wreszcie ja przerywam ciszę. Trochę się zacynam, ale w końcu wydobywam to z siebie. Dziękuję Toby'emu, że mnie uratował.

Na to on zaczyna chichotać.

– A kto powiedział, Justine Ziegler, że trzeba cię było ratować? – pyta, po czym bierze moją rękę i już jej nie puszcza. Trzyma mnie za rękę przez całą noc, ściska ją mocno jak linę ratowniczą. Może, mimo wszystko, Toby też potrzebował, żeby go ratować, tak jak ty, mama, tata, my wszyscy.

Następnego ranka, to już połowa sierpnia, Toby całuje mamę i babcię Shirland, nadstawiające wilgotne policzki niczym zapachowe znaczki pocztowe, które trzeba polizać. Przynurka, że będzie pisał, i macha na pożegnanie, wychylając się z okna autobusu, greyhounda z tabliczką Illinois, a potem odjeżdża trenować futbol i zapisać się do college'u.

Nasze urodziny przypadają już po wyjeździe Toby'ego. Sama, bez ciebie, kończę szesnaście lat, mówię mamie i babci, że nie chcę tortu ani prezentów. Zamiast tego fundujemy sobie ucztę w drogiej włoskiej restauracji, gdzie irytujący kelner w kamizelce podsuwa nam przed nosy tarty parmezan, gdy wszystkie lejemy łyżę do makaronu. Babcia Shirland masuje mamie krzyż małymi okrężnymi ruchami, przeplatając to delikatnym poklepywaniem, no już dobrze, dobrze, mówi i nazywa mamę swoim dzieckiem.

– Twoja mama nigdy nie wiedziała, jak sobie radzić z bliźniętami – babcia zadumała się nad płomieniem restauracyjnej świecy, gdy mama wymknęła się do toalety. – Starła się oczywiście, chciała jak najlepiej, ale zawsze czuła się taka zagubiona przy was dwojgu. – I o nic nie zapytałam, Josh, a nie wiedziałam, co ma na myśli, nie przychodziło mi do głowy, co mogłabym na to powiedzieć, po prostu czekałam, aż mama wróci z toalety, i dorzuci trochę pieniędzy na napiwek.

Czasami, kiedy jesteśmy w domu albo w samochodzie, albo Kmarcie, mama pyta o mnie i o ciebie, co się zdarzyło z nami w programie, o te rzeczy, o których po raz pierwszy usłyszała tego dnia, gdy przyjechali Hilary i Dwight. Mama twierdzi, że chce znać szczegóły, mówi, że to zniesie. Relacjonuję migawki zdarzeń – nie, nie tych najgorszych – póki nie naciśnie hamulca, by wyjść z auta na moment, albo nie ucieknie na werandę, albo, zgarbiwszy się, nie zacznie szlochać i się usprawiedliwiać.

– Wasz ojciec i ja naprawdę wierzyliśmy, że to dla waszego dobra – mówi.

Babcia z kolei nigdy nie wypytuje mnie o program ani nie pyta, czy już teraz wszystko w porządku i jak się czuję, więc może dlatego z nią jest łatwiej

rozmawiać. Nie lubię, gdy mama jest w pokoju, ale kiedy nie ma jej w pobliżu, często mówimy z babcią o tobie. Niekiedy po prostu o dawnych czasach, zanim się wszystko zmieniło. Kiedy indziej mówimy w czasie teraźniejszym.

I babcia stwierdza, że to całkiem w porządku, że rozmawiam sobie z tobą, jak to mam w zwyczaju. Przyznaje się, że choć dziadek Shirland, Panie świeć nad jego duszą, nie żyje już od pięciu lat, ona w dalszym ciągu co noc mówi mu dobranoc.

Ja na to, że nie tylko mówię ci dobranoc. Opowiadam jej, że prowadzimy ze sobą długie dyskusje i przeżywamy na nowo chwile z dzieciństwa, kiedy ubieraliśmy się tak samo, myśleliśmy tak samo, byliśmy tacy sami i tak dalej. I babcia mówi, że to też jest w porządku. A wtedy przyznaję się, że to nie są czcze pogawędki od czasu do czasu.

– To każda myśl – wyznaję pewnego popołudnia, gdy siedzimy w salonie piękności Edminston, czekając, aż wyschną nam paznokcie u nóg – każda myśl, która przechodzi przez moją głowę. Tak jakby to w ogóle nie były moje myśli. Tak jakby Joshua był tu, w mojej głowie, rozmawiam z nim cały czas.

Babcia Shirland powiada, że to też jest w porządku. Joshua zawsze będzie w twojej głowie – zapewnia. – I w twoim sercu.

Jej palce spoczęły na moim policzku. Maniurzystka wcześniej polakierowała nam paznokcie i babcine wyschły w perfekcyjne półksiężycy we wściekłym fiolecie. Pod nimi poduszcзки jej starych palców są suche i szorstkie jak papier ścierny, ale ciepłe, i poddają się ich dotykowi.

– Czy wiesz, że dziadek Shirland i ja byliśmy małżeństwem przez pięćdziesiąt cztery lata?

Nie wiedziałam, że aż tak długo, i przyznaję się do tego.

– Tak było. Pięćdziesiąt cztery dobre lata. Byliśmy parą już w szkole średniej i wiesz, twój dziadek był jedynym chłopcem, jakiego kiedykolwiek pocałowałam. – Babcia wyciera kącik oka, ale jednocześnie rozpromienia się na to wspomnienie. – Więc gdy dziadek zmarł, myślałam, że ja też umrę. Czułam się tak, jakby Bóg sięgnął z wysokości i wyciął mi moje bijące serce.

Kiwam głową, a ona mówi, że ja musiałam czuć się mniej więcej tak samo, a może nawet jeszcze gorzej.

– Pamiętasz, babciu, tę historię, którą nam opowiadałaś, o tym, jak dziadek, gdy zobaczył nas w szpitalu, myślał, że jesteście niemowlęciem o dwóch głowach?

Babcia śmieje się i przytakuje.

– Czy to nie było śmieszne? Myślał, że jesteście syjamskimi bliźniętami, zrośniętymi ze sobą.

– Sądzę, że w pewnym sensie byliśmy zrośnięci. I kiedy Josh odszedł, to było, jakbym... to było, jakbym straciła głowę i serce, i połowę ciała. Połowę wszystkiego.

Próbuję wyobrazić sobie ciebie i dziadka, i siebie, i babcię, jesteś z nami, i nikomu nie brakuje części ciała, mamy wszystkie kończyny i organy, wszystko. Jesteśmy cali i szczęśliwi. Babcia ociera kącik oka i uśmiecha się, a ja kręcę stopami i wachluję paznokcie u nóg egzemplarzem „Good Housekeeping” sprzed trzech miesięcy.

– I co zrobiłaś? – pytam ją. – Co zrobiłaś, gdy straciłaś dziadka?

A ona mówi, jakby to było takie proste:

– Nie umarłam. – Potem masuje mi krzyż, tak jak mamie, i jest to bardzo przyjemne, i też nazywa mnie swoim dzieckiem.

Innym razem, gdy odbywamy z babcią jedną z naszych rozmów, mówi coś jeszcze. Wiesz, mówi, choć trudno teraz w to uwierzyć, za jakiś czas będzie ci lżej. Mówi, że przetrwam, że będę mieć swoje własne życie i więcej takich miłości jak Toby – całe mnóstwo, tak przepowiada, i będę mieć przeżycia tylko i wyłącznie własne, moje i tylko moje, myśli także tylko własne, i dodaje, że to też będzie w porządku.

Babcia mówi, że muszę jej uwierzyć na słowo.

Epilog

Z tym jednym mogę się zgodzić. Joshua miał problemy.

Próbowano mi powiedzieć, że ja też mam problem, i to także prawda. Moim problemem jest to, że mój brat nie żyje, mój bliźniak, moja bratnia dusza, mój Joshua. I brakuje mi go.

Brakuje mi ciebie, Joshua. I zawsze będzie brakować.